

IGOR BREJDYGANT

SIEROTY



Gdy przeszłość
zagląda prosto w oczy

Wydawnictwo
ab
two

IGOR
BREJDYGANT

SIEROTY

W
ydawnic
a
two **b**



Copyright @ by Igor Brejdygant, MMXXII
Copyright @ by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXXII
Wydanie I
Warszawa MMXXII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

*

Czy ona na mnie patrzy? Jak może patrzeć, skoro nie oddycha? Jak to możliwe?

– Mamo! Mamo, obudź się! Widzisz mnie, słyszysz?! Mamo!!!

Sine usta, poszarzała cera i ta obcość w dotyku, sztywność skóry, przez którą nie płynie już żadna energia. Co robić? Co mam robić?! Nikt nigdy nie mówił, nie było czegoś takiego, nawet na filmach, co mam teraz zrobić? Zadzwoń. Muszę po kogoś zadzwonić. Telefon.

– Mamo!!!

Czemu on tu wszedł? On nie może tego widzieć, nie może.

– Marcin, co ty tu robisz?! Musisz iść do pokoju, musisz się położyć, schować. Gdzie jest telefon?

– Tam. – Mała chłopięca rączka wskazuje w stronę stolika w salonie.

To zapamięta już na zawsze – tę rączkę, przerażenie w oczach brata i pustkę w spojrzeniu mamy.

Jak coś takiego może się w ogóle nazywać domem – pomyślała nagle, po kilku minutach siedzenia w swoim eleganckim sportowym bmw z odsłoniętym dachem i wpatrywania się w dziedziniec i boisko, po którym bez cienia radości biegała grupka kilkunastoletnich obdartusów. Refleksja przyszła tak późno, bo trauma i niechęć do wspomnień drażyły ją na tyle, że po prostu nie miała siły o tym myśleć. Był środek wyjątkowo upalnego lata, słońce stało w zenicie, wszystko wręcz parowało od gorąca, a to też nie ułatwiało przesadnie myślenia. Nagle popiół z trzymanego w bezruchu papierosa spadł na uda wystające spod kusej sukienki, parząc ją w skórę i przywracając tym samym do życia, i do tu i teraz.

Ania, dwudziestojednoletnia blondynka o szczupłej, pociągłej twarzy i zielonych oczach, w których, mimo jej młodego wieku, utopiło się już wielu mężczyzn, otworzyła drzwi i zgasiła papierosa czubkiem czarnej szpilki. Bóg jeden wiedział, jak w takich butach udawało jej się panować nad tą trzystukonną, błękitną cabrio bestią.

Kruszejący beton obnażał gdzieś tam stalowe, zardzewiałe słupy parkanu – tak jak ogryzione mięso obnażało nagość kości. Zgnilizna krajobrazu idealnie komponowała się z moralnym upadkiem wnętrza domu dziecka, do którego miała za chwilę wejść. Wysiadła z samochodu, który grzecznie zamknął się za nią bez jej najmniejszego udziału, i podeszła do ogrodzenia. Na zmurszałym tynku betonowego obramowania furtki wisiała czerwona tabliczka z napisem DOM DZIECKA SIÓSTR MISJONAREK. Przeczytała machinalnie. Ile razy wcześniej mijiała to wejście? Wtedy musiała je mijać, dziś już nie było tego przymusu; dziś przyszła, bo chciała, bo miała cel, jeden konkretny cel. Tym razem zamiast sama tu zostać, miała kogoś stąd zabrać. Mantra „dom dziecka sióstr...” wciąż jeszcze odbijała jej się w głowie, jak dawniej, kiedy, żeby przetrzymać niechęć i strach, w kółko powtarzała nazwę przeczytaną z jakiejś idiotycznej tabliczki, szyldu, reklamy albo i z rolki papieru toaletowego – z właściwie czegokolwiek, na czym zatrzymał się wtedy jej wzrok. Tak jakby miało jej to jakkolwiek pomóc. Pewno trochę na podobnej zasadzie działały modlitwy. Ludzie powtarzali je w głowie, często nie rozumiejąc nawet ich sensu, po to tylko, żeby się uspokoić, żeby przetrzymać najtrudniejszy moment, żeby przetrwać.

Przed wejściem do oplecionego zielonym bluszczem zwalistego szarawego budynku z oknami zaczynającymi się od wysokiego parteru, co przydawało całości wyglądu twierdzy albo dziewiętnastowiecznego więzienia, Ania raz jeszcze zerknęła w stronę grających w piłkę chłopców. Te dwa obrazy nie bardzo się ze sobą kleiły, ale pomyślała, że decydował o tym nie wygląd budynku, lecz raczej jej stosunek wobec tego, co działo się w jego wnętrzu.

Wspomnienie. Ogródek na tyłach ich nowoczesnej willi z białych prostopadłościanów, wtedy to musiało być naprawdę zjawisko w architektonicznym świecie domków krytych czerwoną blachą udającą dachówkę. Biegają z Marcinem wokół tańczących z piłką nóg ojca. Starają się mu ją odebrać, wiedzą, że to się nie uda, ale śmieją się przy tym do łez. W końcu ona łapie ojca wpół, Marcin wykopuje piłkę spomiędzy jego nóg, pędzi między dwie donice, które robią za słupki, i strzela, trafiając w jedną z nich.

* * *

Ci tutaj grają bardzo sprawnie. Ania nie zna się na tym za bardzo, ale chyba nie pogardziliby nimi trampkarze stołecznej Legii; dryblingi, podania, woleje, piłka z podbicia, piłka podkrecona, wszystko bardzo efektowne, płynne jak balet. Tylko czemu nikt tu się nie uśmiecha?

– Możecie już w końcu przyjść? – Gdzieś z tamtego świata, z tamtego czasu dobiega ją głos mamy. – Wołam was od dziesięciu minut.

Mama jest piękna – Ania to wie, choć od tamtego dnia już nigdy nie zobaczy jej twarzy. O tej porze, po południu, słońce tnie powietrze nisko, jest pewnie marzec; widać kontur postaci, słysząc głos, ale nie ma uśmiechu, choć na pewno był. W ogóle nie widuje twarzy mamy. Nawet wtedy, kiedy nie ma słońca i mama stoi blisko, przed nią – jest wszystko: zapach, tembr głosu, ale nigdy nie widzi twarzy. Może to dlatego, że wtedy, później...?

* * *

Weszła. Tuż za drzwiami był przedsionek; ciasny, mroczny, z charakterystycznym zapachem, będącym mieszaniną woni zagrzybionej wilgoci, płonących świec i pozostałości mirry – trochę jak w kościelnej kruchcie, choć to przecież nie był kościół.

– Pani do kogo? – powitał ją skrzekliwy głos. Ten sam, który pamięta od zawsze.

To, że dziś jest skrzekliwy, to mogłoby być nawet zrozumiałe. Wiek robi swoje, także z ludzkim głosem. Ale czemu był skrzekliwy, odkąd ją pamiętała, czyli od czasu, kiedy siostra furtianka miała dziesięć lat mniej? Może to taka choroba zawodowa; albo odwrotnie, może dlatego ją tu usadzili, że miała od zawsze odpowiednie kwalifikacje wokalne.

– To ja, Ania, do brata przyszłam, siostró Jadwigo – odpowiedziała

i uśmiechnęła się do niej najbardziej nieszczerze, jak tylko potrafiła.

– A, to ty. – Siostra wyszła z kantorka, żeby na nią spojrzeć, a rzeczywiście było na co.

Zawsze ubierała się dość swobodnie, lubiła podkreślać swoją figurę, ale gdy miała przyjść tutaj, to zawsze szła wręcz po bandzie. Spódniczka była tak krótka i tak obcisła, że usiąść w niej wydawało się niemożliwością.

– Idź – wyszczeła szybko siostra i jednocześnie zwałowo odwróciła się do niej plecami.

Po co w ogóle wyszła z tego cholernego kantorka, skoro wiedziała, że to ona? Znają się od zawsze. Przynajmniej od zawsze w tej drugiej, gorszej, części życia Ani. Czyżby jednak siostra Jadwiga chciała sobie chociaż popatrzeć?

Właśnie. Dwie części, dwa rozdziały egzystencji tak odmienne, jakby dzieliła je co najmniej reinkarnacja. Dwa wcielenia, dwie karmy. Szczęście i beztroska pierwszej i skrzekliwość drugiej. Jak to możliwe? Wprawdzie teraz znów jest coś nowego, ale brzemie tamtych dwóch rozdziałów i tak wisi nad nią, przygniatając do ziemi. Co zrobić, żeby z tych dwóch wybrać to pierwsze, a to, w zmurszałej dekoracji którego znalazła się w tej chwili, wymazać całkowicie, spauzować sytuację na tamtym dniu, kiedy grali w piłkę z tatą, albo na każdym innym z tamtego życia i puścić swoje losy od nowa dopiero teraz, kiedy ma to już za sobą? Niemożliwe? Niestety. Ale coś trzeba z tym zrobić, w innym wypadku pozostawałoby już chyba jedynie po prostu zostać siostrą Jadwigą.

Korytarz był długi i mroczny. Kiedyś wydawała o jej się, że tak po prostu musi być, ale teraz, kiedy szła przez całą jego długość, przyszło jej do głowy, że to niedoświetlenie być może również było elementem jakiegoś duchowego formowania. Kościoły też są przeważnie mroczne. Po co tak? Czy człowiek przygnieciony do ziemi swoim losem, zgaszony mrokiem, nawdychawszy się zatęchłego powietrza, jest bliżej Boga z jego światłością i prawdą jest lepszy? A może nie w tym rzecz. Może człowiek zgnieciony do depresji jest po prostu bardziej podatny na przekaz, a nade wszystko pomoc instytucji staje się wówczas dla niego nieodzowna. Gdyby było jasno, pachniałoby słońcem i świeżością, dzieci na boisku byłyby nie tylko sprawne, ale też uśmiechnięte i może wtedy siostra furtianka ze skrzekliwym głosem nie byłaby już potrzebna.

Z przeciwka, od strony stołówki, do której teraz zmierzała, szła w jej stronę młoda zakonnica w białym welonie na głowie i z białym kołnierzem wystającym spod czarnego habitu sięgającego do samej ziemi. Gdy szła, chwilami wyłaniały się spod niego jedynie czubki brązowych, schodzonych trzewików. Siostra zerknęła na nią, po czym spuściła wzrok, jakby oślepiona niestosownością jej stroju. Ania uśmiechnęła się delikatnie, a kiedy się mijaly, na twarzy młodziutkiej zakonnicy dostrzegła delikatny rumieniec. To ja, jeśli nie dam sobie rady, pomyślała. Może tylko z pominięciem tego rumieńca.

W stołówce było prawie pusto. Przy kilku stolikach siedziało jeszcze paru podrostków, w rogu sali stała kolejna zakonnica, tym razem wysłana tu w roli nadzorczyńi. Była sporo starsza od tej, z którą minęła się w korytarzu. Ania znała ją

dobrze; podobnie jak furtianka była tu przez cały okres jej pobytu w placówce. Ta nie zarumieniała się na jej widok, nie spuściła oczu, wręcz przeciwnie – patrzyła na nią z pogardą i niechęcią graniczącą z nienawiścią. Czy nienawidziła jej za to, że Ania poszła inną drogą, czy nienawidziła raczej siebie za to, że sama kiedyś nią nie poszła? Trudno byłoby to ustalić, zapewne nawet jej samej. Fakt pozostawał jednak faktem. Gdyby wzrok mógł spalać, jak w starych filmach science fiction, z Ani zostałaby już tylko kupka nic nieznaczącego popiołu.

Marcin, osiemnastoletni, dobrze zbudowany, choć lekko, jakby jeszcze dziecięco, pulchny chłopak. Z bujną czupryną czarnych kręconych włosów i teraz nieco uśpionym, acz znamionującym potencjał do ożywienia, gdyby sytuacja tego wymagała, spojrzeniem mądrych, brązowych oczu. Siedział teraz sam przy stoliku pod oknem, jadł zupę powoli i bez szczególnego entuzjazmu. Ania podchodząc do niego, pomyślała, że pewnie nie czuje już nawet jej smaku. Ona nigdy nie czuła tu smaku – ani zupy, ani życia. Z pewnością ją zauważył, był bardzo bystrym chłopcem, zresztą to akurat trzeba przyznać tej instytucji, że bystrość kształtowała perfekcyjnie. W życiu normalnego dziecka inteligencja była przydatna, ale niekonieczna, tutaj bez niej nie dałoby się przeżyć ani dnia.

– Siemano – przywitała się i usiadła na krześle naprzeciwko niego.

– Siemano – odpowiedział, nie odrywając wzroku od jasnopomarańczowej brei.

– Zwijamy się – powiedziała.

– Jem. – Na moment zatrzymał miarowy ruch ręki, który przypominał w swej monotonii obracanie się skrzydeł wiatraka, choć nie miał jego melancholijnego wdzięku.

Po chwili zerknął na nią z wyrzutem.

– To skończ i chodź – rzuciła.

Ania kochała go, ale nie przywykła do dawania temu wyrazu. To miejsce wyostrzało czujność i odbierało umiejętność okazywania uczuć. Bilans musiał się zgadzać. W przyrodzie nic nie ginie.

– Ma się zmarnować? – zapytał, już na nią nie patrząc.

* * *

Wspomnienie. Inne. Z innego dnia, a może jednak tego samego. Chociaż raczej nie, bo Marcin, który ma teraz może osiem, a może siedem lat, jest ubrany inaczej. Teraz ma na sobie spodenki i koszulkę z arbuzem, a wtedy był w swetrze z grubej włóczki, z golfem. Nie lubił go, ale mama tak, więc nosił go dla niej. Pewno jest zima, może wiosna. Siedzą przy stole w kuchni; wszyscy zjedli, on dłubie widelcem w udku kurczaka.

– Tato – zwraca się do ojca.

Ania pamięta, że zawsze, kiedy chciał coś załatwić, zwracał się do ojca w nadziei, że i tak będzie myślami gdzie indziej. Wyczekiwał na moment, kiedy mama gdzieś poszła, i najczęściej wtedy atakował.

- No... – Tata chyba szczęśliwie dla niego rzeczywiście już gdzieś odleciał.
- Mogę już nie jeść? – pyta cicho Marcin.
- Możesz... – Tata kiwa głową, patrząc w okno, po czym, niestety dla niego, dodaje: – Ale ma się zmarnować?

* * *

– Z czego się śmiejesz? – Ania usłyszała cichy chichot Marcina, który przywrócił ją do rzeczywistości.

– Z ciebie. – Patrzył na nią. – Znowu coś sobie przypomniałaś? – zapytał po chwili, wstając i zbierając talerze – Jak można tak żyć? Niby jesteś tu, a jednocześnie tam.

– Nie wiem, a ty wiesz? – Ruszyła za nim w stronę okienka do zdawania brudnych naczyń.

Siostra nadzorująca wciąż uporczywie na nią patrzyła. Może jednak rzeczywiście próbuje mnie spopielić – pomyślała Ania.

– Nie wiem – odpowiedział, odstawiając jednocześnie naczynia, tak jakby chciał ich brzdękiem zagłuszyć w sobie prawdziwą odpowiedź .

W pokoju o wymiarach trzy na dwa metry stały pod ścianami trzy łóżka, obok każdego niewielka szafka, przy jedynej ścianie bez łóżka była ustawiona szafa, w której swoje rzeczy trzymali wszyscy trzej mieszkańcy tego pomieszczenia. Teraz w pokoju byli jednak tylko ona i Marcin, pozostali dwaj chłopcy wyszli rano do szkoły. Marcin wymówił się dziś złym samopoczuciem. Na jego łóżku leżały plecak i torba. W obie te rzeczy chłopak wciskał zgniecione w kulki części swojej garderoby. Robił to naprzemiennie, raz do torby, raz do plecaka, może w nadziei, że w miarę jak będą tam leżeć, ich objętość będzie się jeszcze zmniejszać.

– Nawet pakować cię nie nauczyły? – bardziej stwierdziła niż zapytała Ania.

– Nauczyły – odpowiedział.

– I co? – Ania patrzyła teraz na drzewa za oknem.

– I nie korzystam. – Marcin zasunął suwak w torbie, dociskając ją kolanem.

– W ogóle to nie wiem, dlaczego nie spakowałeś się wcześniej – stwierdziła.

– A skąd miałem wiedzieć, czy przyjdiesz? – Wzruszył ramionami.

– Może na przykład stąd, że ci mówiłam, że przyjdę? – Teraz z kolei bardziej zapytała, niż stwierdziła.

– Oni też mówili, że wyjedziemy na narty. – Marcin zestawił torbę na podłogę i zabrał się do dopychania ciuchów w plecaku.

– W sumie racja. – Pokiwała głową.

– A wy dokąd się wybieracie?! – Usłyszeli tubalny głos, tak niski, że prawie męski, a jednak należący do kobiety.

Oboje jednocześnie, jak na komendę podczas musztry kompanii reprezentacyjnej,

zwrócili głowy w stronę drzwi. Siostra przełożona była tak obszerna, że swoją sylwetką wypełniała niemal całą przestrzeń wyznaczoną przez ościeżnicę. Gdzieś w mrocznym tle korytarza dostrzegli za nią jeszcze drugą, znacznie mniejszą, acz wciąż nie wątlą postać siostry, która wcześniej nadzorowała spożywanie posiłku w stołówce. Nie trzeba było być Stirlitzem, żeby się domyślić, że to ona zgłosiła przełożonej wtargnięcie drażniąco obcego ciała Ani i przyprowadziła przełożoną tutaj.

– Wybieramy się do domu – odpowiedziała ze spokojem Ania, choć głos lekko uwiązał jej w gardle, więc żeby to przełamać, po chwili dodała: – Poza tym nie wydaje mi się, żebyśmy przechodziły ostatnio z siostrą na ty.

Przez lata tresury była jak ten pies wytresowany przez radzieckiego naukowca, impuls wzbudzał w niej natychmiastową reakcję. Przy czym o ile w przypadku psów Pawłowa żarówka powodowała ślinienie się na myśl o jedzeniu, o tyle u niej głos przełożonej budził natychmiastową reakcję lękową. Dreszcze biegły po plecach, dłonie wilgotniały, pot wydzielał się intensywniej, drobne włoski na całym ciele podnosiły się. Nie znosiła tego uczucia i starała się z nim walczyć przy każdej nadarzającej się okazji.

– Ty się możesz wybierać, gdzie chcesz, on nie wybiera się nigdzie. – Siostra przełożona wskazała na Marcina, a welon delikatnie zsunął jej się na czoło.

Siostra Józefina była trochę zdenerwowana, nie na tyle jednak, by wziąć sobie do serca słowa Ani o tym, że nie łączyła ich zażyłość upoważniająca ją do mówienia dziewczynie na „ty“.

– Chodź . – Ania spojrzała na Marcina.

Podniosła torbę z podłogi, Marcinowi gestem wskazała plecak. Brat był jednak wystraszony bardziej od niej, bo życie w tym miejscu nasączało człowieka lękiem po wrąb i dopiero póź niej, z upływem czasu, strach powoli opuszczał ciało. Powoli, acz nigdy do końca. Ania była tego doskonałym przykładem. Teraz ruszyła jednak zdecydowanym krokiem w stronę drzwi i stanęła przed tarasującą przejście przełożoną.

– Mogę? – Spojrzała jej prosto w oczy.

Ważyla jakieś dwa i pół raza mniej od niej, ale miała jedną nieznaczną przewagę. Była wyższa o pół głowy. Przełożona zawahała się przez moment. Może gdyby w tym momencie nie uległa, plan by się nie powiódł. Ale w spojrzeniu Ani było coś tak bezwzględne, że prawdopodobnie po raz pierwszy, odkąd sama opuściła przed pięćdziesięcioma laty szkołę sióstr nazaretanek, przestraszyła się na mgnienie oka i ją przepuściła. Marcin był szybki i sekundę później, wykorzystując chwilowy bezwład ciała i umysłu przełożonej, wymknął się na korytarz za siostrą.

Chwilę szli, mijając otwarte drzwi pokoi, z których powoli zaczynały wyzierać twarze innych dzieciaków. Przełożona pokonała już swoją niemoc i teraz szła za nimi, krzycząc, że nie pozwoli, że mają się zatrzymać i że to nie jest klub nocny, tylko sierociniec i miejsce religijnego skupienia. Co miało do tego wszystkiego religijne skupienie, ciężko było im zrozumieć, bo jeśli ktoś w ogóle je zakłócał, to właśnie ona.

– Siostró Jadwigo, proszę zamknąć i nie wypuszczać! – wykrzyczała w końcu, kiedy zbliżali się już do schodków prowadzących w dół i do drzwi wyjściowych.

Stanęli, siostra przełożona doczłapała do nich po chwili, a zasapana zakonnica z jadalni dreptała tuż za nią.

– Ty nie tylko możesz... ale masz stąd wyjść, natychmiast! On wyjdzie po dniu swoich osiemnastych urodzin, jeśli oczywiście będzie chciał – zakomunikowała.

Ania, starając się za wszelką cenę zachować pozory spokoju, choć tak naprawdę w środku cała była rozedrgana, odstawiła torbę Marcina na ziemię i sięgnęła do torebki. Szminka, prezerwatywy, klucze, portfel, karty, pudermczka, monety, wisiołek, koperta. Wszystko to po kolei wylądowało na stojącym przy drzwiach stoliku z ułożonymi równiutko książkami do nabożeństwa. Ania otworzyła kopertę, wyjęła dokument, rozłożyła go i, trzymając w wyciągniętej ręce, podsunęła tuż przed oczy siostry Józefy.

– Już miał osiemnaste urodziny, wczoraj i... – spojrzała na Marcina – ...wydaje mi się, że chce wyjść.

Marcin pokiwał głową.

Przełożona chciała wziąć dokument do ręki, ale Ania była szybsza.

– Wedle naszych informacji z urzędu on kończy osiemnaście lat za trzy miesiące – odezwała się po chwili siostra. – To jest falsyfikat, wzywam policję.

– Nie będzie takiej potrzeby – rozległ się młody, może nawet nieco wyższy od głosu siostry przełożonej, a mimo to zdecydowanie męski głos dochodzący gdzieś z dołu, od strony wejścia.

– Ja zdecyduję, jaka jest potrzeba! – Siostra, choć nie miała pojęcia, kim jest właściciel głosu, była już tak wściekła, że nawet nie przyszło jej do głowy się nad tym zastanowić.

– Nie, to ja zdecyduję. – Mężczyzna doszedł już do nich i wyciągnął spod kurtki policyjną blachę. – Aspirant Adrian Nowaczyk.

Sytuacja na moment spauzowała, blokując przy tym siostrę Józefinę, która choć bardzo chciała się odnaleźć w nowo zaistniałych okolicznościach, to najwyraźniej nie była w stanie, więc chwilowo tylko sapała, zbierając myśli.

– Jak mogę pomóc? – wybrzmiał ponownie głos policjanta.

Tymczasem z tyłu doszłusował do niego drugi, trochę starszy i zdecydowanie mniej zainteresowany sytuacją. Młody policjant zerknął na Anię, która uśmiechnęła się delikatnie pod nosem i pokazała mu papier, zakwestionowany przed momentem przez siostrę Józefinę.

– Przyszłam odebrać brata, który właśnie dzisiaj skończył osiemnaście lat, więc nie ma już obowiązku pozostawania w tym... – Ania rozejrzała się wokoło.

Przez moment nie wiedziała, co powiedzieć, jakimi słowami określić to miejsce. Chciała użyć czegoś dosadnego, czegoś, co dałoby upust jej niechęci do tych ścian i ludzi, którzy podpierali je swoim wątpliwym autorytetem. Chciała, ale się zmytygowała – to nie był dobry moment na taki wybryk.

– ...w tym miejscu – dokończyła neutralnie.

Policjant wziął od niej dokument, przyjrzał się datom, pieczęciom, znaczkom

skarbowym. Nie był aktorem, a jedynie policjantem, do tego dość młodym, więc odegranie roli pod tytułem „nie znam tego dokumentu“ wyszło mu umiarkowanie dobrze, ale siostra Józefina nie była przecież od tego, by weryfikować zdolności aktorskie policjantów.

– Wszystko się zgadza. Czyli w czym problem? – Aspirant Nowaczyk spojrzął na przełożoną.

– Moim zdaniem to falsyfikat – powiedziała siostra Józefa, ale w jej głosie nie było już nic z wcześniejszej stanowczości.

Marcinowi wydało się nawet, że przez to stała się na moment bardziej ludzka.

Aspirant raz jeszcze obejrzał dokument z tą samą słabo zagraną intensywną ciekawością co poprzednio, po czym pokręcił głowę.

– Nic na to nie wskazuje – powiedział i po chwili dodał: – Może siostra oczywiście zgłosić podejrzenie o możliwości popełnienia przestępstwa, wezwiemy wtedy siostrę na komendę, przesłuchamy, spiszemy zeznania. Tyle że pani...? – Spojrzął pytająco na Anię.

– Anna... Anna Piotrowska. – Ania ledwie powstrzymała uśmiech.

– ...pani Piotrowska może wnieść sprawę o pomówienie – dokończył policjant.

– Nie, dziękuję. – Siostra popatrzyła na nich niezbyt sympatycznie, po czym odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę, z której przed chwilą przyszli.

To tam, gdzieś mniej więcej w połowie korytarza, między pokojami sierot, mieścił się jej gabinet, do którego nikt nie chciał trafić. Nie była dobrą osobą, ale nie była też osobą głupią, bez trudu więc zorientowała się, że całe to zdarzenie zostało wyreżyserowane. Jednocześnie miała świadomość, że kluczowy w tej sytuacji element, czyli policyjna blacha, nie jest rekwizytem – niestety dla niej odznaka była autentyczna.

Siostra Marta, ta, która nadzorowała wcześniej jadalnię i w swej nadgorliwości poinformowała przełożoną o zaistniałej sytuacji, trwała jeszcze chwilę w bezruchu i bezrefleksyjnie przyglądała się temu, co wydarzyło się potem, czyli opuszczeniu budynku przez policjantów, Anię i Marcina. Nie poszła za przełożoną głównie dlatego, że obawiała się, iż ta, chcąc odreagować na kimś swoją chwilową porażkę, a nie mając nikogo innego pod ręką, swą wściekłość wyładuje właśnie na niej. Tak pewnie by się stało, więc siostra Marta zachowała się czujnie i rozsądnie. Nauczyły ją tego lata przebywania w tym miejscu, z którego nie było dla niej ucieczki.

– Dziękuję. – Ania uśmiechnęła się już teraz bez oporów do przystojnego i dobrze zbudowanego aspiranta Adriana Nowaczyka.

– Drobiazg. – On też się uśmiechnął.

Następnie podszedł do niej znacznie bliżej, niż określały to książkowe normy poprawnych zachowań w policyjnym *savoir-vivre*.

– Widzimy się? – zapytał, ustami dotykając prawie jej ucha.

– Widzimy się. – Skinęła głową, odsuwając się lekko.

Nie chodziło nawet o niego ani o to, że jego zbliżenie się sprawiło jej jakiś

szczególny dyskomfort. Była przyzwyczajona do przysuwających się do niej mężczyzn, na dodatek często zdarzało się, że niektórzy z nich nie byli ani młodzi, ani przystojni, ani dobrze zbudowani – a Nowaczyk przynajmniej ten zestaw cech posiadał. Odsunęła się, bo czuła na sobie wzrok Marcina, a to czyniło dla niej tę sytuację zbyt trudną.

– Zadzwoń – dodała jednak po chwili z uśmiechem, przykrywając nim wcześniejszy gest.

Nie chciała go do siebie zrazić. Był przydatny, a z czasem mógł się okazać wręcz potrzebny, do tego był przystojny i dobrze zbudowany, więc jego bliskość absolutnie nie była czymś, czego na siłę chciałyby unikać.

– Dobrze – odpowiedział.

Nie wyglądał przy tym na urażonego, a jego szybkie spojrzenie w stronę stojącego kilka kroków od nich Marcina świadczyło o tym, że doskonale odczytał całą sytuację. Był więc do tego inteligentny, spostrzegawczy, a może nawet empatyczny, co w dzisiejszych czasach wybujałego ego stanowiło już naprawdę rzadkość godną muzealnego eksponatu.

Policjanci ruszyli do zaparkowanej nieopodal służbowej kii. Marcin tymczasem popatrzył wymownie na Anię. On też był inteligentny i spostrzegawczy oraz w tej akurat sprawie mało empatyczny.

– Narzeczony? – zapytał z sarkazmem.

– Ziom – odpowiedziała.

– Z pracy? – docisnął.

Ona spojrzała na niego mało sympatycznie.

– Odpieprz się – ucięła. – Jak ci się nie podobają moi ziomkowie, to wracaj do tej zdziiry, tam się pomodlisz i będzie cacy.

– Podobają mi się twoi ziomkowie, nie podoba mi się twoja praca – odpowiedział polubownie. – Co dalej?

Ania wskazała głową na swoje błękitne bmw stojące pod drzewami.

– Myślałem, że to proboszcza – zaśmiał się.

– Nie, to prostytutki – odpowiedziała, tez ze śmiechem.

Do nowo wybudowanego budynku na Żoliborzu, przypominającego ustawione jeden na drugim przeszklone klocki, bardzo designerskiego i trochę niepraktycznego, wprowadziła się zaledwie dwa tygodnie temu. Wcześniej mieszkała na równie eleganckim, ale trochę starszym, osiedlu na Madalińskim.

– No co ty? – Marcin zareagował chwilę po tym, jak weszli do mieszkania i Ania zapaliła światło. – Dubaj?

– Nie, ulica Potocka – odpowiedziała.

– Czemu tu, a nie tam, gdzie wcześniej? – Marcin rozglądał się po wnętrzu białym jak śnieg i wypełnionym światłem jak abażur.

Kontrast między mrocznymi korytarzami i kłitkami o brązowych ścianach w sierocińcu, z którego właśnie przyjechali, a tym miejscem był tak duży, że czuł się trochę, jakby śnił.

– Bo tam było dość miejsca dla jednej osoby, a tu musi być dla dwóch, bo miałem ciemno, a ja chciałam, żebyś teraz miał jasno. – Uśmiechnęła się.

– A to mieszkanie służbowe jest? – Marcin był bezlitosny.

– Nie, biuro mam gdzie indziej – odpowiedziała niezrażona.

– Stać nas? – Marcin usiadł na kanapie wyłożonej białym zamszem lub może welurem, ale tego nie był pewien i nawet nie chciał o mu się nad tym zastanawiać.

– Stać mnie. – Ania podkreśliła to drugie słowo, po czym podeszła do ekspresu do kawy i kontynuowała: – Nie płacę za to pieniędzmi po rodzicach. Zresztą, na razie w ogóle ich nie mam. Żeby je dostać, musimy z wujkiem skończyć sprawę spadkową, wtedy je nam przekaże, ale nie ma pośpiechu.

Usiedli przy stoliku z kawą, którą zrobiła dla nich obojga.

– Szykuj się – odezwała się w końcu Ania.

– Na co? – zapytał.

– Na dalszy ciąg życia, teraz już normalnego. – Uśmiechnęła się, po czym dodała:

– Idziemy poszaleć, jak Pan Bóg przykazał.

– Coś ci jednak zostało po siostrach. – Popatrzył na nią, po raz pierwszy trochę rozluźniony.

– Coś zostanie na zawsze. Idziemy szaleć, ale bez żadnych dragów. – Ania spojrzała czujnie na brata, a on umknął wzrokiem.

Prawda była taka, że Ania przyszła po niego właśnie teraz, ryzykując być może nawet więzieniem, gdyby wyszło na jaw, że akt urodzenia był podrobiony, głównie z tego powodu, iż dowiedziała się od jego kolegów z bidula, że Marcin zaczął brać coraz więcej narkotyków. Siostry jeszcze sobie z nim jakoś radziły, za branie trafiał do izolatki, ale takie metody nie na wiele się zdawały. Narkotyki, szczególnie te nowe, dziwne, których nikt nie potrafił niekiedy nawet nazwać ani im przeciwdziałać, niszczyły młodych ludzi jeszcze szybciej niż tradycyjne, na przykład

takie jak te, które ona sama sprzedawała przed laty. Izolatka, owszem, działa, ale tylko doraźnie. Na dłuższą metę, jeśli chce się człowieka wyrwać z takiej sytuacji na stałe, potrzeba czegoś więcej. Na przykład nadać sens i kierunek jego życiu. Ania miała pomysł na to, co mogłoby oderwać Marcina od brania – tym czymś była właśnie próba rozwiązania sprawy, która wepchnęła ich w to, w czym tkwili od lat, a pośrednio jego wepchnęła właśnie w branie. Tą sprawą było zabójstwo ich rodziców.

Marcin brał prysznic bardzo długo. W domu dziecka kąpali się co trzeci dzień, zawsze w grupach, we wspólnej łazience. Zanim udawało mu się porządnie namydlić, już przychodził ktoś następny i joyczył mu nad głową.

– Długo jeszcze? – Usłyszał głos Ani zza drzwi. – Jak to możliwe, żeby chłopak spędzał tyle czasu w łazience?

* **

Wspomnienie. Jest mały, wszystko dzieje się wysoko nad jego głową, wysoko sięgają kafelki nad wanną i suszarka do bielizny przymocowana do sufitu, na niej wysoko ręczniki, jakieś koszulki. W wannie pośród ogromnych fal z piany pływają statki, jeden napędzany śrubą, może na baterie. Gdzieś w tle dudni pralka, pewnie wiruje. Słyszy pukanie do drzwi.

– Ile jeszcze zamierzasz tam siedzieć? – Głos mamy jest miękki. Chyba się uśmiecha, choć to, co mówi, może wydawać się ponagleniem.

Drzwi się otwierają. Widzi ją i jej długie, platynowe włosy. Rzeczywiście się uśmiecha. On nie ma problemu z pamiętaniem jej twarzy, dużych, mięsistych i lekko spierzchniętych ust, delikatnie podmalowanych piwnych oczu i naturalnej bieli jej pięknych zębów.

– Jak to możliwe, żeby chłopak spędzał tyle czasu w łazience? – pyta.

* * *

– Zaraz idę – odpowiedział Marcin, ale już nie wtedy, a teraz i już nie jej, tylko siostrze, której kontur widział w dymionym szkle łazienkowych drzwi.

Życie, o którym mówiła Ania, okazało się po prostu dobrze osadzonym, wielogodzinnym maratonem melanżu. Najpierw pojechali do kina, ale już tam Ania wyposażyła ich w butelkę dwujajecznego ajerkoniaku. Czemu akurat ajerkoniaku? Nie miał pojęcia, może z czymś jej się kojarzył. Jemu w każdym razie kino znów skojarzyło się z wyjściami z rodzicami, z ojcem, który zabierał ich na Harry'ego Pottera chyba głównie po to, żeby mamie dać chwilę wytchnienia. No ale były też czasem wyjścia w komplecie – takie lubił najbardziej. Wtedy tata zajmował się

bardziej Anią, a on miał mamę na wyłączność. Obrazy z teraz mieszały się z obrazami z wtedy, tym bardziej, że pewnie z rozmysłem, choć nie rozmawiali o tym, Ania zabrała ich do kina Atlantic, a właśnie tam chodzili najczęściej. Jej też wszystko musiało się kojarzyć, widział to po niej, kiedy co chwilę odpływała gdzieś poza granice teraźniejszości. Dlaczego im to robiła, dlaczego robiła to sobie? Może dlatego, iż wiedziała, że i tak nie da się tego zgubić; on też to wiedział. Może więc lepiej się z tym zderzyć, skonfrontować, rozbić się o to i potem pozbierać się już z kawałków. Tylko kiedy będzie potem?

Później trafili do ekskluzywnego baru gdzieś w centrum. Marcin nie wiedział nawet dokładnie, gdzie są, bo choć dom dziecka znajdował się w samym sercu Warszawy, to wychodzili z niego na tyle rzadko, że miasto nie miało jak stać mu się znane. Wcześniej, gdy mieszkał jeszcze z rodzicami, był zbyt mały, by zapamiętać ich wspólne wizyty w mieście. Zostały tylko fragmenty, powidoki, jakieś mgnienia sytuacji.

W barze wszyscy się do nich uśmiechali, a do Ani mówili po imieniu. Domyślił się, że byli w jednej z filii jej „firmy świadczącej usługi“. Nie miał zasadniczo nic przeciwko tego typu usługom jako takim, ale już to, że świadczyła je jego siostra, było mu zdecydowanie nie w smak. Potem był klub na Mazowieckiej, a po drodze mnóstwo alkoholu i nieco popijanych nim tabletek. Miał osiemnaście lat, a tak naprawdę jeszcze nie do końca. Akt urodzenia oczywiście był fałszywy, parę razy wcześniej był już w klubie, u sióstr razem z kolegami brali też niestety często tabsy, ale takiej balangi jak ta, i to pomimo tego, że tym razem melanz nie był podsypyany mocniejszymi dragami, nie przeżył jeszcze na pewno. Znieczulony alkoholem pomyślał, że siostra postanowiła tym jednym wodospadem wrażeń splukać z niego wszystkie lata mroku, smutku i szarugi.

To nie było możliwe, oboje to wiedzieli, ale i tak doceniał jej starania. Było mu dobrze, może po raz pierwszy, odkąd to się wydarzyło.

– Czyli kiedy? – Aspirant Nowaczyk zaskoczył ją w tańcu.

Wiedziała, że na pewno go tu spotka, zawsze przychodził w weekendy, a teraz, kiedy był pewny, że ona na bank przyjdzie tu z bratem, nie mógł odpuścić takiej okazji. Odwróciła się i, nie przestając tańczyć, przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Był przystojny, to ustaliła już zresztą wcześniej, ale teraz dostrzegła, że oprócz tego miał naprawdę myślące oczy. Jaka szkoda, że tak kompletnie nie umiem nic do nikogo poczuć, pomyślała.

– Jutro? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Dobrze. – Uśmiechnął się ze słabo skrywanym entuzjazmem – Tam, gdzie zawsze?

– A gdzie? – zgasiła go od razu.

– Ósma? – dopytał już bez uśmiechu, po czym dodał jeszcze, ale już chyba bardziej dla podtrzymania rozmowy: – Jak brat?

– Dobrze – odpowiedziała oschle. Zreflektowała się po chwili i wskazując na

parkiet bliżej baru, gdzie Marcin tańczył z jakąś dziewczyną, dodała: – Oswaja się.

Potem szli z Marcinem ulicami Warszawy, a rzeczywistość powoli wracała do swoich umownie normalnych ram. Trzeźwili i nie było im z tym zbyt dobrze, więc milczeli, przyglądając się mijanym fasadom i ludzkim twarzom. Przy czym Marcin przyglądał się bardziej. Dla niego to wszystko, całe to miasto, było naprawdę nowe. Chodził oczywiście wcześniej po ulicach Warszawy, aż tak restrykcyjnie u sióstr nie było, ale inaczej patrzy się na świat ze świadomością, że nie jest twój, bo za godzinę musisz go porzucić i wrócić w mroczne korytarze domu dziecka, a inaczej, gdy się wie, że od tej pory będzie już należał do ciebie bezwarunkowo. Wolność. Tak to się zdaje się nazywało. Ania intuicyjnie wiedziała, o czym myśli brat. Przeżywała podobne uczucia, kiedy trzy lata wcześniej wyszła, a właściwie wybiegła, z domu dziecka. Początkowo była to ucieczka. Do wypełnienia wyroku, czyli do legalnego końca pobytu i do momentu otrzymania dowodu pozostawało jej jeszcze wtedy prawie pół roku. Działając na podstawie zgłoszenia siostry Józefiny, czy, jak kto woli, realizując swój ustawowy obowiązek ścigania nieletnich zbiegów, szukała jej nawet policja. To wtedy poznała dzisiejszego aspiranta wydziału dochodzeniowego, a wówczas jeszcze szeregowego funkcjonariusza prewencji, Adriana Nowaczyka. To on ją znalazł, a potem ugiął się pod ogromem jej osobistego uroku i, reagując na błagalne prośby, nie odwiózł jej z powrotem do sierocińca. Później, gdy nadszedł już czas, odwdzięczyła mu się za to, a on wówczas uległ jej urokowi jeszcze bardziej. Ona też wtedy smakowała świat, niczym zakazany owoc, zresztą w jakimś sensie wciąż to robiła, bo daleko jej było do nasycenia.

Ze Śródmieścia do domu na Żoliborzu przyszli pieszo, spalając w ten sposób resztki toksycznie pozyskanej energii. W mieszkaniu rozeszli się do pokoi bez słowa. Ania nie zapalała nawet światła, rozebrała się do koszulki i zaległa na łóżku. Sen był wprawdzie blisko, ale nie na tyle, żeby ją zabrać.

* * *

Wtedy spała. Chyba coś jej się nawet śniło, ale na pewno nie był to koszmar i nie z powodu snu się zbudziła, choć dźwięk zaplótł się w senne marzenie, jak to często bywa, a że był coraz intensywniejszy, to w końcu ją z niego wyrwał. Przez chwilę leżała tak jak teraz, na wznak, próbując osadzić się w jawie i zrozumieć, o co chodzi. Dźwięku już nie było, ale pozostał po nim nieokreślony niepokój. Bardzo rzadko budziła się w nocy, a nawet jeśli się to zdarzało, szła do toalety, potem wracała i sen brał ją z powrotem w swoje łaskawe ramiona. Może raz albo dwa przez całe dzieciństwo zdarzyło jej się w nocy szukać uspokojenia w bliskości rodziców. Wtedy jednak nie poszła szukać uspokojenia, poszła zrozumieć, czemu nie śpi i dlaczego trawi ją lęk.

Na dole w salonie paliło się światło, ale miało inną barwę niż zwykle, coś było z nim nie tak. Kiedy weszła, pewno najpierw zobaczyła jego, ale prawdopodobnie tak bardzo nie chciała patrzeć, że skupiła się w pierwszej kolejności na leżącej na dywanie lampie. To właśnie przez to, że była wywrócona, światło padało inaczej i miało inną barwę. Kiedy jej mózg ustalił już przyczynę niezgodności ze znanym dobrze obrazem pokoju, musiała w końcu spojrzeć w bok i dalej, tam gdzie leżało ciało. Chyba od razu zrozumiała, że to właśnie ciało, że nie leży tam tata, bo taty już tam nie ma, został po nim tylko ślad w postaci pustego worka cielesnej powłoki. Miała zaledwie dziesięć lat, a musiała zrozumieć, tak po prostu i tak od razu, że ojca już nie ma. Kiedy podeszła bliżej, okazało się, że leżał w kałuży krwi, miał zamknięte oczy i twarz tak białą, jakby ktoś odlał ją z gipsu. Chyba kiedyś widziała takie twarze w muzeum, a może na filmie. Białą a twarz w wielkiej czerwonej plamie. Nie, nie próbowała go ratować, ocucić, obudzić. Wyrzucała to sobie potem przez długie lata, nadal to robi: „Gdybym wtedy spróbowała, to na pewno jeszcze bym zdążyła“.

Ojciec miał przecięte obie tętnice szyjne, więc tak naprawdę wykrwawił się w dwie minuty. Długo przed tym, nim zeszła na dół.

Na głowę, na logikę, dziś już wie, że z niczym by nie zdążyła. Tyle że ani głowa, ani logika dorosłości nie są w stanie zapanować nad emocjami, które niesie pamięć dzieciństwa.

* * *

Gdybym wcześniej zeszła. Gdybym się wcześniej obudziła, gdybym dłużej czytała pod kołdrą, gdybym, gdybym, gdybym.

Ania wstała i usiadła na łóżku. Znow bez szans na zaśnięcie. Znow ten sam kołowrót wspomnień. Przychodziły najczęściej właśnie w takich chwilach, po imprezie. Najgorzej zaś było, jeśli zdążyła wytrzeźwieć, zanim poszła spać. Na przyszłość trzeba brać taksówkę albo może jakiś proszek. Nie lubiła proszków. Znajomy, uznany psychiatra, który bywał też czasami płatnym gościem w jej łóżku, już kilka razy przepisywał jej różne specyfiki, czasem na poprawę nastroju, czasem na zapomnienie wspomnień, na pobudzenie, na sen. Nie wykupiła żadnych; wychodziła z założenia, że jeśli raz pójdziesz na skróty, to potem już nigdy nie starczy ci sił na przejście drogi. Założenie w zasadzie słuszne, tyle że droga stawała się coraz bardziej stroma i wyboista, a jej zaczynało brakować sił.

* * *

Matki szukała chwilę dłużej. Znalazła ją w końcu w sypialni, leżącą na wykładzinie obok łóżka. Nie była aż tak blada, nie miała poderżniętego gardła, w ogóle nie było tu krwi. I tylko jej pozycja, koszulka nocna podwinięta wysoko, głowa jakby nienaturalnie odchylna do tyłu, dalej niż to normalnie możliwe, zdradzały, że

zdarzyło się coś strasznego. No i oczy... tak, najgorsze były oczy.

Czy ona na mnie patrzy? Jak może patrzeć, skoro nie oddycha? Jak to możliwe?

– Mamo! Mamo, obudź się! Widzisz mnie, słyszysz?! Mamo!!!

Sine usta, poszarzała cera i ta obcość w dotyku, sztywność skóry, przez którą nie płynie już żadna energia. Co robić?! Co mam zrobić?! Nikt nigdy nie mówił, nie było czegoś takiego, nawet na filmach, co mam teraz zrobić. Zadzwoń. Muszę po kogoś zadzwonić. Telefon.

Mamo!!!

Nagle usłyszała jakiś odgłos za sobą, odwróciła się gwałtownie. W drzwiach stał Marcin, miał na sobie pidżamę w misie. Nigdy nie widziała go wcześniej w tej pidżamie. Misie?

– A ty? Marcin, co ty tu robisz?! Musisz iść do pokoju, musisz się położyć, schować. Gdzie jest telefon?

– Tam. – Mała chłopięca rączka wskazała w stronę stolika w salonie.

* **

Ania teraz z trudem otrząsnęła się ze wspomnienia, wstała z łóżka, wyszła z pokoju i, nie zapalając światła, przeszła do kuchni. Kiedy chciała sięgnąć do barku, w oknie w salonie dostrzegła odbicie sylwetki. Zadrżała mimowolnie.

– Masz coś? – Sylwetka przemówiła głosem Marcina.

– Coś? – zapytała.

– No, coś, żeby się uspać, alkohol jakiś masz...? – doprecyzował.

Monika wyciągnęła to, po co i tak już sięgała, czyli butelkę szkockiej, do tego dwie kryształowe szklanki.

– Lodu? – zapytała, nie patrząc na niego.

– Nie. – Pokręcił głową.

Usiedli przy stole w salonie otwartym na kuchnię. Wciąż nie zapalali światła, nie było takiej potrzeby, łuna latarni oświetlała przedmioty, a swoich twarzy nie potrzebowali widzieć, zresztą nie chcieli na nie patrzeć. Przez kilka minut siedzieli, pijąc w milczeniu, najpierw jeden szot, potem drugi. Pierwszy odezwał się Marcin.

– Co teraz?

Nie odpowiedziała mu od razu, zastanawiała się, czy to już ten moment, czy jedność ich wspomnień wystarczy, żeby zbudować także jedność celu. Po chwili zdecydowała.

– Teraz... Jeśli mamy jeszcze kiedykolwiek normalnie zasnąć, musimy ich znaleźć...

– ...i ukarać – dopowiedział po chwili, kiwając głową. – Musimy ich znaleźć i ukarać.

Ania odetchnęła z ulgą, po czym dalej siedzieli w milczeniu, popijając małymi łykami.

Wtedy też siedzieli we dwójkę w milczeniu, tyle że na tylnym siedzeniu cywilnego, policyjnego forda mondeo. Marcin cicho popłakiwał, Ania głaskała go po głowie. Jak szybko starsza siostra może się przeistoczyć w matkę?

Z przodu, na podszybiu, trochę nie wiadomo już po co, miarowo obracał się kogut, rzucając co chwilę niebieskie poblaski na ich smutne, zastygnięte w apatycznym grymasie twarze. Kogut wydawał przy tym charakterystyczny dźwięk, ni to skrzypienia, ni to zawodzenia. Nie wiadomo po co w ogóle się obracał, bo auto od dobrej godziny stało zaparkowane pod ich domem, był środek nocy, a na uliczce osiedla luksusowych domów jednorodzinnych w Konstancinie nie było żadnego ruchu. Na zewnątrz kilku policjantów w cywilu rozmawiało w strugach deszczu. W końcu jeden z nich oderwał się od grupy i podszedł do mondeo. Przez chwilę dopalał jeszcze papierosa, którego osłaniał połą skórzanej kurtki, w końcu wsiadł do przodu na miejsce pasażera i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Nie zimno wam? – zapytał, zupełnie nie wiedząc, od czego zacząć.

Wtulone w siebie nawzajem dzieci, wbite w tylne siedzenie samochodu, pokręciły głowami.

– Będzie dobrze – powiedział. Po czym powtórzył prawie to samo, może żeby nadać większą wagę swoim słowom, a na pewno po to, żeby zyskać na czasie: – Wszystko będzie dobrze.

Przez chwilę panowało milczenie przerywane tylko miarowym skrzypieniem zawodzącego koguta.

– Jesteście głodni? – zagał mężczyzna.

Ania pokręciła głową.

– Zawiadomiliśmy waszą ciocię, zaraz przyjedzie. – Policjant skinął, jakby samemu sobie potwierdzając to, co powiedział, po czym dodał nie wiadomo po co: – Właśnie przyleciała ze Stanów, na lotnisku ją złapaliśmy.

– To dobrze – odezwała się dziesięcioletnia Ania, która nagle poczuła się odpowiedzialna za poprowadzenie rozmowy.

– Chcecie coś, cokolwiek: herbatę, czekoladę, loda, kebaba, no nie wiem? – Policjant się ożywił. Najwyraźniej bardzo chciał pomóc, ale kompletnie nie miał pojęcia, jak to zrobić. Sytuacja tej dwójki dzieci, które właśnie zostały sierotami, i co gorsza doskonale o tym wiedziały, bo przed chwilą widziały swoich martwych rodziców, zupełnie go przerastała. Jeszcze bardziej zresztą przerastała jego kolegów, wciąż moknących na dworze, dlatego to właśnie on został wysłany na tę straszną misję.

Policjant otworzył drzwi.

– Gdzie jest ten cholerny psycholog! – krzyknął w stronę pozostałych.

Ktoś mu coś odpowiedział, ale słowa zagłuszył deszcz, więc siedzące w głębi

samochodu dzieci niczego nie usłyszały.

– Batona – powiedział cicho Marcin.

– Słucham? – Policjant odwrócił się do chłopca i zareagował z takim entuzjazmem, jakby ktoś mu właśnie powiedział, że rodzice dzieciaków jednak żyją i wszystko było tylko jakimś cholernie złym snem z deszczem w tle.

– Chciałbym batona – powtórzył chłopiec.

– Jasne, jakiego, zaraz ktoś przywiezie, jakiego chciałbyś batonika? – Policjant wpatrywał się w małą twarzyczkę na tylnym siedzeniu.

– Czekoladowego, wafelka, takiego, jak mama mi kupuje.

W tle, gdzieś pomiędzy kroplami spływającego po szybach deszczu, pojawiły się światła samochodu i kolejny błyskający kogut. Policjant znów się ożywił. Po chwili z samochodu, który nadjechał, wysiedli kobieta i dwóch policjantów. Ktoś z grupki moknących wskazał im mondeo. Kobieta ruszyła prosto do nich.

Białe drzwi z miedzianą kołatką otworzyły się, ukazując uśmiechniętą twarz na oko sześćdziesięcioletniej smukłej i zadbanej kobiety o blond włosach.

– No nareszcie! – Wyglądała na szczerze ucieszoną. – Jak dobrze was widzieć razem. Wchodźcie.

– Cześć, ciociu. – Marcin wyciągnął rękę; w dłoni huśtała się podłużna torebka na kolorowych sznurkach. – Taki drobiazg.

Ciocia, Beata Romer, odebrała podarunek, ale nie zajrzała nawet do środka, bardziej interesowali ją młodzi.

Weszli.

– Świetnie wyglądacie. – Ciocia zerknęła to na nią, to na niego. – Ty mógłbyś złapać parę kilo, zaraz się tym zajmiemy, ale Ania jest naprawdę w perfekcyjnej formie. No chodźcie tu do mnie, niech was wyściskam.

Wyściskali się z pięknie pachnącą ciotką, a potem przeszli do równie pięknie pachnącego wnętrza, umeblowanego antykami do tego stopnia, że gdyby nie telewizor i jeszcze kilka innych nowoczesnych gadżetów, mogłoby spokojnie stanowić scenografię jakiegoś filmu kostiumowego z *fin de siècle*. Wszędzie stały bibeloty, porcelana, jakiejś zdobione szkatułki, karafki, na ścianach wisiały portrety szacownych panów we frakach i nieprzystępnych dam w krynolinach.

Obiad był adekwatny do dekoracji. Pieczone, do tego gęste sosy i mizeria, poprzedzone zupą z borowików, potem deser z szarlotki z gęstą bitą śmietaną. Wszystko oczywiście samodzielnie przygotowane przez gospodynię. Merlot, który przynieśli, doskonale ułożył się z posiłkiem, zresztą wiedzieli, że się ułoży. Wykłady o winie i innych niezwykle ważkich sprawach prowadził dla nich wujek, kiedy tylko przywoził ich z domu dziecka na weekendowe odwiedziny. Zawsze ich to zresztą

mocno wnerwiało, ale co było robić, taki był i już.

– Czyli co planujecie teraz? – zapytał wujek Zygmunt, kiedy już usiedli na kanapie i fotelach w stylu Ludwika XIV, a ciocia przyniosła kawę w eleganckim dzbanku.

– Co planujemy? – Ania popatrzyła na brata. – Zacząć normalne życie... chyba.

– Studia? – zainteresowała się ciocia Beata.

– Może. – Marcin pokiwał głową. – Ale najpierw musimy się trochę ogarnąć.

– Co masz na myśli? – Wujek skończył nabijanie fajki i właśnie ją zapalił, więc pytaniu towarzyszył wypust potężnego kłębu dymu. – „Ogarnąć się“ to takie określenie wytrych w tej waszej nowej nomenklaturze.

– Ogarnąć się, czyli stanąć na nogach, oswoić się z życiem – wyjaśniła lekko zirytowana jego zasadniczością ciocia. – On właśnie wyszedł z domu dziecka, musi oswoić życie. Mam rację? – Spojrzała na młodych.

– Tak, wydaje mi się, że dobrze ciocia to ujęła. – Marcin uśmiechnął się z wdzięcznością.

Z nich dwojga od zawsze, a w każdym razie od tamtej nocy, kiedy zjawiała się pod ich domem, z nią było mu bliżej. Nie tylko jemu zresztą, Ania też czuła się bardziej kochana przez ciotkę. Wuj Zygmunt też nie był złym człowiekiem, ale odkąd sięgała pamięcią, absolutnym priorytetem była dla niego kariera. Nigdy nie zaszedł tak wysoko, jak sobie wyobrażał, że powinien – szczytem jego osiągnięć jak dotąd była pozycja attache kulturalnego w polskiej ambasadzie w Stanach, ale wciąż meandrował w układach Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To właśnie prawdopodobnie ów brak wyczekiwanego sukcesu czynił go człowiekiem zgorzkniałym, zasadniczym i pozbawionym dystansu. Może zresztą było na odwrót i to właśnie owa pryncypialność spowodowała, że nie udało mu się nigdy przebić szklanego sufitu w dyplomacji? Ostatecznie nie miało to już teraz znaczenia.

– Pewnie będziecie chcieli odebrać spadek. – Głos wujka znów dobiegł gdzieś spoza kłębow fajczanego dymu.

Nie widzieli jego twarzy, ale znając wujka, mogli spokojnie założyć, że w tym akurat momencie najprawdopodobniej się uśmiechał, a cała jego zasadniczość i zgorzknienie zniknęły.

– Nie pali się, ale za jakiś czas pewnie tak – odpowiedziała Ania.

– Zorganizuję to jak najszybciej, tam jest sporo więcej, niż zostawili rodzice, bo umieściłem te pieniądze w różnych bezpiecznych funduszach inwestycyjnych i mamy ładne zwroty. – Wujek uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony z siebie, ale po chwili zmiarkował i dodał: – Ale nie tknąłem z tego ani złotówki, potwierdź, Beatko.

– Nie tknął ani złotówki, zresztą nawet jakby go kusiło, to... – Beata pogroziła mężowi palcem.

– Wiemy, że nie tknąłeś, wujku. – Ania pokiwała głową.

– Ogólnie starałem się o was troszczyć, musicie przyznać. – Zygmunt dalej rozplątywał się w samozadowoleniu.

Po tych słowach zapadło milczenie.

– No z tym to akurat może bez przesady; gdybyś chciał się zatroszczyć, to mogliśmy w ogóle nie trafić do tego dziwnego miejsca. – Ania nie wytrzymała

napięcia.

– No tak, wiem... Ale z drugiej strony... my ciągle w rozjazdach... ambasada tu, ambasada tam, nie było jak... – Zygmunt trochę się zapowietrzył.

– Może już z tym nie przesadzaj. – Tym razem żona nie przysłała mu w sukurs. – Wszystko dałoby się zrobić, poza tym zawsze są priorytety, namawiałam cię wtedy i co...?

– Tak, wiem, mogło być inaczej, powinno być inaczej. – Wuj poddał się łatwo, zbyt łatwo, by było to przekonujące.

Zawsze tak robił, dla świętego spokoju przyznawał rację, ale w głębi duszy wiedział swoje albo, co gorsza, w ogóle się tym nie zajmował. Dyplomatyczne nawyki. Z Beatą nie mieli dzieci, nie dlatego, że było to niemożliwe, tylko dlatego, że Zygmunt był zbyt skupiony na sobie i swojej pracy, żeby móc obdzielać atencją innych. Przy czym chodziło nie tylko o skupienie się na samym sobie i swoich sprawach, ale też o uwagę żony – opiekunki, którą obawiał się stracić, a bez której nie byłby w stanie nawet zawiązać butów. Taki właśnie był wuj Zygmunt. Miał też swoje zalety, potrafił pomnożyć ich spadek, zadbał o ich przyszłość – przynajmniej w sensie finansowym, choć nie tylko.

– Wciąż mam dobre układy na stosunkach międzynarodowych. Ania nie chciała, ale może ty, Marcin? Jesteś przystojny, masz ogładę, dyscyplinę, idealny kandydat do dyplomacji – zachęcał teraz, przy okazji zmieniając niewygodny dla siebie temat.

– Może później, wujku, na razie chcę się trochę rozejrzeć, poza tym mamy z Anią swoje plany. – Marcin uciął wątek.

Jadąc tu, uzgodnili, że to, czym chcą się zająć, pozostaje na razie wyłącznie między nimi, a już na pewno nie powinien się o tym dowiedzieć wujek – legalista, uważający wszelkie działania prowadzone bez odpowiednich uprawnień za nadużycie, które powinno być karane.

– Plany? Jakie plany? – Zygmuntowi niestety rzadko cokolwiek umykało, co było cechą akurat dość przydatną w dyplomacji.

– Na razie nie chcemy o tym mówić. – Ania rzuciła się ratować sytuację. – Żeby nie zapeszyć.

– Oj, coś kombinujecie. – Zygmunt zareagował z typową dla siebie jowialnością, spod której wзираł skrywany niepokój. – Mam tylko nadzieję, że to nie jest nic niezgodnego z prawem.

– Absolutnie nie. – Ania się uśmiechnęła. – Jak coś się ruszy, od razu damy znać.

– No dobrze, umówię nas do notariusza na przyszły tydzień, tam dopełnimy wszystkich formalności i przejmiecie konto, ale już teraz mogę wam dać klucze do domu. – Wujek również się uśmiechnął.

– Zygmunt... – skarciła go żona.

Beata, jako osoba znacznie bardziej empatyczna, uznała, że wizyta w domu, w którym doszło do tragicznych i traumatycznych dla nich wydarzeń, powinna się odbyć może za jakiś czas, najlepiej w towarzystwie ich obojga.

– Nie, w porządku, ciociu, byliśmy już tam raz z wujkiem, damy radę – uspokoiła ją Ania.

– No właśnie. – Zygmunt pokiwał głową z zadowoleniem.

Owszem, byli tu już wcześniej z wujem Zygmuntem, nawet nie raz, a kilka razy, ale ciocia Beata miała jednak rację: każda wizyta w domu wiązała się dla nich obojga z ogromnym przeżyciem. Tyle że tym razem to przeżycie było może nawet potrzebne, to te emocje stanowiły bowiem główny napęd do realizowania tego, co sobie postanowili. Pokonać wspomnienia, przepracować traumę – taki był główny cel tego wszystkiego, a więc również ich obecnej wizyty tutaj.

Po wejściu do budynku od razu rzucał się w oczy porządek, dowód pedantyczności wujka. Wszystkie meble osłonięte były folią albo tkaninami, co może i było praktyczne, ale stwarzało dosyć upiorne wrażenie. Krzesła i regały zamienione zostały jakby we własne zjawy, a dla nich, którzy widzieli ciała swoich rodziców przykryte folią, taka sceneria rodziła jeszcze znacznie gorsze skojarzenie. Obrazy na ścianach też obleczone zostały folią malarską, z tą różnicą, że do ich zabezpieczenia wujek użył przeźroczystej i najcieńszej dostępnej folii. Może zdecydowały względy ekonomiczne – cieńsza folia była tańsza, a może wynikało to z jakiegoś pokrętnego przekonania wuja o tym, że obrazy, choć przykryte, to w jakimś stopniu nadal powinny pozostawać widoczne. Dom, prawdopodobnie sprzątny przez te lata parokrotnie, i tak pokryty był dodatkowo w całości cienkim filmem kurzu. W salonie, w miejscu, w którym Ania znalazła ciało ojca, nie było folii, podłoga została wymyta i tylko w jednym miejscu na ścianie wciąż widoczne były ciemne ślady. Dla kogoś niezaznajomionego z sytuacją były to po prostu kropki, może e po wylanym winie, ale dla niej były to ślady po nim, może ostatnie w jakimś sensie cielesne ślady egzystencji rodziców.

Anię przeszedł dreszcz tak silny, że musiała na chwilę przysiąść na materiale przykrywającym sofę. Marcin najpierw chodził w milczeniu po salonie, po chwili ruszył po schodach na górę i zniknął gdzieś w labiryncie korytarzy.

On też krążył po labiryncie własnego koszmaru. Był tu wprawdzie z wujkiem i Anią kilka lat temu, ale pamiętał to bardzo słabo. Może wtedy starał się jakoś odizolować, nie doświadczyć tego wnętrza i przez to w głowie nie pozostał mu po tej wizycie właściwie żaden ślad.

– Co robisz? – Ania, zanim się odezwała, stała w drzwiach do jego pokoju i przyglądała się dobrą chwilę.

– Szukam Furby’ego – odpowiedział, nawet się do niej nie odwracając.

– Fur... czego?

– No Furby’ego, takiej maskotki, którą trzeba się było zajmować, nie pamiętasz? – Spojrzał na nią, jakby z lekkim wyrzutem. – Miałem ją wtedy...

– Osiemnastoletni koń szuka gadającej maskotki? Chodź, pogrzebiemy w papierach, trzeba od czegoś zacząć. – Uśmiechnęła się. – Furby’ego kupię ci na Allegro.

- Tamtego, dokładnie takiego samego? – On też się uśmiechnął.
- Jasne. – Parsknęła szczerym śmiechem.

Najpierw przeszukali biuro ojca. Pożółkłe kartki dokumentów w szufladach biurka, wyblakłe faktury, kosztorysy, załączniki, opisy, umowy, mnóstwo rzeczy, tylko że żadna z nich nie wносиła niczego istotnego do historii. Zresztą i tak na razie nie mieli do niej żadnego klucza, gdyby więc nawet znaleźli cokolwiek podejrzanego, to i tak nie wiedzieliby, co mają w rękę. Szukali chyba bardziej po to, żeby znów dotykać wspomnień, niż żeby coś znaleźć.

- Ale czego my właściwie szukamy? – Marcin zreflektował się pierwszy.
- Nie wiem, czegoś innego? – Ania wzruszyła ramionami.
- Chyba nie od tego powinniśmy zacząć. – Marcin zamknął szufladę.
- A od czego? – zapytała.
- Od tego, co już ustaliła policja – zasugerował. – Po co mamy robić jeszcze raz tę samą robotę, może oni do czegoś doszli...
- Jakby doszli, to nie musielibyśmy już tego robić, bo ktoś siedziałby w więzieniu
- odpowiedziała zirytowana.
- Róż nie z tym jest, czasem coś się pojawia, a oni nie zwracają na to uwagi, coś przeoczą, nie wiem – próbował wyjaśnić.

Przez chwilę rozglądali się po pokoju: półki przykryte folią, zza której przeświecały, jak zza zaparowanej szyby, książki i kolorowe skoroszyty.

- Może coś pamiętamy? – podsunęła po chwili Ania.
- Wszystko pamiętamy – odpowiedział. – I to są te ciężary.
- Ale może w tym wszystkim jest coś ważnego, czego do tej pory nie skumaliśmy?
- Ania spojrzała na brata.
- A teraz jak mamy to skumać? – odpowiedział trzeźwo na pytanie.
- Teraz szukamy zabójców. – Ania znów zerknęła na niego, upewniając się, czy aby na pewno realizują tę samą agendę, są na tej samej stronie. Dopiero kiedy pokiwał głową, kontynuowała: – No więc możemy spojrzeć na to inaczej.

Przez chwilę Ania zastanawiała się nad tym, co w całej tej szczegółowości ich wspomnień z owej nocy mogło mieć jeszcze inną wymowę od tej, którą odczytali wtedy i którą mieli zapisaną jako pamięć interpretacji zdarzeń.

- Nie krzyczeli – zasugerowała w końcu po chwili. – Gdyby krzyczeli, wcześniej byśmy się obudzili.
- Może właśnie dlatego nie krzyczeli – odpowiedział. – Nie chcieli, żebyśmy się obudzili, chronili nas.

Ania pokiwała głową, zgadzając się z możliwością takiej interpretacji, ale nie była do końca przekonana.

- Mógł też mieć broń. – Marcin dołożył kolejną hipotezę.
- Skąd wiesz, że to był on?
- Nie mam pojęcia, ale kobieta raczej miałaby problem z powaleniem ojca, to był kawał chłopca.

– Ojciec miał podcięte gardło, umarł z powodu utraty krwi, tylko mamę musiał albo musiała powalić.

– Jakoś nie widzę babki, która robi coś takiego. Za brutalne, za potworne, za krwawe. – Pokręcił głową.

– Ojciec krzyknął tylko raz, usłyszałam to zaraz po tym, jak się obudziłam, a może to właśnie to mnie obudziło, to było coś jakby: „Co robisz?” albo: „Co ty robisz?”. Czyli? Ktoś, kogo znał? – zasugerowała.

– Nie sądzę. Jak ktoś walił do niego z nożem, to co miał do niego gadać? „Co pan robi?” – Marcin wzruszył ramionami, po czym dodał: – Wydaje mi się, że już wcześniej, zanim... oni byli dziwni, szczególnie mama, jakby już coś się działo.

– Milczeli? – upewniła się Ania.

– Tak, to też, mama nie przychodziła mi czytać, coś ich martwiło, może o czymś wiedzieli. – Zamyślił się i dopiero po chwili dodał: – Jak możemy się dostać do kwitów policyjnych?

– Coś wymyślimy.

– Któryś z twoich alfonsów? – zapytał nagle ze złością.

– Alfonsa ma się jednego, w moim przypadku to ja nim jestem – wyjaśniła spokojnie, nawet trochę rozbawiona. – Ci, których masz na myśli, to raczej klienci.

– No i?

– No i może tak, może użyję swoich znajomości. Masz coś przeciw? – Dopiero teraz trochę się zjeżyła.

– Trochę mam, ale z drugiej strony: twoje życie, twój wybór. – Marcin wstał i ruszył do wyjścia z pokoju.

– A może masz jakiś inny pomysł w zanadrzu, gdybym akurat teraz postanowiła się nawrócić na drogę uczciwej pracy? – Patrzyła za nim ze złością.

– Możemy poprosić, żeby nam pokazali... – zasugerował, ale bez przesadnego przekonania.

– Jako kto? Prokurator? Sędzia? – Potrząsnęła głową ironicznie. – W takim razie zanim się za to weźmiemy, musisz skończyć studia, których nie chcesz zacząć.

Po tym, jak Marcin wyszedł już z gabinetu, Ania coś sobie przypomniała i wróciła do przeszukiwania biurka. Było jednak coś, co w tym wszystkim się nie zgadzało.

– Marcin?! – zawołała w końcu z napięciem w głosie.

– No? – Brat stanął w drzwiach po chwili.

– Tata trzymał tu zawsze taką grubą jasnobrązową teczkę; wiem, bo wkładał do niej nasze świadectwa, ale były w niej jakieś inne ważne dokumenty, chyba też dotyczące mamy. Nie widzę jej – powiedziała, nie podnosząc głowy znad biurka.

– Może policja wzięła – odparł i zaraz dodał: – Czyli wracamy do punktu pierwszego: musimy się dostać do jakichś policyjnych raportów, czy jak to się tam nazywa.

– To się nazywa akta podręczne sprawy. – Adrian uśmiechnął się do leżącej obok Ani.

Zgodnie z umową spotkała się z nim, choć dopiero dzień później. Bezpośrednio po obiedzie u wujostwa i komentarzach Marcina kompletnie nie miała na to ochoty. Oczywiście generalnie nie robiła tego dla rozrywki, żyła z tego, na razie żyli z tego nawet oboje z bratem, choć on świadomie na pewno nie chciałby mierzyć się z tym faktem. W każdym razie, jakkolwiek na to spojrzeć, była to praca na tyle wymagająca i o tak szczególnym charakterze, że elementarna choćby chęć Ani do jej wykonywania była nieodzowna.

Zresztą Ania nie była prostytutką *sensu stricto*. Po pierwsze, uprawiała ten zawód zbyt krótko, by ubiegać się o to „zaszczytne“ miano, a po drugie jej podejście różniło się zasadniczo od klasycznej postawy w tym zawodzie, bo zwykle to klienci wybierali dziewczyny, a w tym wypadku to ona wybierała klientów. Oczywiście z grona chętnych, ale to, ze względu na jej niezaprzeczalną, lecz bardzo uniwersalną urodę i prostolinijny wdzięk, było całkiem liczne. Dlaczego wybrała Adriana? Bo był przystojny, inteligentny, miły i szarmancki, a przede wszystkim był policjantem. Skłamałaby zresztą, mówiąc, że była w tym wypadku jedynym członkiem komisji skrutacyjnej. Do relacji z aspirantem namówił ją bowiem ktoś jeszcze. Innymi słowy, choć lubiła tak o sobie myśleć, to nie była absolutnie wolna w swoich wyborach. Ale czy ktoś w ogóle jest? – pomyślała.

– A właściwie po co ci te akta? – zapytał.

– Nie interesuj się – odpowiedziała odrobinę obcesowo, po czym spojrzała mu prosto w oczy. – Pomożesz?

– Postaram się, ale nie będzie łatwo – odpowiedział i uśmiechnął się znacząco.

– Dobrze, przedłużę ci bonifikatę. – Ona też się uśmiechnęła.

– Za mało. – Pokręcił głową.

– Czyli... – Uniosła się lekko na ramieniu i przyjęła pozycję gotowości do negocjacji.

– Czyli chcę, żebyś poszła ze mną na kolację.

– Tylko z tobą czy z twoją żoną też? – odpowiedziała z przesadnym sarkazmem, sama nie wiedząc nawet czemu.

Czyżby i ją w jakiś sposób ruszało to, że miał żonę? Zastanowiła się przez moment, ale zaraz odrzuciła tę myśl.

Tymczasem Adrian, zamiast odpowiedzieć, wstał i zaczął się ubierać. Ania przyglądała mu się przez chwilę, zastanawiając się, czy nie przesadziła. Przy czym nagle zdał a sobie sprawę, że wcale nie chodziło jej o to, że obawiała się utraty

cennego źródła informacji; bardziej martwiło ją to, że rzeczywiście mogła go urazić. Choć z pozoru była osobą twardą, a nawet chwilami szorstką w obyciu, to tak naprawdę organicznie nie lubiła sprawiać ludziom przykrości. Ale jeszcze bardziej nie lubiła – albo może nie umiała – przepraszać.

– Załatwię ci te akta, to znaczy sfotografuję, jak je znajdę w archiwum. Tylko jeden warunek... – Spojrzał na nią, ale teraz już jakoś inaczej.

Czyli jednak przesadziłam, pomyślała.

– Kolacja? – zapytała, teraz wręcz z nadzieją w głosie.

– Te kopie będą wyłącznie dla ciebie, nikomu innemu bez mojej zgody ich nie pokażesz – mówił teraz stanowczo i konkretnie, trochę tak, jakby byli w sali przesłuchań.

– Nie pokażę. – Pokręciła głową.

Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni portfel, odliczył banknoty i położył na stole.

– A jak żona, skoro już przy tym jesteśmy? – zapytała.

Ania miała a jeszcze jedną charakterystyczną cechę. Kiedy wiedziała już, że popełniła jakieś *faux pas*, to zamiast przeprosić albo chociaż zmilczeć sprawę, brnęła w nią dalej, chyba trochę na złość samej sobie.

Adrian, który wcześniej zamierzał już wyjść, teraz usiadł na krześle i pokręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, jak była uparta i przekorna. Patrzył na nią, a ona na niego.

– Z żoną źle; ma kochanka, mojego kolegę, puszcza się z nim, nie ukrywając tego nawet zbytnio przede mną. Ale to wszystko już wiesz, więc co masz na myśli, pytając: jak żona? – mówił dobitnie, ale bez złości. Chyba już po prostu przywykł do jej przekory.

– Mam na myśli to, czy już ją zlałeś. Albo olałeś. Bo powinieneś – próbowała się bronić.

– Nie, nie olałem ani nie zlałem, bo jest kobietą, bo mamy dziecko, ale... – Adrian zatrzymał się i zawiesił puentę. – Złożyłem pozew o rozwód.

– Bingo, zuch. – Uśmiechnęła się szeroko.

– Cieszysz się moim szczęściem? – Adrian wstał i spojrzał na nią z ironią.

– No masz!!! – odpowiedziała, udając, że kompletnie nie zrozumiała pytania.

On chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w końcu machnął ręką, następnie schował portfel do kieszeni spodni, przymocował kaburę z bronią na pasku i ruszył do drzwi.

– Kolacja? – zapytała kolejny raz, ale tym razem lekko urażonym tonem.

Aspirant Nowaczyk odwrócił się od drzwi i raz jeszcze pokręcił głową, nie mogąc uwierzyć w to, jak była pokręcona.

– Zadzwoń. – Zaśmiał się miękko.

Znów wieczór. Dzień dopiero co się zaczął, a już zmierzcha – pomyślała, jadąc ulicami, wzdłuż których gdzieniegdzie już zapalały się latarnie. Niektóre, te starszego typu, sodowe, ruszały leniwie, najpierw lekko błyskały, a potem rozgrzewały się przez jakiś czas, aż do osiągnięcia pełnej jasności. Inne, nowocześniejsze, diodowe, odpalały się gwałtownie i w ułamku sekundy stawały się jasne. Żadnych półtonów, stanów pośrednich, tylko tak albo siak, czarne albo białe, dobre albo złe. Brak półtonów to chyba największe kłamstwo tego świata – myślała, wpatrując się w drogę przed sobą.

Kiedy wjechała już na swoją ulicę, a polem skręciła, żeby wtoczyć się na zjazd w dół do garażu i powoli „zapaść się pod ziemię“, nagle drogę zajechał jej elegancki mercedes. Ania najpierw lekko się przestraszyła, ale po chwili, kiedy zorientowała się, kto zacz, strach zmienił się w zniechęcenie. Szybka w mercedesie od strony kierowcy zjechała w dół i w oknie pojawiła się dłoń, która zakrzywionym palcem wskazywała jej, że ktoś siedzący z tyłu w aucie chciałby, aby do niego dołączyła. Ania zaparkowała samochód obok wjazdu do garażu, po czym wysiadła i podeszła do tylnych drzwi auta, które w tym momencie otworzyły się, ukazując mroczną czeluść czarnych skórzanych siedzeń oraz ubranego w czarny garnitur i obwieszzonego złotą biżuterią mężczyznę z ciemnosiwym zarostem na twarzy. Ania przez chwilę popatrzyła na niego bez przekonania, po czym jednak wsiadła.

– Witaj, piękna. – Mężczyzna w czerni odezwał się, zupełnie nielicującym z jego bujną, acz przystrzyżoną brodą, dyszkantem.

– Odpuść, Bernard. Co chcesz? – Ania nie miała ochoty na grę wstępną.

– Jak aspirant? – Bernard przeszedł do rzeczy, zgodnie z jej życzeniem.

– Nie wiem – skłamała.

– Pamiętaj, że masz wobec mnie zobowiązania? – spytał, przyglądając jej się coraz bardziej obleśnie.

Pokiwała głową. Zobowiązanie wynikało między innymi z tego, że to on, czyli Bernard Maślak, wielokrotnie notowany niegdyś stręczyciel i handlarz amfetaminą, członek mafii pruszkowskiej, a obecnie nadal bardzo wpływowy w świecie przestępczym deweloper, załatwił jej lewy akt urodzenia Marcina. Nie tylko to jednak wiązało tych dwoje. Dodatkowo bowiem wcześniej Maślak najpierw wyrwał Anię z małego przyjemnych łap pewnego już brutalnego, choć jeszcze młodego, dealera, a następnie wprowadził do świata finansowych elit Warszawy, z których pozyskiwała klientów. Ponadto, choć nie był nominalnie jej alfonsem, to jednak zapewniał jej rodzaj płaszcza ochronnego, który lubił nazywać, nawiązując w ten sposób do izraelskiego systemu obrony przeciwrakietowej, o którym przeczytał kiedyś w gazecie, „żelazną kopułą”.

– No więc? – Bernard dotknął jej uda, po czym zaczął przesuwając dłoń ku górze.

Wyciągnęła jego rękę spod sukienki, ale on od razu włożył tam drugą, a tą pierwszą złapał ją za nadgarstki obu rąk, unieruchamiając je tym samym.

– Zostaw mnie. – Ania próbowała się wyszarpnąć, ale miała na to małe szanse.

Wybierała klientów sama, broniąc się tym sposobem, przede wszystkim we własnych oczach, przed łatką zwykłej ulicznicy. Bernard nie należał do jej wybrankó w . Sytuacja robiła się nieciekawa, jego dłoń dotarła już tam, gdzie zgodnie z jej standardami zdecydowanie nie powinna była dotrzeć. Ania spróbowała jeszcze go ugryźć, ale to skończyło się tylko tym, że łokciem przycisnął jej głowę do oparcia fotela. W tym momencie tylne drzwi otworzyły się gwałtownie i ułamek sekundy póź niej do szyi Bernarda przytknięty był nóż kuchenny.

– Puść ją! – Marcin nie wyglądał na kogoś, kto robi sobie jaja.

Bernard spojrział na niego, ale kątem oka zobaczył, że siedzący z przodu kierowca sięgnął po broń. Maślak, patrząc na niego w lusterku, pokręcił głową, dając mu w ten sposób znać, żeby nie interweniował. Ania też to zobaczyła, zachodziła nawet później w głowę, czy Bernard zrobił to, bo wiedział, że ochroniarz i tak nie zdąży, albo zdąży, ale *post factum*, czy dlatego, że po prostu tego nie chciał. Przede wszystkim jednak zastanawiała się, co będzie dalej. Z jednej strony była wściekła na Marcina, bo nade wszystko nie chciała, żeby coś mu się stało, ale z drugiej była też trochę z niego dumna. Wszystko to zaś w ułamkach sekund pomiędzy otwarciem drzwi, nożem, lusterkiem a...

– Dobrze, dobrze, młody, co się piekiesz? – Bernard puścił Anię i uśmiechnął się do Marcina swoją złotą jedyką.

Ona nadal nie wiedziała, czy zrobił to ze strachu, czy miał taki kaprys. Raczej to drugie, bo Bernard, którego ktoś kiedyś musiał porządnie walnąć w łeb, nie znał pojęcia strachu, było mu ono obce, nie rozumiał go nawet w kinie, nie mówiąc już o życiu.

– Wsiadaj. – Bernard wskazał Marcinowi siedzenie w limuzynie naprzeciw niego.

– Pogadamy.

Marcin pokręcił odmownie głową.

– Jeszcze raz ją tkniesz, to cię zajebię. – Dopiero teraz ujawniło się zdenerwowanie chłopaka, czerwień z twarzy spełza niżej, na szyję.

– Słyszałeś go, Pałak? – Bernard zaczął się śmiać, najpierw tylko trochę, z chwili na chwilę coraz bardziej.

Kierowca, ochroniarz, rzeczony Pałak śmiał się razem z nim, ale chyba głównie ze strachu – jak mógłby się nie śmiać, kiedy śmieje się szef? W końcu Bernard ucichł, spojrział na Marcina, potem na Anię.

– Spierdalajcie – powiedział krótko, a po chwili jeszcze dodał: – Zastanowię się, co z wami dalej zrobić.

Kiedy szli w stronę jej samochodu, żeby sprowadzić go na parking, usłyszeli, jak zawołał jeszcze za nimi:

– A ty mi tam pamiętaj, co masz zrobić!!!

- Co masz zrobić? – odezwał się Marcin, dopiero kiedy zaparkowali już samochód.
- Nic – odpowiedziała. – Po co zszedłeś?
- Żeby cię nie zgwałcił? – odpowiedział pytaniem na pytanie.
- Dałabym sobie radę. – Ania przytknęła kartę do czytnika windy.
- Widziałem, jak dawałaś sobie radę. – Pokiwał głową. – No więc... Co masz dla niego zrobić?

Na to ponowione pytanie Ania już nie odpowiedziała; wsiadła do windy i wcisnęła klawisz czwartego piętra. Budynek nie był wysoki, czwarte piętro było ostatnie.

– Będziemy mieli te papiery z policji – odezwała się, zmieniając przy okazji temat, dopiero kiedy podeszli pod drzwi mieszkania.

– Fajnie, ale bardziej mnie teraz interesuje, co cię łączy z tym bandytą. – Marcin jednak nie pozwolił jej zmienić tematu.

– Przyjaźń – odpowiedziała, nalewając sobie whisky do szklanki.

– Dość szorstka – zażartował.

– Taki świat. – Wyciągnęła rękę ze szklanką w jego stronę.

Pokręcił głową. Miał ochotę się napić nie mniej niż ona, adrenalina powoli schodziła i czuł, że traci władzę w nogach. Nie wziął drinka na przekór siostrze. Usiadł.

– Gdyby ktoś nas nie wpierdolił na tę minę, to nie miałabym szorstkich przyjaźni – powiedziała przez podrażnione od wypitej whisky gardło. – A ty nie ganiałbyś z kuchennym nożem za wydzieranym psycholem. Dlatego skupmy się na tych, którzy nam to zrobili, a nie na tym, gdzie teraz oboje jesteśmy.

Marcin był pod wrażeniem jej dydaktycznej przemowy. Uśmiechnął się nawet, ale nie odpuścił.

– Z jednej strony pies, z drugiej ten zbok ze złotym zębem. Kto jeszcze, Świadkowie Jehowy?

– Bandyta i policjant, taki zestaw kontrolny, to chyba starczy. – Zaśmiała się krótko.

Marcin pokiwał głową i chwilę się zastanowił, coś mu najwyraźniej zaświtało.

– Szukasz czegoś na psa dla bandziora? – spytał olśniony.

– Nie „na“ tylko „od“ . – Ania się poddała.

– Czemu? – dopytał. – Ten pies pomaga nam zdobyć kwity, a ty go wystawisz?

– Nie powiedziałam, że go wystawię, tylko że bandyta chce informacji. – Ania odstawiła szklankę i ruszyła do łazienki.

Miała dość tego dnia, złotych zębów Bernarda, jego tłustej łapy pod sukienką, brata wojownika ninja i dochodzeniowca w jednym, nawet Adriana i jego żony, tępej dzidy. Wszyscy ją wkurwiali.

– Idę, a tobie radzę, żebyś się napił, chociaż mama by mnie pewno za to zabiła – rzuciła na odchodnym.

Ona wyszła, on wziął do ręki jej szklankę, dolał sobie trochę coli i zasiadł na

kanapie, kontemplując złożoność sytuacji.

Kolejnego dnia Marcin najpierw przez wiele godzin chodził bezładnie po mieście, smakując wolność, zajrzał nawet na Uniwersytet Warszawski na Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych, o którym wcześniej wspominał wujek Zygmunt, nazywając go zresztą, pewno z przyzwyczajenia, Wydziałem Stosunków Międzynarodowych. Może tak się kiedyś nazywał? – zastanawiał się Marcin, chodząc po kampusie uniwersyteckim. Ładnie tu było, mógłby może kiedyś spędzić tu więcej czasu, ale na razie było liceum, które należało skończyć po wakacjach, matura, słowem: długa perspektywa czasowa. On w życiu przywykł nie planować dalej niż do kolacji, bo bywało, że jej nie dostawał, kiedy siostra Józefina akurat traciła do niego sympatię. Początkowo chciał chociaż wejść na wydział, poczuć, jak tam jest, ale w końcu zrezygnował; zabrakło mu odwagi, za wysokie progi. Co będzie, jeśli ktoś zapyta go o cokolwiek? Pewnie, gdyby nie to wszystko, nie byłby taki, rodzice zapewniliby mu takie poczucie pewności siebie, że nie wstydziłby się wejść na uczelniany wydział, ale rodziców nie było, więc wyszło, jak wyszło, czyli nie najlepiej.

Z ulic i skwerów przyszedł prosto na spotkanie z wielbicielem siostry, czyli aspirantem Nowaczykiem. Ania też tam była, siedzieli już oboje przy stoliku w kawiarni w pawilonie dostawionym do jednego z bloków przy Bielańskiej, na tyłach Grubej Kaśki. Lokal był dość obskurny, czas zatrzymał się dla niego mniej więcej w tym samym momencie, kiedy zatrzymał się dla jego właścicielki, czyli gdzieś pod koniec ubiegłego wieku, a może jeszcze dawniej. Ania piła kawę, Adrian wodę gazowaną, rozmawiali już chwilę, ale z tego, jak byli roześmiani, Marcin wnosił, że na razie chyba bardziej o sprawach prywatnych.

– O , jesteś – ucieszyła się Ania.

Marcin pokiwał głową, bo rzeczywiście był.

– Może się poznajcie: aspirant Adrian Nowaczyk, mój brat Marcin – powiedziała Ania i czekała, co wydarzy się dalej.

Podali sobie ręce, a właściwie Adrian wyciągnął rękę do Marcina, uśmiechając się, a ten po chwili namysłu odwzajemnił gest, ale już nie uśmiech. Następnie usiadł na przygotowanym dla niego krześle obok Ani, naprzeciwko aspiranta, na którego do końca rozmowy czujnie zerkał. Domyślał się, jaka jest natura relacji policjanta i jego siostry; nie podobało mu się to, ale ku swemu zaskoczeniu w samym facecie dostrzegł coś, co budziło zaufanie, a nawet sympatię.

– To są te akta – powiedział Adrian, wyciągając z torby tablet. Otworzył galerię zdjęć z albumem zawierającym obfotografowane kopie dokumentów.

Następnie przesunął się bliżej Ani, tak żeby móc, pokazując jej poszczególne dokumenty, odnosić się od razu do ich treści. Ania przejęła tablet i zaczęła scrollować zdjęcia.

– Nie ma tego dużo, szczególnie jak na sprawę podwójnego zabójstwa – zaczął Adrian.

– W sensie? – zaciekawiał się Marcin, który, jak większość klasycznych introwertyków, we wszystkim zawsze węszył spisek. – Co to o znaczy, że nie ma dużo, ktoś ukradł?

– Niekoniecznie. Albo część akt została przejęta przez prokuraturę, albo te bez większego znaczenia zostały usunięte, może przeniesione do jakiejś innej sprawy, trudno powiedzieć – odpowiedział Adrian.

– Niekoniecznie... ale możliwe? – Marcin drażył dalej.

– Wszystko jest możliwe. – Adrian pokiwał głową, ale widać było, że nie bardzo wie, co miałby jeszcze dodać.

Ania przejechała przez kilkanaście fotografii najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Trudno było, szczególnie tak na szybko, coś z nich wyczytać; większość raportów była pisana odręcznie, dużo o było w nich sformułowań, których nie rozumiała. Poza tym nie mieli tu zbyt dobrych warunków do lektury czegoś tak złożonego.

– Prześlesz nam? – zapytała, podając tablet Marcinowi.

– Tak, ale tak jak się umawialiśmy, to jest tylko do twojego... – Adrian zerknął na Marcina – ...do waszego wglądu. Nie może wyjść nigdzie dalej, chyba że wspólnie to uzgodnimy. Ja mogę za to...

– ...wylecieć z roboty – dokończył Marcin. – A przeglądał pan to już wcześniej?

– Zerknąłem. – Adrian skinął głową. – I nie panuj mi tu, Adrian jestem.

– Marcin. – Chłopak też kiwnął głową, ale znów nie od razu, tylko dopiero po chwili namysłu.

Teraz Adrian przyglądał mu się przez chwilę; trochę go denerwował ten ostentacyjny brak zaufania podszyty lekkim poczuciem wyższości, ale postanowił przejść nad tym do porządku dziennego.

– Najwyraźniej gonili własny ogon, za wiele z tego nie wynika – powiedział, wskazując na tablet. – Motyw ustalono na rabunkowy, czyli po linii najmniejszego oporu. Z domu zginęły jakieś kosztowności, trochę gotówki, ale nikt nie wiedział, ile. Nawet wasz wujek, który przyleciał ze Stanów po dwóch czy trzech dniach.

– A cokolwiek jeszcze? Był jakiś podejrzany? Jakaś hipoteza? – zapytała Ania.

– Szukali blisko, najczęściej szuka się najpierw blisko, bo łatwo ustalić motyw – dodał Adrian.

– I? – dopytała Ania.

– Przez chwilę przyglądali się współnikowi Piotrowskiego. – Adrian zamilkł na moment, popatrzył na nich i dodał, trochę zawstydzony: – To znaczy waszego taty.

Ania z Marcinem spojrzeli na siebie. Nie znali współnika ojca, nie wiedzieli nawet, jak się nazywał, jedyne, co pamiętali, to że rzeczywiście był jakiś współnik, poza tym nic. Tata miał w zwyczaju nie przynosić spraw zawodowych do domu, wszystkie swoje biznesy zostawiał za drzwiami.

– I co? – zapytał teraz Marcin, który próbował znaleźć w dokumentach coś, co potwierdzałoby słowa Adriana.

– I potem facet już się nie pojawia w raportach – skwitował Adrian.
– Czemu? – zdziwiła się Ania.
– Nie mam pojęcia. – Aspirant wzruszył ramionami. – Może wątek nie był rozwojowy, może coś się okazało, a może byli niechlujni, to też się zdarza, niestety.
– Jak on się nazywał? – Ania cisnęła.
– Piotr Bogusz – odpowiedział Marcin, który najwyraźniej znalazł w końcu w zdjęciach dokument, który odnosił się do tego, o czym mówił Adrian.
– Tu jest napisane, że oni mieli jakiś zatarg finansowy na jakiś czas przed... – Marcin nie dokończył, ale wszyscy i tak wiedzieli przed czym.
Ania pokiwała głową, coś już najwyraźniej postanowiła, bo na chwilę straciła kontakt z rzeczywistością.
– Nie ujawniacie przed nikim, że widzieliście te akta. – Adrian domyślił się, o czym myśli Ania.
– Nie ujawnimy. – Skinęła głową. – Czyli nic więcej nie wiesz?
– Nie, bo nic więcej z tego nie wynika, a poza tym ja jestem od kradzieży samochodów, a nie od zabójstw, pamiętasz? – Adrian popatrzył na nią.
– Dobrze, wyślij nam te zdjęcia, przejrzymy je w domu, jak nie będziemy czegoś rozumieli, to zadzwonię – zadysponowała.
Po chwili zerknęła na niego. On patrzył na nią lekko zdziwiony, a ona zdała sobie sprawę, że może jednak odrobinę przesadziła.
– Poproszę – dodała po chwili słowo, którego bardzo nie lubiła używać.
Prawdopodobnie zimny chów sióstr i to, że wszystko musiała sobie przez ostatnie trzynaście lat wyrywać, o każdą, nawet najdrobniejszą rzecz walczyć i zdobywać ją własnymi rękami, spowodowały, że dwa słowa właściwie na stałe zniknęły z jej słownika. Jednym z nich było to, którego nie użyła przy okazji rozmowy o żonie Adriana, drugim, używanym równie rzadko, a o dziwo użytym przed chwilą, było słowo „poproszę“.
Adrian się uśmiechnął. Znał ją już na tyle, że wiedział o jej przypadłości i o tym, że pojawienie się w jej ustach słowa „poproszę“ było absolutnym ewenementem, więc nie mówiąc już nic więcej, po prostu pokiwał głową.

W domu byli godzinę później. Ania sprawdziła maila. Adrian zrobił, jak powiedział. Kilkanaście stron akt podręcznych było już w skrzynce odbiorczej. Zjedli kolację i usiedli do dokładnego przeglądania dokumentów. Nie było to proste, a już wyjątkowo ciężko było im przebrnąć przez szczegółowe opisy miejsca zbrodni. Dobrze, że nie było zdjęć. Może zresztą były, ale Adrian postanowił ich nie załączać. Nazwisko Bogusz rzeczywiście pojawiało się na kilku stronach, był też stenogram z przesłuchania podpisany przez Bogusza. Niewiele z niego wynikało, oprócz tego, że odnieśli wrażenie, iż pan Piotr usilnie udawał niezrozumienie dla większości pytań.

– Masz coś? – Ania spojrzała przez ramię Marcina, który próbował dowiedzieć się czegoś więcej o Boguszu z wtedy i z teraz.
– Już nie jest właścicielem firmy ojca, teraz jest deweloperem – odpowiedział

zdawkowo, wpatrując się w okno wyszukiwarki.

– Bo billboardy pewno nie są już tak opłacalne, facet wie, gdzie szukać szmalu – skomentowała Ania, po czym sięgnęła po telefon.

– Cześć, słońce. – Wujek wyraźnie się ucieszył, widząc jej imię na wyświetlaczu telefonu, bo odezwał się z wyczuwalnym w głosie uśmiechem. – Co u was? Byliście w domu?

– Cześć, wujku. Tak, byliśmy. Dzięki. Jest czysto, jakby wczoraj ktoś w nim sprzątał – odpowiedziała.

– Raz na miesiąc wysyłam tam naszą panią, przez te wszystkie lata... Twoja mama bardzo lubiła porządek, więc... – Wujek urwał. Poczuli, że trochę się zagalopował, zatem od razu zmienił temat. – A co poza tym, radzicie sobie, coś nie tak?

– Nie, nie, wszystko w porządku – powiedziała uspokajająco Ania, po czym po chwili dodała: – Ale chciałam cię o coś zapytać.

– Klucze od domku na wsi? – Wujek bardzo lubił zgadywać, być o krok przed rozmówcą; taki zwyczaj, być może wywiedziony ze świata dyplomacji, a może z czegoś jeszcze innego.

– To też, owszem, chętnie tam kiedyś pojedziemy. – Ania wzięła wujka pod włos. Wiedziała, że bardzo lubił trafiać ze swoimi przewidywaniami. – Ale chodzi mi jeszcze o współpracownika taty... Może pamiętasz, wspólnik firmy. Piotr Bogusz się nazywał – dokończyła po chwili.

– Nazywa się, bo nic nie wiem o tym, żeby nie żył. Oczywiście, że pamiętam. Miły człowiek, odkupił udziały taty po śmierci rodziców, pieniądze od niego też wpłaciłem na wasze konto – odpowiedział.

– Myślisz, że... – Ania zawiesiła się na moment, kombinując, jak zadać pytanie, żeby nie zdradzić się ze swoim dochodzeniem.

Mogła zapytać, czy dał dobrą cenę przy wykupie udziałów taty, ale wtedy wujek mógłby się poczuć nie najlepiej, bo jeśli dał złą, to taka informacja uderzałaby też w niego. A ona nie miała takiej intencji. Mogła zagrać w otwarte karty, ale wtedy, jak wyżej, zdradziłaby się przed wujkiem z planem własnego dochodzenia, a tego chciała uniknąć przede wszystkim, bo znając jego legalizm i zachowawczość, wiedziała, że na pewno nie byłoby mu to w smak.

– To w porządku facet jest? – zapytała w końcu z głupia frant.

– No chyba tak, wykup dał wtedy dobry, chyba nawet powyżej wartości, pytał, co będzie z wami, chciał nawet jakoś pomagać – odpowiedział wujek po krótkim namyśle.

Ania zdążyła się ucieszyć, że uzyskała informacje bez kosztu w postaci wzbudzenia podejrzeń. Niestety, jej radość nie trwała długo.

– A czemu pytasz? Co ty tam kombinujesz? – Wujek był zdecydowanie zbyt bystry, by mogło mu to umknąć.

– Nic nie kombinuję, wujku, wspominamy trochę z Marcinem tamte czasy, może

chcielibyśmy się spotkać z ludźmi, którzy pamiętają rodziców, porozmawiać... – Ania była przygotowana na taką ewentualność, więc odpowiedź wypłynęła z niej dość potoczyscie.

– Aha. – Wujek chwilę się namyślał. – Ale to po co pytasz, czy on jest w porządku?

– Bo po co mamy łązić do kogoś, kto nie jest w porządku? – odbiła bez namysłu Ania.

– No tak, no tak. – Wujek wydał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią.

Czy był do końca, tego Ania nie wiedziała, ale przeczuwała, że pewno raczej nie. Będzie dalej drążył, taki już po prostu był. Pewnie po części wynikało to z jego specyficznej osobowości – był człowiekiem, który zawsze funkcjonował zgodnie z zasadą ograniczonego zaufania – a po części po prostu z troski o nich. Wprawdzie nigdy nie otoczył ich opieką rodzicielską, wylądowali w domu dziecka u sióstr, ale przez cały okres pobytu tam czuli jego wsparcie i obecność. Dom dziecka, do którego trafili, nie był pierwszą z brzegu państwową ochronką, lecz zdaje się najlepszym z możliwych, wzorcowym wręcz sierocińcem. Wujek Romer, dręczony perspektywą wyrzutów sumienia, zadbał zawczasu o to, żeby nie umieszczono ich byle gdzie. To miejsce polecił mu sam ówczesny minister pracy i opieki społecznej Witold Kornecki. Dodatkowo kto wie, czy gdyby nie jego cień wiszący nad siostrą Józefiną, ich sytuacja w sierocińcu nie byłaby jeszcze gorsza.

– Typ jest chyba niezły kot w tych układach. – Marcin podszedł do niej z laptopem w rękach. – Organizuje jakiś doroczny melanz dla tych wszystkich januszów.

– Januszów? – Ania wciąż jeszcze tkwiła myślami w rozmowie z wujkiem.

– No tych całych deweloperów. Mają mieć bal w InterContinentalu – dopowiedział Marcin, pokazując jej jednocześnie stronę jakiegoś stowarzyszenia deweloperów.

– No to essa! Wiemy już, co będziemy robili w najbliższą sobotę wieczorem. – Ania się uśmiechnęła.

– A co wujo Zygmunt? – zapytał Marcin.

– Wujo Zygmunt ma złe przecucia – odpowiedziała Ania zamyślona.

– Że?

– Że wpakujemy się w kłopoty.

– Może tak być. – Marcin się zaśmiał, po czym dodał przekornie: – I o to biega.

A jak wejdziemy na bal?

– Coś się wymyśli – odparła.

Na bal nie poszli razem i choć oboje znaleź li się w InterContinentalu, to mieli zupełnie inne zadania. Ania, zgodnie z przeczuciem Marcina, znów skorzystała ze swoich znajomości, tyle że tym razem, zamiast odcinać kupony od relacji z policjantem, o pomoc poprosiła bandytę. Znany już Marcinowi mafiozo Bernard Maślak, ksywka „G rzyb”, oprócz tego, że wciąż, chyba bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności, zajmował się handlem narkotykami i kradzionymi autami, wymuszeniami i wszystkim tym, co znajdowało się w klasycznym bandyckim repertuarze, to podobnie jak tropiony przez nich teraz Piotr Bogusz, był świetnie prosperującym deweloperem. I jako taki oczywiście został zaproszony na bal, na który zresztą prawdopodobnie, gdyby nie prośba Ani, w ogóle by nie poszedł. Wyglądali dość osobliwie. Ona piękna, młodziutka, smukła kobieta w typie skandynawskim, z blond włosami jaśniejącymi stopniowo ku dołowi, przypominała trochę młodą Charlize Theron. On niski, dość korpulentny, lekko podstarzały, o rysach zniekształconych brutalnością i wieloletnim nadużywaniem środków zmieniających świadomość, i to na dodatek tych z gatunku mniej wysublimowanych. Gdy się na nich patrzyło, to mimo że oboje byli ubrani bardzo elegancko, obserwator dość szybko mógł dojść do wniosku, że nie połączyło ich ani głębokie uczucie, ani też prawdopodobnie wspólnota zainteresowań, a zgoła coś zupełnie innego. Jednak, jako że wśród obecnych na balu takie duety powtarzały się jak refren, nikt nie zwracał przesadnej uwagi na osobliwość, którą skądinąd stanowili.

– Jak aspirant Adrian? – zapytał Bernard, jednocześnie uśmiechając się do mijanego właśnie konkurenta z branży budowlanej. A może też i innej.

– Dziękuję, dobrze. – Ania też uśmiechnęła się do biznesmena, który taksował ją wzrokiem wskazującym na to, że interesowało go nie tylko to, czy dużo czyta.

– Dam mu później w pysk. – Jej mafiozo przeniósł wzrok na innego kolegę z branży.

– Komu? – Ania zainteresowała się nieprzesadnie.

– Temu, co się tak na ciebie lampi – odpowiedział i pociągnął ją delikatnie w stronę stolika z napojami.

– Daj spokój, Bernard.

Wzięli po kieliszku szampana, wypili po łyku, kontemplując smak, wysokie przeszkłone wnętrza rozświetlone tysiącem żarówek, stroje przybyłych i wszechobecny gwar.

– Tak się nie robi, to jest chamstwo. – Bernard wciąż jakby nie mógł strawić sytuacji sprzed chwili. – Nie chodzi już nawet o mnie, a o ciebie.

– No co ty? – Uśmiechnęła się z zabawnie podkreślonym zaskoczeniem.

Chwilę póź niej dostrzegła mężczyznę, którego zdjęcia oglądała wcześniej w sieci. Piotr Bogusz był przystojny. Twarz pociągła, krótki, siwiejący gdzieś zarost, podobne w kolorze i niewiele dłuższe włosy. Wysoki, szczupły, ale nie chudy, słowem: trochę Włoch. Mógłby być modelem, pomyślała, tyle że nie jest przesadnie fotogeniczny; na zdjęciach, które widziała, wyglądał znacznie mniej interesująco.

– Pan Bogusz? – zapytała cicho, stając na tyle blisko, by poczuć zapach jego wody kolońskiej i, co ważniejsze, by on mógł poczuć zapach jej perfum.

– Tak. – Odwrócił się trochę niezgrabnie, ale gdy tylko ją zobaczył, jego ruchy stały się miękkie jak ruchy wielkiego, dzikiego kota w obecności antylopy, a głos obniżył się o oktawę. – W czym mogę pomóc?

– Anna Morek. – Antylopa wyciągnęła rękę, a on ucałował ją delikatnie. – Wiele o panu słyszałam, obecnie szukam pracy i...

– Rozumiem. – Bogusz delikatnie pokiwał głową i pomyślał, że wieczór zaczął się dla niego niezwykle obiecująco.

Zanosilo się na to, że tym razem uda mu się zapolować nawet bez przesadnego ganiańa po sawannie tutejszego parkietu.

W czasie, gdy Ania realizowała jedną część planu, jej brat do części hotelu, w której organizowany był bal, dostał się przez kuchnię. Teraz kręcił się przy szatni w oczekiwaniu, aż wyjdzie do niego jeden z elegancko ubranych młodzieńców zajmujących się dziś odwieszaniem płaszczy.

– Masz, tylko jak nie wrócisz przed końcem imprezy, to cię zajebię. – Chłopak nerwowo rozejrzał się wokoło i podał mu klucze.

Marcin w zamian poddał mu inne, zawinięte w kilka banknotów stużłotowych.

– Co to jest? – zdziwił się chłopak.

– Twój hajs i inne klucze. Włóż je tam na razie. Gdyby zjawił się wcześniej, żeby coś wyjąć albo nawet zabrać płaszcz, to nie poczuje, że coś jest nie tak – odpowiedział Marcin.

– Ochujalesz? – zbiesił się tamten. – A jak wyjmie te klucze pod domem, to co?

– To nic, ciebie i tak nikt już nie znajdzie, zatrudniliśmy cię na lewy PESEL, pamiętasz? – Marcin uśmiechnął się uspokajająco. – A w ogóle nie będzie takiej sytuacji, to jest na wszelki wypadek, żeby jakby co nie zgarnął cię od razu.

– Ty, wali mnie twoje J akby co“, ma być Jakby nic“, rozumiesz mnie? – Chłopak zaczął się rzucać.

Marcin popchnął go lekko za wystający winkleł ściany i złapał mocno za mięsień kapturowy przy szyi. Tamten stęknął i zgiął się lekko.

– Rozumiem cię, Marku. – Marcin spojrział przeciągle na starszego o dwa lata kolegę, z którym znali się z sierocińca, po czym dodał spokojnie: – Ale teraz weź te klucze i wpierdol je do jesionki. Marek pokiwał apatycznie głową, wiedząc, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Marcin puścił go po chwili i ruszył w stronę kuchni, przez którą teraz musiał szybko opuścić hotel.

– Co to, kurwa, jest jesionka?! – Usłyszał za plecami.

– Wygoogluj se – odpowiedział, na tyle jednak cicho, że tamten nie mógł już tego usłyszeć.

Bernard dostrzegł ją w końcu stojącą w grupie kilku mężczyzn, spośród których wyróżniał się jeden wyższy i przystojniejszy od pozostałych, znany mu szef stowarzyszenia deweloperów Piotr Bogusz. Kiedy zbliżył się do grupy, zobaczyła go też Ania, która odłączywszy się pod pretekstem poszukiwania kolejnego drinka, podeszła do niego na odległość dwóch kroków.

– Muszę tu coś załatwić – powiedziała, nie patrząc na niego. – Muszę... Potem do ciebie dołączę. Może tak być?

– Co załatwić? – zainteresował się Bernard.

– Coś bardzo dla mnie ważnego, ale nie chodzi o faceta, później ci opowiem – odpowiedziała, prawie nie otwierając ust, jednocześnie wprawnych ruchem zdejmując z kelnerskiej tacy dwa kieliszki szampana.

Bernard chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie miał już do kogo, bo Ania odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem w stronę grupy wyelegantowanych facetów.

Marcin od razu po wyjściu z hotelu wsiadł do samochodu Ani i ruszył przed siebie. Do domu, który jako deweloper wybudował Bogusz, i w którym na górze miał swój penthouse, nie było na szczęście daleko, bo plomba mieściła się na Starej Ochoce. Dojazd tam niósł jednak ze sobą pewne ryzyko. Marcin, choć umiał jeździć, bo siostra dawała mu poprowadzić auto na każdej przepustce, na którą wychodził od szesnastego roku życia, do tej pory nie zrobił prawa jazdy. Po ośmiu minutach od chwili, kiedy klucze znalazły się w jego ręce, był już pod domem, w którym mieszkał Bogusz. Na szczęście apartamentowiec nie był na tyle ekskluzywny, żeby obsługiwał go na dole portier, ale już na tyle luksusowy, by cały dół obserwowały kamery monitoringu. Marcin włożył na głowę czapkę, docisnął ją kapturem i wszedł na klatkę schodową. Zanim to zrobił, przez chwilę zastanawiał się, co dalej, na szczęście przy domofonie była blaszana płytki, a on już wcześniej dostrzegł, że przy kluczach zamiast breloczka huśtał się plastikowy czip. Przytknął go do płytki, w drzwiach zabrzączał zwalniacz.

– Może pójdziemy pogadać gdzieś na osobności, tu kompletnie nie można się skupić.
– Bogusz patrzył w oczy Ani jak zahipnotyzowany.

Od momentu, kiedy do niego podeszła, z tyłu głowy świdrowała mu myśl, że gdzieś już ją widział, że kiedyś musieli się spotkać, choć wtedy zapamiętał ją zupełnie inaczej. Dziwne uczucie. Nie miał zbyt dobrej pamięci do twarzy, więc nieraz zdarzało mu się mieć wrażenie, że kogoś już gdzieś spotkał, ale nigdy dotąd nie towarzyszył temu taki dziwny niepokój. Ta twarz, a jakby nie ta.

– Chętnie – odpowiedziała Ania.

– Mam tu na górze pokój, za r ezerwowałem, bo pewno impreza pójdzie w noc i chciałem mieć jakieś lokum pod ręką – zaczął się nagle usprawiedliwiać, trochę nadgorliwie.

– Jasne. – Uśmiechnęła się uspokajająco.

Może coś mi się ubzdurało, pomyślał, może ona jest po prostu tak niebiańsko piękna, że odbiera mi rozum, burza serotoninowa, zderzenia neuronów z hormonami, które dostały małego rozumu.

Marcin sprawnie otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Wewnątrz, na ścianie zaraz za drzwiami, był panel alarmu, ale na szczęście nieaktywny, nic w nim w każdym razie nie migąło ani nie pikało. Gorzej, jeśli działa w jakimś cichym trybie, wtedy za parę minut zjawią się tu duzi panowie w czarno-szarych moro i może zrobić się mało przyjemnie, ale raz się żyje. Chłopak cicho zamknął za sobą drzwi i zasunął skobel zamka. Pewnie i tak w razie czego mają klucze, pomyślał, ale zanim otworzą, przynajmniej zyska chwilę na zastanowienie. Nie włączył światła, tylko odpalił latarkę w telefonie i zaczął się powoli przemieszczać w głąb przepastnego mieszkania. Ile tu może być metrów? – zastanawiał się, idąc przez hol wielkości małego hangaru. Trzysta? Czteryście? I od czego w ogóle zacząć? Gabinet. Tylko jak go znaleźć w tych ciemnościach? Marcin uderzył piszczelem o coś twardego i syknął z bólu. Nie wiedzieć czemu przypomniał sobie w tym momencie opowieść taty, który kiedyś zjeżdżał w górach na nartach w totalnej mgle i tak bardzo nie było nic widać, że nie wiedział nawet, czy jedzie, czy stoi. Teraz Marcin po prawej dostrzegł wejście do mniejszego pokoju, w którym na tle wyświeconego księżycem okna stało ciężkie antyczne biurko. Gabinet.

– Przepraszam, że zapytam, tylko proszę nie potraktować tego pytania jako głupkowatej zaczepki. – Piotr Bogusz podał Ani whisky w kryształowej szklance. – Czy my się już kiedyś nie poznaliśmy?

– Chyba nie, zresztą ja od niedawna bywam gdziekolwiek, więc... – Ania zawiesiła głos i znacząco się uśmiechnęła.

– No tak, głąb ze mnie. Ale skoro głąb, to zadam jeszcze głupsze pytanie. – Tym razem mężczyzna na moment się zawahał, ale jej odpowiedź uświadomiła mu, że musi to pytanie zadać choćby ze względów cywilnoprawnych, a właściwie karnoprawnych. – Ile pani ma lat?

Ania zaczęła się śmiać, po czym spojrzała na niego tym spojrzeniem, które powodowało, że facetom w głowie robił się bałagan.

– Wystarczająco – powiedziała i wypila mały łyk szkockiej single malt.

Przez chwilę milczeli, a on przyglądał się jej, usilnie próbując zidentyfikować wciąż nieuchwytną smugę wspomnienia, która go oplatała. Trochę jak z tymi zapachami perfum – pomyślał. Wystarczyła śladowa nuta zapachowa, która

przywoływała cienką błonkę przeszłości, była powidokiem, dmuchawcem w letnim powietrzu ciętym smugą zachodzącego słońca.. Powidokiem jakiej rzeczywistości była przepiękna twarz tej dziewczyny?

Marcin od dłuższej chwili wertował dokumenty znalezione w biurku Bogusza. Nadal nie włączył światła i jedynym jego źródłem pozostawała latarka w telefonie. Szukał czegoś, ale nawet za bardzo nie wiedział, czego konkretnie. Rachunki, listy, wyciągi bankowe, umowy, prospekty domów, które deweloper budował, prospekty wakacji, na które jeździł, notes... Marcin otworzył go i zaczął przeglądać.

Tymczasem Bogusz zebrał się w sobie. Normalnie nie miewał tego typu problemów z kobietami, nie musiał się przesadnie wysilać, żeby przejść od rozmowy do konkretnego. Tym razem było inaczej, ale w końcu się przełamał, usiadł na kanapie obok niej i dotknął jej włosów. Ania, która przeważnie też, choćby z racji tymczasowo obranej profesji, nie miała problemów z tego typu sytuacjami, tym razem ku swemu zaskoczeniu odsunęła się delikatnie, wychodząc poza zasięg jego ręki. Mężczyzna był przystojny, budził nawet jej ciekawość, ale jednocześnie był kolegą ojca i to prawdopodobnie stanowiło dla niej przeszkodę nie do pokonania. Ania przerzuciła grzywkę szybkim ruchem dłoni, uśmiechnęła się do niego trochę przeprasząco.

I w tym momencie Bogusz sobie przypomniał.

– Jesteś córką Piotrowskich?! – W jego spojrzeniu bezbrzeżne zdziwienie powoli mieszało się z narastającym gniewem.

Ania zamiast odpowiedzieć, pokiwała głową.

– I wiesz, kim ja jestem? – upewnił się mężczyzna.

– Szefem stowarzyszenia deweloperów? – Ania próbowała ratować się udawaniem głupszej niż była, co tylko go rozsierdziło.

– O co chodzi?! – Bogusz wstał.

– O nic, a co? – Ania kombinowała ostatkiem sił.

– Nie wkurzaj mnie! Po co do mnie podeszła?! – Wściekł się nie na żarty.

– Bo zabiłeś mi rodziców?! – Zapędzona w kozi róg Ania ruszyła do kontrataku.

– Co? – Teraz Bogusz wydawał się już tylko skrajnie zdumiony. – Co ty gadasz?

– Zabiłeś, odkupiłeś udziały od wuja, który się gównem na tym znał, i teraz masz to wszystko. – Ania zatoczyła ręką okrąg wokół siebie.

– Co za bzdury? – Bogusz kręcił głową, wciąż oniemiały albo może wciąż dobrze udający oniemiałość. – Firma się już wtedy kładła, Staszek, to znaczy twój ojciec, miał długi, które musiał em spłacić, zanim mogłem cokolwiek sprzedać, interes był żaden.

Nagle stracił siłę, jakby wróciło do niego coś, co już dawno udało mu się zostawić za sobą. Przysiadł na oparciu kanapy.

– Był moim przyjacielem, oboje byli, więc tak naprawdę mnie obrażasz. – Patrzył na wykładzinę pod stopami. – Gdyby to, co ty, powiedział ktokolwiek inny, to zbierałby zęby do koperty.

– A policja? Ich pobiłeś, jak cię podejrzewali? – Ania nie odpuszczała, nie

przekonywało jej jego zdziwienie.

Większość dorosłego, i nie tylko zresztą dorosłego, życia obracała się wśród bandytów, a oni potrafili grać jak mało kto. Nie takie przedstawienia już widziała. Teraz jednak Bogusz już nawet się nie odezwał, a to nie było typowe. Oprychy, które zawsze miały coś za uszami, broniły się do końca, przedstawienie trwało w opór, kurtyna nigdy nie opadała.

Ktoś zapukał do drzwi. Bogusz podszedł i otworzył je od niechcienia, jakby albo wiedział, kto zacz, albo jakby go to w ogóle nie interesowało. Rozwój wypadków wskazywał raczej na tę drugą opcję, gdyż sekundę po tym, jak nacisnął kłamekę, leżał na podłodze pod kolanem Bernarda.

– Co ty z nią, kurwa, robisz? – Bernard rozejrzał się po wnętrzu, próbując odpowiedź na swoje pytanie wywieść ze scenografii.

– Kurwa – syknął Bogusz przez usta rozpląszczone na wykładzinie. – Nic nie robię, dzbanie.

– Bernard, zostaw pana. – Ania wpatrywała się w scenę rozgrywającą się przed nią, zupełnie nie rozumiejąc, co się właściwie dzieje. – On nic mi nie zrobił.

– Ale chciał. – Bernard spojrział na swojego ochroniarza, Pałaka, jakby szukał u niego potwierdzenia dla celowości tego, co przedsięwziął.

– Ale ja jestem, do cholery, chyba dorosła, czy nie? – Ania w końcu się odblokowała. – Puść go natychmiast.

Bernard zwolnił trochę nacisk, ale nie do końca – może bał się teraz retorsji ze strony leżącego pod jego kolanem Bogusza?

– Czyli po chuj się tu z nią zadekowałeś? – zapytał, walcząc ostatkiem sił o utrzymanie sensu swojej interwencji.

– Odpierdol się. – Bogusz wysunął się spod niego, wstał, odskoczył kawałek i złapał za stojący na szafce wazon.

Po chuj wazon w pokoju hotelowym? – zastanawiał się Pałak, jednocześnie automatycznie sięgając pod połę marynarki. Przez chwilę sytuacja zrobiła się patowa, bo Bogusz musiał już coś zrobić z wazonem i ze zniewagą, która go spotkała, a ochroniarz musiał coś zrobić z glockiem, którego posiadanie ujawnił.

– Dobra, kurwa, sorry. – Bernard miał jednak pewne zdolności dyplomatyczne i właśnie teraz ich użył. – Pojebało mi się.

Przez moment sytuacja trwała jeszcze w zawieszeniu, ale powoli, i na szczęście skutecznie, wyciekała już z niej niebezpieczna energia.

– No więc co tu się dzieje? – spytał Bernard Anię, kiedy emocje nieco opadły.

– Nic. – Ania wzruszyła ramionami. – Rozmawiamy.

– Chuja rozmawiamy, zarzuciłaś mi morderstwo rodziców – zachnął się Bogusz, po czym głową wskazał otwarte wciąż drzwi. – A teraz idźcie już sobie. Nie mam czasu, spadam stąd.

Mężczyźni nie popatrzyli na siebie, Ania skinęła głową, ochroniarz schował glocka i wszyscy troje ruszyli do drzwi.

Dopiero na korytarzu Ania przypomniała sobie, po co było całe to zamieszanie. Szybko wyciągnęła telefon i wybrała numer.

Marcin był już teraz w sypialni z ogromnym oknem, za którym rozciągał się widok na kilkuhektarowy teren Filtrów Warszawskich. Przez moment przyglądał się krajobrazowi starego industrialis. Mieszkał w tym mieście tyle lat i nawet nie miał pojęcia, że były tu takie rzeczy. W tylnej kieszeni błyskał mu telefon, który przełączył wcześniej w tryb wyciszenia. Chwilę później, kiedy zaczął przeglądać stojącą w rogu bielizniarkę, wyciągnął wprawdzie telefon, ale tak szybko włączył w nim latarkę, że nie dostrzegł powiadomienia o połączeniu od Ani.

– No to mamy przerąbane – powiedziała, kiedy jakiś czas później wsiedli w końcu do windy.

– Nie przesadzaj. – Bernard się uśmiechnął. – Wyślę mu jakiś gadżet albo ładną dziewczynę i będzie po sprawie.

– Mamy przerąbane, bo Marcin jest u niego na kwadracie. Jak tam pojedzie... – doprecyzowała.

– Wy jednak jesteście pojebani. – Bernard spojrzał w górę.

Dopiero teraz, w ciasnej windzie, ujawnił się lekki komizm sytuacji. Ania, normalnie wyższa od Bernarda o pół głowy, teraz, gdy miała na nogach dwunastocentymetrowe szpilki, przerastała go już prawie o pół ciała. Kiedy trzymali dystans, nie był o to aż tak rażące, ale teraz nawet ochroniarz się uśmiechnął.

– Czego rżysz, zjebie? – Bernard nawet na niego nie spojrzał.

Uśmiech znikł z twarzy mężczyzny.

– Musimy go jakoś zatrzymać, nie wiem... – Ania była zajęta kompletnie czymś innym, kwestia różnicy wzrostu między nią a Bernardem nie zaprzętała jej głowy.

– A co to w ogóle za pojebany koncept jest z tym Boguszem?! – Bernard różnicę wzrostu brał jednak bardzo do siebie. – Nudzi wam się?!

– Zamordowali nam rodziców. – Ania przypomniała Bernardowi to, co i tak wiedział.

– No i? – Mafiozo, który szedł kawałek przed nią, na jej słowa się odwrócił.

– I musimy ich odnaleźć – wyjaśniła.

– Po co? – Bernard, człowiek skądinąd sympatyczny, przynajmniej chwilami i przynajmniej dla mej, akurat empatii nie miał szczególnie rozwiniętej.

– Żeby móc normalnie żyć – skwitowała krótko.

Wyciągnęła telefon i znów wybrała numer do Marcina. Sekundę później usłyszała charakterystyczny dzwonek, a zza stojącej na środku ogromnego lobby palmy wyłonił się jej brat.

– Boże... masz klucze? – Przytruchtała do niego na dwunastocentymetrowych gwoździach, omal nie skręcając sobie przy tym kostek.

Marcin otaksował ją spokojnym spojrzeniem, podał jej klucze i wskazał na coś za jej plecami. Obejrzała się. Przez lobby, nieuchronnie w stronę szatni, zmierzał

Bogusz.

– Znalazłeś coś? – zapytała jeszcze.

Marcin pokiwał głową.

– To raczej nie on.

Ania oddała Marcinowi klucze i ruszyła w kierunku idącego do szatni Bogusza.

– Spróbuję go zatrzymać – rzuciła jeszcze przez ramię.

Marcin obszedł palmę z drugiej strony i skierował się w stronę szatni. Tędy miał dalej niż Bogusz, ale musiał trochę nadłożyć drogi, żeby tamten go nie zobaczył.

– Panie Piotrze?! – zawołała Ania, podchodząc do Bogusza z boku.

– Czego chcesz? – Mężczyzna nawet się nie zatrzymał.

– Przepraszam. – Ania zaszła mu drogę od przodu. – Chciałabym pana bardzo przeprosić.

Stanął i przez chwilę na nią popatrzył.

– Nie było mnie wtedy nawet w Polsce, a twoi rodzice byli moimi najbliższymi przyjaciółmi – powiedział.

– Tak, wiem... ale... – Była tak zdenerwowana, że łzy napłynęły jej do oczu. – My musimy znaleźć... musimy odszukać tego, kto to zrobił, a pan... policja pana podejrzewała i dlatego...

– Domyśliłem się, że dorwaliście się do akt. – Popatrzył na nią, złość powoli go opuszczała. – Policja szukała kompletnie nie tam, gdzie trzeba, poszli po linii najmniejszego oporu, nie ten motyw...

– Rabunek – wtrąciła. – Policja była przekonana, że to był rabunek.

– Właśnie. – Pokręcił głową. – A moim zdaniem tam rabunek był upozorowany, to była jakaś inna sprawa albo kompletny psychol, a takich sytuacji policja unika najbardziej, bo najtrudniej je rozwikłać. Psychol działa albo bez motywu, albo ma motyw tak pojębany, że i tak nikt za nim nie trafi. Rabunek nie, tam tak naprawdę mało co zginęło, mówiłem im to ja i mówił im pani wuj. Nie słuchali, myślę, że nie chciało im się iść w większe komplikacje, i tyle...

– Dziękuję panu bardzo i jeszcze raz przepraszam... – Ania odetchnęła z ulgą.

Bogusz na tyle się rozgadał, że Marcin przez ten czas na pewno zdążył już zrobić, co miał zrobić, czyli wymienić klucze w jego płaszczu.

– Skąd wiesz, że to nie on? – zapytała trochę *pro forma*, bo po rozmowie z Boguszem i wydarzeniach w pokoju hotelowym sama też miała już podobne przekonanie.

– Znalazłem zdjęcia z tamtego czasu, był w jakimś egzotycznym kraju, nie wiem gdzie, ale w chuj daleko, więc wąty z niego sus – odpowiedział.

– No to co? Mógł zlecić. – Ania starała się odgrywać rolę adwokata diabła, a może czujnego śledczego, w którego, chciał nie chciał, musiała się powoli zmienić.

– Znalazłem też jego listy do ojca, oni się naprawdę przyjaźnili, a poza tym notes...

– Notes? – zaciekała się.

– Tak, facet to niezły kot, ma ze sto notesów, w których od trzydziestu lat opisuje każdy dzień – wyjaśnił. – Czternastego listopada napisał tylko: „I co teraz?“, potem

przez tydzień nie pisał nic. Przeglądałem te notesy. To mu się kiedy indziej w ogóle nie zdarzało. Napisał po tygodniu przerwy.

Marcin sięgnął po telefon, chwilę w nim ge nerał.

– „Już po pogrzebie. Straciłem najbliższych. Co mam teraz zrobić?” – Marcin popatrzył na prowadzącą Anię. – Musiałby mieć chyba labotomię, żeby coś takiego odjaniepawlić.

– Lobotomię – poprawiła Ania.

– Co?

– Mówi się lobotomię, a nie labotomię.

– Dobra, już nie fl exuj, profesorka się znalazła.

Ania pokiwała głową. Wszystko to oczywiście nie stanowiło jeszcze bezpośredniego dowodu na to, że Bogusz tego nie zrobił, ale na niej i tak największe wrażenie wywarła jego reakcja na jej zarzut i późniejsza rozmowa. Ludzie nie potrafili aż tak dobrze kłamać. Chyba nie potrafili – pomyślała.

– Czyli co? – Marcin odezwał się po chwili. – Utknęliśmy.

– Nie utknęliśmy, bo nawet jeszcze nie ruszyliśmy – odpowiedziała. – Teraz? Musimy jeszcze raz przejrzeć te akta, może tam coś jest, może trzeba pogadać z policjantem, który to wtedy prowadził.

– Za świetny to on nie był. – Marcin popatrzył przez przednią szybę.

Światła miasta migąły im przed oczami, po chwili zlały się w wielobarwną masę rozproszoną po szybie piórem wycieraczki. Znów zaczęło padać.

Dojechali pod dom przy Potockiej. Ania wcisnęła guzik na pilocie, brama zaczęła się powoli otwierać. W tym momencie podjazd minął samochód, który kawałek dalej zwolnił i w końcu zatrzymał się w zatoczce pod nieodległym blokiem. Z auta ktoś im się przyglądał, ale oni nie mogli tego zauważyć, bo właśnie zaczęli się powoli staczać w dół po stromym wjeździe do garażu.

Siedzieli w ogródku kawiarni na placu Wilsona. Aspirant Nowaczyk przyjechał z komendy na Żeromskiego, w której pracował, oni przyszli z domu na piechotę.

– Jedyne, co zaciekawia, to ten Radom. – Adrian po raz kolejny przeglądał na ekranie tabletu sfotografowane przez siebie strony akt podręcznych sprawy.

– Radom? – Marcin dołączył przed chwilą, więc nie do końca wiedział, o czym rozmawiają.

– Jest notatka. – Ania wskazała na ręczny dopisek na marginesie jednego z raportów. – „Sprawdzić Radom“ – przeczytała.

– Tylko jak się do tego zabrać? Przecież nie pojedziemy do Radomia zapytać, bo nawet nie wiemy o co.

Ania zaczęła teraz przesuwac stronę po stronie, przyglądała się podpisom u dołu pod raportami.

– Feliks Malewski. – Adrian wyprzedził jej pytanie. – Komisarz Feliks Malewski, obecnie już na emeryturze.

Ania pokiwała głową.

– Wbijemy do niego – zaproponował Marcin.

Ania i Adrian spojrzeli na niego równocześnie.

– Wbijemy do niego, gdzie? – Adrian ściał go pytaniem.

– Nie wiem... – Chwilę przyglądali się sobie. – Pomożesz? – Marcin w końcu wyrzucił z siebie pytanie, na które Adrian czekał.

Wiedział, a w każdym razie przeczuwał, że Marcin nie jest jego wielkim fanem, że traktuje go jak klienta Ani. Zważ ywszy na to, że nie godził się z tym, co robiła jego siostra, to logiczną konsekwencją było, że nie darzył aspiranta przesadną sympatią. Adrianowi natomiast nie podobało się to, bo w głębi duszy nie uważał się za klienta Ani – właściwie to bardzo chciał nim nie być.

– Zobaczą, co się da zrobić. – Adrian spojrział na Anię.

Dziewczyna uśmiechnęła się po chwili.

– Zresztą już go trochę sprawdziłem – kontynuował Nowaczyk. – Komisarz Malewski uważany był za dobrego śledczego, może bez jakichś spektakularnych sukcesów, ale ci ze spektakularnymi bywają groźni...

– Bo? – zainteresował się Marcin.

– Bo zdarza się i tak, że za bardzo uwierzą w siebie i własną nieomylność, a od tego już niedaleko do posadzenia niewinnego człowieka pod celę, na przykład na osiemnaście lat.

Marcin pokiwał głową; doskonale wiedział, do jakiego spektakularnego sukcesu policji sprzed lat pije aspirant.

– Dlatego tacy jak Malewski bywają tak naprawdę wyżej cenieni od tych spektakularnych – dokończył Adrian.

– Czyli mieliśmy dobrego i cenionego śledczego, który do niczego nie doszedł, czyli że nie da się dojść. To sugerujesz? – włączyła się Ania.

– Nic nie sugeruję, oprócz tego, że być może spotkamy kogoś sensownego – odpowiedział od razu Adrian. – A to, że do niczego nie doszedł, mogło wynikać z różnych powodów. Policja ma w wielu obszarach związane ręce; może coś wiedział, ale nie miał jak się do tego dostać, może po upływie jakiegoś czasu kazali mu zamknąć sprawę, bo nie znoszą takich wiszących niezawiązanych kokardek.

– Wszędzie to samo – skomentowała Ania. – Jebana biurokracja, jesteście jakimiś, kurwa, więźniami papierków i formatek. Cringe. A gdzie życie? Gdzie emocje, dramaty?

Marcin z Adrianem popatrzyli na siebie zdziwieni. Ostatnie zdarzenia musiały chyba zrobić na Ani wrażenie, bo zachowywała się zupełnie jak nie ona.

– Dziękuję ci. – Ania pocałowała Adriana w policzek na moment przed tym, jak miała się zamknąć winda.

On zablokował nogą drzwi i popatrzył na nią, a w jego spojrzeniu był znak zapytania.

– Okej, przedłużę ci bonifikatę – zażartowała.

– Nie chcę bonifikaty – odpowiedział, nieskory w tym momencie do żartów.

– A czego chcesz? – zapytała trochę impertynencko, a jednocześnie trochę kokieteryjnie i delikatnie.

Właśnie to uwodziło go w niej najbardziej. Owa niejednoznaczność i to, że nie było takiej siły, by ktokolwiek mógł sobie wykształcić choćby zarys pomysłu na to, co Ania myślała w danym momencie. Do tego dochodziła jeszcze ta jej totalna nieokreśloność emocji, rodzaj nieobecności, a jednocześnie twarde stanie na nogach w każdej sytuacji.

– Jutro wieczorem – stwierdził tylko.

– Jutro wieczorem co? – zapytała, patrząc przez niego na wylot.

– Jutro wieczorem kolacja. – Uśmiechnął się, bo ucieszyło go, że jednak była i uczestniczyła w rozmowie, choć patrzyła na kogoś, kto chyba stał za nim.

– Niech ci będzie. – Pokiwała głową, odchodząc już w stronę drzwi do mieszkania.

Drzwi frontowe – pod które dotarli po sforsowaniu wcześniej furtki ogrodowej przy pomocy nabytej w sierocińcu umiejętności pokonywania zamków tym, co akurat miał o się pod ręką – wyglądały, jakby nikt nie otwierał ich od wielu lat. Jako że podobnie wyglądała sforsowana furtka, powoli nabierali przekonania, że albo trafili pod niewłaściwy adres, albo komisarz Malewski zmarł jakiś czas temu, zapomniawszy poinformować o tym kogokolwiek. Ania popatrzyła na Marcina, po czym nacisnęła stary ebonitowy guzik z jakże sugestywnym napisem „DZWONEK“. Nic się nie wydarzyło. Marcin przyłożył ucho do sklejki pokrytej spękany lakierem i skinął głową. Ania ponownie nacisnęła guzik, on oderwał ucho, pokręcił głową, po czym zapukał raz, a po chwili drugi i kolejny. Za drzwiami nadal nie działo się nic.

– Idziemy? – zapytała.

Marcin znów pokręcił głową, zszedł z postumentu schodków prowadzących do wejścia i ruszył na drugą stronę okolonego zapuszczoną zielenią domku. Budynek nie wyglądał wprawdzie na szczególnie dogładany, ale gdyby był pustostanem, to prawdopodobnie wyglądałby jeszcze gorzej. Wciąż był więc cień nadziei. Na tyłach tej na oko osiemdziesięcioletniej willi znajdował się obszerny taras z obłupanym tynkiem i starymi kafłami, które leżały na swoim miejscu już chyba wyłącznie dzięki grawitacji. Marcin wszedł na balkon, na którym stały stare donice i spłowiwały, spróchniały leżak, jakby żywcem wyjęty z *Rejsu* Piwowskiego. Podszedł do zasnutej mgłą kilkudziesięcioletniego niemycia szyby i zajrzał do środka. Jakież było jego zaskoczenie, gdy przy przeciwległej ścianie dostrzegł odbijającą się w czymś błękitną lunę telewizyjnego obrazu.

– Kurwa – powiedział sam do siebie.

– Tutaj nie używamy słów powszechnie uważanych za obelżywe. – Niski, zmęczony niezdrowym trybem życia i troskami głos dobiegł do jego uszu gdzieś z mroku.

Marcin gwałtownie oderwał twarz od szyby i zaczął nerwowo wodzić oczami wokoło.

– Coś wam tu zginęło? – przemówił znów głos.

Teraz dostrzegł jego właściciela. Twarz pokryta gęstą siatką niewielkich, ale dość głębokich zmarszczek objawiła się w okienku piwnicznym znajdującym się pod poziomem tarasu.

– Nie... – Marcin się zamotał.

– Nic nam tu nie zginęło, ale zginęli nam rodzice i przyszliśmy po pomoc – wyręczyła go Ania, która okazała się odporniejsza na tę sytuację, która była jak cytat z jakiegoś pośledniego, koreańskiego dreszczowca.

– A, to wy? Od tego młodego z Żeromskiego. – Twarz ożywiła się na tyle, że pajęczyna zmarszczek zaczęła się poruszać. – Ale mieliście być we wtorek.

– Dziś jest wtorek, panie komisarzu. – Ania pokiwała głową.

– No w sumie możliwe, ja ostatnio zbytnio tego nie śledzę. – Okienko się zamknęło i ostatnie słowa dobiegły już przytłumione, jakby ze studni.

Marcin popatrzył na Anię i wzruszył ramionami. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby ich spotkanie na tym się zakończyło. Komisarz sprawiał wrażenie człowieka, który równie dobrze jak o tym, że dziś był wtorek, mógł zapomnieć, że przed sekundą z nimi rozmawiał.

Mylił się jednak, bo już trzy minuty później drzwi prowadzące na taras otworzyły się ze skrzypnięciem i komisarz Malewski stanął przed nimi w całej krasie, czyli w szlafroku obwiązanym paskiem od spodni.

– No co tak stoicie? Przyszłście gadać czy stać pod tują? – zapytał i schował się z powrotem w domu, zostawiając za sobą odsunięte drzwi na taras.

Słowo „odsunięte” dobrze ilustrowało sytuację – drzwi były już prawdopodobnie od dawna wyrwane z zawiasów. Teraz otwarcie ich sprowadzało się właśnie do odstawienia na bok od ramy, w której osadził je niegdyś jakiś zapewne zdolny stolarz, i oparcia o ścianę obok.

– No to czego się napijecie? – zapytał komisarz, kiedy usiedli na kanapie ze skóry spękanej jak afrykańska sawanna w porze suchej.

– Ja dziękuję – odpowiedziała szybko Ania.

Wołała nie ryzykować, a jednocześnie miała świadomość, że jedno z nich musi skorzystać z zaproszenia i stąd wynikał jej pośpiech.

– Ja chętnie. – Marcin spojrzał na nią i pokręcił głową. – Ma pan kawę?

– Nie. – Malewski był tak samo szybki jak Ania. – Mam alkohol.

– A to nie, samochodem jestem – skłamał Marcin, bo nie on przecież siedział za kierownicą, gdy tu przyjechali.

– Siostra przyjechała, siostra odjedzie. – Komisarz uśmiechnął się, ukazując żółte zęby.

Młodzi popatrzyli po sobie zaskoczeni. Nie mogli go rozgryźć. Malewski początkowo nie wiedział nawet, kim są, a tu się okazuje, że wiedział nawet w jakiej konfiguracji przyjechali, co było dziwne także i dlatego, że samochód zatrzymali dobre kilkadziesiąt metrów od jego willi. Nie zrobili tego zresztą z rozmysłem – po prostu mieli problem z odnalezieniem numeru.

– A z alkoholi to jakie ma pan do wyboru? – Marcin uznał, że nie będzie teraz wnikał w to, co Malewski wiedział, a czego nie wiedział, co udawał, a co było prawdą.

– Wódkę. – Komisarz znów odpowiedział stanowczo i do tego nieomal szybciej, niż usłyszał pytanie, po czym dodał dla złagodzenia początkowego wrażenia: – Kolorową i białą.

– To kolorową poproszę – odpowiedział Marcin po chwili wahania.

Nie miał pojęcia, na co się decyduje, przyszło mu tylko do głowy, że może kolorowa będzie czymś nieco rozrzedzona. Nie był miłośnikiem wysokoprocentowych

alkoholi, a wódki nie lubił wyjątkowo. Początkowe drobne poświęcenie się, polegające na wypiciu kawy, której, jak się okazało, nie było, teraz nagle zmieniło się w ukrzyżowanie na ołtarzu sprawy. Ania popatrzyła na niego i omal nie wybuchła śmiechem, co rozsierdziło go jeszcze bardziej. Po chwili jednak, kiedy kolorową wódką okazał się być osiemnastoletni szkocki single malt, Ani, która maniakalnie wręcz lubiła whisky, przestało być do śmiechu. Jak to nigdy nie wiadomo, co z czegoś może wyniknąć – pomyśleli teraz oboje w tym samym momencie. Byli rodzeństwem, bardzo silnie ze sobą związanym, więc takie przypadki myślenia równoległego zdarzały im się całkiem często.

– Czyli? – zapytał Malewski, oblizując usta i wciągając w nozdrza lekką nutę dębowych beczek. – Co konkretnie?

– Co konkretnie? – Marcin odbił pytanie jak echo, albowiem go nie rozumiał.

– Co konkretnie chcecie wiedzieć? – Komisarz spojrział na niego zaskoczony.

Jego zdziwienie wynikało z pewnej przypadłości, która zresztą od zawsze nastroczała mu mnóstwa problemów. Myśli i refleksje przeważnie wyprzedzały bieg wydarzeń, wyglądało to trochę tak, że był o minutę, a czasem – gdy otoczenie nie miało przesadnie wysokiego ilorazu inteligencji – o więcej niż minutę przed wszystkimi. Nie przepadali za tym jego koledzy z wydziału, którzy często właśnie zaliczali się do grupy niezbyt lotnych. Marcin nie miał problemu z lotnością umysłu, więc tylko się uśmiechnął.

– Chcielibyśmy wiedzieć, jakie były tropy w tamtej sprawie i... – Marcin się zawahał.

– ...co oznacza w aktach „sprawdzić Radom“ – dopowiedziała Ania.

– I czy ktoś to sprawdził? – Marcin nie znosił, kiedy siostra dopowiadała.

Komisarz pokiwał głową. Przez chwilę się namyślał. Wyglądało to trochę tak, jakby dysk komputerowy przeprowadzał wyszukiwanie na podstawie jakiegoś wpisanego w okienko hasła. Malewski wprawdzie nie wydawał z siebie szumu jak studzący dysk radiator, ale za to lekko sapał. To zresztą działa się, odkąd weszli do willi, więc może nie było związane z procesem wyszukiwania, a bardziej, na przykład, z anginą pectoris.

– Tropy, tropy... – odezwał się w końcu, patrząc w okno. – Od początku uważałem, że ten rabunek to była zasłona dymna, lewe sanki...

– To czemu to nigdzie nie pada w papierach? – zdziwił się Marcin.

– Bo w papiery nie pisze się tego, co się uważa, tylko to, na co są kwity, jakiegokolwiek kwity. – Malewski znów się zamyślił.

Przez chwilę milczeli, żeby nie zakłócać jego skupienia.

– Nie mogłem wpisać w raport, że uważam, że to zrobił pojeb, bo nikogo nie obchodzi, co ja uważam, rozumiecie? – Nagle przeniósł wzrok zza okna, za którym i tak zresztą nic nie było widać, bo pokrywający szyby brud był jak gęsto utkana firana, albo jak dymione szyby w przychodni rejonowej.

Ania pokiwała głową, ale raczej po to, żeby nie wytrącić go z rytmu, niż po to, żeby cokolwiek potwierdzić. Marcin nie zareagował. Czekał. Dla niego to, że prowadzący sprawę nigdzie nie umieścił swojej hipotezy śledczej, tylko dlatego, że

nie byłaby ona podparta dowodami, było trochę dziwne. Marcin był młodszy od Ani, a więc jego umysł był jeszcze mniej otwarty na kwestię oportunistów od jej, choć i ona nie była mistrzynią w tej dziedzinie. Zasadnicza różnica między nimi polegała zresztą na czymś jeszcze innym. Ania była bardziej zadaniowa, skupiała się na celu, on utykał w niezgodzie na jakiegokolwiek logiczne niezborności, które wynikły po drodze. Generalnie, kiedy pomyślał o tym teraz, tworzyli we dwójkę całkiem dobry team dochodzeniowy: ona zadania i horyzont, on szczegóły i patrzenie pod nogi.

– Ale jednak w pewnym sensie wpisałem – odezwał się po chwili Malewski, wrywając Marcina z zamyślenia. – Stąd właśnie wiecie o Radomiu. – Na twarzy komisarza odmalował się uśmiech. – Zresztą rabunek też był, a w każdym razie przetrząśnięcie wszystkiego bardzo szczegółowo – dopowiedział po chwili. – Tylko może bardziej niż o pieniądze chodziło o jakieś dokumenty. Dlatego przycisnęliśmy tego współnika, jak mu tam...

– Bogusza – uzupełnił Marcin.

– Tak, tego Bogusza, ale to nie on. Gdyby to był on, siedzieliby i tyle, przetrzepaliśmy go wtedy równo. – Malewski znów patrzył w okno.

– My też – pochwaliła się Ania.

Marcin skarcił ją wzrokiem, a Malewski, który zobaczył to w odbiciu w oknie, przez które nic nie było widać, uśmiechnął się do siebie.

– A jakieś inne hipotezy? Jakies ślady? – Ania postanowiła wykorzystać moment.

– Śladów było mało, ten ktoś znał się na rzeczy. – Malewski wysilił pamięć. – Znaleźliśmy chyba jeden odcisk stopy, żadnych odcisków palców ani śladów DNA, pobraliśmy zapachowe, nawet sprawdziliśmy nimi tego Bogusza, ale to nic nie dało, pies nie pociągnął.

– Nieźle pan to wszystko pamięta – zdziwiła się Ania.

Malewski pokiwał głową.

– Bo pamiętam was – powiedział nagle i niespodziewanie.

– Słucham? – zdziwiła się Ania.

– Pamiętam was z wtedy. – Komisarz dolał single maltu do swojej szklanki. – Z tamtej nocy. Siedzieliście w moim samochodzie. Nie wiedziałem, co wam powiedzieć, cholernie nie wiedziałem.

* **

Deszcz na przedniej szybie przecierany miarowo wycieraczką, silnik pracujący z cichym stukotem, szum dmuchawy, ciepło, a mimo to przenikliwe, ale chyba nie od temperatury, tylko od tego widoku sprzed godziny, może sprzed dwóch. Marcin cicho płacze, ona gładzi go po głowie. Nie wie, co powiedzieć, nikt by nie wiedział. Z przodu policjant po cywilnemu, ten, który pytał, czy są głodni.

* **

– Pytał nas pan, czy jesteśmy głodni? – Ania patrzyła na jego dłonie pokryte plamami wątrobowymi. Wtedy jeszcze takie nie były.

Malewski pokiwał głową.

– To był o jedyne, co mi przyszło do głowy. Czekaliśmy na psychologa, potem na tę waszą ciotkę. – Zamyślił się.

– Co z tym Radomiem? – Marcin nerwowo wrócił do tego, od czego zaczęli.

On nie chciał już tych wspomnień, a wspominali też często równolegle, jakby w dwugłosie, więc deszcz, dmuchawa, chłód, jego płacz, wcześniej tamto. Wszystko to zobaczył i poczuł znów przed momentem, a bardzo nie chciał tego widzieć ani czuć.

– Strasznie chci ałem rozwiązać tę sprawę – ciągnął jednak swoje Malewski. – Strasznie. Ale się nie dało, same ślepe tropy albo lewe sanki. Psychopata, tyle wiedziałem, ale psychopatów jest na pęczki, więc to było trochę za mało na hipotezę.

Przez chwilę było cicho, jak wtedy w samochodzie, tylko z cykaniem zegara zamiast stukotu silnika.

– Musiał tam być długo, a zarazem zachowywać się cicho, bo cię nie obudził... – Komisarz spojrzął na Anię. Wtedy była dzieckiem, teraz kobietą. – Pani nie obudził – poprawił się. – Dopiero krzyk, a wtedy... już było po wszystkim.

– Styka! – Marcin wstał od stołu i ruszył w stronę drzwi przytkniętych do framugi. Nie chciał tego, chciał iść do domu, do sierocińca, gdziekolwiek, byleby nie musieć już tego słuchać.

– A Radom? Trochę podobna sprawa: dwoje rodziców zginęło, trójka dzieciaków została, też trafiły do domu dziecka, tak jak wy. Tak, ten Radom mi dodatkowo potwierdził, że to psychol, ale nie było jak się stamtąd dalej odbić. – Malewski zorientował się, że poszedł za daleko, i odpuścił. – Pan usiądzie. Papierosa?

Komisarz wyskubał z kieszeni paczkę krótkich cameli. Skąd ją wziął, skoro nie produkowali ich już z piętnaście lat? Nie miało znaczenia. Marcin wyciągnął dłoń. Zapalili.

– Co to znaczy, że nie było jak się odbić? – zapytał po chwili.

– No ktoś wyczyścił ślady, zresztą tam w tym Radomiu to wyglądało trochę inaczej. – Komisarz wpatrywał się w dno pustej znów szklanki, tak jakby to tam spodziewał się znaleźć ślad wspomnienia z tamtego czasu. – Nie pamiętam już dokładnie, coś pasowało do waszej sprawy, a coś nie.

– Czemu pan nie znalazł zabójcy? – Ania powróciła do rozmowy bardzo konkretnie.

– Utknęliśmy, nie było za bardzo ruchu, można było pociągnąć wątek tego Radomia, może jeszcze innych spraw, ale wtedy musieliby oddelegować do tego zespół. Diety, koszty, wyjazdy, poza tym wielu ludzi zajmujących się jedną sprawą. – Malewski wyraźnie próbował się tłumaczyć.

– Jedną sprawą bestialskiego mordu na dwójce ludzi, a jeśli wliczyć Radom, to nawet na czwórce, to nie wystarczyło? – Marcin znów był bezkompromisowy.

– Dużo jest bestialskich mordów, a śledczych mało. Jak nie ma wykrycia po roku czy półtora, sprawa przechodzi do lamusa, taka kolej rzeczy. Potem czasem ci

z Krakowa jeszcze coś wydłubią po latach – wyjaśnił Malewski ze spokojem i pewnym rodzajem rezygnacji.

On też nie był zadowolony z tego, że kazali mu porzucić to śledztwo, tym bardziej, że przecież obiecał sobie wtedy rozwiązać je ze względu choćby na tych dwoje. Dziś nie miał już na to kompletnie energii, plamy wątrobowe na dłoniach robiły swoje, ale wtedy... wtedy był porządnie wkurwiony.

– Pojedzie pan z nami...? – Ania patrzyła na niego przenikliwie. – Do tego Radomia. Sami do niczego się nie dokopujemy.

– A mam wyjście? – Komisarz pomyślał, że jednak skądś będzie musiał wygrzebać jeszcze trochę tamtej energii.

– Nie. – Ania się uśmiechnęła.

Dwa dni póź niej jechali jej samochodem. Jako że był o po czym, bo do Radomia dochodziła już droga szybkiego ruchu, to Ania nie oszczędzała na paliwie. Malewski z początku trochę się denerwował – chyba nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się jechać samochodem pod dwieście na godzinę – ale z czasem uznał, że istnieją gorsze sposoby na odejście z tego świata od śmierci w wypadku samochodowym, więc wyluzował.

– A tamte dzieciaki, gdzie trafiły po śmierci rodziców? – Marcin nie marnował czasu.

– Nie pamiętam, zresztą to akurat z punktu widzenia śledztwa nie miało wtedy większego znaczenia. – Malewski nie był chętny do rozmowy na ten temat; po chwili z wyjątkową szczerością wyjaśnił dlaczego. – Ja to nawet trochę się bałem spotkać z kolejnymi młodymi ludźmi, którzy stracili rodziców w podobnych okolicznościach jak wy. Kiedy zdarzyła się ta wasza sprawa, robiłem w policji już chyba dwadzieścia pięć lat albo coś koło tego, w zabójstwach co najmniej dziesięć, a nie pamiętam, żeby coś mnie tak zmieliło jak to.

– Dziwne, że nie dowiózł pan sprawy do końca. – Marcin był nieubłagany.

– A nie dziwi cię, że z wami jadę, osiem lat po tym, jak odszedłem z tego bałaganu? – wypalił celną ripostę komisarz.

Lubił młodych ludzi, a wobec tej dwójki miał szczególny dług, ale już jakiś czas temu zauważył, że byli inni niż dawniejsi młodzi. Przy czym nie chodziło mu nawet o tych młodych, do których on się zaliczał, kiedy był młody. Sformułowania „za moich czasów“ wystrzegał się całe życie jak ognia, bo żył w przekonaniu, że kiedy po raz pierwszy go użyje, to będzie oznaczało definitywne pogodzenie się z faktem własnego stetryczenia. Zauważył jednak, że pokolenie Z było trochę inne od swoich poprzedników. Było w nich jakieś roszczenie, rodzaj asertywności, który trochę grał mu na nerwach, acz z drugiej strony rozumiał, że muszą być właśnie tacy, bo tylko w ten sposób zdołają wyrwać choćby kawałek z tortu tak zwanego dobrego życia, które rozdzielały między siebie poprzedzające ich roczniki. Do jakiegoś momentu tort był na tyle duży, że wszyscy kolejni wciąż mieścili się przy stole dobrostanu, jednak gdzieś na przełomie tysiącleci nagle się okazało, że wszystkie stanowiska, synekury, etaty, placówki i funkcje zostały rozdzielone i nagle ci młodzi ludzie kompletnie nie mieli co ze sobą zrobić. Tylko twarda skóra i czasem właśnie owa bezczelna asertywność mogły im pomóc ocaleć w świecie. Tych dwoje miało zresztą jeszcze znacznie trudniej niż ich rówieśnicy, którym ktoś po drodze nie zamordował rodziców. Dlatego też, choć mocno go to frapowało, nie zapytał Ani, skąd miała pieniądze na auto warte trzysta tysięcy złotych. O tym, że było leasingowane i to na firmę Bernarda, choć raty leasingowe płaciła Ania, wiedzieć na tym, dość jednak początkowym etapie ich znajomości, nie mógł.

Po ostatniej wypowiedzi Malewskiego Marcin jednak trochę odpuścił i przez kilka minut jechali w milczeniu, kontemplując długą i prostą jak strzełił drogę biegnącą w otoczeniu wysokich drzew.

– Stara krakowska też tędy leciała. – Komisarz, który teraz trochę się martwił, czy przypadkiem nie przesadził, odezwał się jako pierwszy. – Te drzewa...

Młodzi pokiwali głowami, Ania delikatnie się uśmiechnęła. Termin „stara krakowska“ nie mówił im zbyt wiele.

– Radom stracił województwo, chyba na pocieszenie dali im tę komendę wojewódzką. – Malewski brnął w starocie. – W Warszawie jest druga. Czyli mazowieckie jako jedyne województwo ma dwie komendy wojewódzkie. Może na szczęście utrzymali im tę komendę, dzięki temu jest szansa, że akta tamtej sprawy jeszcze tam będą. W Warszawie dawno by je zutilizowali albo zgubili.

Akta rzeczywiście były. Co więcej, był też razem z nimi niejaki podkomisarz Piotrkowiak, który okazał się na tyle młody, że wciąż jeszcze pozostawał czynnym dochodzeniowcem, i na tyle stary, że przy tamtej sprawie zdobywał swoje pierwsze szlify.

– Pamiętam, jak pan wtedy do nas przyjechał. – Odkąd pół godziny wcześniej się z nim spotkali, Piotrkowiak w ogóle nie zauważył młodych, natomiast Malewskiego traktował z wyjątkową rewerencją.

Ania popatrzyła porozumiewawczo na Marcina.

– To był dla mnie wtedy zaszczyt, naprawdę jakbym co najmniej Borewicza spotkał – kontynuował Piotrkowiak. Mówiąc to, balansował na drabince pamiętającej chyba jeszcze czasy słusznie minionej Milicji Obywatelskiej, usiłując odnaleźć ć skoroszyt z aktami sprawy, o której rozmawiali wcześniej. Drabinka kolebała się niebezpiecznie na wszystkie strony. Czas mocno wypaczył sosnowe drewno, z którego była zrobiona.

– Niech pan nie przesadza. – Malewski przytrzymał drabinkę, w ostatniej chwili ratując podkomisarza Piotrkowiaka przed upadkiem na lastrykową posadzkę.

– Serio, wojewódzki zapowiadał pana przyjazd, zrobił nam całą pogadankę. – Piotrkowiak z wrażenia nawet nie dostrzegł, jak niewiele dzieliło go od połamania kończyn.

Ogólnie nie był to policjant z amerykańskiego filmu ani nawet z serialu. Kiedy patrzyli na niego, Ania zastanawiała się nawet przez chwilę, jak to możliwe, że ten facet tak długo utrzymał się w tej skądinąd niebezpiecznej pracy.

– Ja to raczej w teren nie jeździłem. – Piotrkowiak przypadkowo wyjaśnił jej wątpliwość. – Tę sprawę znam tylko z tych cholernych akt... Kurwa, gdzie to jest?

Podkomisarz wyciągnął się tak trzcina, drabinka zaskrzypiała i teraz zaasekurowali ją już we troje; przy okazji młodzi dostrzegli, że Malewski jest na krawędzi wybuchnięcia śmiechem. Gdyby nie jej głębszy kontekst, sytuacja byłaby naprawdę dość komiczna. Chudy jak szczapa policjant, śledczy z wydziału zabójstw i terroru kryminalnego, który, gdyby nie oni, mógł się już dziś ze trzy razy zabić. Naprawdę nie wyglądało to najlepiej.

– Mam, kurwa! – Piotrkowiak wybuchł niepohamowaną radością. – Wiedziałem,

że to musi gdzieś tu być.

– Ale to są inne lata – zauważył Malewski, patrząc na kartkę, przyklejoną Skoczem do ramy regału.

– Dlatego tylko ja umiem to znaleźć. – Zadowolony z siebie Piotrkowiak schodził z drabiny, sypiąc na nich wieloletnim kurzem.

– Nie łatwiej byłoby trzymać to tam, gdzie te lata powinny leżeć? – zasugerował Malewski.

– Te lata zalało nam z rok temu. Rura pękła, ja ratowałem, więc wiem, gdzie, co i jak. – Piotrkowiak podał komisarzowi grubą teczkę obwiązaną sparciałą tasiemką.

Z akt podręcznych, do których przeglądania usiedli, wynikało, że do zabójstwa doszło pół roku przed zamordowaniem ich rodziców. Tutaj sytuacja faktycznie była nieco inna. Mord nosił znamiona rytuału. Oboje rodzice byli ułożeni koło siebie, oboje mieli poderżnięte gardła. Z autopsji wynikało, że prawdopodobnie podcięto je stłuczoną butelką, może szklanką albo jeszcze czymś innym. W ranach na szyi patomorfolog odkrył drobinki szkła, ale narzędzia zbrodni nigdy nie znaleziono. Na ścianach ktoś wyrysował krwią ofiar jakieś dziwne znaki, ale nikt nie potrafił ich zinterpretować. Do zabójstwa również doszło w nocy, w domku jednorodzinny stojącym na obrzeżach miasta. Tu jednak dzieci nie obudziły się w ogóle. Dopiero kiedy zeszły rano na parter, znalazły martwych rodziców.

– Trzy córki, co rok prorok – skomentował Piotrkowiak.

– Słucham? – zdziwił się Malewski, który przepatrywał już akta w poszukiwaniu podobieństw do ich sprawy.

– No, trzy dziewczyny urodzone rok po roku – wyjaśnił tamten. – Teraz mają już po dwadzieścia kilka lat. Tak myślę.

– Mieszkają gdzieś tu, w Radomiu? – zapytała Ania.

– Nie, z tego co wiem, trafiły razem do domu dziecka w Białymstoku. Jak z niego wyszły, miasto im pomogło, teraz chyba gdzieś tam mieszkają. – Piotrkowiak zamyślił się na chwilę. – Tak, Białystok, nawet komenda się z nimi kontaktowała, żeby poinformować o zamknięciu sprawy...

– ...bez wykrycia sprawcy – odpowiedział Malewski.

Podkomisarz po chwili pokiwał głową ze smutkiem.

– Znaleźliśmy jeszcze jedną podobną sprawę z poprzednich lat, ale teraz już nie ustalę, w KSIP-ie trzeba by poszukać. – Popatrzył na nich. – No a potem była ta wasza, to znaczy ta państwa, sprawa w Warszawie.

– Ta w Warszawie była trochę inna – skomentował Malewski. – Nie było rytuału, była bardziej pospieszna, jakby po łebkach. – Spojrzał na rodzeństwo i dodał: – Przepraszam...

Ania pokręciła głową. Nie czuła się urażona, złapała się nawet na tym, że w miarę jak zagłębiali się w to wszystko, powoli traciła osobistą perspektywę. Zaczynała tę sprawę traktować jak łamigłówkę, którą trzeba było rozwiązać, a nie jak wydarzenie, które zламаło jej i Marcinowi życie. Może zresztą tak było lepiej. Czy nie temu, żeby

się właśnie z tego wyzwolić, służyło to wszystko?

– A co to były za znaki? – Ania wzięła do ręki wydruk kolorowej fotografii ściany, na której widać było ociekające krwią kreski ułożone w jakieś mało konkretne kształty.

– Wtedy v/ ogóle nie widziałem tego w aktach – zdziwił się Malewski. – W każdym razie nie pamiętam, a raczej bym pamiętał.

– A badaliście tamtą sprawę? – zapytał Marcin, który do tej pory wertował papiery z teczki. – Tu jest wzmianka o tamtej sprawie, że to się wydarzyło w Rawie, ale nic poza tym.

– Tak, byłem w Rawie, me pamiętam już szczegółów, ale sprawa była dość podobna.

– Czemu ja nic o tym nie wiedziałem? – zdziwił się Malewski. – Nie widziałem napisów, nie wiedziałem o Rawie.

– Nie umiem panu powiedzieć, może te wątki pojawiły się później. – Piotrkowiak był wyraźnie skonfundowany. – Ale... Chcieliśmy nadać temu status serii, wtedy by poszły większe środki, nie mogliby tego tak łatwo umorzyć. Niestety, ktoś to wtedy podważył, chyba zmienił się akurat główny w Warszawie. Nie pamiętam. W każdym razie sprawa ugrzęzła i potem... potem było już tylko to umorzenie.

– Ustali pan dla nas adres tych dziewczyn w Białymstoku? – zapytała Ania.

– Nie powinienem, szczególnie teraz, jak weszło RODO i te inne głupoty. – Piotrkowiak próbował się bronić, ale był bez szans.

Powłóczyście spojrzenie dziewczyny, fakt, że w końcu przecież chodziło o jej rodziców, do tego autorytet Malewskiego, to wszystko razem komasowało się w siłę, której nie mógł nie ulec.

– Postaram się, ale pod warunkiem, że jak do nich traficie, nie ujawnicie, skąd macie adres. – Popatrzył na Anię na tyle stanowczo, na ile zdołał, czyli nieprzesadnie.

– Spoko. – Marcin miękko uciął jego obiekcje.

– Sfotografujemy te akta. – Malewski wyciągnął telefon. – Te zdjęcia.

Piotrkowiak, dla którego tego było już trochę za wiele, zerknął na niego i ruszył w stronę drzwi.

– Muszę iść za potrzebą, nic nie wiem, nic nie widziałem – rzucił przez ramię, wychodząc.

Akta radomskie, między innymi dlatego, że jednak próbowano tę sprawę łączyć z pozostałymi, były znacznie obszerniejsze od akt podręcznych Malewskiego, które wydobył dla nich wcześniej aspirant-absztyfikant Adrian Nowaczyk, ale z pobieżnej lektury wynikało, iż ilość i tutaj nie przeszła w jakość. Podstawowa różnica polegała na innej hipotezie śledczej. O ile w przypadku zabójstwa, do którego doszło w ich domu, na podstawie śladów i ustaleń można było rzeczywiście wysnuć teorię o motywie rabunkowym, to w przypadku zbrodni radomskiej ten motyw raczej nie wchodził w rachubę. Rodzice trzech dziewczyn byli ludźmi żyjącymi nieomal na skraju ubóstwa; on był taksówkarzem, ona zajmowała się domem i środków starczało im na to, żeby dzieci nie chodziły głodne, ale na pewno nie na to, żeby zgromadzić w domu jakieś kosztowności.

– Czyli psychol – skonstatował Marcin, kiedy w końcu po kilku godzinach wyszli z komendy.

– Tak jak mówiłem, teraz te krwawe napisy jeszcze to zresztą potwierdzają, tyle że nie mamy pewności, że to ten sam sprawca. U was napisów nie było. – Malewski pokiwał głową.

Tymczasem ich rozmowie znów przyglądał się ktoś z oddali. Nie wiedzieli o tym, ale Ania miała poczucie dziwnego dyskomfortu, jakby czegoś wokoło było za dużo, jakby ktoś w otaczającą ich rzeczywistość włożył coś nadmiarowego. Kij, który powodował, że mrowisko harmonijnie ułożonych cząsteczek poruszało się inaczej niż zwykle.

– Czemu stoisz? – zapytał Marcin, kiedy doszli do samochodu, a ona na moment jakby zapomniała, co należało dalej zrobić.

– Coś mi tu nie hula – odpowiedziała.

– Tu, czyli w sprawie, czy co? – zapytał zaskoczony.

– Tu czyli tu. – Ania dotknęła klamki i samochód posłusznie się otworzył.

– Rasowa śledcza – mruknął pod nosem Malewski, uśmiechnął się z bardzo delikatną dozą sarkazmu i wgramolił na tyle siedzenie samochodu.

Czym jest intuicja? – zastanawiał się chwilę póź niej, kontemplując krajobraz przedmieść Radomia. Rodzaj większej spostrzegawczości, jakaś nadinteligencja, która pozwala asocjować dostępne elementy na tyle szybko, że rozum nie jest w stanie nadążyć za tą analizą i sam, czując się zagubiony, sięga po interpretacje nadprzyrodzone? Czy może jednak rzeczywiście jest to jakiś dar, którego tak zwana nauka nie jest w stanie zinterpretować, przynajmniej na obecnym etapie swojego rozwoju? Może rzecz tkwi w kwantach, które migrują szybciej niż czas?

– O czym pan myśli? – Ania przekręciła wsteczne lusterko tak, żeby widzieć jego twarz.

– O ... – Malewski zawahał się przez moment – O tym, że wtedy nie poszedłem śladem swoich przeczuć.

– Coś więcej? – zapytał Marcin.

– Psychiatryki, może jakieś ucieczki w tamtych okresach, jakiś pacjent, który wychodził wtedy na przepustki. W ogóle powinniśmy byli wówczas zatrudnić konsultanta, może profilerę ze specjalizacją z chorób psychicznych. No bo jeśli to nie był rabunek, jeśli te inne zabójstwa się ze sobą łączą, to mieliśmy do czynienia z jakimś naprawdę porządnym wykrętem – rozgadał się komisarz.

– Mieliśmy czy może mamy? – Ania znów rozpędziła auto do prędkości nadświatłowej.

– Nic mi o tym nie wiadomo, żeby później wydarzyło się jeszcze coś podobnego, chyba na tej waszej sprawie się skończyło. – Malewski już kończąc zdanie, zdał sobie sprawę, że podkłada się rzutkiemu Marciniowi.

– Chyba? – Pytanie od chłopaka przyszło jednak szybciej, niż się spodziewał.

Komisarz wzruszył ramionami. Sprawę kazali mu zawiesić jakieś dwa lata po tamtych wydarzeniach. Do tego momentu nic o podobnym modus operandi nie zdarzyło się ponownie, ale upłynęło w końcu ponad osiem lat.

– Chyba – powiedział komisarz cicho i spojrzał w lusterko.

Ania uśmiechnęła się w odbiciu, a w jej uśmiechu dostrzegł wyrozumiałość. Na szczęście nie widzę twarzy jej brata – pomyślał i na wszelki wypadek wyrzwał za okno.

Kiedy dojechali do domu, zadzwonił wujek Zygmunt. Na następny dzień w południe umówił spotkanie z notariuszem, chciał już koniecznie przekazać im wszystko to, co miał do przekazania. Im się wprawdzie wcale z tym nie spieszyło, ale wuj był, jaki był. Wszystko musi albo być dokładnie tak, jak miało być. Marcin wprawdzie nie skończył jeszcze osiemnastu lat – brakowało dwóch miesięcy – ale wyszedł z sierocińca, czyli oboje stali się niezależni, a dla Zygmunta oznaczało to, że nadszedł czas przekazania tego, co dla nich przygotował. Może chodziło też zresztą i o to, że był to jednak rodzaj prezentu, bo spadek po rodzicach, dzięki różnym giełdowym i pewno nie tylko giełdowym machinacjom, udało mu się potroić i był z tego bardzo dumny. Poza tym prawdopodobnie miał jednak poczucie winy, że zamiast wziąć ich wtedy do siebie, skazał na pobyt w tym dziwnym miejscu, w którym nie byli szczęśliwi. Rodzice nie spisali testamentów, żadnemu z nich nie przyszło to do głowy. Oboje byli w kwiecie wieku, nie chorowali, po co więc pisać, po co kusić los. Niestety los skusił się sam i zamiast testamentu zadziałało prawo. Wujek był najbliższym krewnym rodziców, oprócz nich oczywiście, ale oni, mając dziesięć i osiem lat, nie mogli przyjąć spadku, więc to on z mocy prawa został jego dysponentem. Wywiązał się z tego obowiązku dobrze, nawet bardzo dobrze. Sam, mimo wieloletniej służby w dyplomacji, nie dorobił się nigdy żadnych większych pieniędzy – może nie to było jego życiowym celem, może znacznie ważniejsza była dla niego kariera, stanowisko ambasadora, choćby w zimbabwejskim Harare, którego niestety też nigdy nie osiągnął. Sam się nie dorobił, ale dla nich zarobił na tyle dużo, że tak naprawdę mogli do końca życia być już tylko rentierami żyjącymi z samych odsetek od tego, co zgromadził dla nich na kontach w Polsce i w Szwajcarii. Ciekawa rzecz, że człowiek o takich zdolnościach do pomnażania majątku sam nigdy go nie zgromadził. Wszystko w życiu zawsze jest kwestią priorytetów – pomyślała Ania.

– Dziękujemy. – Ania uśmiechnęła się, kiedy usiedli przy stoliku w Batidzie.

Taka była umowa, albo lepiej powiedzieć, program obchodów, który zaplanował nie kto inny, jak wujek Zygmunt we własnej osobie. Najpierw przekazanie dwóch milionów złotych i miliona dolarów w przasnej, ale znajomej kancelarii na Starym Mieście, potem lody przy Krakowskim Przedmieściu. Kiedy byli mali, wujek zawsze kojarzył im się ze słodyczami, a konkretnie właśnie z lodami. Miesiącami nie pojawiał się u rodziców, bo był z żoną na kolejnej odległej placówce, ale kiedy przyjeżdżał, zawsze kończyło się właśnie na lodach.

W drodze z kancelarii wszyscy byli tak zaaferowani, że nie mieli szans, by się zorientować, że znów ktoś ich śledził. Tym razem nie zadziałała nawet intuicja Ani.

– Dziękujemy. – Ania uśmiechnęła się do wujka i położyła dłoń na jego dłoni.

Tak naprawdę nie miała pojęcia, co powinna, co mogła zrobić, żeby mu się odwdziżyć. Była w szoku, bo chociaż wiedziała, że rodzice mieli jakieś

oszczędności, to nie miała pojęcia, że wujek z tego czegoś zrobi dla nich górę złota. Jak podziękować za to, że ktoś ustawił cię właściwie na całe życie?

– Przepraszam – odpowiedział wujek, któ ry nagle posmutniał.

– Przepraszasz? – zdziwił się Marcin. – Za to, że zrobiłeś z nas milionerów?

– Nie, przepraszam was za to, że musieliście tam być przez te wszystkie lata. – Wujek spuścił głowę.

Lody topniały w pucharku.

– Nie potrafisz mieć dzieci. – Ania pogładziła jego dłoń. – Są ludzie, którzy tego nie umieją, to nie ich wina, nie twoja wina. Ale potrafisz być wujkiem.

– Tylko nie mówcie ciotce, że były te lody. – Wujek uśmiechnął się nagle. – Bo mnie zabije, że przed obiadem.

W domu ciotka, jak zawsze zresztą, rzeczywiście czekała z obiadem. Nie rozmawiali o notariuszu – ona spojrzała tylko na Zygmunta, on pokiwał głową. Wiedziała, jak wiele znaczyło dla niego to przekazanie i jak bardzo, w gruncie rzeczy, ciążyło mu to, że ich nie zabrał, że pozwolił wtedy, żeby trafili do domu dziecka. Umówili się wcześniej, a właściwie to ona kazała mu zamknąć tę sprawę przy okazji tego wydarzenia. Wyreżyserowała sprawę, poprowadziła ją od początku do końca. Zawsze tak było: on czegoś chciał, umiał nawet to dopiąć, ale – może z wyjęciem dyplomacji – nigdy nie wiedział, jak się do tego zabrać. To ona nadawała sprawom bieg, popychała go w wytyczonym kierunku. Swoją drogą, może trochę szkoda, że akurat w dyplomacji „umiał” sobie radzić sarn; gdyby tego nie potrafił, to kto wie, może miałyby już od dawna tę ambasadę choćby w Zimbabwie. Teraz ciotka Beata spojrzała, żeby się upewnić, czy dopełnił misji i – co ważniejsze – czy przyniosło mu to ulgę. Kiedy zobaczyła ją malującą się na jego twarzy, nie musiała pytać o nic więcej.

– Chcemy się wybrać na Podlasie – zagaiła Ania gdzieś między zupą a drugim.

– Na Podlasie? – zdziwił się wujek.

– No pochodzić, lasy, może jezioro – włączył się do rozmowy Marcin, trochę za szybko.

– Jakoś nie kojarzycie mi się za bardzo z agroturystyką. – Wujek sięgnął po miskę z ziemniakami.

Nie był przesadnie głodny, bo lody to jednak spora dawka cukru, ale tak jak się umówili, sprawa wizyty w Batidzie za nic nie mogła wyjść na jaw.

– On ostatni raz był w lesie dziesięć lat temu, ja podobnie, trochę nie pamiętamy, jak to wygląda – wyjaśniła Ania.

– No jak, drzewa są na górze, darń na dole, idzie się i idzie, i ciągle trochę to samo. – Wujek, podobnie zresztą jak oni, był zwierzęciem klasycznie miejskim.

Nachodziło go czasem na wyjazd w góry, lubił ich majestatyczność, ostre powietrze, zmęczenie po wielogodzinnym marszu w górę i w dół, przestrzeń. Raz do roku, czasem raz na dwa lata urządzali sobie z ciotką taki wypad. Góry wybierali różne, wszystko zależało od tego, w którym akurat przedstawicielstwie pełnił służbę: Appalachy, Góry Skaliste, Alpy, Kordyliery, Andy, Pireneje albo Tatry. Z Tatrami od zawsze było mu najbardziej po drodze. Może dlatego, że te góry kojarzyły mu się

z młodością, poza tym był polskim dyplomata, więc uwielbienie dla Tatr leżało poniekąd w zakresie jego obowiązków służbowych.

– Ale pamiętam, że mama miała tam jakąś działkę. Coś nad Narwią? Chyba tak. – Ania dotarła wreszcie tam, gdzie chciała od początku.

Szukali zabójców rodziców, ale nie tylko. Może nawet bardziej chodziło w tym wszystkim o ślady po nich, o wspomnienia, o próbę zbliżenia się do nich jeszcze raz i pożegnania się z nimi, teraz już normalniej, spokojnie i po dorosłemu. Nie tak jak wtedy – gwałtownie, dramatycznie i kompletnie bez jakiegokolwiek przygotowania. Wtedy nie pożegnali ich w ogóle, nie był o takiej możliwości, bo byli dziećmi, a dzieci nie potrafią pożegnać się ze swoimi rodzicami na zawsze. Umówili się z Marcinem, że pojedą do sióstr z Radomia, które obecnie mieszkały w Białymstoku. Domek, nie żaden działkowy, tylko dom rodzinny mamy, o czym oboje z Marcinem doskonale wiedzieli, był po drodze, nad Narwią, więc okazja nadarzyła się sama. Tyle tylko, że choć wiedzieli o tym domu, to nigdy w nim nie byli, nie wiedzieli nawet, gdzie dokładnie się znajduje, i przede wszystkim nie mieli pojęcia, czy w ogóle jeszcze istnieje, bo przecież wujek mógł go na przykład sprzedać. Był to w końcu też jego dom rodzinny.

– Nad Narwią, w Izbiszczach. – Wujek uśmiechnął się trochę smutno. – To nie działka, to nasz dom rodzinny.

– O I oi . – Marcin tym razem świetnie udał zdziwienie. – A ten dom jeszcze w ogóle stoi?

Wujek pokiwał głową, przez moment nad czymś się zastanawiał.

– Nie byłem tam ze dwadzieścia lat, chyba ani razu, odkąd odeszła babcia. – Popatrzył na nich bez entuzjazmu, ale zaraz dodał z uśmiechem: – Ale tam sołtys dogląda, przedstawicie się, da wam klucze. Zadzwońię do niego wcześniej.

– Genialnie – ucieszyła się Ania.

Ania, mimo że obecnie znalazła się w położeniu finansowym, w którym nie musiała już podejmować swojej specyficznej pracy i co więcej, postanowiła – choćby ze względu na brata – owo położenie wykorzystać, to jednak miała jeszcze kilka zobowiązań zawodowych, z których trudno było jej się wycofać. Jednym z nich była kolacja, umówiona zawczasu z aspirantem Adrianem. Innym – spotkanie z mafiozem Bernardem. Przy czym o ile to drugie rzeczywiście wynikało z jej wcześniejszych profesjonalnych obowiązków, to kolacja z aspirantem była czymś nieco innym. Ania to czuła i miała z tym pewien problem, ale ową odmienność sytuacji tłumaczyła sobie przynajmniej póki co jako realizację zobowiązania, które powzięła przy okazji pomocy Nowaczyka w wyciągnięciu Marcina z sierocińca i póź niej, w dochodzeniu w sprawie śmierci rodziców

– Wina? – zapytał, podnosząc butelkę i uporczywie próbując złapać z Anią kontakt wzrokowy.

Pokiwała głową, ale nie dała się pochwycić spojrzeniu.

– Jedziemy porozmawiać z tym dziewczynami z Białegostoku – podjęła wątek, realizując w ten sposób, trochę na siłę, przekonanie o tym, że jest tutaj, bo łączy ich sprawa morderstwa.

– One wiedzą? – zapytał z niewymuszoną ciekawością.

– Tak. – Skinęła głową. – Dzwoniłam do nich, rozmawiałam chyba z tą najstarszą. Nie bardzo chcą o tym gadać, też ciężko im do tego wracać, ale tak muliłam, że w końcu się zgodziła.

– A jak Malewski? – zapytał. – Pomaga?

– Okazało się, że nas pamięta. – Pokiwała głową. – Z tamtego dnia i potem. Ja go nie pamiętam, Marcin też nie, ale my w ogóle mało pamiętamy z tamtego czasu, oprócz...

– ...oprócz tej nocy – dokończył.

Ania kiwnęła głową.

– Tak, chyba głównie chodzi o to, żeby wyrwać się z tamtej nocy. – Zamyśliła się na chwilę. – Tam nas uwiązało, nie możemy się wydostać z tego domu, z wtedy.

Przez chwilę jedli w milczeniu. On stek, ona warzywa z grilla. Lubiła mięso, więc momentami zerkała na jego talerz z delikatną zazdrością. Nie jadła zwierząt, odkąd wyszła z domu dziecka przed trzema laty. Początkowo wynikało to z tego, że za wszelką cenę chciała wszystko zmienić, a jadłospis w sierocińcu stał właśnie mięsem, potem pojawiły się względy dietetyczne – bez mięsa łatwiej było utrzymać linię, a to, szczególnie w odniesieniu do profesji, którą się parała, było kluczowe. W końcu pojawił się też jednak element etyczny. Śmierć była w pewnym sensie jej obsesją, a mięso było przecież jej ubocznym skutkiem. Lubiła więc smak mięsa, ale w tej sytuacji nie było już możliwości powrotu do tamtej diety.

– Było, zdaje się, więcej podobnych morderstw – powiedziała, kiedy skończyli jeść.

– Podobnych? – zaciekał się.

– W Radomiu ktoś zamordował rodziców, dziewczyny trafiły do sierocińca. Później radomscy policjanci znaleźli jeszcze dwa takie przypadki, ale nie ma tego w aktach. Podobno można poszukać w KI P-ie, tylko że ani Malewski, ani my nie mamy dostępu... – Ania teraz dopiero spojrzała Adrianowi w oczy. Znowu interesownie, pomyślała, i nagle zrobiło jej się trochę głupio, więc dodała: – Ale damy sobie radę, Marcin ma kolegę, jakoś może wejdziemy w to inaczej.

– KSIP nie KIP. – Uśmiechnął się. – Krajowy System Informacji Policji... Mogę zajrzeć, ale ja też mam limitowany dostęp. Zajmuję się kradzieżami, nie zabójstwami. A co to znaczy „wejdziemy inaczej“?

– Jakoś przez internet, nie wiem, nie znam się na tym – odpowiedziała.

– Idziemy? – Spojrzał na nią z porozumiewawczym uśmiechem.

– Tak, ale każde do swojego domu – odpowiedziała.

Uśmiech zgasł na jego twarzy.

– Nie będę już tego więcej robiła, nie muszę, a Marcin okropnie to znosił – wyjaśniła. Nie musiała, ale poczuła, że powinna.

– Rozumiem. – Pokiwał głową, ale widać było, że daleko mu do pogodzenia się z tym faktem.

– Masz żonę, może też powinieneś przestać. – Ania sama nie wiedziała po co, ale dalej brnęła w wątki osobiste.

– Nie mam żony – odparł. – Przecież wiesz, że moje małżeństwo to fikcja.

– To je zakończ – doradziła, znowu trochę wbrew sobie, a w każdym razie wbrew temu, co o sobie myślała.

– Dzieci – odpowiedział krótko.

Pokiwała głową. Potem odwiózł ją pod dom i pocałował, a ona nie zaprotestowała, wmawiając sobie, że robi to wyłącznie dla niego.

Do Białegostoku wyjechali z Marcinem następnego dnia rano. Izbiszczę nad Narwią były po drodze, więc to tam pojechali najpierw. Dom znaleźli bez trudu; stał w pięknym otoczeniu brzeziny z jednej strony i rozlewiska Narwi z drugiej. Właściwie nie był to już dom, a bardziej rozpadająca się drewniana rudera, która mogła kiedyś, dawno temu, być nawet dość urokliwym wiejskim obejściem, ale teraz urok zastąpiły rozpad i próchno. We wsi było kilka domów murowanych, jeszcze ze dwa drewniane, ale w znacznie lepszym stanie, kryte czerwoną blachą, zadbane, zamieszkałe może przez tubylców, a może przez miastowych, dla których to miejsce było jak wytchnienie. Oczywiście musieli mieć więcej niż dwadzieścia lat, bo dla Ani i Marcina była to tylko nieskończenie nudna dziura w zielonej nicości. Wspomniany przez wuja sołtys czekał już na nich na porośniętym wysoką trawą i chwastami podwórku między domem, oborą, archeologicznymi szczątkami wozu drabiniastego a pozostałością po zawalanej już stodole.

– Wnuki? – Mężczyzna chyba się uśmiechnął, ale jego wąs był na tyle obfity, że ciężko było to stwierdzić z całą pewnością.

Miał dobrze po osiemdziesiątce, więc pytał zapewne, czy są wnukami jego nieco może starszej, choć niekoniecznie, koleżanki, a ich babci, Zofii. Żadne z nich nie miało okazji jej poznać, bo odeszła kilka lat przed urodzeniem się Ani. Pokiwali głowami.

– Zofia to była wspaniała kobieta – zagaił sołtys. – Samo dobro. Teraz nie ma już takich ludzi.

Ania i Marcin popatrzyli na siebie. Może trochę racji w tym było, ale nawet jeśli, to chyba nie wypadało tak mówić do dwójki młodych, reprezentujących właśnie owo teraz.

– Może pan przesadza. – Marcin spojrzał na sołtysa odważnie, bo zawsze na wszystkich patrzył bez lęku. – Proszę dać nam szansę.

– Racja, trochę przeszarzowałem, na pewno jesteście wspaniałe dzieciaki. Ale ona... ona naprawdę była szczególna. To co, otworzę wam? – Popatrzył na klucz, który ścisnął w dłoni tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie.

Kiedy podniósł wzrok, dostrzegli, że oczy lekko mu się zeszkliły. Jakaś tajemnica, ale chyba lokalna i zamierzchna – pomyślała Ania. Może babcia była dla niego kimś więcej niż tylko sąsiadką?

Otworzył drzwi, wszedł pierwszy, rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nie ma tu czegoś, co mogłoby im zagrozić, ale zachowywał się przy tym tak, jakby zagrozić im miało raczej coś ze świata nadprzyrodzonego niż rzeczywistego.

– No dobra, zostawiam was, obejrzyjcie sobie, skąd jesteście, a potem klucze odnieście. Dawno nikt tu nie zaglądał. Mieszkam trzy domy wyżej, taki murowany, tabliczka jest, z napisem „sołtys“, czerwona. – Mężczyzna przez moment stał jeszcze

przed nimi, wahając się, komu powierzyć klucze, do których miał tak szczególny stosunek. Czy dać je mężczyźnie, który w jego świecie wciąż prawdopodobnie odgrywał bardziej znaczącą rolę, czy osobie z tej dwójki starszej, w końcu starszeństwo też cieszyło się tu poważaniem. W końcu odłożył klucze na zakurzonej szafce przy drzwiach i wyszedł, nie mówiąc już ani słowa.

– Dziwny – stwierdził Marcin i ruszył w głąb domu.

– Taki świat, inny, oni tu wierzą w przesady i chodzą do kościoła, żeby je od siebie odpędzić – skomentowała Ania.

– A ty nie wierzysz? – zapytał z lekko ironicznym uśmiechem, rozglądając się równocześnie po głównej, połączonej z kuchnią, izbie – Jedyna różnica, że nie chodzisz ich odganiać. Swoją drogą mogłabyś pójść do spowiedzi na przykład.

– Do siostry Józefiny? – zapytała, odpowiadając sarkazmem na ironię.

– Zakonnice nie spowiadają, to akurat powinnaś wiedzieć po dziesięciu latach w zakonnym sierocińcu.

– Mnie próbowały i to nawet nie raz – weszła z nim w polemikę.

– Rozgrzeszenia nie dostałaś – odpowiedział, rozglądając się po wnętrzu. – A wtedy jeszcze mogłaś bez trudu.

Izba była cała pokryta grubą i w miarę równą warstwą kurzu. Inny to był kurz od tego miejskiego, bardziej rodzaj pyłu, może nazbierany w czasie żniw albo kiedy wkoło było latem sucho i jeżdżące po nieodległej gruntówce traktory i samochody wzbijały tumany. Kurz czy pył, nieważne, w każdym razie był jasny i bardzo brudził, więc już po chwili oboje wyglądali jakby mieszkali tu od dawna.

– Czego szukamy? – zapytał Marcin.

– Pamiętek, zdjęć, notesów, nie przyjechaliśmy tu na dochodzenie, tylko po wspomnienia – odpowiedziała, z trudem otwierając szufladę w zeschniętym sosnowym kredensie.

– Po wspomnienia? – zdziwił się trochę.

– A co, nie potrzebujesz? – zapytała zaczepnie.

– Potrzebuję, ale po rodzicach, a nie po dziadkach, których nie znałem – odpowiedział, przeglądając stos starych gazet.

Z tego, że leżały przy piecu, można było wywnioskować, że miały iść na podpałkę, a nie do czytania.

– Dziadka znałeś, przyjeżdż ał do nas – oburzyła się Ania, ale po chwili się zreflektowała i dodała: – Może byłeś za mały, żeby pamiętać.

Ona została w izbie kuchennej, on poszedł dalej, do sypialni. Tutaj nad wciąż zasłanym, choć teraz nie bardzo było już nawet wiadomo czym, bo wszystko pokrywał kurz, łóżkiem wisiał obraz. Na tle zieleni Matka Boska tuliła do siebie małego, półnagięgo i lekko niebieskawego chłopca z okrągłą aureolą wokół głowy, z tyłu za nimi stał mężczyzna z siwą brodą. Zresztą nie tylko chłopiec miał kółko wokół głowy, oni też. W końcu cała rodzina była święta. Naprzeciwko łóżka stała masywna szafa z ciemnego drewna. Marcin otworzył drzwi szafy, z wnętrza wionęło silnym zapachem naftaliny. Znał go doskonale i nie miał zbyt dobrych skojarzeń – często tak pachniały habity sióstr, szczególnie tych starszych, czyli gorszych. Na

drażku wisały jakieś płaszcze, kilka sukienek, na dole była szuflada. Marcin pociągnął za uchwyt, ale coś się w niej najwyraźniej rozeschło na tyle, że nie dało się jej wysunąć. Chłopak wrócił do kuchni i rozejrzył się, sam nie do końca wiedząc za czym. W końcu dostrzegł pogrzebacz i wrócił z nim do sypialni. Podważył szufladę, pociągnął; wyskoczyła tak gwałtownie, że omal nie spadła mu na nogi. W środku były jakieś papiery, album ze zdjęciami...

– Marcin!!!

– No?

– Chodź tu! – W głosie Ani było coś niepokojącego.

Marcin zostawił otwartą szufladę i poszedł do kuchni.

– Co jest, pali się?! – zażartował.

– Tak jakby, czujesz? – Ania pociągnęła znacząco nosem.

Faktycznie poczuł dym, rozejrzył się wokoło, wyjrzał przez okno, ale nigdzie nie zobaczył nic niepokojącego. W izbie oprócz drzwi do sypialni były jeszcze jedne, prowadzące do pomieszczenia, którego do tej pory nie sprawdził i. Marcin podszedł do nich, pociągnął za klamkę. Były zamknięte.

– Na framudze – powiedziała Ania.

Marcin zerknął; rzeczywiście, na framudze, na gwoździu wisiał spory metalowy klucz. Chłopak zdjął go i włożył do dziurki. Już robiąc to, zauważył, że z dziurki wydobywa się dym. Przekręcił klucz, pociągnął za klamkę i stanął przed płomieniami.

– Kurwa – zdążył powiedzieć i zatrzasnął drzwi.

Kiedy się obrócił do Ani, zauważył, że ogień był też już za oknem izby.

– Spadamy! – krzyknął.

Dopadli do drzwi. Marcin szarpnął za klamkę, ale były zamknięte. Rozejrzył się wokoło, ogień sięgał już do połowy wysokości okien w izbie. Złapał Anię za rękę i pociągnął do sypialni. Tam nie było jeszcze widać ognia, choć wszystko zasnuwał już dym. Marcin odchylił skobel i popchnął okno ramieniem, na tyle silnie, że zamiast się otworzyć, wypadło na trawę po drugiej stronie. Podsadził Anię, dziewczyna wyskoczyła. Tymczasem w sypialni też już pojawił się dym. Marcin stał chwilę przy oknie, po czym odwrócił się i dał nura w kłęby gryzącego dymu.

– Co ty odwalasz?! Wyłaż stamtąd natychmiast! – krzyknęła Ania. Jej głos wpadł w szary mrok i nie wrócił.

Ania wpatrywała się w nieprzenikniętą ścianę dymu, która chwilami przybierała kolor bardziej szary, a chwilami zupełnie czarny. Po kilkunastu sekundach Marcin stanął z powrotem w oknie. W rękach trzymał nadpalony album rodzinny. Podał go Ani i wyskoczył przed budynek. Odbiegli kawałek, a kiedy się odwrócili, dom przeistoczył się już w kulę ognia.

Z daleka przyglądał się temu ktoś jeszcze.

Godzinę póź niej stali z sołtysem i komendantem lokalnej ochotniczej straży pożarnej, a w tle dopalały się zgliszczą domu ich dziadków.

– Może to przez to, że włączyliśmy prąd. – Sołtys wydawał się załamany. – Może

jakieś zwarcie, to była strasznie stara instalacja, zakładana chyba, jak elektryfikowali wieś.

– Możliwe. – Strażak pokiwał głową. – Całkiem możliwe, będziemy to sprawdzać.

– Zagrzała się instalacja i po minucie cały dom się jarał? – Marcina nie bardzo przekonywała ta teoria.

Ania odeszła na stronę, wyciągnęła komórkę i wybrała numer.

– Jednak. – Usłyszała po chwili w słuchawce głos Adriana.

– Jednak – powtórzyła jak echo. – Byliśmy w domu naszych dziadków nad Narwią, nagle dom się zapalił, a właściwie cały stanął w płomieniach, tak od razu. Może ktoś powinien coś tu obłukać?

– Jak to stanął w płomieniach, co się stało? – W głosie Adriana dało się wyczuć nutę niepokoju.

– Właśnie nie wiemy za bardzo – odpowiedziała. – Mówią, że może zwarcie, ale nie bardzo to się trzyma kupy.

– Strażacy zbadają – odpowiedział uspokajająco.

– Ci w hełmach pożyczonych z muzeum? – skomentowała, patrząc, jak ubrani każdy inaczej strażacy z OSP łążą bez sensu po zgłiszczach. – Nie widzi mi się to.

– Żeby weszła kryminalistyka, musi być przynajmniej podejrzenie popełnienia przestępstwa, jakiś motyw, zagrożenie życia – wyjaśnił, po czym zapytał: – Nic ci... nic wam nie jest?

– Nie, ale zagrożenie było konkret. Gdyby nie Marcin, to byśmy się tam usmażyli i finał – odpowiedziała bez entuzjazmu.

– Jest tam jakaś policja? – odezwał się po chwili.

Ania rozejrzała się wokoło. Do tej pory oprócz strażaków, sołtysa i kilkorga zamulonych mieszkańców obsadzonych w rolach gapiów nie widziała tu nikogo, ale teraz dostrzegła, że do stojących z boku sołtysa i dowódcy straży podeszło dwóch policjantów, którzy poziomem witalności idealnie komponowali się z resztą miejscowych.

– Są jacyś, teraz dojechali – odpowiedziała. – Ale też wyglądają jak z regionalnego skansenu policji.

– Podejść do nich, spróbuj tak im zreferować zajście, żeby wyczuli, że było coś podejrzanego. A ja stąd zobaczę, co mogę zrobić. Kiedy wracacie? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Jak ogarniemy, jedziemy teraz do Białegostoku, do tych dziewczyn z Radomia. – Zamilkła i po chwili dodała z uśmiechem: – Głupio brzmi, co? Lol.

– Brzmi okej. Uważaj na siebie. – Adrian czuł, że rozmowa się kończy, więc chciał zdaje się powiedzieć coś trochę cieplejszego.

– Dobrze, tato. – Uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

Ania rozłączyła się i ruszyła w kierunku stojącej pod rozłożystym dębem „grupy operacyjnej“.

– Dzień dobry – przywitała się z nowo przybyłymi.

Policjanci pokiwali głowami. Z bliska jeszcze bardziej wyglądali na ludzi, którzy jedynie chwilowo pełnią obowiązki bycia sobą. Może zresztą chwilowo pełnili je całe życie i na tym polegał problem nie tylko ich, ale większości tu obecnych.

– Chciałabym zgłosić podejrzenie usiłowania zabójstwa – powiedziała bez ogródek.

– Słucham? – Jeden z policjantów zdziwił się trochę, ale nieprzesadnie.

Gdyby za stodołę spadł w tym momencie spodek UFO, nie zdziwiłby się pewno bardziej – pomyślała, po czym zerknęła na tego drugiego, który nie zdziwił się nawet odrobinę. Wyglądał trochę jak android, któremu ktoś wgrał niewłaściwy soft albo któremu siadało zasilanie i w związku z tym jego funkcje życiowe były ograniczone do wyłącznie bazowych. Miał po prostu dotrwać do wieczora, czyli do małpki kupionej w Ż abce.

– Ktoś podpalił dom, żeby nas w nim zabić – skonkretyzowała Ania.

– Co pani w ogóle opowiada, niby kto z tutejszych miałby chcieć panią zabić? – wzburzył się najstarszy i o dziwo najaktywniejszy członek grupy, czyli sołtys.

– Nie mówię, że z tutejszych. – Ania popatrzyła na niego, a po chwili przeniosła wzrok na grupę obsadzonych siłą inercji albo ciężenia w roli gapiów miejscowych.

– A czemu uważa pani, że ktoś w ogóle podpalił dom? – odezwał się nagle drugi z policjantów, co zdziwiło nie tylko ją, lecz wszystkich obecnych, bo do tej pory mężczyzna sprawiał wrażenie niemowy.

– Bo nie paliło się nic, a potem w ciągu trzydziestu sekund płonęło wszystko – włączył się do rozmowy milczący dotychczas Marcin.

– Dobrze, zanotuję pani teorię, ale nie sądzę, żeby coś z tego wynikło. – Pierwszy policjant, żeby nie być gołosłownym, sięgnął po notes.

Hotel w Białymstoku znajdował się w zaskakującym miejscu, bo między blokami mieszkalnymi z wielkiej płyty, ale w środku był całkiem elegancki i prawie po włosku stylowy. Po zameldowaniu się i zajęciu pokoju zeszli na kolację, która była ich pierwszym ciepłym posiłkiem tego dnia. Rano w Warszawie zjedli po kanapce, potem planowali zatrzymać się gdzieś na obiad, ale zamiast obiadu były pożar, straż, sołtys i zeznania dla policji. Pod hotelem znów ktoś ich obserwował, ale trzymał się na tyle daleko, że i tym razem nie mieli szans się zorientować. Zresztą mimo dziwnego pożaru w Izbiszczach wciąż jeszcze nie czuli się w najmniejszym stopniu zagrożeni. Nie byli czujni, bo nie przyszło im do głowy, że powinni.

– Powinniśmy zadzwonić do wujka. – Ania usiadła na łóżku w pokoju.

– Powinniśmy zadzwonić do tych dziewczyn – odparł Marcin, który chwilę wcześniej wziął do ręki pilota i teraz bezmyślnie, po raz kolejny już przelatował wszystkie dostępne kanały.

– Do nich też, ale to póź niej, wujkowi trzeba powiedzieć o domu – wyjaśniła.

– To zadzwoń – rzucił, nie odrywając się od wertowania kanałów.

– Nie mam odwagi – przyznała się. – To był jego dom rodzinny.

– Do którego nie jeździł od dwudziestu lat. – Marcin odłożył pilota i wyciągnął telefon.

Na niemyim ekranie telewizora ktoś z przejęciem mówił o czymś zupełnie nieważnym.

– Wujku, Marcin mówi – powiedział do słuchawki.

– No cześć, jak tam nad Narwią, jak dom? – odezwał się wujek Zygmunt z entuzjazmem w głosie.

– Nie ma domu – odpowiedział Marcin lapidarnie, po czym rozbudował informację: – Zjarał się.

– Jak to się zjarał, co to znaczy, kiedy? – Entuzjazm wujka zmienił się najpierw w zdziwienie, a po chwili w nerwowy niepokój. – Ja nic nie wiem.

– Wiem, że nie wiesz, dlatego dzwonię. Zapalił się, jak byliśmy w środku. – Marcin, żeby odciąć się trochę od powagi sytuacji i odpowiedzialności, która na nim teraz spoczywała, próbował się domyślić, o czym z takim zaangażowaniem mówi niemy redaktor w telewizorze nad jego głową.

– Chryste. Jak to? Zaprószyliście ogień? Ja nie mogę z wami! – Teraz wujek zdenerwował się nie na żarty.

– Nic nie proszyliśmy, jeśli już, to pod nami zaproszyli – odpowiedział ze spokojem Marcin.

Facet w telewizorze mówił o piłce, pewno o słabym stanie przygotowań polskiej drużyny do mistrzostw Europy, a może o kulisach odejścia jej trenera. Na ekranie pojawiły się materiały, jakieś rozmowy z piłkarzami, zdjęcia ze zgrupowań.

– Halo, halo. – Marcin próbował kontynuować rozmowę z wujkiem, ale po drugiej stronie zapanowała głucha cisza.

– I co? Co powiedział? – Ania wpatrywała się w brata jak w wyrocznie.

– Że... – Marcin usilnie próbował sobie przypomnieć, kto w ogóle jest teraz trenerem reprezentacji – że... Chyba odłożył słuchawkę.

– Kurde. – Ania pokiwała głową. – Mówiłam, że się wścieknie.

– Nie mówiłaś, tylko bałaś się zadzwonić. – Marcin sięgnął po pilota.

– To to samo – odpowiedziała.

– Teraz już wiem.

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Marcin spojrzał na wyświetlacz.

– Kto? – zapytała.

– Wujek – odpowiedział i podał jej telefon. – Teraz ty.

– Halo – odebrała cicho i z obawą.

– Przepraszam – zaczął wujek. – Zdenerwowałem się.

– Marcin mi mówił. Przykro nam wujku, ale to chyba nie nasza wina – powiedziała nieśmiało.

– Nie ma znaczenia, czyja wina, ważne, że nic wam nie jest. Bo nic wam nie jest? – upewnił się.

– Nic, wszystko w porządku, wyskoczyliśmy w porę – odpowiedziała ucieszona tym, że może go uspokoić, po czym dodała, już smutniejszym głosem: – Ale niestety wszystko się spaliło.

– Tak, domyślałam się, dom był drewniany i suchy jak wiór, już jak byliśmy mali, mama wiecznie się bała, żeby nie zaproszyć ognia – wyjaśnił. – A co to znaczy, że nie wasza wina?

– No nic, w sensie, że my nie zaproszyliśmy, nie używaliśmy ognia ani nic... – zaczęła tłumaczyć, jękając się co słowo.

Wiedziała, że chwilę wcześniej powiedziała za dużo i że wujkowi dyplomacie nigdy nic nie umyka. Łudziła się przez moment, ale niestety nadzieje okazały się płonne. Przełączyła telefon na tryb głośnomówiący, żeby włączyć Marcina do rozmowy.

– Czyli? Ktoś podpalił? Z wami w środku? – dociekał wujek.

– Policja sprawdza – próbowała rozrzedzić przekaz.

– Ktoś chciał was zabić, spalić? – Wujek nie dał się rozrzedzić, co więcej, z chwili na chwilę nakręcał się coraz bardziej. – W naszym domu rodzinnym?

– Nie, nie, nic takiego nie mówiłam, po prostu my nie zaproszyliśmy, a policja sprawdza – próbowała się ratować Ania.

– Czy wy czegoś aby nie kombinujecie? Jakiś handel narkotykami, mafia, wymuszenia, haracze, związaście się z jakimiś bandytami? – Wyobraźnia wujka odpaliła i wskoczyła na wysokie obroty.

– Nic takiego, wujku, skąd, żadni bandyci. – Ania była trochę wystraszona, a trochę rozbawiona supozycjami Zygmunta.

Marcin był tylko rozbawiony, czemu dał teraz wyraz i po prostu zaczął się śmiać, wciskając twarz w poduszkę.

– To czemu ktoś miałby chcieć was spalić? – zapytał wujek dość logicznie.

– Nikt nie chciał nas spalić, może chciał spalić dom, a my się nawinęliśmy, ale generalnie nikt nie mówi na razie o podpaleniu – skłamała. – Może zawiodła instalacja, stara jest, to znaczy była.

– Co teraz? – zapytał nagle bardzo konkretnie Zygmunt.

– Teraz? – Ania nie za bardzo zrozumiała, co miał na myśli.

– No teraz. Kiedy wracacie do Warszawy? Wołałbym, żebyście byli już tutaj. – Wujek powoli dochodził do siebie.

– Jutro, dziś przenocujemy w hotelu w Białymstoku, a jutro wracamy – uspokoiła go Ania.

– Tylko dobrze się zamknijcie w pokoju, a klucz najlepiej zostawić w zamku, wtedy wytrychem też nie otworzą – doradził.

Kiedy Ania skończyła rozmowę, przez moment siedziała i zastanawiała się, skąd wujek czerpał wiedzę w rodzaju „zostawić klucz w zamku“.

– Pewno z filmów, jak my wszyscy – Marcin podsunął rozwiązanie zagadki.

Ania pokiwała głową. Bardziej od klucza w zamku nurtowała ją inna sprawa. W końcu wujek powiedział na głos to, co jej krążyło po głowie od momentu, kiedy wyskoczyli z płonącego domu.

– Czemu ktoś chciał nas tam spalić?

– Nie wiemy, czy chciał nas spalić, czy się samo zaprószyło. – Marcin wciągnął się już w tworzenie posta na TikToku. Od kilku dni zaniedbał serwis i przestało mu przybywać followersów, a na coś takiego nie mógł sobie absolutnie pozwolić. Dla podbicia ruchu właśnie umieszczał dramatyczny filmik z pożaru domu.

– A jak się dowiemy? – cisnęła Ania.

– Nie wiem, może to któryś z twoich klientów, mafiozo Bernard, bo mu nie dajesz kwitów na aspiranta? – zasugerował mimochodem, bo telefon pochłaniał go znacznie bardziej.

– Bernard nie pozwoliłby, żeby mi włos z głowy spadł. Prawie zatłukł Bogusza w hotelu, bo mu się ubzdurało, że nastawał na moją cześć.

– Co? – Marcin oderwał się od telefonu. Nie lubił nie rozumieć języka, który znał.

– Nastawać na cześć. – Ania uśmiechnęła się i wyjaśniła: – To próbować zgwałcić.

– Co to za język jest w ogóle, masz jakiegoś klienta profesora? – zaniepokoił się.

– Nie, czytam książki. A ty? – Popatrzyła wymownie na telefon w jego dłoni.

– A ja piszę – odburknął absurdalnie. – No to może Bogusz się mści.

– Nie sądzę. – Pokręciła głową. – Ma inne sprawy na głowie. Wydaje mi się, że to ktoś, kogo wykurza, że szukamy sprawcy.

– Czyli sprawca? – Marcin odłożył telefon.

Teraz się zaniepokoił. Ania wzruszyła ramionami.

– Czyli może jesteśmy bliżej niego, niż myślimy – zasugerował.

– Na razie to może raczej on jest bliżej nas, a to jednak trochę co innego – zamknęła dyskusję.

Siostry z Radomia mieszkały w komunalnym mieszkaniu w kamienicy przy głównej ulicy Białegostoku. Nigdzie w Polsce ulice nie były wąskie, jak w miastach na południu Europy, gdzie przez wiele miesięcy w roku jedyne czego potrzeba, to cienia. Główna ulica, a właściwie Rynek Kościuszki w Białymstoku, był jednak jeszcze o wiele szerszy od krajowej mediany. Z miast, które poznała Ania, podobnie było chyba tylko w Lublinie, czyli w innym mieście na wschodzie, które swój pierwotny architektoniczny kształt także zawdzięczało rosyjskiemu zaborcy. W Rosji nigdy nie była, choć wśród jej zamożnych klientów zdarzył się też kiedyś pewien rosyjski oligarcha, który odwiedził Warszawę w interesach. Skierował go do niej nie kto inny jak Bernard. Ów Wielkorus proponował jej odwiedziny w Moskwie, a nawet w posiadłości Putina, ale nie miało to większego znaczenia, bo i tak nie zamierzała z zaproszenia skorzystać.

– Jaki numer? – zapytał Marcin, zerkając na tabliczkę przymocowaną dość niedbale i zdaje się dawno temu do fasady kamienicy.

– Osiemnaście, Rynek Kościuszki osiemnaście – odczytała z esemesa, którego dostała od jednej z sióstr.

Czyli to jest rynek, a nie ulica, to trochę zmienia postać rzeczy, pomyślała. Inna rzecz, że rynki z reguły są w miarę scentrowane, a ten miał wydłużony kształt i ciągnął się na długości co najmniej kilometra – dziwna sprawa.

Od frontu kamienica była dość reprezentacyjna, w końcu stała przy centralnej ulicy czy tam rynku – jak zwał, tak zwał – miasta, po wejściu w podwórze wyglądała już jednak nieco gorzej. Ściany nie były pomalowane na beżowo, jak od strony placu, były raczej liszajowato brązowe. Budynek należał do miasta, miasto dbało o wygląd, ale raczej fasadowo, jak zresztą większość miast w Polsce i być może też na świecie. Jak było na świecie jednak nie wiedziała ani Ania, ani tym bardziej nie wiedział Marcin, bo w świat, a konkretnie na narty do Włoch jeździli z rodzicami, owszem, dość regularnie, ale na tyle dawno, że czas rozmył już wspomnienia z Florencji czy Padwy, które wtedy przy okazji odwiedzali.

Z adresem sióstr Kalickich, jak zresztą z całą tą wizytą, wcale nie było łatwo. Kiedy Ania dzwoniła wcześniej, najpierw ściemniała, że jest z urzędu miasta i chciałyby odbyć wizytację mieszkania. To nie zadziałało, bo kobieta – która z sióstr, tego Ania nie wiedziała – okazała się dość asertywna i oświadczyła, że nie zamierza wpuszczać do mieszkania żadnej urzędniczki. Wtedy Ania zagrała *va banque* – powiedziała dziewczynie, o co tak naprawdę chodzi, kim jest i czemu zależy jej na spotkaniu. Biorąc pod uwagę, że wcześniej skłamała, jej wyjściowa pozycja negocjacyjna była raczej nietęga. Jej rozmówczyni zdecydowanie odmówiła. Wtedy zadzwonił Marcin, powiedział z grubsza to samo i wylał pomyje na Anię za to, że zachowała się tak nieodpowiedzialnie. Może pomogło to, że jednak był facetem,

a Kalicka była w końcu kobietą, a może szalę przeważały jego bezpośredniość i prostolinijność. Grunt, że kobieta w końcu się zgodziła. Do tego esemesa z numerem kamienicy raczej chyba przez pomyłkę wysłała w końcu na komórkę jej, a nie jego.

– Dzień dobry, to my – Marcin odezwał się pierwszy. Tak się wcześniej umówili z Anią, że raczej będzie mówił on, bo ewidentnie przynosiło to lepsze efekty. – Ania i Marcin Piotrowscy, dzwoniłem...

Dziewczyna, która im otworzyła, wyglądała trochę dziwnie. Miała kruczoczarne włosy zaplecione w wiele cienkich warkoczy, na kilku z nich obwiązane był y krwistoczerwone kokardy. Ile mogła mieć lat? Bardzo trudno było to ocenić. Z oczu wyglądała na osobę bardzo dojrzałą i trochę tą dojrzałością zmęczoną, czyli na oko trzydzieści lat, co oczywiście było matematycznie niemożliwe. Z powodu warkoczy, różu na policzkach i sukienki w kwiaty wyglądała na dwunastolatkę, co znów matematycznie nie wchodziło w rachubę. Może należałoby wyciągnąć jakąś średnią z oczu i reszty i wtedy wyszłoby to, co powinno – pomyślała Ania. Może zmęczenie życiowym doświadczeniem próbuje zrównoważyć infantylnością wizerunku? Do wyglądu dziewczyny należy dodać jeszcze jedną cechę, która nie ułatwiała sprawy. Otóż stali już przed drzwiami dobre trzydzieści sekund, a od wypowiedzi Marcina nie nastąpiło nic. Innymi słowy, dziewczyna była mało komunikatywna.

– Czy możemy wejść? – Ania nie wytrzymała.

– Wera, czemu trzymasz gości w drzwiach?! – Gdzieś z tyłu odezwał się niski, tubalny głos. – Ja nie mogę z tobą.

W chwilę po głosie zza ramienia Wery wyłoniła się wyższa od niej i ogólnie znacznie większa dziewczyna o krótkich włosach. W jej przypadku określenie wieku było już łatwiejsze, choć ona, dla odmiany, jak na dziewczynę miała nieco zbyt dużo cech męskich.

– Wejdźcie. – „Męska“ siostra uśmiechnęła się do nich ciepło. – Dorna jestem.

– Ania. – Ania wyciągnęła dłoń na powitanie, a Dorna wciągnęła ją za nią delikatnie do środka.

– Marcin. – Chłopak wszedł za nimi i podał Domie butelkę wina.

Alkohol postanowili przynieść, postępując zgodnie z zasadą, której zawsze uczyła ich ciotka: w gości nigdy nie przychodź z pustymi rękami.

– Dorn a – przedstawiła się ponownie dziewczyna, odbierając butelkę z jego rąk, po czym, widząc ich zmieszanie wywołane nieznajomością imienia, które podała, uściśliła: – Dominika w sensie.

Kiedy już usiedli do stołu, na którym Dorna ustawiła kieliszki, talerzyki i blachę z sernikiem, pojawiła się trzecia z sióstr, Patrycja. Ta była najmroczniejsza z nich wszystkich, typ gothic, włosy farbowane na czarno, bardzo ciemny makijaż i strój, czarne wszystko – włącznie z uśmiechem. Co do wieku, to znów nie można było być pewnym, na którym miejscu listy narodzin plasowała się Patrycja. Inna rzecz, że dziewczyny przychodziły na świat rok po roku, tak więc różnica była na tyle minimalna, że trudna do określenia. Każda z nich mogła być najstarsza, ale też i najmłodsza. Co do ról w tej podobnie jak ich pokrzywionej rodzinie, to z tym akurat było prościej. Całością ewidentnie zarządzała Dorna, Patrycja była zbuntowana

wobec wszystkiego i wszystkich, a Wera chciała wciąż być dzieckiem, maskotką pozostałych; nie wyglądało na to, żeby mogła być przydatna do czegoś praktycznego, po prostu była radością swoich bardziej dojrzałych sióstr, trochę może jakby ich dzieckiem.

– No więc – zaczęła Dorna, oblizując usta po wypiciu łyka wina i zagryzieniu go sernikiem, jak się domyślali, własnej roboty – co was sprowadza?

– Tak jak ci mówiłam przez telefon... – powiedziała Ania.

– Rozmawiałaś z Patą – przerwała jej Dorna.

– Z kim? – zdziwił się Marcin.

Słowo „pato” kojarzyło mu się z określeniem osoby, którą z jakiegoś powodu uważało się za przypadek patologiczny. Z patologią w jakim obszarze daną osobę należało identyfikować, najczęściej wyjawiał kontekst.

– Z Patą. – Dorna wskazała na siedzącą u szczytu stołu gotkę. – Z Patrycją.

– Aaa ... – Marcin pokiwał głową.

W sumie wszystko się nawet jakoś tam zgadzało, Pata rzeczywiście wyglądała na osobę, która nieco zboczyła z kursu. Choć wszystkie trzy były jakby trochę inne, ale czy i oni z Anią nie byli inni?

Ania przysłuchiwała się tej wymianie zdań z cierpliwym zaciekawieniem. Ona też nie od razu skojarzyła, kim jest Pata, ale w tej chwili nie miało to dla niej aż takiego znaczenia.

– Okej. – Przeszła do dalszego wyświetlania sprawy. – No więc, tak jak już mówiłam Pacie, w naszym życiu zdarzyło się coś trochę podobnego do tego, co was spotkało.

– Czyli? – włączyła się nagle stojąca do tej pory pod oknem Weronika, czyli zapewne w myśl obowiązującej tu zasady Wera.

– Czyli, w dużym skrócie... – zaczęła Ania i wstrzymała się na chwilę, bo nie była pewna, czy nie wchodzi właśnie na grząski grunt. Choć i tak nie dałoby się tego ominąć. – Zabili nam rodziców, a my wylądowaliśmy, podobnie jak wy, z tego co wiem, w domu dziecka.

– Pewno w jakimś luksusowym, warszawka – odezwała się po raz pierwszy Pata.

Miała dziecienny głos, co zupełnie nie licowało z jej groźnym wyglądem. Może zresztą dlatego tak wyglądała, że miała taki głos, albo odwrotnie – pomyślał Marcin.

– Nie za bardzo, byliśmy u zakonnic, nie było lekko. Nie sądzę, żeby był lepszy od waszego – odpowiedziała Ania, a Marcin potwierdził kiwnięciem głowy. – Ale nie przyjechaliśmy się licytować na to, kto miał gorszy dom dziecka.

– A po co przyjechaliście? – kontynuowała Pata, która teraz z wyniosłej przepoczwarzyła się w wyniosłe urażoną.

– Przyjechaliśmy, bo chcemy dojść do tego, kto zabił naszych rodziców, a wasza historia i historia zabójstwa waszych rodziców jest podobna do naszej na tyle, że przyszło nam do głowy, że może to ten sam zabójca. – Marcin wyręczył Anię.

Generalnie uznał, że to on będzie osobą odpowiedzialną za kontakty z niezbyt miłą, ale cokolwiek interesującą Patą.

– Nie sądzę, u nas to jakiś radomski lokalny lump musiał zrobić, ukradł gotówki

na parę piw, podciął rodzicom gardła tulipanem i poszedł się uchlać – odpowiedziała Dorna.

– Kradzież to była tylko ścierna – powiedziała Ania. – Z naszego domu pewno ukradli więcej, ale też nie o to chodziło.

– Kradzież dla ścierny, to chyba tylko u was. – Na twarzy Paty znów pojawiło się coś nieprzyjemnego, ale teraz chodziło, zdaje się, o coś bardziej osobistego.

– Tylko u nas? – zapytał prowokacyjnie Marcin, bo doskonale już wiedział, do czego piła Pata.

Wprawdzie nie podjechali pod kamienicę dziewczyn błękitnym bmw Ani, ale i tak pewnie same ich ubrania albo chociażby to, że byli z Warszawy, wystarczyło, by wzbudzić ich niechęć.

– No tylko u was, generalnie tam, gdzie pieniądze się nie liczą, bo i tak jest ich w bród. – Pata dała się podpuścić, ale nie miała z tym przesadnego problemu. Generalnie wyglądała na osobę, która miała w sobie sporo złości do świata i do innych ludzi. Zresztą trudno było jej się dziwić.

– U bogatych, a chyba o nich mówisz, pieniądze liczą się bardziej niż u biednych – wyjaśniła spokojnie Ania. – Ale tu chodzi o coś innego, zgadzają się pozostałe okoliczności sprawy, więc zostawmy to, czy pieniądze były ważne, czy tylko pozorowane, skupmy się na podobieństwach.

Po apelu Ani przez chwilę nikt nic nie mówił, więc w końcu to ona przerwała milczenie.

– Opowiedzcie nam coś o tamtym zdarzeniu, o czasie, który je poprzedził, o znajomych, może ktoś się kręcił przy rodzicach, może byli zdenerwowani, cokolwiek, co zapamiętałyście z tamtego czasu. – Ania skończyła i powiodła wzrokiem po dziewczynach.

– Ale po co? – zapytała Dorna.

– Po co? – zdziwiła się Ania. – Nie chcecie się dowiedzieć, kto wam to zrobił?

Dorna spojrzała na Patę; generalnie wyglądało na to, że to ona była tu jednak szarą eminencją. Bały się jej? Dorna się jej bała? – zastanawiała się Ania. Tymczasem Marcin dał już sobie spokój z Patą i teraz przyglądał się Werze, która od początku nie powiedziała jeszcze właściwie nic, a wyglądało na to, że jeśli ktoś miałby tu w ogóle coś powiedzieć, to tylko ona.

– Czy mógłbym skorzystać z łazienki? – zapytał.

– Jasne, jest w korytarzu – odezwała się Wera, która już wcześniej czuła na sobie spojrzenie Marcina.

– Pokażesz mi? – podchwycił.

Wera zerknęła na Dornę, która w odpowiedzi tylko wzruszyła ramionami.

Wyszli do mrocznego i pachnącego wilgocią korytarza. Wera w milczeniu wskazała Marcinowi drzwi. On się rozejrzał i przez chwilę nasłuchiwał. Z salonu dochodził gwar głosów, prawdopodobnie Ania, która rozumiała jego intencję, podjęła rozmowę o czymkolwiek po to tylko, żeby zburzyć panującą tam ciszę.

Marcin spojrzał na Werę, bardzo delikatnie chwycił ją za łokieć i popchnął w stronę pokoju mieszającego się na lewo, czyli jeszcze dalej od salonu, z którego

dochodził szmer rozmowy toczony przez tamte. Nie był pewien, jak dziewczyna zareaguje, ale trochę nie miał wyjścia. Skoro już przyjechali tutaj, taki kawał, po drodze prawie ginąc w pożarze w swoich rodzinnych stronach, to trzeba było jakoś to wszystko zamortyzować. Jedną z rzeczy, których Marcin nauczył się, bytując w bidulu, było właśnie wykorzystywanie wszystkich sposobności do maksimum. W sierocińcu nigdy nie było drugiej szansy. O dziwo, Weronika poddała się jego sugestii bez oporów, a kiedy weszli do pokoju, który, wnosząc z natłoczenia tu różowych elementów, był jej sypialnią, zamknęła drzwi. Kiedy się odwróciła, Marcin dostrzegł, że róż na jej policzkach stał się trochę bardziej różowy.

– Pamiętasz coś z wtedy? – Chłopak od razu przeszedł do rzeczy.

Wiedział, że czasu mają mało. Kiedy tylko siostry się zorientują, to nie dość, że przegonią go od Wery, której obie zdaje się strzegły jak oka w głowie, to jeszcze pogonią ich oboje ze swojego domu i prawdopodobnie bezpowrotnie ze swojego życia.

Tymczasem Wera wzruszyła tylko ramionami.

– Lubisz Taco? – zapytała po chwili.

Jej najwyraźniej nie spieszyło się wcale.

– Co? – odpowiedział pytaniem na pytanie. W jego głosie zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie, co sprawiło, że Wera jeszcze bardziej się zamknęła. Może nie była przesadnie biegła w relacjach międzyludzkich, ale na pewno nie brakowało jej wrażliwości i inteligencji. – Przepraszam, ale nie zrozumiałem. – Marcin starał się być jak najspokojniejszy.

– Taco Hemingwaya, no, rapera, lubisz? – Otworzyła szufladę i wyciągnęła album.

– A, pewno, że lubię. – Nie skłamał, bo tak się składało, że rzeczywiście lubił Taco. – Byłem na ich koncercie z siostrą, jak z Quebo grali.

– W Warszawie? – Wera wyraźnie się ożywiła.

Marcin pokiwał głową. Starał się teraz maksymalnie ekonomizować czas, a gest był krótszy od słów.

– Załatwisz mi autograf? – zapytała bezpośrednio.

– Załatwię – odpowiedział bez namysłu, po czym dodał równie szybko: – Ale musisz mi coś powiedzieć o tamtych wydarzeniach.

– Co powiedzieć? – Wszł a teraz w targ jak nóż w masło.

– Cokolwiek, co pamiętasz, coś, co było dziwne, przed wypadkiem, po wypadku? – zagadał szybko.

– Przed to nie wiem, rodzice byli jacyś tacy może bardziej zadowoleni. Normalnie ciągle się kłócili, że nie ma pieniędzy, że ojciec pije, a wtedy taka cisza się zrobiła, przyjemna, jak czasem, kiedy nagle przestaje wiać wiatr, a potem... – Wera się zacięła.

Gdzieś w tle Marcin usłyszał jakieś szmery, coś działo się na korytarzu, czas się kończył.

– A po? – zapytał szybko i nerwowo.

Dziewczyna nie odpowiedziała, zamiast tego wyjrzała za okno.

– Załatwię i Taco, i Quebo. – Marcin poszedł na całość.

– Potem był jakiś facet, który się kręcił, przychodził pod nasz dom dziecka, gapił się na mnie... – odpowiedziała, nie odwracając głowy od okna.

– I? – docisnął rzutem na taśmę.

Wera się nie odzywała.

– Boisz się siostr?

– Dorna właściwie nie jest moją siostrą – odezwała się po chwili.

– Jak to nie jest siostrą? – Marcin był w szoku.

– To znaczy, w sumie jest, bo pojawiła się nawet przede mną, ale ją rodzice adoptowali.

Marcin, bardzo zaskoczony, chciał zapytać o coś jeszcze, ale w tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich obszerna Dorna.

– A co tu się dzieje, co wy tu robicie?!

Marcina kompletnie zablokowało, widział już właściwie oczyma wyobraźni, jak Dorna łapie go za włosy i wyciąga z pokoju prosto na klatkę schodową.

– Nic – odezwała się nagle Wera. – Pokazywałam panu mój album. – Wskazała na wielkie tomiszczce na swoich kolanach, otwarte na stronie ze zdjęciem Taco Hemingwaya. – Powiedział, że może uda mu się załatwić mi autograf.

Marcin odetchnął z ulgą. Może nie będzie już zbyt miło, ale właściwie wcześniej też nie było, a w każdym razie chyba nie wyląduje na klatce, wykopany z mieszkania. A Wera? Wera była nawet inteligentniejsza, niż mu się wydawało. Przecież nie powiedział, że może załatwi ten autograf, tylko że go załatwi, ale ona wiedziała doskonale, że takie bezpośrednie „powiedział, że załatwi“ zdradziłoby, że coś próbował od niej wyciągnąć, natomiast „powiedział, że może załatwi“ wskazywało raczej na to, że to ona wciągnęła go w tę sytuację. Ach, te manipulatorskie niuansy – uśmiechnął się do siebie w myślach. Kiedy podniósł głowę, Wera patrzyła na niego, najwyraźniej czekając, aż chwyci podane mu przez nią koło ratunkowe.

– Tak, no nie wiem, pogadam z Anią, ona ma różne znajomości, może się uda – podjął grę przed Dorną, a sekundę później, gdy na nich nie patrzyła, uśmiechnął się do Wery z wdzięcznością.

Ona też się uśmiechnęła, ale w jej uśmiechu były smutek i jakaś tajemnica. Czegoś jeszcze nie powiedziała, może nigdy nie powie, ale przynajmniej dała właśnie znać, że jest, że było coś jeszcze.

– Wera, czy ty każdego musisz tak nękać? – Dorna pokręciła głową, bardziej z troską niż z niedowierzaniem.

Dopiero teraz Marcin dostrzegł, jak dużo w tym domu było miłości, która skrywała doświadczenie wspólnie przeżytego dramatu. To też łączyło ich w jakiś sposób z tymi dziewczynami, pomyślał o Ani i o sobie. Tyle że one, podobnie pewno jak oni, tę tajemnicę mają wyłącznie dla siebie, świat nigdy nie przeniknie do wnętrza tej monady.

Kiedy wyszli z kamienicy, Marcin, sięgając po swojego vape'a zorientował się, że ma w kieszeni coś jeszcze; okazało się, że prawdopodobnie, kiedy się żegnali, Wera włożyła mu do kieszeni karteczkę, na której starannie wykaligrafowała swój numer telefonu i pełne imię – Weronika.

– Będziemy musieli załatwić autografy Taco i Quebo – powiedział, kiedy szli już znowu po głównym białostockim deptaku.

– Co? – Ania zdziwiła się podobnie jak on, kiedy po raz pierwszy usłyszał słowo Taco z ust Wery.

– Obiecałem Weronice – wyjaśnił.

– Obiecałeś, to załatw – odpowiedziała groźnie, po czym popatrzyła na niego. – Nie masz jak? Siostra załatwi? Teraz moje znajomości już ci nie przeszkadzają?

– To był deal operacyjny – odparł z powagą.

Ania popatrzyła na niego, śmiesznie wykrzywiając twarz w znak zapytania.

– Wymieniłem obietnicę za informacje śledcze – pochwalił się.

– Ty nie za dużo o tych książek o kryminalistyce czytasz? – zapytała żartobliwie.

– Ty się edukujesz z pierwszej ręki, ja muszę czytać – odbił piłeczkę.

Ania się zaśmiała.

– Dobrze, spróbujemy załatwić te autografy dla twojej nowej znajomej. – Pokiwała głową. – A co będzie w zamian?

Ania zasugerowała, że być może mężczyzna, o którym wspomniała Wera, przyglądał się nie tyle dziewczynom w domu dziecka, ile właśnie jej, a może zresztą nie skończyło się tylko na przyglądaniu. Marcin się zgodził; miał dość podobne przecucia w tej sprawie, choć w przypadku Ani były one podparte czymś jeszcze. Ania przypominała sobie bowiem mężczyznę, który przed laty przyglądał się, i nie tylko, także jej. o tym jednak na razie nikt oprócz niej nie miał pojęcia.

– Jest jeszcze jedna sprawa, nie wiem, czy ważna, czy nie... – Marcin przypomniał sobie o informacji, którą dostał od Wery na koniec.

Ania spoglądała na niego pytająco.

– Dorna nie jest ich rodzoną siostrą – dopowiedział. – Ich rodzice ją adoptowali.

Obiad u wujostwa, po tym, co wydarzyło się w I zbiszczach, był tym razem nie tyle opcją, ile raczej przykrą koniecznością. Wujek już przed zupą odpytał ich szczegółowo z przebiegu zdarzenia. Jego zdaniem również było to podpalenie. Inna rzecz, że zawsze zakładał najniebezpieczniejsze i najbardziej pesymistyczne scenariusze. Tak miał i nigdy nie dało się nic na to poradzić. Najbardziej męczyła się z tym ciotka, ale jakoś z wiekiem chyba przywykła.

– A teraz powiedzcie mi, po co byliście w tym Białymstoku? – Między zupą a drugim wujek zaatakował kolejną flankę.

Ania spojrzała na Marcina, a potem na ciotkę Beatę, która właśnie stawiała półmisek na stole. Ciotka wywróciła oczami, co zdaje się należało odczytać jako komentarz: „Co zrobisz, jak nic nie zrobisz?” albo coś w tym rodzaju.

– Szukamy zabójców rodziców – wypaliła Ania.

Może poddała się trochę za szybko, ale na tyle przerażała ją perspektywa całego obiadu w krzyżowym ogniu pytań wuja Zygmunta, że wołała już mieć to za sobą. Chyba jednak nie wzięła pod uwagę tego, że teraz, zamiast na kanonadę wątpliwości, wystawi ich na bombardowanie pretensjami i oblężenie wykładem wychowawczym.

– Zwariowaliście? – Wujek zawisł z kęsem pieroga między ustami a talerzem.

– Jeszcze nie, ale na pewno zwariujemy, jak się nie dowiemy – włączył się Marcin.

– A wy co, policja jesteście?! – Wujek się nakręcał, kęs zamiast w jego przełyku wylądował z powrotem na talerzu.

– Nie, na szczęście nie, bo jakbyśmy byli, to, jak widać na załączonym obrazku, nic by z tego nie wyszło. – Ania przyszła w sukurs bratu.

– No ja nie mogę w to uwierzyć. Chcecie, żeby wam się jakaś krzywda stała? Nie można się normalnie za życie wziąć, za studia, za pracę, tylko będziecie teraz tańczyć na linie nad przepaścią. – Wujek lubował się w tworzeniu przerażających alegorii.

– A ja ich rozumiem. – Ciotka raczej rzadko włączała się do dyskusji, jeszcze rzadziej zaś przeciwstawiała się wujowi.

Nie wynikało to ani z tego, że jakoś przesadnie się go bała, ani z tego, że jakoś szczególnie mocno zależało jej na utrzymaniu miłych rodzinnych relacji. Powód był bardziej prozaiczny – po prostu po latach pożycia z nim nie chciało jej się już prowadzić wielogodzinnych zażartych bojów o wyleczenie go z czarnowidztwa i życiowego asekuranctwa. Tym razem jednak prawdopodobnie uznała, że wuj dotknął czegoś, czego nie powinien, zaoponował w sprawie, która zbyt mocno go dotyczyła.

– Co to znaczy, że ich rozumiesz? – Wujek zaczął wchodzić w tryb pieniacki.

Nie było dobrze, ale ciotka doskonale wiedziała, że to jego pieniactwo jest jak atrament u ośmiornicy: straszy, zaciemnia, ale tak naprawdę to blef i za tym

pieniactwem nie ma już nic, co mogłoby im zagrozić.

– Znaczy, co znaczy. – Ciotka była spokojna i pewna swego. – Stracili rodziców, to złamało im dzieciństwo, chcą zrobić, co mogą, żeby wyjaśnić dlaczego.

– Od tego jest policja. – Wuj użył drugi raz tego samego argumentu; najwyraźniej nie miał nic więcej w zanadrzu.

Ania i Marcin przyglądali się już teraz biernie ich rozmowie, trochę jak widzowie meczu tenisowego przypatrują się piłeczce przelatującej z jednej strony kortu na drugą. Wuj Zygmunt siedział u szczytu stołu po jednej jego stronie, ciotka Beata po drugiej. Marcin z Anią, siedząc naprzeciwko siebie, obsadzali pozostałe dwa boki.

– No jest, i co? Wyjaśniła coś, wiemy, kto zabił? – zapytała retorycznie, po czym dotknęła sprawy, która była powodem tego, że w ogóle włączyła się w tę rozmowę: – A swoją drogą... Zginęła twoja ukochana siostra i co...?

Wuj nie odpowiedział, zbierał myśli i siły, tymczasem atak trwał nadal.

– Zrobiłeś coś? Załatwiłeś, żeby cokolwiek ustalili? – zapytała.

– Wiesz, że próbowałem – obruszył się. – Wiesz, że tam łąziłem, nawet przez ministra Polickiego interweniowałem.

– No to daj im też spróbować, wesprzyj ich, może im, w przeciwieństwie do ciebie, się uda – skwitowała.

– Nie mają żadnych możliwości. Mają ryzykować własne życie? – Z wujka uszła cała piana, czuł się pokonany, teraz już się nie rzucał, mówił ciszej i jakby ze smutkiem. – Już ich nawet chcieli podpalić.

– Nic nie wiadomo w tej sprawie, wujku, to mógł być zbieg okoliczności, zwykły pożar suchego na wiór domu, i tyle – próbowała go uspokoić Ania.

Sama jednak nie bardzo wierzyła w to, co mówi, a on to wiedział. Nic już jednak nie powiedział, na jego twarzy wściekłość zastąpiła troska. Może zresztą była na niej od początku, tyle że wcześniej przysłaniały ją zdenerwowanie, pieniactwo i złość na żonę.

Wracając do domu, nie czuli się dobrze, w końcu jednak spłonął dom rodzinny mamy i wujka, jego wspomnienia także o niej. Nie jeździł tam wprawdzie zbyt często, może jako światowiec i dyplomata miał trochę problem ze swoim pochodzeniem z kurnej chaty. No ale można nie jeździć, ale mieć świadomość, że skansen dzieciństwa wciąż istnieje i że zawsze będzie można do niego wrócić. Teraz mógł już wrócić co najwyżej do nadpalonej stodoły albo do sadu za domem. Oczywiście zawsze to coś, ale jednak nieporównanie mniej.

– Musimy obejrzyć ten album w domu – skwitowała głośno swoje przemyślenia Ania.

– Album to album, za dużo się z niego nie dowiemy, pytanie, co w ogóle mamy dalej robić? – zapytał Marcin.

Ania pokiwała głową, ale nic nie odpowiedziała.

– Zadzwoń do Weroniki. – Marcin układał plan. – Może powie coś więcej. No i trzeba będzie pojechać w te pozostałe miejsca.

– Na razie nie mamy pojęcia, dokąd jechać, nie mamy dostępu do tego archiwum policyjnego, nikt nam nic nie powie. – Ania ewidentnie była w mało optymistycznym nastroju.

– Na to mam plan, adresy się znajdują, zostaw to mnie. – Uśmiechnął się trochę tajemniczo.

– Poza tym ja mam pracę. – Ania wyciągnęła z zanadru kolejny kontrargument.

Tej sprawy akurat nie powinna była podnosić, jej praca działała na Marcina jak płachta na byka.

– A może jednak już nie musisz wykonywać tej pracy. – Marcin postawił akcent na słowo „wykonywać“, po czym spojrzał na nią z drwiącym uśmiechem i dodał: – Zdaje się, że mamy już środki na życie, nawet na kilka żyć.

Ania nie odpowiedziała. Owszem, mieli środki, ale ona „wykonywała“ pracę nie tylko dla pieniędzy, ale też dlatego, że owa praca nadawała sens jej życiu. Dość pokretny był to sens, może bardziej ucieczka, może rodzaj uzależnienia od moralnego brudu, od seksu, może wszystko to naraz. Marcin był oczywiście osobą na tyle lotną umysłowo i empatyczną, by doskonale to wszystko wiedzieć. Wiedział, ale chciał to zmienić. Ona zresztą też wiedziała, że to się kiedyś musi zmienić. Tylko jak?

– Może te nasze działania, może to, że się tym zajmiesz, pomoże ci z tego wyjść? – Marcin znów ujawnił, że myśli o tym samym i że ją rozumie.

Ania pokiwała głową i nie odrywając wzroku od drogi przed nimi, uśmiechnęła się lekko.

– Poproszę jeszcze raz Adriana, żeby nam pomógł znaleźć te pozostałe zabójstwa w archiwum – zaproponowała.

– Nie – zaproponował zdecydowanie. – Sam to załatwię, już ci mówiłem.

– Mówiłeś i...

– I teraz załatwię. – Marcin spojrzał za okno.

Załatwienie oznaczało z grubsza wystawienie się na ryzyko konsekwencji i dodatkowo generowało koszty. Sposób trudniejszy i bardziej niebezpieczny, ale z dwojga złego Marcin i tak wołał to, niż żeby jego siostra znów sprzedawała swoje ciało. Jeszcze wówczas nie wiedział, że akurat w przypadku Adriana nie był to już właściwie handel, bo aspirant powoli zbliżał się emocjonalnie do miejsca, w którym nawet bez proszenia go o pomoc i bez ciała Ani był gotów zrobić dla niej bardzo wiele.

– Cześć. – Marcin przywitał się z kimś, kogo nawet nie było widać w pokoju, w którym z powodu zaciągniętych stor przez całą dobę panowała noc.

Chwilę wcześniej do mieszkania w jednym z ursynowskich bloków wpuściła go chuda jak patyk dziewczyna, która na pytanie, czy jest Wojtek, wzruszyła tylko ramionami i wskazała mu drzwi do pokoju, w którym był w tej chwili.

Marcin wchodząc, potknął się o coś i omal nie upadł. To coś wydało przy tym pisk i wbiło mu pazury w spodnie. W pokoju nie było widać prawie nic, bo jedyne źródło oświetlenia stanowiła niebieskawa luna komputera włączonego gdzieś w drugim końcu pomieszczenia i kilka migających na zielono i czerwono diod. Ich miganie i wszechobecny szum wentylatorów informowały o tym, że na to, co znajdowało się na ekranie w rogu, składała się praca bardzo wielu urzędów. Może zresztą urzędnicy te obsługiwały coś jeszcze, ale na tym Marcin nie znał się już zupełnie.

– Cześć. – Odpowiedź nadeszła ze sporym opóźnieniem i z całkiem innego kierunku niż Marcin się spodziewał, bo nie od strony ekranu, a gdzieś z boku i to z bardzo bliska.

– Masz tu jakieś światło? – Marcin rozpostarł ramiona w obawie, że oprócz wdepnięcia w kota może za chwilę przywalić głową w coś znacznie twardszego.

– Mam, ale nie używam. – Głos dobiegł z bliska i nagle z tej samej strony Marcina oślepił snop światła z czołówki. – Oszczędzam wzrok.

– Jesteś zjebem. – Marcin zasłonił ręką oczy, bo teraz ciemność zastąpiło światło, ale nie oświetlające przedmioty, tylko oślepiające go tak, że na moment kompletnie przestał cokolwiek widzieć.

– Wiem – zaśmiał się tamten. – I to lubię. Co cię sprowadza, Marcinku?

Snop światła przemieścił się z jego twarzy w bok na wnętrze pokoju, ukazując przy okazji to, co wcześniej skrywał mrok, czyli totalny bajzel. Pod ścianą z boku, w jedynym miejscu wolnym od komputerów, serwerów, zasilaczy i ciągnących się kabli, stała podarta sofa, na której walały się opakowania po wszystkich tych rzeczach, których jedzenie odradzali dietetycy, pod nią zaś piętrzyła się góra odpadków.

– Siadaj, ziom – zachęcił głos zza czołówki. – Chcesz coś?

– Co? – zapytał Marcin, bo naprawdę zaciekało go, czym może być w tych okolicznościach owo . coś* .

– No nie wiem, bracie, kurwa, kawy, koks, chipsów – wymienił tamten.

– Nie, spoko, Wojtek, jadłem niedawno. – Marcin usprawiedliwił swój brak otwartości na propozycję. – Mam sprawę.

– Ty, skumałem, inaczej byś się tu nie wkręcał, siadaj, odpocznij – ponowił propozycję Wojtek.

Marcin usiadł, odsuwając wcześniej zalegający na sofie plastik.

- A tę kanapę to gdzie kupiłeś? – zażartował, może trochę zbyt złośliwie.
- Przyniosłem z dołu, sąsiad wyjebał. – Wojtek miał gdzieś jego złośliwość.

Usiadł obok niego, z kieszonki w spodniach wyjął małą torebeczkę, wysypał jej zawartość na okładkę jakiegoś czasopisma dla freaków komputerowych i zaczął rozgniatać dowodem osobistym.

- O , kwit sobie już wyrobiłeś? – skonstatował Marcin.

– Trzeba się cieszyć dorosłością. – Pokiwał głową tamten. – Nawijaj, bo się jutro zrobi.

Przez moment Marcin się zastanawiał, co w kontekście tego, że w pokoju wiecznej nocy, w którym się znajdowali, i koks, który właśnie rychtował Wojtek, oznaczało dla niego pojęcie jutra, ale porzucił te rozmyślania.

- Jest sprawa – zaczął.

– No coś tam wspominałeś. – Wojtek, choć specyficzne i może trochę hermetyczne, też jednak miał poczucie humoru.

- Muszę pozyskać dane z KSIP-u. – Marcin streścił się maksymalnie.

– Z czego? – Wojtek skończył rychtowanie kresek i był z tego powodu bardzo zadowolony.

- Krajowy System Informacji Policji, pełna nazwa – wyjaśnił Marcin.

- No tam mnie jeszcze nie widzieli – ucieszył się Wojtek. – Co pozyskać i za ile?

– Dane o trzech zabójstwach, może wielokrotnych, ustalę, na jakich kryteriach wyszukiwania masz się oprzeć, i ci przekażę – odpowiedział Marcin.

Siedzieli tu już chwilę, wcześniej wdepnął w kota, kręcił się po pokoju, chwilę gadali, a teraz nagle przyszło mu do głowy, że do tej pory nawet nie widział twarzy swojego dobrego kumpla z sierocińca, którego znał od lat i z którym dzielił pokój w doli i niedoli.

– Po dwa gramy za zabójstwo – odpowiedział Wojtek, patrząc na niego, czyli znów świecąc mu czołówką po oczach. – I wciągasz ze mną jedną na podklepanie interesu.

– Stary, jak tam będzie po kilka osób, to będę ci musiał reklamówkę tego przydygać – oburzył się Marcin.

- Co poradzisz, jak nic nie poradzisz – odparł Wojtek.

- Na kiedy? – Marcin jeszcze negocjował.

- A tego na razie nie wiem, zresztą jeszcze nie masz tych kryteriów.

Wojtek chyba przełączył coś w lampce na głowie, bo przestała już tak oślepiać. Światło stało się bardziej miękkie i rozproszone. W końcu, po raz pierwszy, odkąd tu przyszedł, Marcin zobaczył kontur twarzy Wojtka. Zmartwił się, bo wyglądało na to, że jego od zawsze dość chudy kolega teraz wychudł jeszcze bardziej.

– Muszę tam wejść, zobaczyć, jakie mają zabezpieczenia. Powiedzmy od dwóch do czterech dni od startu operacji – dokończył Wojtek. – To jak, ciągniemy węgorzyka?

Ania nie zamierzała już płacić ciałem za informacje, ale spotkała się z Adrianem, bo po pierwsze, dzwonił kilka razy i o to prosił, a w jego głosie wyczuła niepokój, a po drugie... po drugie, po prostu lubiła się spotykać z mężczyznami. Może z tym akurat mężczyzną nawet bardziej niż z innymi, choć na razie nie zastanawiała się przesadnie nad przyczyną tego odczucia.

Tym razem, choć Adrian znów ją na to namawiał, odmówiła pójścia na kolację, bo byłoby to kolejne zobowiązanie, a ona nie lubiła zobowiązań. Jeśli już, to wołała, żeby zobowiązana czuła się druga strona. Spotkali się w kawiarni sieciowej w Arkadii. Najpierw rozmawiali trochę o niczym, o pogodzie, o polityce, o której ona miała pojęcie raczej ograniczone, o stosunkach panujących w policji. Oboje wiedzieli jednak, że unikają sedna. Ania jako pierwsza przeszła do rzeczy. Opowiedziała o dziwnych siostrach i o tym, czego dowiedzieli się w Białymstoku, potem wspomniała o wuju, który strasznie się zdenerwował, dowiedziawszy się, co tak naprawdę robią.

– No właśnie – wciął się aspirant.

– Co „no właśnie“? – zdziwiła się. – Co to znaczy?

– Ja też uważam, że powinniście jednak to odpuścić, „no właśnie“ znaczy, że zgadzam się z waszym wujkiem – powiedział, nie patrząc jej w oczy.

To akurat była sytuacja dość wyjątkowa o tyle, że przeważnie akurat od jej oczu trzeba go było odrywać siłą.

– Bo? – zapyłała, ciekawa jego argumentów, choć ani w głowie było jej je uznać, jakkolwiek przekonujące by były.

– Bo lepsi od was próbowali to rozgryźć, Malewski chociażby, i nic nie wyszło – powiedział.

Ania wiedziała, że nie o to chodzi.

– Bo? – powtórzyła pytanie.

– Bo to jest niebezpieczne – powiedział, już odrobinę bardziej przekonująco.

– Życie jest niebezpieczne. Bo? – docisnęła raz jeszcze.

Znała go już trochę, spotykali się od trzech miesięcy i to w sytuacjach jednak dość intymnych, czyli takich, w których człowiek o człowieku, jeśli Bóg choć trochę wyposażył go w empatię i dar spostrzegawczości, dowiaduje się więcej niż w innych.

– To było podpalenie – wyrzucił z siebie wreszcie tę jedną rzecz, którą chciał jej powiedzieć od początku.

– A widzisz, czyli jednak. – Pokiwała głową i się uśmiechnęła.

– Cieszysz się? – Spojrzał na nią, zaskoczony.

– W pewnym sensie tak, bo jeśli ktoś chce nas zabić, to znaczy, że po pierwsze wciąż jest i nie zdążył jeszcze zdechnąć, a po drugie boi się, że dotrzemy do prawdy – wyjaśniła.

– Może to przypadek – powiedział, sam nie wierząc w to, co mówi, więc żeby ją i siebie bardziej przekonać, spróbował rozwinąć: – To znaczy przypadek, że akurat tam wtedy byliście, że...

– Czym? – zapytała rzeczowo, wybawiając go przy okazji z męki braku spójności w myśleniu i z bełkotu, z którym nie było mu do twarzy.

– Co czym? – zapytał, wciąż jeszcze zaplątany w tamten wywód.

– Czym, kurwa, podpalili? – pomogła mu kolejny raz. – Strażak na miejscu mówił nam, że nie wie, co to jest, ale że mało zna rzeczy, które potrafią tak szybko roznieść ogień i które tak ciężko zgasić.

– Trójfl uorek chloru. – Adrian pokiwał głową. – I właśnie dlatego tym bardziej bym wołał, żebyście się od tego odkleili.

– Czemu tym bardziej? – zapytała, choć już się domyślała.

– Bo to znaczy, że tylko cudem wyszliście stamtąd żywi, a poza tym to zawodowcy. Nie każdy ma dostęp do takiej chemii – wyjaśnił.

– To może musimy sprawdzić ten trop, w sensie ten trój coś tam czegoś tam, skąd mogli go pozyskać? – zapaliła się, pozbawiając go też przy okazji złudzeń co do tego, że mogą zrezygnować z dochodzenia.

– Trójfluorek chloru, a nie coś tam. Ja w każdym razie nic wam już nie załatwię, żadnego KSIP-u ani nic – zaciętrzewił się.

– Nie trzeba, załatwimy sobie sami, ale dzięki za troskę – odpowiedziała i uśmiechnęła się rozbijającą.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. On może i chciał coś jeszcze powiedzieć, jakoś ją zmytygować, przestrzec, odwieść, ale nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Wojewódzka w Białymstoku wszczęła dochodzenie w kierunku podpalenia i usiłowania zabójstwa – powiedział w końcu.

– To chyba dobrze. Czy nie? – zapytała.

– Będą was wzywać na przesłuchania – spróbował ją zniechęcić ostatkiem sił.

– Pojedziemy, w końcu mamy też znajomych w Białymstoku – ucieszyła się.

W toku dalszych długotrwałych negocjacji Ania zgodziła się jedynie, że Adrian pojedzie za nią pod dom, tam się pożegnają, a potem ona wjedzie do garażu.

Tak zrobili. Kiedy stała już pod wjazdem, on wysiadł ze swojego samochodu i podszedł do niej z boku.

– Czemu cię to tak obchodzi? – zapytała.

Przyszło jej do głowy, że może aspirant Nowaczyk obawia się, że jeśli coś by się jej stało, to jego koledzy z policji dojdą, że pomagał jej w prowadzeniu nielegalnego dochodzenia i jego kariera legnie w gruzach. To przypuszczenie nie było ani niczym usprawiedliwione, ani sprawiedliwe wobec niego, ale ona po prostu tak miała. Za dużo o złych doświadczeniach z ludźmi w życiu, żeby nabrać zaufania do kogokolwiek, no może z wyjątkiem brata, który był współuczestnikiem wszystkich tych jej złych doświadczeń.

– Zgadnij – odpowiedział.

– Jakbym mogła zgadnąć, tobym nie pytała. – Popatrzyła na niego.

Jej oczy miały niebieskie tęczęwki, rozwodnione i podkolorowane równocześnie

elementami innych pigmentów, tak że kiedy na coś patrzyła, miało się wrażenie, że spojrzenie rozlewa się po wszystkim, na co spogląda. Kiedy zaś zaszczycąła swoim spojrzeniem j ego, każdorazowo miał nieodparte wrażenie, że zaraz w nie wpadnie i nigdy już z nich nie wyjdzie, czego zresztą doświadczył właściwie już na początku ich znajomości.

– Oczy – odpowiedział.

– Co oczy? – Nie zrozumiała.

– Przez twoje oczy – wyjaśnił, po czym uśmiechnął się trochę smutno i dodał: – Pa.

– Pa. – Pokiwała głową i też się uśmiechnęła.

On już jednak tego nie widział, bo szedł w stronę swojego samochodu zaparkowanego kilka metrów dalej na chodniku, przy samej ulicy.

Kiedy Ania wjechała do garażu, a on już miał wsiąść do auta i odjechać, za drzewem po drugiej stronie ulicy zauważył nagle jakiś cień. Zatrzaskał drzwi samochodu i ruszył w tamtą stronę. Cień zniknął jednak natychmiast wraz z osobą, która przyglądała się całej tej sytuacji. Adrian rozglądał się jeszcze chwilę po okolicznych chaszczach i choć nikogo już nie zobaczył, to od tego momentu jego niepokój i podejrzenia, że Ani i jej bratu może grozić jakieś niebezpieczeństwo, jeszcze się wzmożyły.

Wbrew temu, co sądził i na co miał nadzieję aspirant Adrian, Ania nie zakończyła jeszcze na tym swojego pracowitego dnia. Pół godziny później z dołu zadzwonił do niej mafiozo Bernard. Czekał w samochodzie. Nie umawiali się konkretnie, ale od kilku dni zapowiadał, że będzie chciał z nią porozmawiać. Teraz, gdyby się uparła, mogłaby wymówić się późną porą albo czymkolwiek innym, ale i tak wróciłby jutro albo w jakimś jeszcze innym, zupełnie nieodpowiednim momencie. Ania zdecydowała, że zejdzie. Kiedy zaanonsowała to Marcinowi, jego reakcja była bodaj jeszcze gorsza od reakcji, jakiej mogłaby się spodziewać po Adrianie, a może nawet po wuju Zygmuncie. Słowem – Marcin się po prostu obraził. Robił tak czasami, to był najsilniejszy element presji, jaki mógł zastosować, najwyższy wymiar kary, bo Ania nie znosiła, kiedy brat był obrażony.

– Muszę pozamykać sprawy – oświadczyła w stronę jego pleców.

– Nigdy nie pozamykasz tych spraw – odpowiedziały plecy, dopiero gdy była już przy drzwiach.

– Na pewno ich nie pozamykam, wsadzając łeb w piach – powiedziała i wyszła.

W limuzynie Bernarda pachniało skórą siedzeń, paczuli jego perfum i suchym ciepłem klimatyzowanego ogrzewania. Gdzieś w tle cicho grała muzyka. O dziwo coś klasycznego, ale nie umiała rozpoznać co. W sierocińcu nie edukowano ich w tym kierunku, w ogóle przesadnie ich nie edukowano. Może wiedziała trochę więcej od mediany społeczeństwa o modlitewnikach i brewiarzach, ale o muzyce i literaturze już nie za bardzo, a to, zważywszy na nieprzesadnie wysoko zawieszoną poprzeczkę owej mediany, oznaczało, że przynajmniej na razie wiedziała naprawdę niewiele.

Mało wiedziała, ale lubiła, miała ten rodzaj wrażliwości, który powodował, że słuchanie Mahlera sprawiało jej więcej przyjemności niż katowanie się Zenkiem. Pewno tę wrażliwość odziedziczyła po rodzicach albo może, jeśli ktoś woli taką koncepcję, nasiąkała nią przez pierwsze dziesięć lat życia.

– Niezły klimacik – zauważyła po tym, jak rozsiadła się już na miękkim fotelu usytuowanym tyłem do kierunku jazdy. – O czym będzie?

– O naszej wspólnej przyszłości. – Uśmiechnął się.

Ania przeraziła się, że zaraz wyciągnie małe pudełeczko oklejone czerwonym aksamitem. Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło.

– Mam fajnego klienta – zaczął.

– Nie wchodzę – odbiła.

– Bo? – zdziwił się.

– Powiedzmy, że jestem na L4 albo na wakacjach, jak wolisz.

– Wolę na wakacjach. A kiedy wracasz? – Wciąż się uśmiechał.

– Jeszcze nie wiem, może nigdy. – Spojrzała mu odważnie w oczy.

– E tam, nie wierzę. – Pokręcił głową. – Wakacje każdemu w końcu się nudzą.

– Może wrócę z wakacji, ale już do innej roboty – zaproponowała rozwiązanie.

Przez chwilę czujnie jej się przyglądał.

– Policjant? – zapytał lapidarnie.

– Co policjant? – Udała, że nie wie, o co chodzi.

– Informacje? Jakie akcje, kiedy, kto jest wtyką, takie tam różne pierdoły? Wydaje mi się, że już kiedyś o tym rozmawialiśmy. – Bernard już się nie uśmiechał.

– Nie dam ci nic na niego, Bernard – powiedziała nagle zdecydowanie, sama się tym lekko zaskakując.

Nie odpowiedział od razu, ale teraz na jego twarzy pojawiło się coś, co wydało jej się idealną odwrotnością uśmiechu, który gościł na niej jeszcze chwilę temu, gdy wsiadała do samochodu.

– Wkurwiasz mnie – wycedził w końcu przez zęby, po czym krzyknął do ochroniarza siedzącego za kierownicą: – Możesz wyłączyć to gówno, co to, kurwa, jest filmharmonia jakaś?!

– Filharmonia. – Ania nie mogła się powstrzymać.

– Co?

– Nic. – Aby uniknąć jego spojrzenia, wyjrzała za okno.

– Tyle dla ciebie robię i robiłem, to jest niewdzięczność. – Teraz dla odmiany obraził się Bernard.

– Coś ci jeszcze dam, jakoś się odwdzięczę, ale nie na niego. – Anię łatwo było wpędzić w poczucie winy.

Tak już miała. Jeśli przez lata pobytu w sierocińcu musisz za wszystko przeproszać i dostosowywać się do wymogów tylko po to, żeby oszczędzić sobie najgorszych przykrości, takich jak na przykład bycie odseparowanym od reszty w izolatce przez pięć dni, to w końcu wchodzi ci to w krew. Na szczęście kiedyś wcześniej – albo może znów była to sprawa genów – Ania zbudowała w sobie na tyle mocny kręgosłup własnej woli i przekonań, że stawiała na swoim. Stawiała, ale i tak

miała poczucie winy.

– Czemu nie na niego? – spytał Bernard już łagodniej, a nawet z pewną dozą ciekawości i na jego twarzy znów pojawił się uśmiech. Teraz był to jednak uśmiech innego rodzaju, delikatnie skrzywienie ust, które miało zdaje się oznaczać rodzaj zaproszenia do zawarcia paktu tajemnicy.

– Bo nie. – Ania najbardziej na świecie nie lubiła wchodzić z kimkolwiek w tego rodzaju paktu dotyczące jakichkolwiek jej tajemnic.

– I tak zrobiłaś mi wielką przykrość, moi Bogu ducha winni koledzy codziennie trafiają do więzień i aresztów, a ty nie chcesz nam nijak pomóc. Co będzie, jak to ja trafię w końcu pod celę? – spróbował jeszcze takiego szantażu emocjonalnego.

– Przyślę ci cebulę. – Ania była jednak bezlitosna.

Przez chwilę Bernard kręcił głową z niedowierzaniem.

– Włączysz wreszcie jakąś muzykę?! – krzyknął do ochroniarza.

– Kazał szef wyłączyć – usprawiedliwił się cicho tamten.

– Kazałem ci wyłączyć tę filmharmonię, a nie w ogóle. Puść jakiegoś Zenka czy coś – zachęcił.

– To j a idę. – Ania popatrzyła na niego pytająco.

– Idź. – Pokiwał głową. – Ale jeszcze przyjdiesz w łaski. A swoją drogą, jak tam to wasze dochodzenie?

– Próbowali nas spalić – odpowiedziała bez emocji.

– Jak, kurwa, spalić, kto? – zdenerwował się.

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że ci sami, którzy zabili rodziców – odpowiedziała.

– Żebyś sobie tylko na tym ząbków nie wybiła, złotko. – Uśmiechnął się trochę dziwnie.

Ona pokiwała głową, miała już naprawdę dość tej troski z każdej strony. Chciała iść i napić się whisky, pociągnęła więc za klamkę, wysiadła i ruszyła w stronę domu. W tle dź wiekowym, teraz znacznie głośniejszym niż wcześniej Mahler, rozbrzmiał Zenek.

– Zakochała się? – zapytał Bernard tak cicho, że kierowca nie był pewien, czy pyta jego, czy może sam siebie, więc nijak się do tego nie odniósł.

Następnego dnia rano Marcin wstał wcześniej, bo umówił się na spotkanie w sprawie pracy w firmie ochroniarskiej w hotelu Marriott. Wcześniej był tam już raz, widział się z szefem ochrony, przeszedł wstępną i chyba najważniejszą kwalifikację, zresztą, choć tego nie wiedział, referencje do pracy tutaj dostał z najwyższego możliwego szczebla, bo na prośbę Ani rekomendował go również Bernard. Teraz miał przyjść i poznać się ze swoim bezpośrednim przełożonym, i umówić się z nim na konkretny dzień, o ile oczywiście przełożony go zaakceptuje. System był amerykański, bo to amerykański hotel z amerykańską ochroną, to znaczy sami ochroniarze byli Polakami, ale cała góra i zasady pochodziły zza oceanu. W związku z tym sam szef szefów nie decydował ostatecznie o tym, kogo zatrudniał. Musieli wyrazić na to zgodę ci z niższych szczebli. Bardzo demokratyczne i jednocześnie trochę bez sensu. W każdym razie Marcin stawił się na ósmą trzydzieści rano, co nie było dla niego wcale łatwe, ale się przemógł. Przyjął go bezpośredni szef. Był to mężczyzna tak ogromnych rozmiarów, że Marcin, kiedy stanął przy nim, poczuł się jak karzełek, którym bynajmniej nie był. Facet wydawał się poza tym strasznie przejęty swoją rolą, w ten szczególny sposób, kiedy to funkcja nadaje człowiekowi sens istnienia, określa go do tego stopnia, że ma się wrażenie, iż pozbawienie go jej spowodowałoby jego natychmiastową dezintegrację. Bez owej funkcji jego bezpośredni przełożony po prostu nie mógłby istnieć, a jego ciało znikłoby natychmiast po zdjęciu munduru ochroniarza hotelu Marriott. Marcin przez moment zastanawiał się nawet, co dzieje się z jego potencjalnym bezpośrednim przełożonym nocą. Czy śpi w mundurze, czy nocą może po prostu go nie ma.

– Co się tak lampisz? – Nieco zbyt wysoki, nielicujący z posturą tembr głosu przełożonego wyrwał go z zamyślenia.

– Nic, tak sobie patrzę – odpowiedział cicho.

– To sobie nie patrz, tylko wbijaj w mundurek i idziemy na obchód. – Przełożony trzymanym nie wiadomo po co w rękę paralizatorem wskazał mu szafkę na końcu szatni. – Za pięć minut masz być gotowy.

– Ale jak gotowy, ja przyszedłem tylko na spotkanie, ja muszę... – próbował się bronić Marcin.

– Nie pierdol – mężczyzna odpowiedział melodyjnie.

– Okej. – Marcin pokiwał głową.

Nie było wyjścia. To znaczy było, ale na razie postanowił przede wszystkim zyskać na czasie. Ogólnie poczuł się jak w więzieniu o zaostrzonym rygorze, tyle że jeszcze z cieniem nadziei na ucieczkę stulecia.

– Tu się nie pierdoli – rozwinął wcześniejszą myśl przełożony, po czym pokiwał głową i porozumiewawczo wskazał na paralizator.

Marcin też pokiwał głową, że rozumie, choć nie rozumiał nic a nic, usiadł na

ławce i zaczął rozwiązywać buty. Kiedy przełożony wyszedł, prawdopodobnie, żeby dopilnować jakiegoś innego ze swoich rozlicznych podwładnych, Marcin rozejrzał się wokół, po czym ruszył pędem do drugich drzwi, przez które chwilę wcześniej weszli do pomieszczenia. Szesnaście sekund później wyszedł przez stalowe, chronione na szczęście tylko od zewnątrz szyfrem, drzwi do przejścia podziemnego przy Dworcu Centralnym, następnie pobiegł w stronę wyjścia pod Pałacem Kultury i Nauki. Mógł wyjść znacznie bliżej, choćby na przystanek tramwajowy przy Alejach Jerozolimskich, ale bał się, że tam dosięgnie go karzące ramię z paralizatorem, więc wołał nie ryzykować. Po pół godzinie był z powrotem w domu.

– Gdzie byłeś? – zapytała zaspana Ania.

– Przejść się... pobiegać... – odpowiedział.

– W marynarce? – Spojrzała na niego.

– Musisz drażnić? – odparł.

Pokręciła głową i poczłapała w stronę łazienki.

Marcin, nawet gdyby był nienormalny i chciał spędzić resztę życia jako pracownik ochrony, czyli osadzony w więzieniu o zaostrzonym rygorze należącym do dwumetrowego przełożonego z paralizatorem, to i tak dziś nie mógł tego zrobić, bo umówili się z siostrą, że w południe jadą do Malewskiego. Kolega Wojtek dał znać już poprzedniego dnia, że przeszedł zabezpieczenia na serwerze KSIP-u, mógł więc wydobyć dla nich to, czego szukali, właściwie w dowolnym momencie, musieli mu jednak powiedzieć, co to ma być.

Oczywiście wiedzieli to z grubsza, ale nie znali KSIP-u i nie mieli pojęcia, jakie kryteria wyszukiwania trzeba tam wpisać, co było charakterystyczne, jakie elementy wyróżniały te dwie sprawy, czyli zabójstwo ich rodziców i kazus z Radomia. Wszystko to pewno mógłby pomóc im wymyślić albo ustalić Adrian, ale relacja z nim polegała obecnie na tym, że aspirant postanowił przede wszystkim ich chronić, a zatem nie mieli co liczyć na jego wsparcie w tym temacie. Poza tym on mógł tylko spróbować coś ustalić, a Malewski po prostu to wiedział, bo w tym uczestniczył.

– Na pewno podejrzenie gardła – zaczął komisarz po tym, jak przekazali mu już swoje ustalenia i zrelacjonowali przygody z podróży do Białegostoku.

Siedzieli znów w jego zawalonym niepotrzebnymi przedmiotami salonie i sączyli single malty. Ten element ich spotkań wydawał się tak nieodłączny, że kiedy Malewski zaproponował alkohol, to mimo iż była zaledwie pierwsza po południu, żadne z nich nie zaprotestowało. Wiedzieli zresztą z góry, że tak to się skończy, więc na miejsce przyjechali tym razem nie jej bmw, a Uberem, dokładniej skodą fabią, za kierownicą której siedział pewien niezwykle gadatliwy i sympatyczny zresztą Kazach, absolutnie nie potrafiący jeździć samochodem. Ania jako kierowca jeszcze długo po tej podróży dochodziła do siebie, tymczasem do Marcina kompletnie nie dotarło, że minimum sześć razy tylko Opatrzności zawdzięczali to, że w ogóle żyją.

– Czemu na pewno? Mama nie miała podejrzonego gardła – zauważył Marcin.

– Nie miała i to jest zastanawiające. Być może zbyt się spieszyli, może..., nie mam pojęcia, ale tata miał, a w Radomiu podcięte gardła mieli oboje rodzice tamtych dziewczyn, więc obstawiam, że wasza mama była raczej wyjątkiem potwierdzającym

regułę – wyjaśnił Malewski, po czym zanurzył się w rozmyślaniach. Tak miewał i to od wielu lat, od śmierci żony, ale tego akurat oni nie mogli wiedzieć.

– Co jeszcze? – Ania w końcu wbiła klin pomiędzy Malewskiego a okno, za które wyglądał, nic przez nie nie widząc.

– Jeszcze? Na pewno jeszcze szkło jako narzędzie zbrodni. – Pokiwał głową na potwierdzenie swoich słów. – Poza tym brak śladów daktyloskopijnych i DNA, brak śladów włamania, dom na obrzeżach miasta, noc jako czas popełnienia zbrodni, no i... – Popatrzył na nich i umilkł.

– Osierocenie dzieci – dopowiedział Marcin.

– Nie tylko to... Również gwarancja, że dzieci nie trafią do bliskich, tylko do sierocińca – dodał Malewski.

– No to u nas akurat nie jest prawda, mieliśmy wujka, ciotkę – zaprotestowała Ania.

– Mieliście, ale nie byli zdaje się na tyle bliscy, żebyście uniknęli domu dziecka? – zapytał celnie Malewski.

Po chwili Ania pokręciła głową.

– Ale co, ktoś tak dobrze znał naszą rodzinę, żeby to wiedzieć? Prorok jakiś? – odezwał się czujnie Marcin.

– Niekoniecznie prorok, ale na pewno ktoś inteligentny i dobrze przygotowany do tego, co robił. Ktoś, kto najprawdopodobniej najpierw obserwował was jako rodzinę, to samo w przypadku tych z Radomia, sprawdził krewnych i tak dalej. Oczywiście może się mylimy, zakładając, że dom dziecka dla dzieciaków... dla was był między innymi elementem spajającym to wszystko, ale jeśli się nie mylimy, to zabójca na pewno nie jest chamem spod budki z piwem – zawyrokował Malewski.

– Co to jest budka z piwem? Pub? – zapytał Marcin.

– Nie, raczej sklep z takim najtańszym, w plastikowych butelkach. Zabójca nie jest lumpem, to chciałem powiedzieć – wyjaśnił komisarz.

– Inne kryteria? – Ania wróciła do tematu rozmowy.

– Chyba na razie tyle. Może jeszcze to, że sprawca najprawdopodobniej pozorował kradzież, to znaczy kradł naprawdę, ale nie robił tego dla samej kradzieży. – Malewski zamyślił się na chwilę, po czym dodał, zerkając w swoje odbicie w lusterku kredensu stojącego pod ścianą: – To znaczy w kryteria trzeba jednak raczej wpisać po prostu kradzież czy nawet motyw rabunkowy. Nie sądzę, żeby w innych przypadkach moi koledzy po fachu z mniejszych ośrodków mieli od razu tę wiedzę, do której ja doszedłem dopiero teraz, czyli że to był motyw pozorowany.

– Czyli? – Marcin pogubił się nieco w przydługim wywodzie Malewskiego, wysyconym jeszcze wyraźnie delikatną nutą narcyzmu i samozadowolenia.

– Czyli wpisze rabunek, bo nikt do tej pory, jak wy to mówicie, nie rozkminił, że nie o rabunek w tym chodziło – skwitował komisarz i połał następną kolejkę.

– A może jednak chodziło? – zastanowiła się Ania.

– Nie, za dużo zachodu. Już przy Radomiu połapałem się, że chyba nie, ale nie dali mi tego pociągnąć. – Przerwał, ale widząc, że Marcin znów chce go docisnąć

o wytłumaczenie, szybko dodał: – Już wam tłumaczyłem, dlaczego sprawy nie mogą się ciągnąć dłużej niż półtora roku, a Radom znaleźliśmy właśnie jakoś po takim czasie.

– Czyli rabunek – skwitował Marcin.

– Tak, i jeszcze jedna rzecz, której wtedy nie wiedziałem, a teraz już wiem, czyli te krwawe znaki na ścianie – dodał zamyślony albo oddalony w już bliżej nieokreślonym kierunku przez whisky komisarz.

– U nas nie było – zauważył Marcin.

– Jak już ustaliliśmy, u was generalnie było trochę inaczej.

Po wyjściu od Malewskiego od razu pojechali do Wojtka. Ania chciała nawet, żeby przesłać mu kryteria esemesem lub mailem, ale Marcin intuicyjnie uważał, że to może nie być najlepszy pomysł.

– Zaczynasz łapać paranoję – zagaiła, kiedy już wchodzili na ósme piętro bloku na Ursynowie, w którym mieszka! Wojtek.

Na dole czekały na nich wprawdzie dwie windy, ale jedna stała zablokowana w połowie między parterem a pierwszym piętrzem, a w drugiej na podłodze rozlewał się gigantyczny paw.

– Nie mam paranoi, tylko wiem, jak funkcjonuje dzisiejszy świat – odpowiedział trochę protekcjonalnie.

– To jak funkcjonuje dzisiejszy świat, Dalajlamo? – Zdyszana Ania z trudem wyrzuciła z siebie pytanie.

– Czy ty mnie przypadkiem nie obrażasz? – Marcin zatrzymał się między szóstym a siódmym piętrzem. Jemu też kończył się zgromadzony w komórkach zapas tlenu.

– Jeśli kogoś, to raczej jego – odpowiedziała.

– Nawet jeśli teraz jeszcze nas nie podsłuchują i nie namierzają, to potem może przyjść taki moment, że sobie zajrzą w nasze telefony, i co wtedy? – zapytał logicznie.

– Kiedy? Po co mieliby zaglądać w nasze telefony? – zaciekawiała się.

– Na przykład rozwiążemy tę sprawę, której oni nie rozwiązali, i to ich cholernie wkurwi – wyjaśnił.

– W sumie... – Pokiwała głową.

Do drzwi doszli na ostatnich nogach. Marcin nacisnął dzwonek, następnie zrobił to jeszcze cztery razy i dopiero kiedy mieli już oddalić się w powrotną drogę, tym razem osiem pięter w dół, drzwi nagle się otworzyły i stanęła w nich ta sama co poprzednio chuda młoda dziewczyna tym razem w grubym swetrze skrywającym górną część ciała i absolutnie bez niczego, co skrywałoby dolną.

– O, to dość odważna propozycja – skomentowała spokojnie Ania.

– Co? – spytała dziewczyna, ale nie do końca mogli być pewni, do czego konkretnie odnosiło się jej pytanie: czy do stwierdzenia Ani, czy może miało na celu ogólne poszerzenie wiedzy. Jej oczy były jakby wstawione w szklany słup, przy czym słup ów wcale nie był wycelowany w nich, tylko gdzieś obok.

– Cześć, czy jest może Wojtek? – zagał Marcin.

– Jaki Wojtek? – odpowiedziała dziewczyna.

– Wojtek Pabiak, informatyk, haker, komputerowiec, ostatnio tu mieszkał. – Marcin tym razem zapewnił dziewczynie kompendium informacji.

– Jest, chyba, nie wiem, może nie ma – odpowiedziała.

– A możemy zajrzeć? – Do rozmowy wiodącej jak do tej pory raczej donikąd włączyła się Ania.

– Jasne, wchodźcie. – Dziewczyna uśmiechnęła się po raz pierwszy, ale oni wciąż nie byli do końca pewni, czy przypadkiem nie jest niewidoma, bo słup jej wzroku nadal nawet o nich nie zahaczył.

Weszli. Marcin wiedział już, gdzie jest pokój, czy może bardziej kantorek, jama, erem, gniazdo, w którym umościł się jego przyjaciel. Dziewczyna tymczasem gdzieś znikła, więc po prostu nacisnął kławkę i weszli.

Tym razem w pokoju dla odmiany było jasno i panował idealny porządek. Ogolony i umyty Wojtek uwijał się, czyszcząc nie wiadomo z czego nowiutką klawiaturę komputera.

– Cześć, Wojtek – przywitał się od drzwi Marcin, głównie po to, żeby na podstawie odpowiedzi ocenić stan, w jakim znajdował się kolega, czyli określić, co wziął oraz by w razie czego zawczasu uniknąć narażenia Ani.

– O , cześć, dobrze, że jesteś, pomożesz mi przesunąć szafę – ucieszył się Wojtek, który nawet nie spojrzał na Marcina, bo był zbyt zajęty czyszczeniem czystego.

– Jaką, kurwa, szafę? – Marcin rozejrzał się po pokoju.

Były tu jakieś regały z równiutko teraz poustawianymi częściami do komputerów: chłodnicami, płytami głównymi, wiatraczkami, dyskami, przewodami, ale nie było tu żadnej szafy.

– W salonie, Basi trzeba pomóc – wyjaśnił Wojtek i zerknął na Marcina.

Tym razem jego wzrok się zablokował, jednak nie na Marcinie, tylko na czymś albo na kimś obok. Marcin domyślił się, i to dwóch rzeczy naraz: po pierwsze tego, że Ania weszła do pokoju i stanęła za nim, po drugie tego, że Wojtek najprawdopodobniej teraz dla odmiany nawciągał się mety.

– Moja siostra Ania, znasz? – zapytał, nie patrząc nawet za siebie.

– Jasne, bracie, znam, tyle lat się znamy, ale ty masz piękną tę siostrę. – Wojtek porzucił czynność, która mogła doprowadzić do zderzenia literek z klawiatury, i ruszył w stronę Ani.

Marcin zaasekurował trochę przebieg wydarzeń. Nie był pewien, ile Wojtek wciągnął i co się działo w jego głowie, mógł na przykład kompletnie stracić panowanie nad sobą. Meta potrafiła robić z ludźmi okropne rzeczy.

– Strasznie fajnie, że wpadłaś, że wpadliście razem, bardzo dawno się nie widzieliśmy, może gdzieś razem wyskoczmy, jest tyle nowych miejsc, ostatnio na przykład... – Wojtek złapał kurczowo Anię za dłoń i patrząc jej prosto w oczy, nadawał jak najęty.

– Ty, Wojtek, Wojtek. – Marcin musiał jednak interweniować, na szczęście na razie tylko werbalnie. – Przyniosłem ci te kryteria do wyszukiwania.

– Wyszukiwania? Czego? Ja pierdołę, musimy gdzieś razem wyskoczyć... – Wojtek dalej próbował czarować Anię.

– Wyszukiwania spraw kryminalnych w KSI P -ie, panie Wojtku – odezwała się w końcu z uśmiechem Ania.

To dobrze, pomyślał Marcin, bo prawdopodobnie tylko ona może nawiązać z nim teraz jakikolwiek kontakt, a że kontakt ten nie będzie pozbawiony podtekstu męskodamskiego...? Cóż, do tego Ania była na szczęście – i niestety – dość przyzwyczajona.

– A, Boże, wiem, teraz trybie, ale ze mnie głąb, wasi rodzice, sprawy, policja, dochodzenie. – Wojtek rzeczywiście teraz rozumiał, odwrócił się nawet do Marcina, choć tylko na moment. – No to dawaj te krateria, od razu pierdolniemy to na bęben i będzie można potem wyskoczyć.

Marcin podał mu przygotowaną zawczasu kartkę. Wojtek usiadł do klawiatury, którą przed momentem tak precyzyjnie polerował. Zaczął pisać.

– Jeszcze daty by się przydało jakieś dać – powiedział, wpatrując się w ekran komputera. – Jakiś zakres czasu, pamiętam, że tam mają coś takiego.

Jego palce zaczęły tańczyć po klawiaturze z taką prędkością, że niemożnością było za nimi nadążyć. Az dziw, że on nadążał. Po chwili wpisywania rzeczy zupełnie dla nich niezrozumiałych na stronach zupełnie im nieznanymi, nagle ukazała się winieta Krajowego Systemu Informacji Policji i to z załogowanym już użytkownikiem, gotowa do rozpoczęcia wyszukiwania.

– Cudotwórca – pochwalił Wojtka Marcin.

– Bez przesady, jakbym wszedł do CIA, FSB albo do Mosadu, to rozumiem, ale na te nasze strony policyjne to jak do Lidia po bułki – uśmiechnął się Wojtek, który teraz szczęśliwie z trybu „przedłużanie gatunku“ bez reszty przełączył się na tryb „i ty dostań Nobla z nauk ścisłych“ . – Dawaj te kryteria i okres.

– Co to jest Mosad? – Ania wydawała się trochę zawiedziona taką kompletną zmianą w nastawieniu czy raczej ukierunkowaniu Wojtka.

– Instytut do spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych – odpowiedział Wojtek, spojrzawszy na odbicie twarzy Ani w monitorze i natychmiast się odwrócił.

Marcin pokręcił tylko głową – Ania odzyskała zainteresowanie, a załatwienie sprawy odsunęło się w czasie.

– Izraelski wywiad – kontynuował wyjaśnianie Wojtek. – Najlepszy na świecie... To co z tym wyjściem?

– Pomyślimy. Wbij, Wojtuś, już te kryteria, dobra? – Marcin ledwo dawał radę.

Wojtek po chwili odwrócił się od Ani i znów przekraczając barierę dźwięku, a może nawet prędkość światła, w pięć sekund wstukał wszystko to, co było na kartce.

– Lata? – spytał z palcami wciąż pozostającymi w gotowości.

Marcin spojrzawszy na Anię.

– Czy j a wiem? Daj, powiedzmy, trzydzieści do tyłu – powiedział.

Wojtek zaszwargotał klawiaturą, po czym zawisł palcem nad klawiszem enter, zdaje się dla podbudowania dramaturgii, i czekał.

– No dawaj – pogoniła go tym razem Ania.

Palec spadł na klawisz z narysowaną fi kuśnie zakręconą strzałką, która miała za zadanie zilustrować funkcję, jaką spełniał w życiu komputera i świata . enter” .

Na stronie KSIP-u w miejscu wcześniejszych okienek pojawiła się na moment ikona kręcącej się klepsydry. A oni zamarli w oczekiwaniu.

Wynik wyszukiwania przyniósł cztery rezultaty: Radom, Rawa Mazowiecka, Piotrków Trybunalski i Suchedniów. Co ciekawe, acz nieprzesadnie zaskakujące, wśród spraw nie było zbrodni, która odebrała im rodziców. Nie zgadzał się element podcięcia gardła ostrym narzędziem – albo w ich sprawie nie znaleziono w ranie szkła, albo powodem było to, że tylko jedna ofiara została zamordowana w ten sposób, no i, jak słusznie zauważył Marcin, u nich nie było też krwawych znaków... Pierwsza zbrodnia wydarzyła się w Rawie przed szesnastu laty, wcześniej nie było nic, cztery lata póź niej kolejna sprawa w Radomiu, potem w tym samym odstępie czasowym Piotrków i w końcu, mniej więcej cztery lata temu, Suchedniów.

– Możesz nam to wydrukować? – zapytał Marcin, kiedy już przeczytali z ekranu większość tego, co było do przeczytania.

Wojtek skinął głową.

– Dość to dziwne jak na mój matematyczny łeb – powiedział. – Te odstępy są w chuj równe.

– Za równe – uśmiechnęła się Ania, po czym dodała jakby z żalem: – Tyle że nasza sprawa nie leży na tej osce czasowej, więc jest jakby z innej bajki.

– Szukając w swojej sprawie, znaleźliście serię, do której wasza sprawa nie pasuje? – upewnił się Wojtek.

– Tak jakby. – Marcin pokiwał głową.

– Matematyka, chociaż logiczna do bólu, bywa też dość skomplikowana, może więc trzeba znaleźć inny algorytm. – Wojtek wyraźnie próbował ich pocieszyć. – Pokombinuję, może coś znajdę, jakiś hak w tym.

– A możesz wyciągnąć z tego też naszą sprawę, tak przy okazji? – odezwała się po chwili Ania.

– Jasne? A jakie kryterium? Skoro tamte nie zadziałały. – Wojtek spojrzał na nich.

– Może data – zaproponował Marcin. – Da się po dacie?

– Da się, dawaj. – Wojtek zawiesił palce nad klawiaturą.

– Trzynasty maja dwa tysiące... – zaczął Marcin.

– ...dziewiątego roku – dokończyła Ania, po czym wyrecytowała całość tak, jakby był to fragment jakiejś mantry, którą powtórzyła w głowie tak wiele razy, że stała się już teraz bardziej zlepkiem sylab niż słowami niosącymi jakikolwiek sens: – Trzynaście zero pięć dwa zero zero dziewięć.

Wojtek popatrzył na nią przez chwilę. Prawdopodobnie jako człowiek, choć bardzo wyniszczony substancjami psychoaktywnymi, to jednak wciąż niepozbawiony wrażliwości, zrozumiał w tym momencie z jak wielkim dramatem i z jaką ogromną wyrwą w ich głowach i sercach miał do czynienia. Jego palce znów zatańczyły na klawiaturze. „ Enter” . Po chwili, krótszej nawet niż poprzednio, na ekranie pojawił się rezultat. Wszystkie opisane okoliczności, daty, fakty się zgadzały. Była tam jednak jeszcze jedna informacja, która ich zmroziła. „Seksja zwłok kobiety wskazuje na to, iż

przed śmiercią została zgwałcona. Nie stwierdzam śladów nasienia*. Niżej widniał podpis jakiegoś anatomopatologa, chyba kobiety, może tak było bardziej właściwie.

Pół godziny później byli z powrotem u Malewskiego. Komisarza zastali tym razem w znacznie gorszej formie, whisky spowodowała zmiany, które jednak, jak się okazało, były odwracalne i były policjant wytrzeźwiał nawet szybciej, niż się tego spodziewali.

– Tak to jest, na stare lata mało już człowiekowi potrzeba, ale też mało ma wątroba do przerzucenia, więc szybciej się wraca, a potem znów to samo – zaczął wyjaśniać coś, co kompletnie ich w tym momencie nie interesowało. Szybko się zorientował i popatrzył na nich ze zdziwieniem. – Ale co...? Po co tu znowu przyjechaliście?

– Matka została zgwałcona. – Marcin nie owijał w bawełnę.

– Wiem. – Malewski pokiwał głową.

– Domyślamy się, ale czemu my nie wiemy? – Ania była wzburzona.

– A po co wam ta wiedza? – Komisarz popatrzył na nią nagle bardzo trzeźwym wzrokiem. – Myślicie, że łatwo jest powiedzieć dzieciakom, którym zabili rodziców, że jeszcze do tego ktoś zgwałcił ich matkę, prawdopodobnie butelką albo jeszcze czymś, kurwa, innym?!

Teraz to on był wzburzony. Ania spojrzała na brata.

– Ale jak mamy prowadzić nasze dochodzenie, jak nie wiemy takich rzeczy? – zapytał Marcin po chwili, ale już ciszej i bez pretensji w głosie.

– Nie wiem jak, w ogóle nie wiem, jak macie prowadzić dochodzenie w tej sprawie. Mnie było trudno, bo to tak wszystko bolało, a jak wy macie?! Nie mam pojęcia – rozżalił się nagle Malewski.

– Jakoś damy radę – odezwał się po chwili Marcin. – No to co było dokładnie? Gdzie indziej nie było gwałtów?

– Gdzie indziej? – zdziwił się Malewski.

– W innych sprawach. – Ania patrzyła w podłogę, rzeczywiście ciężko jej było przyswoić sobie ten nowy fakt w sprawie. – Sprawdziliśmy w KSIP-ie. Są do tej pory cztery podobne sprawy. Nasza zresztą nie mieści się w tych kryteriach wyszukiwania.

– W tamtych sprawach też były gwałty? – Najwyraźniej Malewski sam nie miał odpowiedzi na zadane przez nich pytanie.

– Nie. W każdym razie o tym nie piszą.

– Pisaliby, różne rzeczy mogą umknąć, ale coś takiego nigdy. – Malewski pokiwał głową. – Dziwne to wszystko.

– Myślę, że nasza sprawa nie należy do tej serii, jest osobna, niezwiązana z innymi, przypadkowa. – Ania zdecydowanie traciła zapał.

– Nie wydaje mi się. Nie ma takich spraw, tak okrutnych morderstw dokonywanych przypadkowo, w każdym razie zdarza się to bardzo rzadko, a tutaj jest tyle samo elementów wspólnych, co różnic. – Malewski się zamyślił.

Siedzieli teraz w kuchni jego domu, więc po raz pierwszy wyglądając za okno,

rzeczywiście za nie wyglądał, bo nie wiedzieć czemu okna kuchenne były jedynymi, które ktoś co jakiś czas mył. A może nawet wiadomo dlaczego. Za oknem rozciągał się widok na sad, w którym teraz akurat kwitły drzewa, latem kwiaty zmieniały się w owoce, jesienią liście wybuchały kolorami, zimą, nawet zimą, kiedy leżał śnieg, widok musiał być przedni.

– No więc sprawa jest podobna, a to, że się różni, to jest dla was, czy tam dla nas, po prostu podpowieź. Kiedy sprawy nie różnią się niczym, to można założyć, że mordy zostały przeprowadzone dokładnie tak, jak je zaplanowano, czyli perfekcyjnie, mucha nie siada i ciężko coś znaleźć, jeśli zaś któraś się różni, to znaczy, że coś poszło nie tak, że zabijano w pośpiechu albo że zabójcy chodziło o coś innego, bo złamał schemat. I w tym wszystkim jest klucz, jest odpowiedź... – skończył i polał sobie w nagrodę, jednocześnie patrząc na nich pytająco, ale oni pokręcili głowami.

– Tylko że pan jej nie znalazł – przyszpilił go znów czujnie Marcin, po czym sprytnie umknął przed ewentualnym atakiem odwetowym, dodając: – A jest pan jednym z lepszych, więc jak my mamy ją znaleźć?

– Nie znalazłem, bo nie miałem tego tła, tych innych spraw i tej świadomości, co w tej sprawie poszło inaczej. – Malewski wypił, wstał, podszedł do drzwi prowadzących do ogrodu, otworzył je i wciągnął w nozdrza potężną dawkę słodkawego zapachu kwiatów.

Mieli już zatem cztery sprawy, które wydarzyły się na przestrzeni ostatnich sprawie szesnastu lat z tego samego klucza i jedną, tę dla nich najważniejszą, z nieco innego. Żeby ustalić, czy była powiązana z tamtymi czterema, jak uważał Malewski, czy jednak nie, jak obawiała się Ania, musieli tak czy owak działać dalej.

– Tylko co dalej? – Ania spojrzała na Marcina chwilę po tym, jak odpaliła silnik.

– Musimy pojechać w te inne miejsca, zadzwonię też dzisiaj do Wery z Białegostoku, może od niej czegoś się jeszcze dowiem – zaproponował Marcin.

Kiedy wyszli od Malewskiego, znów ktoś ich obserwował. Ania czuła to, więc rozglądała się nerwowo, ale niczego niepokojącego nie dostrzegła. Potem odwiozła Marcina do miasta; był umówiony na spotkanie w klubie, między innymi z Wojtkiem, który bardzo liczył, że pojawi się też i Ania, ale ona absolutnie nie była w nastroju do balangowania. Aby podnieść sobie trochę poziom dopaminy, przywrócić choć na moment radość życia, pojechała najpierw na siłownię, gdzie spędziła dwie godziny, póż niej zamiast do domu wybrała się jeszcze do centrum handlowego. Nie miała żadnego konkretnego celu, mimo ośmiu kilometrów przebiegniętych na bieżni witalność nie wzrosła w niej na tyle, żeby chęć życia zmotywowała ją do kupienia sobie czegoś ładnego albo w ogóle czegokolwiek. Snuła się więc przez godzinę, wchodziła do różnych sklepów, ale musiała mieć wypisane na twarzy coś takiego, że w żadnym z nich nawet nie podeszła do niej ekspedientka, by zadać nieśmiertelne sklepowe pytanie: „Czy mogę w czymś pomóc?”. W czym pomóc? – swoją drogą zawsze się nad tym zastanawiała, nigdy jakoś nie przepadała za tymi deklaracjami chęci pomocy od ludzi, którzy tak naprawdę mieli ją przecież zawsze w głębokim poważaniu. Pomóc? Owszem, fatalnie się czuję psychicznie, uważam, że życie nie ma sensu, wszystko jest do bani, nic z rzeczy, które do tej pory robiłam nie miało głębszego celu ani nawet zamysłu. Co pani/pan na to? Chciał aby/chciałby mi pani/pan w tym jakoś pomóc?

Podczas całego swojego pobytu w centrum handlowym Ania również była obserwowana. W końcu, po godzinie szwendania się, zeszła z powrotem na parking. Zdarzało jej się to praktycznie zawsze, że parkując samochód, była tak bardzo myślami gdzieś indziej, iż kiedy wracała, nie miała pojęcia, gdzie go zostawiła. Ta przypadłość miała też inny wariant, w którym mimo że tak naprawdę nie pamiętała, gdzie zostawiła auto, to wydawało jej się – więcej, była o tym przekonana – iż zostawiła je w bardzo konkretnym miejscu. Już kilkakrotnie w związku z tym przeżyła sytuacje, w których uznawała, że samochód został po prostu skradziony. Skoro nie ma go tam, gdzie go postawiła, to ktoś musiał go stamtąd zabrać. Na szczęście nigdy dotąd nie zawiadomiła o kradzieży organów ścigania, choć parokrotnie dzieliło ją od tego bardzo niewiele. Później odnajdywała samochód w zupełnie innej części parkingu albo nawet w tej samej, ale na przykład na innym piętrze. Różnie bywało, dziś problem też się pojawił, choć na razie w wariacie pokornym, czyli nie mam pojęcia, gdzie jest auto, a nie w zarozumiałym, czyli, gdzie jest moje auto, które zostawiłam w tym miejscu.

– Tam jest. – Usłyszała za swoimi plecami.

Kiedy się odwróciła, nogi lekko się pod nią ugięły. Naprzeciw niej stał mężczyzna, którego znała doskonale, choć bardzo chciałaby tego nie pamiętać. Mężczyzna miał na oko sześćdziesiąt lat i uśmiechał się teraz do niej, odsłaniając poźółkłe od

papierosów i chronicznego braku higieny zęby. Mężczyzna, który miał na imię Jarosław, choć jej zawsze kazał się nazywać Jarkiem albo jeszcze lepiej Jarusiem, wskazywał ręką gdzieś za jej plecy.

– *Long time no see.* – Jarek, nie przestając się uśmiechać, zagaił w języku lengłidź.

– Co tu robisz? – Ania prawie wyszeptwała, bo głos uwiązał jej w gardle.

– Pokazuję ci, gdzie zaparkowałaś samochód. Pomagam ci, jak zawsze. – Jarek uśmiechał się nadal, choć jego uśmiech nie był ani ciepły, ani serdeczny, lecz tak naprawdę wiecznie szyderczy.

Ani nagle mignęły przed oczami obrazy. Krótkie sekwencje sklejonych ze sobą momentów. Ma osiem lat mniej, on stoi przed nią nagi z tym samym uśmiechem na twarzy, z tak samo żółtymi zębami, wyciąga do niej rękę prawie tak jak teraz, wskazując jej samochód. Powinna biec, uciekać, gdzie pieprz rośnie, tak samo wtedy, jak i teraz. Chociaż nie, teraz mogłaby po prostu huknąć go w łeb, a kiedy by runął na ziemię, zdeptać szpilkami jak karalucha, bo jest karaluchem. Tylko że ona nie ma siły się ruszyć.

– To miło, dzięki. – Usłyszała swój głos i coś w niej nie mogło w to uwierzyć.

– A co tam u ciebie? – Jarek wydawał się zadowolony.

Zawsze zresztą wydawał się zadowolony, a jeśli przychodziły te krótkie momenty, gdy akurat nie był, to szybko tak aranżował sobie sytuację, by zadowolenie znów wracało. Jak aranżował? No właśnie, jak aranżował? Bił, czym popadło, czasem ręką, wtedy było jeszcze spoko, gorzej, jak w ruch szedł pas albo kabel od żelazka, albo drzewiec od flagi narodowej, którą zawsze przechowywał w kanciapie i tak oto drzewiec był potrzebny już nie tylko od święta, gdy trzeba było wywiesić flagę, ale amortyzował mu się też w inne dni.

– Dobrze, dzięki, jakoś leci. – Ania chciała już iść, powinna była już iść, powinna była wdeptać to ścierwo w betonową wylewkę pod stopami. Powinna, ale nie mogła.

– A co u ciebie?

– Spoko, spoko, ale cieszę się, że się widzimy, musimy się spotkać, dasz mi swój numer? – Jarek sięgnął po telefon. – Słyszałem, że teraz robisz to za pieniądze. No ale ode mnie chyba nie weź miesz? W końcu uczyłem cię fachu.

Ania nie wiedziała, co ma dalej ze sobą zrobić. Nie mogła się ruszyć, nie mogła nawet nic powiedzieć, kolizja potwornej wściekłości wywołanej nienawiścią do tego człowieka z lękiem przed nim i czymś jeszcze głębszym, jakimś rodzajem poddaństwa, spod którego nie było sposobu się wydostać, powodowała teraz, że kompletnie ją zmroziło.

– No... – Jarek się niecierpliwił. – Dasz ten numer?

Spojrzała na telefon, który trzymał w dłoni o pożółkłych, podobnie jak zęby, od papierosów palcach zakończonych popękkanymi paznokciami. W życiu nie widziała czegoś tak obrzydliwego.

– Pięćset pięć, osiem dwa jeden, cztery sześć dwa – powiedziała, po czym dodała, mrużąc oczy, jakby w obawie przed ciosem: – Muszę już teraz lecieć.

– Jasne, leć, kochana, odezwę się wkrótce, kawkę wypijemy czy coś. – Pokiwał spokojnie głową.

Skąd w tym bydłaku jest tyle spokoju, dlaczego psychopaci nigdy się nie denerwują? Wściekają się czasem, ale nie ma w nich neurozy, lęków, przerażenia, tylko pewność, że wszystko pójdzie tak, jak sobie zaplanowali. Co oni mają w głowach, co ma w głowie Jarek albo czego nie ma? Ania myślała o tym, idąc, a właściwie biegnąc w kierunku samochodu, który stał dokładnie tam, gdzie wskazał jej Jarosław.

– Co się stało? – Marcin stał nad nią i po raz czwarty zadawał to samo pytanie.

Ania, zamiast odpowiedzieć, nałała sobie trzecią porcję szkockiej, wstała i podeszła do okna. Za nim była już noc. Do tego nad miasto zeszła mgła, widać więc było głównie otoczone obwódką świetlnych powidoków uliczne latarnie. Co jakiś czas dołem przesuwały się światła białe albo żółtawe, a po nich od razu czerwone. Przody i tyły samochodów, których jako takich nie było nawet widać. Znów obrazy, koszarne części ciała, brudnego ciała, gołe, owłosione nogi zwieńczone na dole szarymi skarpetami, z których jedna była dziurawa. Nie widzi reszty, nie widzi, do kogo należą nogi, bo czynność, którą wykonuje, powoduje, że głowę ma skierowaną w dół, zresztą nawet gdyby chciała, to nie mogłaby jej podnieść, ponieważ ktoś z tyłu trzyma ją za włosy. Ktoś? N i e ktoś, tylko Jarek, Jarosław, Jaruś.

– Jarek – powiedziała, nawet nie do końca wiedząc w którym momencie.

– Co? Jaki Jarek? Kto to jest Jarek? – Marcin podszedł bliżej i stanął tuż za nią.

Ania patrzyła w mgłę za oknem, a Marcin w odbiciu w szybie zauważył, że siostra płacze. Otoczył ją ramionami od tyłu, tak jak dawniej, kiedy był jeszcze dużo młodszym bratem, który przytulał się do mej w sierocińcu, gdy było mu bardzo źle. Nie pytał już o nic. Wcześniej w życiu widział ją może raz, a może dwa razy, płaczącą tak jak teraz. Wiedział, że pytanie nie zda się na nic. Powie dopiero wtedy, kiedy sama zechce.

– Chodziłam do niego przez dwa lata – zaczęła po chwili.

Marcin czekał, wiedział, że wszelkie dodatkowe pytania mogą ją teraz tylko na powrót zasklepić, a jednocześnie miał świadomość, iż dla jej własnego dobra ogromnie ważne jest, żeby mu to opowiedziała.

– Zaczęło się jakiś rok po tym, jak trafiliśmy do sióstr. To znaczy on się pojawił już wcześniej, zaczepił mnie w toalecie na jednej z wycieczek, chyba w Muzeum Narodowym czy gdzieś... Potem zjawił się pod domem dziecka, dał mi komórkę, wysyłał esemesy, tłumaczył, że może pomóc nam się stamtąd wydostać. Dziś wiem, że pierdolił, bo jak niby ktoś miałby pomóc wydostać się sierotom z bidula? Potem wziął mnie na lody, poszłam bez wiedzy kogokolwiek, no a potem... – Ania umilkła.

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej, zresztą nie musiała, resztę Marcin mógł już sobie wyobrazić. Wypiła duszkiem to, co zostało w szklance, podała mu ją.

– Nalejesz?

Marcin wziął szklanekę i pokiwał głową.

– Ale czemu teraz? – zapytał.

– Bo spotkałam go w Arkadii, zaczepił mnie, chyba musiał mnie śledzić, bo

wiedział nawet, gdzie zaparkowałam godzinę wcześniej – odpowiedziała, wciąż nie odwracając się od okna.

Marcin przez moment miał w sobie tę informację, choć tak naprawdę nie musiał za wiele mieć.

– Ania – odezwał się w końcu cicho, chociaż aż się w nim gotowało.

– No... – Za oknem na chodniku na dole Ania dostrzegła jakąś postać, która wychyłała się z mgły i za chwilę zniknęła, idąc gdzieś dalej.

– To może być on – powiedział głośniej Marcin.

– On? – zapytała, myśląc o ludziach, którzy pojawiali się i znikali we mgle.

– Weronika też mówiła o kimś, kto pojawiał się pod ich domem dziecka, ale ważniejsze jest to, czego mi nie powiedziała i pewno nigdy nie powie. – Marcin przesunął się tak, że teraz nie stał już za Anią, ale obok niej, i patrzył na nią z boku.

– Czyli co? – zapytała.

– Czyli to, co ty mi opowiedziałaś przed chwilą. Tam była prawdopodobnie podobna sytuacja, może z tym samym gościem i może to jest nasz gość. – Marcin zamilkł na chwilę, po czym zebrał się w sobie i dodał: – Musisz to... musisz go zgłosić.

– Nie ma mowy – odparła krótko, wyciągnęła szklanekę z jego ręki, odwróciła się od okna i poszła do stołu.

Chwilę później Marcin zadzwonił do Weroniki. Nie mogła rozmawiać. Domyślił się, że jest z siostrą albo z obiema, a one nie miały ochoty na więcej kontaktów z nimi. Oddzwoniła jednak już po kilku minutach.

– Co u ciebie? – zagaił.

Musiał jakoś zacząć, ale przyszło mu to z trudem, bo jednocześnie miał poczucie, że robi coś nie do końca uczciwego. Bazował na tym, że jej się prawdopodobnie spodobał, a ona, choć intelektualnie sprawna, miała jakiś rodzaj psychicznej oboczności, słowem była trochę niepełnosprawna. On dzwonił, żeby wydobyć od niej informację, która mogła popchnąć do przodu ich dochodzenie. Inna rzecz, że jeśli uda im się ustalić, kto zabił ich rodziców, ustalą też zabójcę rodziców dziewczyn z Białegostoku. Tylko że im ta wiedza zdawała się zbędna. Trudno.

– U mnie dobrze, ale nie dzwoniś przecież, żeby mnie pytać o samopoczucie. – Wera tym jednym zdaniem wyczyściła sytuację, a on przyjął to z ulgą.

– Dzwonię, żebyś mi powiedziała trochę więcej o tym człowieku, który wtedy was obserwował – powiedział.

– Co więcej? – Dziewczyna wyraźnie się spłoszyła.

– Jak wyglądał, w jakim był wieku, jak się zachowywał – uspokoił ją.

Wyczuł od razu, że ona nie chce, żeby to ruszać i zarazem dotarło do niego, teraz ponad wszelką wątpliwość, iż tam też coś się zdarzyło, może coś analogicznego do tego, co spotkało Anię.

– Jak wyglądał? Szczupły, bródka, na głowie okrągła łysina, dość wysoki, ale byłam wtedy mała, więc wszystko było wtedy wysokie i duże, policzki takie

zapadnięte, wychudzone, myślę, że miał wtedy ze czterdzieści kilka lat... tyle pamiętam – powiedziała bardzo powoli. – A jak się zachowywał...? Śledził nas, śledził mnie, potem...

– Nie musisz mi nic więcej mówić, to samo usłyszałem już od mojej siostry. – Marcin powiedział tę ostatnią rzecz Werze, bo nagle zrobiło mu się jej koszmarnie żal.

Żal i wściekłość, wymieszane w proporcji idealnie takiej, aby wygenerować ilość energii potrzebną do tego, żeby gołymi rękami zabić skurwiela, gdyby tylko nawinął mu się pod rękę.

– Szczupły, bródka... – wymieniał Marcin.

A Ania przypominała sobie Jarka z teraz, sprzed kilku zaledwie godzin i z wtedy, kiedy jej to wszystko zrobił. Znów krótkie, szarpane obrazy, akurat w takiej ilości, w jakiej świadomość mogła je przyjąć, stanąć nad otchłanią rozpacz, ale zarazem w nią nie skoczyć.

– Może ten sam – powiedziała trochę dlatego, że mógł być ten sam, a trochę, bo nie mogła już dłużej oglądać tych obrazów.

– Imię i nazwisko – powiedział po chwili Marcin. – Nic więcej. W niczym nie uczestniczysz, o nic więcej nie zapytam. Daj mi tylko jego imię i nazwisko.

Ania wypła już pół butelki trunku o gryzącym w gardło smaku dębowych beczek i właśnie zdała sobie sprawę, że w ogóle nie czuła ani gryzienia, ani beczek, co więcej – nie czuła kompletnie niczego w głowie, nie było rozluźnienia ani spokoju, ani radości, ani zubożenia. Wstała i odniosła szklanekę do zmywarki. Picie w takiej sytuacji miało się z celem, a czasem takie bardzo pragmatyczne skupienie na celu pomaga nawet bardziej niż alkohol, szczególnie gdy i tak nie czuje się jego działania.

– Jarek, Jaruś, Jarosław – powiedziała i zamilkła, patrząc tępo na lakierowane białe drzwi od szafki.

W nich też zobaczyła swoje odbicie. Czy wszędzie człowiek musi wciąż widzieć swoją twarz?

– Nazwisko? – Skądś, jakby z oddali, usłyszała głos brata.

– Pawliński – powiedziała i zemdlą.

Marcin zdążył ją złapać w locie, ułożył na sofie, potem ocucił i przyniósł lody z zamrażarki. Później pomyślał, że ten pomysł mógł trochę nie licować z powagą sytuacji, ale po prostu przyszło mu to do głowy, a Ania się ucieszyła. Chwilę później glukoza pomogła jej szybciej wrócić do siebie. Kiedy już siedziała blada na sofie i jadła kolejną porcję, poprosił ją jeszcze o telefon do Adriana, a wtedy ona się uśmiechnęła, bo po raz pierwszy w ogóle wymienił jego imię.

Aspirantowi nie powiedział zbyt dużo, tylko tyle, że człowiek, którego zamiary mu podaje, skrzywdził jego siostrę, gdy była jeszcze dzieckiem, potem dodał, że całkiem możliwe, iż ten sam człowiek skrzywdził dziewczynę z Białegostoku, gdy ta również była jeszcze dzieckiem. Ta druga informacja była niezwykle ważna operacyjnie, za to pierwsza była dla aspiranta Nowaczyka ważniejsza emocjonalnie, a emocje są tym, co rządzi i zawsze będzie rządzić światem. W każdym razie zawsze, dopóki będziemy ludźmi.

– Pan Jarosław Pawliński? – Godzinę później Nowaczyk stał w drzwiach mieszkania Jarusia na warszawskiej Woli i się uśmiechał.

Pawliński zerknął na jego odznakę dyndającą na łańcuszku ze srebrnych kulek i wtedy zaświtało mu, że uśmiech na twarzy policjanta może nie być do końca szczery. Tylko co właściwie mógł w związku z tym zrobić?

– Tak, a o co chodzi? – zapytał, próbując uprzedzić bieg wydarzeń.

Adrian nie powiedział nic więcej, nieszczerzy uśmiech znikł bez śladu. Chwilę później Pawliński poczuł, jak jakaś duża siła pociągnęła go za włosy w dół, potem zobaczył z bliska lastryko, które normalnie obserwował jedynie z wysokości swojego wzrostu.

– Zostajesz zatrzymany jako podejrzany w sprawie o wielokrotne zabójstwo. – Usłyszał głos policjanta zmiksowany z trzaskiem zaciąganych na jego nadgarstkach trytytek.

Tak naprawdę w sytuacji, gdy zatrzymuje się człowieka podejrzanego o rzeczy, o które podejrzany był w tym momencie Pawliński, to ze względu choćby na rangę zarzutów, w akcji powinni uczestniczyć antyterrorysty. To oni powinni dokonać zatrzymania, a jeśli nie oni, to w każdym razie ktoś z wydziału zabójstw i terroru kryminalnego, i to z poziomu komendy wojewódzkiej. Tak powinno być i Adrian zabrał ze sobą nawet kolegów z zabójstw, ale poprosił ich o to, żeby to on mógł dokonać zatrzymania. Zgodzili się, bo po pierwsze w policji koledzy raczej spełniają prośby kolegów, a po drugie w jego prośbie czuć było coś, czemu się nie odmawia. Tym czymś była właśnie owa emocja wywołana świadomością, że ten człowiek skrzywdził Anię, gdy była dzieckiem. Nie tylko współwięźniowie nie tolerują ludzi, którzy krzywdzą dzieci, policjanci też cholernie ich nie lubią, zresztą to bodaj jedyne, co może kiedykolwiek połączyć te dwie zasadniczo wrogo do siebie nastawione społeczności. W tym momencie Adrian reprezentował po części obie, bo zatrzymanie Pawlińskiego z całą pewnością nie odbyło się z dochowaniem wszystkich wymogów formalnych.

– Chcę rozmawiać z adwokatem – zażądał Pawliński, kiedy już trafił na dyżurkę komendy na Żoliborzu.

– Na razie porozmawiasz sobie z innymi zatrzymanymi – odburknął dyżurny. –

Dokumenty.

Pawliński wskazał na swoje spięte trytytkami dłonie. Adrian, który mu towarzyszył, zamiast go rozpiąć, wyciągnął jego portfel z wewnętrznej kieszeni kurtki; wyjmując dowód, przy okazji go przeszukał. W portfelu znalazł kilka zdjęć, na których były dzieci.

- Wnuki? – zapytał szyderczo.
- Nie mam wnuków – odpowiedział po chwili i z niechęcią pedofil.
- Kurwa, jakoś właśnie tak myślałem – stwierdził Adrian.

Nowaczyk zadzwonił do Marcina. Normalnie kontaktowałby się z Anią, ale ta sytuacja nie była normalna, a poza tym obawiał się trochę o to, w jakim stanie ją zastanie.

- Musimy ściągnąć tę dziewczynę z Białegostoku na okazanie – powiedział.
- Dam ci numer, ale potrzebuję czas do jutra, zadzwonię, uprzedzę – odpowiedział Marcin, po czym dodał: – Tam będzie też problem z jej siostrami.
- Poradzimy sobie – uspokoił go Adrian. – Ale jest jeszcze jedna sprawa. Chłopaki z kryminalnego mówią, że oprócz zarzutu zabójstwa, który będzie mu można postawić po okazaniu, na razie można go trzepnąć za pedofilię, dostanie sankcję i nie trzeba się będzie spieszyć. W innym wypadku mamy tylko czterdzieści osiem godzin...

Marcin czekał chwilę na puente, ale ta nie nadchodziła.

- I co w związku z tym? – zapytał.
- W związku z tym dobrze by było, gdyby Ania... gdyby zgłosiła się i złożyła zeznanie. To wystarczy, żeby dostał dobrą pajdę do odsiadki na sprawie, a na razie na pewno sankcję na trzy miesiące.
- Może sam jej to powiesz – zaproponował Marcin, ale po chwili się zreflektował; sprawa była tak delikatna, że prawdopodobnie aspirant wołał jej z nią nawet nie poruszać. – Dobrze, spróbuję z nią pogadać.

Ania już spała. Przez chwilę Marcin się zastanawiał, czy po tym wszystkim, co zaszło, w ogóle ją budzić, ale sprawa była na tyle nagląca, a wiadomość, przynajmniej w jego wyobrażeniu, na tyle pozytywna, że zaryzykował.

– Co? – Otworzyła oczy i po sekundzie już siedziała. – Co się stało? Coś z rodzicami?!

Marcin przez moment jej się przyglądał, po czym pokręcił głową i złapał ją za rękę.

- Nie, nie. Wszystko z porządku, nic z rodzicami – uspokoił ją.
- Ona powoli wracała do rzeczywistości.
- Co ja gadam? Z jakimi rodzicami? Rodziców dawno nie ma. – Uświadomiła to sobie i przy okazji powiedziała to tak, jakby chciała uświadomić też jemu, swojemu młodszemu bratu.
- Wiem, Ania, wiem, że nie ma, szukamy tego, kto im to zrobił. – Pokiwał głową,

po czym po chwili dodał: – Nowaczyk zatrzymał Pawlińskiego, jest przetrzymywany na komendzie na Żeromskiego.

Ani jeszcze moment zajęło wysycenie świata rzeczywistością, która wlewała się do niego dość niechętnie, tak jakby jej głowa wołała jednak tamten urojony świat snu.

– To szybko – powiedziała po chwili.

– Adrian chyba był dość zmotywowany. – Marcin się uśmiechnął. – On naprawdę cię lubi.

– Nie lubi pedofil i, jak każdy. – Ania się broniła, choć sama tak naprawdę nie wiedziała ani przed czym, ani po co.

– Chcą sprowadzić Werę na okazanie, ale żeby móc go spokojnie przytrzymać i żeby w ogóle na razie nie wylazł z powrotem do ludzi, potrzebują, żebyś złożyła zeznania – wyjaśnił szybko Marcin, żeby mieć już za sobą ten trudny moment.

– Nie ma mowy. – Ania pokręciła głową. – Dałam ci nazwisko, więcej nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Ale... – Marcin spróbował jeszcze coś powiedzieć.

– Nie ma żadnego ale... – odpowiedziała szybko, po czym położyła się z powrotem na łóżku plecami do niego.

Marcin chwilę jeszcze siedział, tak jak się siedzi, kiedy poniesie się w jakiejś sprawie porażkę, co wywołuje rodzaj zakłopotania. Następnie pokiwał głową, na powrót szczelnie okrył siostrę kocem i wtedy zrozumiał, że nie poniósł żadnej porażki, a w każdym razie miała się ona nijak do tego, co ona przeżywała przez te lata, kiedy krzywdził ją tamten złamas. Oby Wera go rozpoznała, pomyślał jeszcze, po czym wstał i wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Potem siedział jeszcze jakiś czas, rozpuszczając noc w resztkę, którą Ania zostawiła w butelce. Myślał o tym, że już nigdy nie będzie miał jej za złe tego, że robi to, co robiła do tej pory. Powody, które miała, daleko wykraczały poza to, co on w ogóle był sobie w stanie wyobrazić. Następnie postanowił, że nawet jeśli ten cały Jarek, Jaruś, Jarosław wyjdzie z jakiegoś powodu z aresztu, to on go kiedyś po prostu odwiedzi i powie mu, co o tym wszystkim myśli – i najprawdopodobniej zrobi to bez słów.

Do Wery zadzwonił rano; chciał pisać w nocy, ale na szczęście się powstrzymał. Kiedy dzwonił, pękała mu głowa i lekko go mdliło; jedynym, co udało mu się wcisnąć w siebie po wstaniu z łóżka, był y kawa i kęs zeschniętego Chleba, ale, szczególnie w takiej sprawie, z dwojga złego lepiej jednak zadzwonić na kacu, niż będąc pod wpływem. Powiedział Werze, co zaszło, i uprzedził ją, że będzie do niej dzwoniła policja, żeby ściągnąć ją do Warszawy. Najpierw się przeraziła, potem obraziła, w końcu rozłączyła. Pomyślał, że pewnie powinien był ją zapytać zawczasu, ale jakby miał ciągle pytać wszystkie osoby z bliższego i dalszego otoczenia, to nic by się nigdy nie wydarzyło. W każdym razie to by się nie wydarzyło, a kto wie, czy dzięki temu, co zrobił, tylko kilka godzin nie dzieliło ich od ustalenia, o co w tym wszystkim chodziło, od zidentyfikowania sprawcy mordu na ich, i pewno nie tylko ich, rodzicach. Gdzie drwa rąbią, wióry lecą, cel uświęca środki... Było kilka mądrości ludowych, którym na co dzień raczej nie hołdował, ale ta sprawa nie była codzienna.

– Siostry zrobiły dym – zakomunikował mu Adrian godzinę później.

Jeszcze to – pomyślał Marcin, nie dość, że naraził ją na jazdę do Warszawy i gapienie się na jakiegoś zboka, to na dodatek wystawił ją na gniew sióstr, które kojarzyły mu się z bułgarską reprezentacją zapaśniczek. On sam się ich bał, a co dopiero ona.

– I co? – zapytał, trochę bojąc się odpowiedzi.

– Kij i marchewka – odpowiedział Nowaczyk. – Trochę je postraszyłem, a potem przypomniałem, że to powinno być ważne również dla nich, no i że mają darmową wycieczkę do Warszawy z noclegiem w hotelu.

– Czyli kij, marchewka i aspekt moralny – dopowiedział Marcin.

– To ostatnie chyba najmniej – zaśmiał się policjant, po czym spoważniał. – Jak chcecie, to możecie podjechać, kiedy będziemy robić to okazanie. Może ono zamknie sprawę i będzie już po wszystkim.

– Nigdy nie będzie po wszystkim – odpowiedział Marcin filozoficznie, ale też i zgodnie z prawdą, po czym dodał samemu sobie motywacji: – No ale na pewno będzie lepiej.

Ania się wzbraniała. Miała też jednak trochę wyrzutów sumienia wobec Marcina, który starał się przecież tak naprawdę w ich wspólnej sprawie, a nawet, jeśli chodziło o Jarusia, to właściwie bardziej w jej sprawie.

– Dobrze, pojedę – powiedziała w końcu, zaskakując tym nieco Marcina, który choć nalegał, to nie liczył na wiele.

Postanowił już nawet, że w ostateczności pojedzie na komendę sam i stamtąd ewentualnie, jeśli nadejdą dobre, choć straszne wieści, czyli okaże się, że Wera w Jarosławie rozpoznała także swojego ciemieżcę, zadzwoni do siostry i jej o tym po prostu powie. Nie musiał jednak wcielać tego planu w życie, gdyż pół godziny później siedzieli w samochodzie. Pośpiechu nie było, bo Wera wraz z siostrami była przewożona pod ochroną policjantów z komendy wojewódzkiej w Białymstoku i miały być na miejscu dopiero za mniej więcej półtorej godziny. Pojechali więc najpierw do kawiarni przy placu Wilsona, zjedli słodkie, napili się kawy, waciana mgła w ich głowach powoli się rozchodziła. Nie rozmawiali prawie wcale, Marcin bał się poruszyć cokolwiek, bo jeśli ktoś jest w tak słabym stanie, w jakim była Ania, to wszystko i tak skojarzy mu się z tym, z czym nie powinno się kojarzyć. Ania czuła się, jakby ktoś obił ją poprzedniego dnia sztachetą. Trochę to zaskakujące, myślała, że choć nikt jej nawet nie dotknął, to mięśnie bolały ją tak, jakby potrafiła ją ciężarówka albo jakby spędziła przynajmniej sześć godzin na siłowni.

– Dziwny ten nasz organizm – odezwała się nagle, puentując swoje przemyślenie.

– Bo? – zapytał krótko, żeby nie było potem na niego.

– Najważniejsze jest to, co dzieje się w bani. Jeśli coś jest dla ciebie psychicznie trudne, to organizm po prostu traktuje to jak każdy inny wysiłek. Męczysz się psychicznie, a budzisz się zmęczony fizycznie. Jednocześnie to, co męczyło ci głowę, trochę znika, jakbyś to przeszedł na nogach i zostało dzięki temu za tobą – rozgadała się.

– Taki układ do wentylowania głowy – uśmiechnął się.

Ciasto, które zjedli, rodzaj sernika, ale robiony trochę jak wielkanocna pascha, było tak lekkie i świeże, że choć zupełnie nie licowało z tym, jak się teraz oboje czuli, to samoistnie narzuciło samopoczuciu nową narrację. A może zrobiła to po prostu glukoza, która wypełniła zmęczone po ostatniej nocy komórki i dała im impuls do życia. Cukier prosty nie jest substancją zbyt zdrową, oboje doskonale to wiedzieli, szczególnie zaś nie jest zdrowy, kiedy je się go na czczo, popijając kawą. Bywają jednak sytuacje, takie jak na przykład ta właśnie, kiedy dostarczenie tak dużej dawki czystej energii pomaga wrócić do życia.

– Chodź. – Marcin zebrał się w sobie. – Już czas.

Pod komendą byli kwadrans później. Od Adriana dowiedzieli się, że okazanie już trwało. Rozglądali się więc po parkingu, spodziewając się najgorszego, czyli ataku siostr Wery, spowodowanego ich świętym oburzeniem o to, że przez nich musiały przyjechać do Warszawy, żeby spędzić noc w Holiday Inn na koszt policji, czyli podatnika, czyli między innymi ich. Nic takiego nie nastąpiło, bo jak się później okazało, siostry nawet się nie pofatygowały, żeby przyjechać z Werą na komendę. Sióstr nie było, na parking co chwila podjeżdżały i odjeżdżały samochody policyjne, czasem większe, czasem mniejsze – te patrolowe, ale oznakowane, rzadziej te nieoznakowane, z których wysiadali policjanci z wydziałów dochodzeniowo-śledczych po cywilnemu.

– Może kiedyś będziesz jednym z nich. – Ania się uśmiechnęła.

W tym momencie z samochodu, który właśnie podjechał, wysiadła dobrze zbudowana, zgrabna policjantka, też w cywilkach. Marcin zamiast odpowiadać, spojrzął tylko pytająco na Anię.

– Nigdy w życiu. Od kurwy do policjantki? Chyba sobie jaja robisz. – Pokręciła głową z uśmiechem.

– Nie jesteś żadną kurwą i nigdy nie był aś, nie mów tak – powiedział Marcin łagodnie, ale stanowczo.

– Świadczenie tego typu usług za pieniądze, to jak byś to nazwał inaczej? – zapytała.

– Nie wiem, ale od dawna wiem, że do tego, co robisz, bardziej zmusiły cię okoliczności niż własny wybór... – Marcin uśmiechnął się łagodnie i ciepło. – A wczoraj dodatkowo dowiedziałem się, że przytrafiło ci się coś strasznego, o czym wcześniej nie miałem pojęcia.

Marcin zląkł się trochę, że znów dotknął czegoś, czego nie powinien, ale było już za późno.

– Psycholog się znalazł domorosły, nie dość, że detektyw, to jeszcze z gabinetem. Nie za wiele, jak na tak młody wiek? – Na szczęście Ania dziś miała już trochę więcej dystansu do sprawy niż poprzedniego wieczora.

– Lepiej mieć kilka fachów w ręku – powiedział ze słabo udawaną pewnością siebie.

W tym momencie przeszkolone drzwi wejściowe do komendy otworzyły się i z budynku wyszedł aspirant Nowaczyk w mundurze.

– No, no, no, zupełnie inny człowiek – stwierdził Marcin, po czym otworzył drzwi samochodu, wysiadł i pomachał do policjanta.

Już po minie zbliżającego się do nich Adriana poznał, że nie jest różowo. To znaczy, na to, by było różowo w kontekście tej sprawy, generalnie szanse były marne. Zbyt dużo mroku, brudu i smutku, teraz jednak nie wyglądało też zbyt na to, by miała się zakończyć.

– Nie rozpoznała go. – Adrian potwierdził to, co i tak było już po nim widać.

– Na pewno? – zapytał Marcin niezbyt mądrze.

Tymczasem z samochodu wysiadła Ania.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć. – Adrianowi pojaśniała twarz. – Nie rozpoznała go, zrobiliśmy dwa okazania, kazaliśmy im mówić – objaśniał już teraz obojgu. – Nawet gdyby nie rozpoznała go po wyglądzie, bo dajmy na to się zmienił, to głos się nie zmienia.

– Ale ja nie wiem, czy ona go kiedykolwiek słyszała – wtrącił się Marcin. – Z tego, co mi do tej pory mówiła, to on im się tylko przyglądał.

– Nie tylko. – Adrian pokręcił głową. W tym momencie szybko zerknął na Anię, ale równie szybko uciekł wzrokiem. Wiedział trochę na temat tego, co ją spotkało ze strony Jarosława, reszty się domyślał, ale nie chciał jej dotknąć, zawstydzić, zażenować choćby samą świadomością tego, że wie. – Powiedziała mi na boku. Generalnie trochę się nas boi, może dlatego powiedziała nam więcej niż tobie. – Spojrzał znów na Marcina i po chwili dodał: – Było ciężko.

– Czyli figura się powtarza, tylko zbok inny? Nie kumam tego. – Marcin pokręcił głową. – Zbieg okoliczności? Nie wierzę.

– Może moglibyśmy wyciągnąć z tego skurwiela coś więcej. – Adrian znów zerknął na Anię. – Ale musielibyśmy go mieć tutaj albo w wydobywczym, bo jak pójdzie do domu...

– Nie zgłoszę, nie zeznam. – Ania stanowczo pokręciła głową.

– Rozumiem. – Adrian nie polemizował.

Nie czuł się na siłach z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, jako człowiek niepozbowiony zdolności współodczuwania, domyślał się skali dramatu, z którym mierzyła się Ania. Po drugie, jako mężczyzna, który do Ani miał szczególny stosunek, tym bardziej nie był w stanie jej dotknąć, co więcej, był gotów zrobić wszystko, żeby ochronić ją przed swoimi kolegami z wydziału terroru kryminalnego, którzy mogli już nie być tak empatyczni jak on.

– No to go puszczamy – powiedział i od razu poczuł, że mógł o to zabrznieć trochę jak moralny szantaż wobec Ani, zatem dodał: – Ale facet ma mocno brudną kartę karalności, w aktach podręcznych też pojawia się wiele razy. Dziecięca pornografia, molestowanie, gwałt, odsiedział już kilka pajd. Jeszcze go na czymś przygwoźdź i wtedy już mi się nie wymknie.

– Tak. – Marcin zamknął temat, który jednak w nim, w środku, nie zamknął się ani trochę.

On też, podobnie jak Adrian, a może nawet bardziej od niego, marzył o tym, żeby człowiekowi, który skrzywdził jego siostrę, stało się coś bardzo złego. Dlatego teraz obaj byli dość mocno wkurwieni.

Jarosława wypuścili kolejnego dnia, a właściwie kolejnej nocy, dokładnie po upływie czterdziestu ośmiu godzin. Odbierając z depozytu dokumenty i inne rzeczy, które miał przy sobie przy zatrzymaniu, Pawliński zdawał się dość zadowolony z siebie, na jego twarzy znów pojawił się szydery uśmiezek.

– Z czego się cieszysz? – zapytał dyżurny.

– Tak się wysililiście i co? – odpowiedział Jarosław. – I chuj. Możecie mi skoczyć.

Dyżurny miał ochotę urwać łeb staremu oblechowi, ale nie bardzo były ku temu

warunki, bo w całej dyżurce niedawno porozwieszali kamery monitoringu. Szepnął mu więc tylko do ucha, oddając dowód osobisty:

– Jeszcze się obudzisz z kołkiem w dupie któregoś z tych pięknych dni, cieciu.

Kiedy Jarosław szedł między budynkami w stronę samu, w którym najpewniej zamierzał kupić coś na rozluźnienie, nagle z mroku wyszedł do niego ktoś, kto złapał go za kołnierz kurtki i wciągnął za śmietnik. Tym kimś był nie kto inny, jak aspirant Adrian Nowaczyk.

– Zadowolony jesteś? – zapytał, kiedy już stali ukryci między ścianą śmietnikowej altanki a krzakami osłaniającymi ją od strony ulicy.

– Może być, a co? – Jarek znów miał przyklejoną do twarzy szyderę.

Adrian złapał go mocno za krtań.

– Dorwę cię gnoju – powiedział w dość przekonujący sposób. – A jak jeszcze raz skrzywdzisz jakiegoś dzieciaka, to nie dożyjesz końca dnia. Rozumiesz mnie?

– Straszysz mnie? – Pawliński próbował się jeszcze stawiać, ale wychodziło mu to już jakby gorzej.

– Nie, informuję cię, śmieciu. – Aspirant ścisnął faceta jeszcze mocniej, tak że tamtemu naprawdę zaczęło już brakować tchu. – Żebyś nie powiedział potem, że nie wiedziałeś.

W tym momencie go puścił, a kiedy Pawliński złapał się za gardło, walnął go jeszcze pięścią w genitalia tak, że tamten padł na kolana i został tam, gdzie było jego miejsce, czyli pod ścianą śmietnikowej altanki.

Po tym wszystkim wyszło na to, że Marcin gorzej zniósł tę sytuację, może za bardzo zaprogramował się na zakończenie historii. Trochę to kłopotliwe, gdy człowiek za mocno coś sobie wyobrazi i potem spada na ziemię z wysokości skonsumowanej już radości. Ogólnie na tym chyba polegała różnica pomiędzy pesymistami a optymistami, że ci drudzy byli odważniejsi w programowaniu sobie świetlistych zakończeń, co niestety niekiedy sprowadzało się do tak zwanych zawiedzionych oczekiwań. Tym między innymi różnili się od siebie z Marcinem. Teraz, kiedy Ania o tym myślała, odkryła, że ona chyba bardziej wrodziła się w mamę, kobietę twardo stąpającą po ziemi, która unikała wyobrażania sobie wspaniałych scenariuszy przyszłości. Marcin był bardziej podobny do ojca. On zdaje się bujał w obłokach, zawsze trwał w przekonaniu, że sprawy idą w dobrą stronę. Prawdopodobnie właśnie to smuciło ją najbardziej – że ilekroć próbowała sobie przypomnieć, jacy byli rodzice, zostawała wyłącznie z przypuszczeniem, domniemaniem wywołanym jakimiś szczątkowymi powidokami pamięci. Pamiętała poszczególne wydarzenia, ale one nic nie mówiły o nich, o tym, jakimi ludźmi byli. Zawsze wszystko pozostawało w sferze „zdaje się“ i „chyba“. Będzie musiał albo podpytać wujka Zygmunta, może ciotkę. Znalezienie zabójcy niestety również jej tej pamięci nie przywróci. A może to właśnie ta pamięć jest ważniejsza od wiedzy, kto i dlaczego to zrobił?

Gdzie on jest? Ania wróciła z siłowni, na którą poszła, żeby zmęczyć się na tyle mocno, by choć na moment zapomnieć. Zapomniała, ale teraz, od razu po wejściu do ciemnego mieszkania, wszystko do niej wróciło. Wróciło, bo nie było Marcina. Po wizycie pod komisariatem podwiozła go do Wojtka, byli umówieni na wieczór. Przyjaciel Marcina mocno nalegał, żeby dołączyła, ale ona nie chciała. Nie po to przestała robić w życiu to, co robiła do tej pory, żeby teraz szlajać się po mieście z napalonym młodziakiem. Chciała odpocząć. To, co zdarzyło się poprzedniego dnia i dziś miało jeszcze swoją kontynuację, zmęczyło ją ponad miarę. Chciała odpuścić i zapomnieć, choć na chwilę zostawić to za sobą, uciec przed tym, choćby biegnąc donikąd po czarnej gumowej bieżni.

Wyciągnęła telefon. Do Marcina dzwoniła już wcześniej kilka razy, z siłowni, potem, kiedy wyszła, chciała go po drodze zabrać z miasta. Nie odbierał, a w niej zaczął się pojawiać delikatny niepokój. Brat jeszcze w sierocińcu miał okres, oględnie rzecz ujmując, trudny, zaczął brać narkotyki, głównie te najtańsze, zwane pieśczośliwie dopalaczami, z czasem pojawiły się też i te tradycyjne. Siostry zakonne nie były terapeutkami z przeszkoleniem psychologicznym, nie docierały do jądra problemu, raczej zabijały go deskami, czyli opresją stosowaną oczywiście we w miarę rozsądnych granicach, czyli zamknięcie w izolatce, niepodawanie jedzenia, odcięcie od wszelkich kontaktów, odebranie telefonu i tym podobne rzeczy. Działało, szczególnie zdaje się telefon, bo Marcina najsilniej przy życiu trzymał kontakt z nią, więc kiedy mu go zabrakło, czuł się naprawdę fatalnie. Przestał więc nastęrczać problemów, zaniechał brania, aczkolwiek takie zabite dechami problemy są jak trup upchnięty do szafy i po jakimś czasie w końcu i tak wyłażą na wierzch.

Zjawił się nad ranem. Ania nie spała. Nie było nawet mowy, żeby choć zmrużyła oczy, nie wiedząc, gdzie jest i co się z nim dzieje. Przez te wszystkie lata nigdy nie przestała być jego siostrą, ale do tej społecznej roli doszła jeszcze jedna – stała się po części jego matką, a bywało nawet, że i babcią. Jeśli ma się do kogoś podejście z tak wielu kierunków, to nie sposób spać, nie wiedząc, co się z tym kimś dzieje.

– Brałeś. – Wyszła do przedpokoju i zapaliła światło.

– No i? – zapytał buńczucznie.

Spojrzała mu w źrenice. Sama nigdy za dużo nie ćpała, ale już ludzie, których spotykała, którzy jej płacili albo którzy czasem, jak Bernard, brali za darmo, walili bezustannie, więc była dość dobrze zorientowana w temacie.

Żrenice Marcina były wywalone prawie na całą tęczówkę.

– Koks, proszek, meta? – wymieniła opcje.

– A co za różnica? – opowiedział pytaniem na pytanie.

– Obiecowałeś. – Popatrzyła na niego. – Dlatego cię stamtąd wyciągnęłam.

– Tak? A ja myślałem, że mnie wyciągnęłaś, żebym tam dłużej nie gnił –

odburknął.

– To głównie i wiesz o tym doskonale, ale ty też masz jakąś odpowiedzialność za coś, za siebie chociaż... – Patrzyła prosto w jego ogromne źrenice.

– Chociaż... – Zaśmiał się. – A ty masz odpowiedzialność za siebie chociaż? Czy to ja cię pilnuję, żebyś nie dostała HIV-a czy innego try p olisu?

Ania popatrzyła na niego jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się na pięcie i poszła do swojej sypialni.

Chwilę później, siedząc w salonie i rozpuszczając alkoholem płynący w żyłach koks, Marcin zobaczył jeszcze, jak przeszła ubrana do drzwi, otworzyła je i zatrzasnęła z drugiej strony.

– I chuj – powiedział do siebie albo może do szklanki.

Ania wyszła na powietrze. Dopiero tutaj włożyła kurtkę, wcześniej była zbyt pobudzona, żeby to zrobić, trzęsły jej się ręce, waliło gorąco. Nie wiedziała nawet, czy bardziej ją wkurzyło to, co do niej powiedział, czy przeraził fakt, że znowu do tego wraca. Gdzieś z tyłu głowy miała świadomość, że przy całej niechęci, jaką darzyła siostrę Józefinę i miejsce, którym zarządzała, ona przynajmniej miała środki i możliwości do tego, żeby coś na Marcinie wymusić. Ania nie miała nic. Tak naprawdę jej brat był milionerem, bo spadek przekazany im przez wuja należał im się po połowie, a nawet połowa to było już naprawdę dużo o pieniędzy. Gdyby postanowił się zabawić, to miał ich wystarczająco wiele, żeby umrzeć, zanimby mu ich zabrakło. Mogłaby oczywiście spróbować go ubezwłasnowolnić, ale to była piekielnie trudna procedura, a w takim wypadku sąd zawsze mógłby podejrzewać, że po prostu chce przejąć część majątku brata. Cholerny szczył, pomyślała i sekundę później przyszło jej do głowy, że tak naprawdę zostały jeszcze dwa miesiące do jego pełnoletności. Ujawniając, że w sierocińcu przedstawiła lewy akt urodzenia, wystawiłaby się sama na odpowiedzialność karną, może nawet ryzykowałyby wyrok, ale kupiłaby mu jeszcze dwa miesiące życia. W kieszeni zadzwonił jej telefon, ale nawet go nie wyjęła, wcisnęła tylko rękę w głąb płaszcza, wyszukała guzik z boku i wcisnęła, żeby zagłuszyć dzwonek. Dokąd mam iść?

– Dokąd poszła? – zapytał Marcina Adrian, gdy tylko usłyszał od niego, że Ania wyszła.

– Nie wiem. Skąd mam wiedzieć? Obraziła się i poszła – odpowiedział Marcin, któremu koks wciąż jeszcze obracał w głowie osiem razy więcej myśli, niż był w stanie w niej pomieścić.

– O co się obraziła? – zapytał aspirant, choć w tym momencie interesowało go to trochę mniej niż to, dokąd poszła.

– Nie wiem, człowieku. Kobieta. Skąd mam wiedzieć, może o to, może o tamto, nie wnikiem, co ja jej w głowie siedzę? – Marcin chciał już skończyć tę rozmowę.

– Przyćpałeś – przygwoździł go Nowaczyk.

Zanim aspirant, zresztą w ramach tego samego wydziału dochodzeniowo-

śledczego, trafił do kradzieży aut, jakiś czas pracował w narkotykach. Taka gadka z nadmiarowym użyciem niepotrzebnych słów była mu aż nazbyt dobrze znana, poza tym Ania zwierzyła mu się kilka miesięcy wcześniej z problemu, jaki miała z Marcinem.

– Co, ja...? No co ty. A co cię to zresztą, co ty, mój ojciec jesteś? – Marcinowi mieszały się porządki, jednocześnie się wypierał i od razu podejmował wymianę.

– Nie jestem ojcem, bo twój ojciec nie żyje, a ty chciałeś się dowiedzieć, kto go zabił, pamiętasz? Jak polecisz tak dalej, to chuja się dowiesz. Dowiesz się może pod koniec, czemu sam zdychasz, ale to też niekoniecznie!

Adrian miał taką przypadłość, że choć zasadniczo był spokojny, to kiedy już się wkurzył, trudno go było zatrzymać. Cecha skądinąd w policji przydatna, bandyci tak naprawdę szanowali tylko wariatów, bo ich nie dawało się zastraszyć.

– Ty, weź wyluzuj. – Marcin się bronił, ale słabo, bo po pierwsze miał trochę tak, jak ci bandyci, a po drugie w głowie za mocno mu szumiało, żeby na szybko był w stanie coś sensownego z niej wydobyć.

– Nie . wyluzuj“ , tylko jak się dowiem, że dalej to ciągniesz, to cię zawinę i zamiast do komórki na szczotki u sióstr, trafisz w takie miejsce, że będziesz błagał narkotyki, żeby nigdy nie zostały wynalezione. – Adrian pocisnął Marcina do bandy. – A teraz, kurwa, mów, gdzie jest twoja siostra?

– Nie wiem – odpowiedział cicho Marcin.

– Bo problem jest jeszcze taki, gdybyś akurat, kurwa, zapomniał, że ktoś chciał wam zrobić krzywdę. Prawdopodobnie nie ten zjeb, którego puściliśmy do domu, tylko ktoś inny, więc... a zresztą, pies cię jebał. Jak się odezwie, to masz się dowiedzieć, gdzie jest i dzwonisz do mnie trzy sekundy później. – Adrian rozłączył rozmowę i siedząc w samochodzie pod komendą, zaczął się zastanawiać, co ma dalej robić.

Ania była w pubie na Kępie Potockiej. Tam szybko v / ypiła kilka drinków, do tego zrobiła coś, czego normalnie nigdy by nie zrobiła, czyli popiła je piwem. Kiedy zakreśliło ją już naprawdę porządnie, wyszła na chwilę na zewnątrz, żeby się przewietrzyć i zapalić. Na zewnątrz zakreśliło ją jednak już na tyle mocno, że zamiast wrócić, zapłacić, posiedzieć jeszcze chwilę i wrócić do oddalonego o kilometr domu, ruszył a przed siebie w nie bardzo znanym sobie kierunku. Po kilku minutach zagłębiła się w uliczki Żoliborza Dziennikarskiego. Gdyby była trzeźwa, prawdopodobnie intuicja znów podpowiedziałaaby jej, że jest obserwowana, że ktoś za nią idzie, że tuż za plecami i z każdą chwilą coraz bliżej czai się śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie była jednak trzeźwa, wręcz przeciwnie, stan jej upojenia był na tyle poważny, że momentami bardziej przemieszczała się na boki niż do przodu. Chwilami chodnika brakowało jej, żeby się skadować. Śledzący ją osobnik początkowo starał się trzymać na odległość, chwilami chował się za drzewami i ustawionymi wzdłuż ulicy samochodami, z czasem jednak stał się znacznie bardziej śmiały i był coraz bliżej.

W pewnym momencie minął ją samochód, który po chwili zatrzymał się z piskiem opon, a po kilku sekundach zaczął cofać. Ania kompletnie nie zwróciła na niego uwagi, ale idący za nią krok w krok człowiek owszem, zwolnił, a po chwili zatrzymał się i obserwował. We wnętrzu samochodu rozbiły się niebieski kogut, drzwi się otworzyły i wysiadł z niego Adrian.

– Ania? – Aspirant Nowaczyk przeszedł chodnik i zbliżył się do idącej.

Ania odwróciła się i spojrzała na niego niewiele widzącym, błędnym wzrokiem. Nie zatrzymała się jednak, a wręcz przyspieszyła swój mocno rozchwiany krok.

– Ania, co ty odwalasz?! – Nowaczyk zaszedł jej drogę od przodu.

– Co s...cesz? – Jej artykulacja była jeszcze bardziej chwiejna od chodu.

– Chcę, żebyś wróciła do domu – powiedział.

– Nie mam, ktoś mi zajął... – Ania podjęła próbę wyminięcia Adriana.

Wydarzeniom tym wciąż ktoś się przyglądał. Stał teraz w większej odległości od Ani, niż jeszcze przed chwilą. Dodatkowo obserwatora od rozgrywającej się na ulicy scenki oddzielało drzewo. Z miejsca, w którym się teraz znajdował, nie było słychać rozmowy, ale mowa ciała tamtej dwójki i tak była wystarczająco czytelna. Właśnie zaczęła się między nimi szarpanina. Po chwili rosły facet złapał dziewczynę od tyłu wpół, podniósł ją i w ten sposób, wierzgając nogami, przeniósł w kierunku stojącego na ulicy samochodu z włączonym niebieskim kogutem.

– Ty, gościu, co z nią robisz? – Adrian usłyszał głos faceta, który zatrzymał się za jego samochodem. Typ wysiadł z auta i najwyraźniej postanowił wziąć czynny udział w zdarzeniu.

Adrian nie zwracał jednak na niego uwagi, znacznie ważniejsze było dla niego to, żeby bezpiecznie dowieźć Anię do domu.

– Kurwa, co jest?! – Facet był jednak na tyle uparty, że podszedł do samochodu Nowaczyka.

– Policja jest, głąbie, wziąć cię też?

Adrian zdołał właśnie wcisnąć wierzgającą wciąż nogami Anię na tylne siedzenie swojej służbowej kii i odwrócił się do mężczyzny z blachę policyjną w ręku.

– Ale co policja, to jakaś napaść jest! – Tamten lekko się zmytygował, ale ponieważ miał brodę, to musiał jakoś zachować twarz.

– Chuj nie napaść, dziewczyna jest zalana w trupa, przed chwilą prawie mi weszła pod koła, pozwolisz więc, że zadbam, żeby dożyła ranka? – Adrian nie był agresywny, tak naprawdę rozumiał, że to wszystko nie wyglądało zbyt dobrze.

– Policjant i zapewnianie bezpieczeństwa... To się nawzajem wyklucza. – Brodacz uśmiechnął się ironicznie.

– Wyjątki potwierdzają regułę. – Adrian zatrzasnął tylne drzwi i ruszył w stronę drzwi kierowcy. Kiedy je otworzył, odwrócił się do pseudodrwala i rzucił krótko: – Spierdalaj.

Kiedy się obudziła, słońce stało wysoko, zbyt wysoko, by mogła jej nie boleć głowa. Nie w słońcu był oczywiście problem, a w tym, że był o późno, na oko pewno około dziewiątej albo, gorzej nawet, dziesiątej. W normalny, czyli w miarę możliwości każdy dzień, bo Ania przede wszystkim lubiła, żeby wszystko było normalnie i powtarzalnie, wstawiała między szóstą a siódmą rano. Najpierw była intensywna gimnastyka, następnie joga, potem przemyślane w każdym detalu i odmierzone co do kalorii z laboratoryjną precyzją śniadanie, póź niej lektura, żeby i mózg mógł się odżywić, potem czasem spotkanie z klientem, a czasem z przyjaciółką, kosmetyczka, manikiur, mikrodermabrazja, znów klient – to już zależało od dnia, który musiał być wypełniony treścią albo choćby pozorem treści w najmniejszym szczególe, bo za tym wszystkim stał lęk, że tak naprawdę nie wiadomo było, co dalej z życiem, co z nim zrobić, jak do niego podejść. W jej przypadku ostatnimi czasy oczywiście dochodził jeszcze jeden ważny, właściwie najważniejszy element, czyli dochodzenie, które prowadziła z bratem. Ale teraz brat...

Podniosła głowę, było jej niedobrze, czuła się brudna, wręcz kleista, w głowie wirowało jak na karuzeli. Nic z jej szczegółowego programu dnia nie miało dziś szans na realizację. Zanosilo się na totalne fiasko.

Wyszła do przedpokoju. Tu było lepiej, mniej światła, mniej okien, korytarz wąski, więc nie straszył też nadmiarem przestrzeni. Miała wrażenie, jakby ścisnął ją trochę z boków, podpierał, a podparcie było jej teraz bardzo potrzebne. Marcin siedział w salonie; wyglądał i czuł się nie lepiej od niej. Na stoliku przed nim stała prawie pełna szklanka wody, chciało mu się pić, ale jednocześnie miał cofkę. Też dość trudna sytuacja. Dawno nie wciągał towaru, poza tym ten chyba jednak nie był najlepszej jakości, może za dużo cukru pudru zamaskowanego jakąś cholerną lidokainą albo innym gównem. Nie kręciło mu się wprawdzie w głowie, nie mdliło go też tak mocno jak ją, ale za to miał lęki, czuł pustkę, zamiast myśli po ciele szarym przemieszczały się jakieś ogromne dziury o ostrych krawędziach. Wydawało mu się też, że zanikły mu bruzdy na mózgu; miał wrażenie, jakby pod czaszką pulsowała wielka, płaska masa, którą przestało cokolwiek ze sobą spinać.

Ania popatrzyła na brata i ku własnemu zaskoczeniu poczuła się nagle jakby trochę raźniej. Rodzeństwo na zabój. Nawet kaca mamy razem, pomyślała, ale zaraz sobie przypomniała, że jest na niego potwornie wściekła i że nie ma właściwie ochoty nawet patrzeć w jego stronę.

– Nowaczyk cię przywiózł – zagał Marcin, czując, że Ania zaraz sobie pójdzie.

– No i? – zapytała zaczepnie.

– W sumie to nie tyle cię przywiózł, ile przyniósł – rozbudował opis.

– Kurwa... – powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Z jakiegoś powodu ta informacja dość mocno ją zdołowała. Nie umiała ustalić

źródła tego doła, ale zrobiło jej się przykro i poczuła wstyd.

– On cię naprawdę cholernie lubi. – Marcin zerknął na nią po raz pierwszy tego ranka.

– Przestań. – Ania czuła, że jej wstyd rośnie.

Facet, który płacił jej za usługi seksualne, dla którego miała być ideałem kobiety, przynajmniej w sferze estetycznej, przyniósł ją do mieszkania w stanie, którego nawet nie chciała sobie teraz wyobrazić. Wspaniale.

– Dobrze, że mu się jeszcze nie zrzygałam na mankiet. – Ania chciała wyjść, ale poczuła nagle, że za daleko nie dojdzie, usiadła więc na hokerze, oparła głowę o blat kuchennej wyspy i zasłoniła głowę ramionami.

– Nie zauważyłby nawet – westchnął Marcin. – Odniosłem wrażenie, że nie mogłaś mu zrobić większej przyjemności.

– Wariat. – Głos Ani dobyteł się stłumiony jak ze studni.

– On na pewno. – Marcin zamknął dyskusję i sięgnął po wodę, której nie miał siły się napić.

Milczeli przez dłuższą chwilę. On starał się załatać dziury w głowie, ona przy każdym oddechu walczyła z mdłościami.

– Jak się będziemy nawalać, to nic z tego nie będzie – odezwał się w końcu Marcin.

Musiał się odezwać, bo wina, jakkolwiek próbowałby teraz to sobie w głowie odkręcić, była po jego stronie. Miał nie ćpać. Zaćpał. Proste. Inni może bardziej by to zawijali, odkręcaliby kota ogonem. On zresztą, gdyby nie szczególne okoliczności, gdyby nie to, że tak okropnie się czuł, i chyba przede wszystkim, gdyby nie wczorajszy prysznic otrzeźwiający od Adriana, może też by coś kombinował. Gdyby, gdyby... No ale było, jak było, a czas uciekał.

– Nie my, tylko ty się nawaliłeś. – Ania wciąż nie podnosiła głowy z blatu.

Chłód kamienia trochę pomagał studzić ból głowy, poza tym bała się, że gdy podniesie wzrok, to świat zatańczy z taką intensywnością, że ze stadium nudności momentalnie przejdzie w kolejne.

– Okej, nawaliłem się, więcej się nie nawalę. Możemy to zostawić? – zapytał jeszcze koncyliacyjnie, ale już z delikatnym rozdrażnieniem w głosie.

– Możemy – zgodziła się, ale nie wytrzymała i dodała: – Do następnego razu?

– Jak będzie następny raz, to zostawimy sprawę i ja zgniję na bajzlu ze strzykawką w ręce – odpowiedział.

– A ja zgniję gdzieś indziej z rozpaczy, że nie dopilnowałam brata. O to właśnie chodzi, Marcin, że nie odpowiadasz wyłącznie za siebie, że to nie chodzi tylko o to, czy ty wybierzesz życie albo śmierć, ale zawsze chodzi też o innych ludzi: o mnie, o wujka, o ciotkę. – Ania w końcu podniosła głowę, dyskusja oż ywiła ją na tyle, że zapomniała nawet o tym, iż miała przecież w tym momencie dostać torsji.

– O Adriana, który mnie wtedy zabije, pomimo że już będę trupem. – Marcin się zaśmiał, ale po chwili dodał poważniej: – Wiem i już to zostawmy, proszę.

Znów zapadło między nimi milczenie.

– Chcesz mi opowiedzieć coś jeszcze o Jarku? – zapytał po chwili, żeby zmienić

temat.

Ania popatrzyła na niego przez moment, po czym pokręciła głową, wstała z hokera i powlokła się do łazienki. Z dwojga złego wołała już zwymiotować do muszli, niż znów przypominać sobie tamto. Poza tym, jeśli mieli dalej działać, to nie mogła być przecież kleista. Czas najwyższy był, by się ogarnąć.

Dwie godziny póź niej siedzieli w tym samym miejscu, ale już w zupełnie innym stanie. Ania zebrała się w końcu i po prysznicu poszła na godzinę na siłownię, Marcin biegał wokół Kępy Potockiej, potem zjadł obfite śniadanie w kawiarni na dole. Oboje czuli potrzebę działania, napędzali się do niego nawzajem, wręcz trochę się tego dnia ścigali w konkurencji, kto szybciej dojdzie do siebie. Doszli mniej więcej równocześnie i po wspólnym wypiciu energetyzującego shake' a usiedli do stołu, żeby zebrać myśli i zastanowić się nad tym, co mają robić dalej.

– Wciąż najbardziej mnie dziwi to powtórzenie sytuacji – zaczął Marcin.

– Sytuacji?

– No w sensie, że tu był Jarek, a tam w Białymstoku też był jakiś gość – wyjaśnił.

– Swoją drogą rozmawiałem z Werą, nienawidzi mnie trochę...

– Ale nie do końca – wcięła się Ania.

– W każdym razie nie ma pojęcia, jak mogłaby nam pomóc znaleźć tego typa z Białegostoku – dokończył.

– Może nie chce, żebyśmy go znaleź li, i doskonale ją rozumiem. Nie chce do tego wracać, myśleć o tym, nie chce, żebyś ty poznał szczegóły – powiedziała Ania ze smutkiem.

– Nie sądzę. Chce nam pomóc, sobie chce pomóc, nie utrudniałaby, poza tym ona nie umie kłamać. – Marcin obstawał przy swoim.

Ania wstała odstawić szklanki do zmywarki. Kiedy szła w stronę urzędu, coś przyszło jej do głowy.

– Inne sprawy – powiedziała, po czym dodała: – Jeśli w tych pozostałych trzech sprawach było jak z dziewczynami z Radomia i ze mną, to mamy regułę. Trzeba będzie sprawdzić.

– Mamy namiary na wszystkie miejsca, nie wszędzie są kontakty do ludzi, ale jakoś to zorganizujemy. – Marcin pokiwał głową z entuzjazmem.

Cieszyło go, że Ania powoli mu odpuszczała, że czuł się lepiej i to, że już nie będzie musiał tego robić. W gruncie rzeczy nie lubił narkotyków. W domu dziecka zaczął z chłopakami brać jakieś gówniane dopalacze, miał kilka złych przelotów, raz koledzy musieli go nawet związać. Tak naprawdę robił to głównie ze względu na nich, czy raczej dlatego, żeby dopuścili go do grupy. Z tego samego powodu zaczął palić, podkradać pieniądze z kasy sierocińca, podglądać dziewczyny w drugim skrzydle... Chociaż nie, tego akurat nie robił ze względu na nich – po prostu go do tego ciągnęło, nigdy nie czuł się po tym źle i nikt nie musiał go wiązać. Potem chłopcy zaczęli mieć skądś więcej szmalu. Nigdy nie dociekał skąd, choć miał pewne przypuszczenia. Jemu zresztą też nie brakowało – dawał wuj i odkąd poszła na swoje, dawała też Ania. Były pieniądze, skończyło się łykanie mateusza i palenie spice' ów gold, zaczęło się robić konkretniej, samarki wały się we wszystkich szufladach,

siostrze Józefinie tłumaczyli, że to od kart telefonicznych albo od strun do gitary. Gitarę miał Wojtek, dostał ją od jakiegoś kuzyna i nigdy na niej nie grał, ale woreczki od jego strun mieli wszyscy. Ptak, albatros i sole do kąpieli poszły w odstawkę, odkąd chłopaki zaczęły znosić do biduła koks i proszek. Zrobiło się drożej, ale też ekskluzywniej i może trochę bezpieczniej. Ale czy lepiej? Chyba niekoniecznie, bo kokaina, którą przynosili, z proszkiem z Kolumbii wspólną miała chyba tylko nazwę. Doły, góry, ekstazy, depresje, latali i nurkowali w gównie, i tak w kółko. Dobrze, że już stamtąd wyszedł, dobrze, że nie będzie już musiał tego robić.

– Wojtek sprawdził Pawlińskiego w KSIP-ie – odezwał się po chwili Marcin.

– Nie chcę więcej o nim słyszeć. – Ania od razu się zbiesiła.

– O Jarosławie? – zapytał.

– Nie, nie o Jarosławie, wali mnie Jarosław, nie chcę więcej słyszeć o twoim koledze, ćpunie Wojtku – wyjaśniła, patrząc na niego groźnie.

– Okej, jasne, Jarosław ma trzy odsiadki na koncie, wszystkie za pedofilię. Ze go nie odwalili w więzniu, to istny cud. – Marcin referował to, czego dowiedział się od Wojtka, który przepatrzył KSIP – W każdym razie z jednej z tych odsiadek wyszedł na krótko po tym, jak zginęli nasi rodzice.

– Gdyby wyszedł przed, to byłoby coś. – Ania starała się podążać za tokiem wypowiedzi Marcina. – A tak to co?

– A tak to dziwne, bo wyszedł przedterminowo. – Marcin zawiesił głos, jakby właśnie odkrył przed Anią coś niezwykle istotnego.

– Jak większość skazanych w tym kraju, może oprócz zdeklarowanych psycholi, których od razu spod bramy więzienia wożą do Gostynina – skomentowała Ania, na której novum Marcina nie zrobiło przesadnego wrażenia.

– Wiem, nie jestem idiotą. – Chłopak wyglądał, jakby poczuł się urażony. – Tylko że on z ośmioletniego wyroku za molestowanie wyszedł po sześciu miesiącach.

– A to już rzeczywiście trochę dziwne – zgodziła się Ania.

Normalnie młodzież w ich wieku nie miewa takiej styczności ze sprawami związanymi z systemem penitencjarnym ani takiej wiedzy jak oni. W ich przypadku jednak nic nie było normalne. Najpierw przeszli eksternistyczny kurs z przestępczości, który prowadzili dla nich starsi koledzy i starsze koleżanki w biduła, potem Ania poruszała się wśród prawdziwych przestępców, jej klientami przeważnie byli koledzy Bernarda, z których większość albo za chwilę szła siedzieć, albo przed chwilą wyszła z odsiadki. Miała też jednego klienta z przeciwnej strony barykady, czyli Adriana, który tamtych do więzienia doprowadzał. W związku z tym i od niego miała okazję pozyskać wiedzę niedostępną dla normalnej młodzieży w ich wieku.

– W KSIP-ie nie ma nic o tym, dlaczego został zwolniony tak szybko – zakończył Marcin.

– A gdzie jest?

– Nie wiem, może w karcie karalności, w sądzie, w dokumentach u naczelnika więzienia albo... – Marcin się zawahał.

– Raczej obstawiam, że nigdzie – dokończyła Ania, a on pokiwał głową.

Przez moment oboje zbierali myśli. W tej sprawie było coraz więcej dziwnych

okoliczności, tyle że na razie nie składały się w żadną sensowną całość. Ania popatrzyła na brata i zapadła się we własną pamięć.

* **

Wchodzi do pokoju, by zapytać, o której będzie kolacja, bo chciała jeszcze wyjść do koleżanki mieszkającej dwa domy dalej. Rodzice rozmawiają o czymś przyciszonymi głosami. Szczególnie mama jest wzburzona.

– Musimy to sprawdzić – mówi ojciec.

– Moim zdaniem niech to już sprawdza policja, my nie jesteśmy egiptologami – odpowiada mama i wtedy ją dostrzega.

Uśmiecha się do Ani, starając się ukryć wcześniejsze zdenerwowanie, ale nie do końca jej to wychodzi.

– Co, kochanie? – pyta.

– O czym rozmawialiście? – Dziewczynka czujnie jej się przygląda.

– Nic ważnego, taty sprawy, praca. – Zdenerwowanie już gdzieś odpływa, uśmiech staje się swobodniejszy. – Pewnie chcesz iść do Joli?

* **

– Tam była jakaś sprawa – powiedziała Ania, tu i teraz.

– Jaka sprawa? – zapytał wyrwany z zamyślenia Marcin.

– Coś między rodzicami, oni o czymś wiedzieli, coś ich niepokoiło – wyjaśniła.

– Ich ciągle coś niepokoiło. – Marcin nie był zbyt przekonany. – Tata miał problemy z firmą albo było coś babcią, ciągle coś, tak jak teraz my. Dorosłość.

– Nie, Marcin, tam było coś innego, na krótko przed tym zdarzeniem mama chciała zawiadomić policję, ojciec mówił, że trzeba sprawdzić, mówił coś o jakichś egiptologach. Może rzeczywiście coś z firmą, ale coś gorszego niż zwykle – zrelacjonowała mu swoje wspomnienie.

– Czyli co, wracamy do Bogusza? – zapytał Marcin z lekko żartobliwym uśmiechem, po czym dodał, widząc na sobie karcący wzrok Ani: – No co, jak firma, to Bogusz, bo kto inny?

– Nie wiem, kto inny. – Wzruszyła ramionami. – Może rzeczywiście Bogusz nam coś chociaż podpowie.

Przez moment Ania zastanawiała się, co zrobić dalej. Nagle zaświtała jej myśl. Wstała.

– Mam jeszcze te rzeczy po rodzicach – powiedziała, idąc w kierunku garderoby, która znajdowała się przy jej sypialni.

– Jakie rzeczy? – Marcin ruszył za nią.

– Kartony – wyjaśniła. – Wuj mi przekazał, jak tylko wynajęłam pierwsze mieszkanie po wyjściu z sierocińca.

– I co jest w tych kartonach?

Weszli do sporych rozmiarów pomieszczenia, w którym z jednej strony stały szafy z długimi pałkami na wieszaki, z drugiej znajdowały się półki na rzeczy, a z trzeciej, czyli pod ścianą przeciwną do wejścia, stało jeden na drugim sześć zaklejonych lasotaśmą kartonowych pudeł.

– Nie wiem. – Ania stanęła między półkami, odwróciła się do niego i powiedziała, usprawiedliwiając się: – Sama nie miałam odwagi.

Marcin pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym przeszedł obok niej, wziął pierwszy karton z góry i zaniósł go na łóżko w sypialni.

Dwie godziny później skończyli przeglądanie kartonów. Nie było to zadanie łatwe nawet dla nich dwojga, tym bardziej Marcin nie dziwił się już, że siostra nie podjęła się tego wcześniej sama. Bibeloty, zdjęcia, pamiątki, czasem dość dziwne, na przykład drewniany rycerz, którego Ania przywiozła ojcu z wycieczki do Malborka albo pierwsze rysunki Marcina, które zbierała mama. Minęły dwie godziny, a oni byli tak zmęczeni, jakby przekładali te kartony przez całe życie. Czas zachowywał się trochę jak podczas tych podróży kosmicznych, które trwają tydzień, a kiedy wracasz na Ziemię, okazuje się, że upłynęło dwadzieścia lat.

– Memuar. – Ania przypomniała sobie, kiedy zaklejali na powrót ostatni karton.

W ciągu minionych dwóch godzin otwierali kartony, wyjmowali z nich rzeczy, oglądali je, płakali albo się śmiali, a potem pakowali z powrotem i zaklejali pudła. Marcinowi przyszło nawet do głowy, że to trochę jak z sekcją zwłok, kiedy otwiera się ciało, gmera w nim jakiś czas, szukając przyczyny śmierci, a potem wszystko pakuje się z powrotem do środka i zaszywa. Jednak tym skojarzeniem nie podzielił się z Anią.

– Jaki memuar? – zapytał zdziwiony.

– Mama miała taki notes, w którym wszystko zapisywała; ładny, dość gruby, obsyty ciemnoczerwonym aksamitem czy jakimś flauszem. Nazywała go memuar, pamiętasz? – Popatrzyła na niego.

– Nie bardzo. – Pokręcił głową, ale widząc, jak bardzo ją zawiódł, dodał: – No może coś kojarzę.

Nie kojarzył, ale to nie miało znaczenia. Jeśli Ania pamiętała, to tak było. Miała lepszą pamięć, była starsza, bardziej zwracała uwagę na trudne słowa i na ciemnoczerwone flausze. Od zawsze.

– Tam mogłoby coś być. – Ania się zapaliła. – Tylko nigdzie tego nie widziałam. Sprawdzamy jeszcze raz?

Marcin popatrzył na nią przez chwilę. Nie chciało mu się przechodzić tego jeszcze raz, ale nie miał serca jej odmówić. Ściągnął taśmę z kartonu, który dopiero co zakleił.

Memuaru nie znaleźli. Nie było go w kartonach, w ogóle nie było w nich nic, co mogłoby ich naprowadzić na cokolwiek oprócz własnych wspomnień – ważnych, ale trudnych i zupełnie nieprzydatnych do rozwiązania tej sprawy.

– Te kartony dał ci wujek? – zapytał Marcin, kiedy siedzieli już przy stole i jedli curry zamówione chwilę wcześniej z indyjskiej knajpy.

– Tak. – Pokiwała głową, po czym uprzedzając sugestię, która pewnikiem za chwilę by się pojawiła, dodała: – Zaraz do niego zadzwonię.

Zadzwoniła. Rozmawiali długo. Wujek wypytywał, jak się mają, jak znieśli rozpakowywanie kartonów, co w nich było, czy może chcą do nich przyjechać. Potem przeszedł do relacjonowania, że ciotka trochę ostatnio chorowała, ale już jest dobrze. Ania słuchała, odpowiadała i czekała. Z wujem Zygmuntem zawsze było tak samo – na początku trzeba było przetrzymać nawałnicę jego gadatliwości. Gdyby zadała pytanie zbyt wcześnie, to i tak musiałaby je powtórzyć później. Wujek, dopóki nie wygadał się ze swoich spraw, kompletnie nie zwracał uwagi na to, co się do niego mówiło i o co się go pytało. Cóż, ekstrawertycy tak mają. Mówią, i to interesuje ich najbardziej. Może dopiero jak się słyszą, to dociera do nich treść tego, co mówią? – pomyślała Ania, a czasu na myślenie, podczas gdy wujek mówił, miała całkiem sporo.

– Czyli...? – Wuj Zygmunt nagle wstrzymał swój słowotok i po chwili dodał z lekkim przekąsem, bo zdaje się, że po jej ósmym „Yhmm“ dotarło do niego, iż nie jest już przesadnie zaangażowaną odbiorczynią jego przekazu: – Pewno chciałaś o coś zapytać. Z innego powodu byś nie zadzwoniła.

– Zadzwoniłabym, wujku, i zadzwoniłam, bo byłam ciekawa, co u was, ale owszem, mam też pytanie – potwierdziła Ania.

Generalnie nie miała ochoty wycofywać się ze swojego zamysłu tylko po to, żeby udowodnić wujkowi, że nie miał racji. Zdarzało jej się wcześniej parokrotnie tak robić. Tym razem jednak zbyt ważne było to, do czego z Marcinem próbowali dojść, żeby rzucać sobie kłody pod nogi i prowadzić gry w kindersztubę z wujkiem.

– Tak myślałem. – Wujek triumfował.

– Tak myślałaś, że co, wujku? Pół godziny słuchałam twoich opowieści. Gdybym była tak skupiona na swoich sprawach, jak zdaje się sugerujesz, raczej szybciej bym poszła po swoje, nie uważasz? – Ania trochę się wkurzyła.

– No dobrze, już dobrze, o co chciałaś zapytać? – Wujek stał się koncyliacyjny, co oczywiście w żadnym razie nie oznaczało, że przyznał jej rację. Od zawsze był typem człowieka, który nigdy nie przyznawał nikomu racji, z wiekiem tylko mu się to pogłębiało.

– No więc przejrzelśmy z Marcinem te rzeczy po rodzicach. Jest tam mnóstwo ważnych pamiątek, ale nigdzie nie możemy znaleźć notesu mamy, takiego czerwonego, pokrytego materiałem, na pewno go pamiętasz, nie ruszała się bez niego – wył uszczyła Ania.

– Chyba pamiętam... – Wujek przez chwilę próbował skupić myśli, milczał, co było dla niego bardzo nietypowe. – Rzeczywiście miała, taki bordowy...

– Właśnie – ucieszyła się Ania.

– Nie widziałem go nigdy wśród tych rzeczy, większość tego przeszła zresztą przez ręce policji, oni szukali na nich jakichś śladów czy czegoś. Notesu nigdy nie zauważyłem, ale ja też tego jakoś bardzo dokładnie nie przeglądałem. Też mi było trudno – wyjaśnił i zamilkł, jakby jeszcze próbował sobie coś przypomnieć.

– Może został na policji? – Ania zasugerowała rozwiązanie zagadki.

– Możecie spróbować się dowiedzieć, ale myślę, że wszystko oddali –

odpowiedział wujek, po czym znów stało się to, co nieuniknione, czyli włączyła mu się czujna podejrzliwość. – A swoją drogą, czemu tak wam zależy akurat na tym notesie?

– Bo to był najważniejszy notes mamy, tam na pewno było bardzo dużo wspomnień. – Ania znów nie była przesadnie przekonująca.

– Znowu dłubiecie. – Wujek nie dał się przekonać.

– Tak, w swojej przeszłości – odbiła Ania.

– Mówiłem już, co uważam, nie będę się powtarzał. – Wujek nagle stał się jeszcze bardziej pryncypialny. – Ale skoro chcecie ryzykować, to notes może mieć tylko policja.

– Jeszcze jedno pytanie, wujku. – Ania nie dała się odstraszyć.

– Naprawdę? – udał święte zdziwienie.

– Naprawdę – odpowiedziała trochę filuternie.

– Słucham? – zapytał po chwili, trochę już udobruchany.

– Przypomniałam sobie, że rodzice kilka dni przed śmiercią rozmawiali coś o policji i o egiptologach. Masz pomysł, o co mogło chodzić?

– Kilka dni po dniu, w którym zginęli, mieli jechać na wycieczkę *all inclusive* do Taby w Egipcie, może o to chodziło. Beata wróciła wtedy ze Stanów między innymi po to, żeby zostać z wami, ale czemu policja, to nie mam pojęcia.

Następny dzień był lepszy. Jej zatrucie wywołane aldehydem i jego zagubienie wywołane gwałtownym spadkiem endorfin minęły, jak ręką odjął. Byli młodzi i poza chwilami, w których zapadali się w używki, prowadzili zdrowy, sportowy tryb życia, odżywiali się dobrze, więc konsekwencje nadużywania różnych substancji na szczęście mijały szybko.

Zaczęli od ponownej wizyty u Malewskiego. Odwiedziny były tym razem niespodziewane, ale nie rozmyślnie. Od rana nie dawało się do komisarza dodzwonić, a sprawa stała się nagląca, więc po prostu do niego pojechali. Nie można powiedzieć, żeby taka niezapowiedziana wizyta różniła się czymś od zapowiedzianej, bo Malewski, jak zawsze, przyjął ich w tym samym szlafroku; aż dziw bierze, że nie zabrał go ze sobą, kiedy jechali razem do Radomia. Oczywiście, również jak zawsze, poczęstował ich szkocką. Oni tym razem jednak nie dali się namówić. Było zdecydowanie za wcześnie, a poza tym doświadczenie poprzedniego „technicznego” dnia poświęconego leczeniu zatrucia wciąż było dla nich zbyt świeże. Malewski prawdopodobnie takiego stanu już nie pamiętał, bo przynajmniej ostatnich kilkanaście lat poświęcił głównie temu, żeby za nic w świecie nie dopuścić do kaca. Teraz sytuacja była na tyle poważna i chroniczna, że gdyby do niego dopuścił, to mógłby tego już nie przeżyć.

– Przyjechaliśmy zapytać o notes – wyjaśnił Marcin, który w obawie, że jednak w końcu ulegnie namowom komisarza, wołał nawet nie siadać.

– O jaki, kurwa, notes? – zdziwił się Malewski, który w obawie, że się przewróci, wołał nawet nie wstawać.

– Rodzice w ostatnich dniach przed wypadkiem zachowywali się trochę dziwnie, mówili coś o policji i o egiptologach, no a mama miała taki swój dziennik w czerwonych okładkach; prawie nigdy się z nim nie rozstawała, zawsze był gdzieś na stoliku w pobliżu, gdyby akurat coś jej przyszło do głowy, brała go też na wakacje i na wyjazdy służbowe. Był przy niej zawsze, jeśli coś wydało się jej dziwnie, to na bank to tam zapisała – obszernie wyjaśniła Ania.

– No i? – Malewski starał się śledzić jej opowieść, ale wyraz nie nie przychodziło mu to łatwo.

– I dostaliśmy od wujka rzeczy po rodzicach, spakowane w kartonach. Przepatrzyliśmy je i nie ma tam notesu, w domu też się na niego nie natknęliśmy, zresztą w domu w ogóle nic nie ma. – Marcin stał oparty o krzesło, na którym siedziała Ania. – No i pomyśleliśmy, że może został w depozycie albo w magazynie z dowodami.

– Nie sądzę. – Malewski pokręcił głową. – Nie pamiętam żadnego dziennika ani notesu w czerwonych okładkach. A pamiętałbym, bo to by był dość ważny element dochodzenia, gdyby był.

– Czyli? – zapytał Marcin.

– Czyli go nie było – wyjaśnił Malewski, nagle lekko zniecierpliwiony brakiem bystrości Marcina, i po chwili dodał, już spokojniej i łagodniej: – Tam było jednak dość splądrowane, wtedy myśleliśmy, że szukali pieniędzy i kosztowności, teraz już wiemy, że może wcale niekoniecznie. Może wzięli właśnie ten notes.

Marcin pokiwał głową, spojrzął na Anię. Wyglądało na to, że intuicja znów jej nie zawiodła. Notes mógł stanowić klucz do rozwiązania sprawy, tyle że go nie było. Swoją drogą ciekawe, co jeszcze z dokumentów zginęło; skoro zabrali notes, to musieli też wziąć inne dokumenty, wszystkie, które mogły zawierać wskazówkę odnośnie do tego, kim byli. O ile oczywiście ich hipoteza, że rodzice o czymś wiedzieli, miała coś wspólnego z rzeczywistością.

– Słyszałem od kolegów, że było zatrzymanie – odezwał się znów Malewski.

– Od kolegów? – zapytała czujnie Ania.

– Tak, wciąż jeszcze mam na komendach różnych kolegów. Głośna sprawa, zatrzymywał policjant od kradzieży samochodów, więc trochę nietypowo. – Stary komisarz się uśmiechnął. – No ale podobno zboka trzeba było puścić do domu.

– Niestety – wyręczył Anię Marcin, choć Malewski głównie do niej skierował swoją uwagę. – Mamy nadzieję, że nie na długo.

Chwilę milczeli; atmosfera zgęstniała, bo Ania znów poczuła się niekomfortowo. Kolejna obca osoba wiedziała o czymś, o czym ona przez ostatnie dziesięć lat próbowała zapomnieć.

– Wasi rodzice zachowywali się dziwnie. – Malewski wykazał się jednak delikatnością i refleksem i zmienił temat. – A pytaliście tamte dziewczyny, jak zachowywali się ich rodzice?

– Tak, ja pytałem – odezwał się szybko Marcin, zaskakując tym trochę Anię. – Jedyna z nich, która chce z nami rozmawiać, twierdzi, że nie przypomina sobie, żeby było dziwnie. Wręcz przeciwnie, ich rodzice przez ostatnie dni przed śmiercią byli w dobrym nastroju, w domu ucichły kłótnie, jakby coś miało się zmienić na lepsze.

Malewski chwilę trawił tę ostatnią informację.

– Jeśli to nie przypadek ani nie psikus pamięci tej dziewczyny, która zapamiętała, że zanim to się stało, zrobiło się miło, to może to też jest jakieś wskazanie – powiedział po chwili zamyślony.

– Wskazanie, że...? – Ania wróciła do rozmowy.

– Ze... nie wiem, ktoś im coś obiecał, mieli dostać jakieś pieniądze, jakąś pracę...

– Inspirację do tego, co teraz tworzył, Malewski brał chyba z sufitu, bo to w niego się wpatrywał. – Ale może przesadzam już z tym. Swoją drogą musicie się tego wystrzegać.

– Czego? – zaciekawił się Marcin.

– Wróżenia z fusów. Tak naprawdę, jeśli ma się inteligencję i wyobraźnię, to z wszystkiego można wysnuć wszystko. – Uśmiechnął się, po czym dodał: – Skoro jednak i tu, i u tych z Białegostoku pojawił się pedofil, to to już akurat jest naprawdę mocne wskazanie. Tylko co z tego, skoro one nie potrafią zidentyfikować tego swojego, a wasz wrócił do domu bez zarzutów?

– No właśnie! – powiedziała nagle głośniej Ania, zamykając, tym samym definitywnie, znów powoli otwierający się temat jej tabu.

Marcin nie powiedział już nic, ale widać było, że coś go dręczy.

– Powiedzieliście, że mówili coś o egiptologach? – odezwał się po chwili milczenia Malewski.

– Tak mi się wydaje, ale to tylko pamięć, mogło mi się coś nałożyć. – Ania wzruszyła ramionami.

– Mogłoby się coś nałożyć, ale raczej nie egiptolodzy. Macie gdzieś te zdjęcia z akt z Radomia?

Marcin sięgnął po telefon, przejrzał zachowane zdjęcia, dotarł do sfotografowanych akt i podał aparat Malewskiemu. Ten gmerał chwilę wśród fotografii, w końcu znalazł to, czego szukał.

– A może te krwawe ślady to są egipskie hieroglify? Znaie się na tym? – Pokazał im zdjęcie od ciekających krwią kresek na ścianie domu w Radomiu.

– Nie. – Marcin pokręcił głową i zerknął na Anię.

– To znajdźcie kogoś, kto się zna – skwitował Malewski.

Marcin niezbyt głęboko wszedł w historię o hieroglifach, bo, przynajmniej na razie, miał zupełnie inny pomysł na trop w śledztwie. W drodze powrotnej poprosił Anię, żeby wysadziła go w centrum. Powiedział, że idzie na dzień otwarty na Wydział Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Skłamał, ale nie do końca, bo jednak trochę prawdy w jego słowach było. Tego popołudnia rzeczywiście na wydziale był dzień otwarty i Marcin pierwotnie chciał tam iść, ale teraz uznał, że jest inna, znacznie bardziej nagląca sprawa. Okruchy prawdy przydały się jednak o tyle, że Ania, zanim wypuściła go z samochodu, otworzyła wyszukiwarkę w komórce i sprawdziła, czy na wydziale naprawdę jest dziś dzień otwarty. Kiedy okazało się, że tak, zrobiło jej się na tyle głupio, że nie uwierzyła bratu, że teraz dla odmiany uwierzyła mu bez cienia wątpliwości.

– Tylko wróć na kolację – powiedziała, kiedy zamykał drzwi od samochodu.

– Wrócę na milion procent – odparł, szczerze zresztą w to wierząc, bo nie miał zamiaru ćpać, czego obawiała się Ania.

Adres Jarosława Pawlińskiego dostał od Wojtka, który wyciągnął go dla niego z KSIP-u wraz z wszystkimi pozostałymi informacjami. Budynek znalazł bez problemu, dodatkowo kamienica była na tyle lumpiarska, że klatka stała otwarta na oścież.

– Kto tam? – odezwał się głos, prawie od razu po tym, jak zapukał do drzwi. Zupełnie jakby facet przez cały czas sterczał tuż za progiem.

Marcin zerknął na coś, co trzymał pod linią wizjera.

– Pan Jarosław Pawliński? – Celowo przekreślił nazwisko.

– Pawliński – poprawił go głos zza drzwi. – Co jest?

– Może Pawliński, niewyraż nie tu jest. Przesyłkę mam – odpowiedział Marcin, wciąż patrząc w dół na coś, czego tak naprawdę w ogóle nie było.

– Jaką przesyłkę? – zapytał po chwili nieufnie głos.

– A skąd mam wiedzieć? Ja kurier jestem, nie nadawca. – Marcin znów zerknął w dół, udał, że czyta. – Macro, przesyłka promocyjna. Nie wiem, może patelnię panu wysłali na zachętę. Bierze pan, czy mam zabrać?

Przez moment nic się nie działo, po chwili drzwi uchyliły się lekko i wtedy Marcin kopnął w nie z taką siłą, że otworzyły się na oścież, waląc przy tym o jakąś szafkę, a stojący za nimi facet przewrócił się na podłogę. Marcin wszedł szybko do wąskiego przedpokoju, zamknął drzwi i dopadł do wstającego, który właśnie chciał coś krzyknąć. Nie zdążył jednak, bo chłopak zacisnął mu dłoń na ustach i nosie. W jego klatkę piersiową wcisnął kolano; mężczyzna zaczął się dusić.

– Jak będziesz się darł, to cię odjebię – poinformował go Marcin. – Będziesz się darł?

Mężczyzna pokręcił głową, więc Marcin powoli odjął dłoń od jego ust i nosa.

Jarosław wciągnął powietrze do płuc jak topielec wracający do życia. Marcin odczekał chwilę, aż wyrównała mu się trochę saturacja.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Tamten znowu pokręcił głową, ale teraz był już spokojniejszy, nawet zbyt spokojny jak na okoliczności, w których się znalazł.

– Gwałciłeś moją siostrę – zaczął Marcin. – Kiedy była dzieckiem.

– Możliwe. – Jarosław, wciąż leżąc na wznak, wzruszył lekko ramionami.

– Nie „możliwe“, tylko gwałciłeś. – Marcin docisnął mu kolanem klatkę.

– Skoro tak mówisz. – Mężczyzna był koncyliacyjny, ale w jego głosie wciąż pobrzmiwał sarkazm.

– Teraz powiesz mi parę rzeczy. – Marcin się nie zrażał.

– Bo? – Sarkazm przeszedł w ironiczny uśmiech.

– Bo zeznam, co jej robiłeś, posadzą cię, a pod celą za to, co robiłeś dzieciakom, cię odjebią. – Marcin uśmiechnął się ironicznie, żeby swoim lekceważeniem przeważać jego.

– Byłem już pod celą wiele razy, synciu, i jakoś żyję. – Tamten wciąż nie pękał.

– Miałeś fart, a teraz nie będziesz miał farta, bo jak tam trafisz, moi grypsujący koledzy przekażą twoim nowym grypsującym kolegom, co i jak, i tamci cię zgwałcą nogą od stołka, a potem powieszą i udławią twoimi własnymi genitaliami. Może być? – Marcinowi kończyła się cierpliwość.

– Czego chcesz? – Pod wciąż widocznym ironicznym uśmiechem Jarosława pojawiła się teraz niepewność.

– Dlaczego wybrałeś moją siostrę? – Marcin przeszedł do konkretów.

– A która to twoja siostra? – Mężczyzna wciąż trzymał fason.

Marcin walnął go otwartą dłonią w twarz. Miał już dosyć szydery tego bydlaka.

– Ta, za którą zatrzymali cię trzy dni temu – uzupełnił jednak po chwili informację.

Był przekonany, że Pawliński doskonale wiedział, o kogo chodzi, ale nie chciało mu się w tym momencie tego udowadniać. Nie miał czasu.

– Ładna była – odpowiedział Jarosław.

Dwa uderzenia z otwartej.

– Nie rozumiesz mnie – stwierdził Marcin po chwili i dodał, przyciskając teraz kolanem już nie klatkę, a tchawicę mężczyzny: – Nie rozumiesz swojego położenia.

Facet zaczął sinieć. Marcin odpuścił po chwili.

– Zabili nam rodziców. – Marcin mówił, a facet znów, po dłuższej przerwie w bezdechu, próbował nałapać powietrza w płuca.

– Nie mam z tym nic wspólnego – wykaślał z siebie Jarosław. – Nikogo nie zabiłem.

– Ale zjawileś się wkrótce potem, a taka sytuacja powtórzyła się też gdzieś indziej – dociekał Marcin.

– Nie byłem nigdzie indziej. – Mężczyzna powoli dochodził do siebie.

– To już wiemy, było okazanie. – Marcin pokiwał głową. – Więc nie byłeś, ale dlaczego zjawileś się przy Ani, tak samo jak gdzieś indziej, przy innej dziewczynie,

zjawił się taki sam zjeb jak ty?

– Widocznie o dziewczyny chodziło. A może też o chłopców? – Jarosław spojrzał na Marcina z dziwnym uśmieszkiem na ustach.

Uśmieszek był nieco inny od tego, który facet miał wcześniej przyklejony do twarzy. Teraz było w nim coś porozumiewawczego i obleśnie kleistego. Chłopakowi przez moment coś mignęło przed oczyma, jakiś nawet nie tyle obraz, ile raczej powidok, uczucie jakby dyskomfortu, strachu, bardziej wspomnienie emocji niż tego, co ją wywołało. Chwycił leżącego za kołnierz koszuli i targnął go w górę.

– Chcesz się pośmiać, kurwo?! – Spojrzał na niego z taką nienawiścią w oczach, że tamtemu uśmiech od razu zniknął z twarzy. – Komu widocznie chodziło o dziewczyny?!

Jarek milczał, więc Marcin parokrotnie trzepnął nim o podłogę.

– Komu?!!!!

– Nie wiem, nie znam, ktoś napisał kartkę, wrzucił mi do skrzynki, była propozycja, że mam się pozabawiać z młodą dziewczyną i jeszcze mi zapłacą – powiedział cicho.

– I ?!!! – Marcin uniósł go znowu.

– I się zgodziłem, potem wrzucili mi kopertę z kasą do skrzynki. – Uśmieszek znów wypełził na twarz Pawlińskiego.

Co jest nie tak z gośćmi takimi jak ten? – zaczął się zastanawiać Marcin. Przecież wie doskonale, że tym uśmieszkiem za chwilę doprowadzi mnie do szału, a on nie chce mnie doprowadzić do szału, ale uśmieszek i tak wyłazi mu na twarz. Może to cynizm, który przeżarł mu duszę na wylot jak kwas i teraz już nie jest w stanie go kontrolować i ta podłość kontroluje jego.

– Jak mogłem się nie zgodzić? Tyle przyjemności i jeszcze kasa? – Podłość dokończyła zdanie.

Potem Marcin na chwilę stracił kontrolę. Kiedy się podniósł znad leżącego, cała podłoga była uwalana krwią, a mężczyzna już tylko cicho mamrotał. Jego twarz była tak opuchnięta, że cyniczny uśmieszek nie miał się teraz jak na niej zmieścić. Przynajmniej na jakiś czas, pomyślał Marcin. Potem wytarł dłonie o koszulę Jarosława, podniósł go, posadził na krześle w kuchni, podał mu namoczoną w zimnej wodzie ścierkę i wyszedł z mieszkania.

Na podwórku zaciągnął się świeżym powietrzem i wtedy go zemdliło. Wymiotował chwilę w krzakach, a między skurczami żołądka na przemian wracały obrazy: sprzed kilku minut z mieszkania Jarosława i z przeszłości, z tej sytuacji, której nie mógł sobie przypomnieć wcześniej, a którą przypomniał sobie właśnie teraz.

Podwórko jakiejś starej kamienicy. Skąd się tam w ogóle wziął? Chyba jakaś wycieczka, a on poszedł się wysikać. Facet, rosły, z wielkim brzuchem, strasznie obleśny i śmierdzący, stoi przed nim i pokazuje mu swoją fujarę, domaga się, żeby on też pokazał swoją. Wtedy nagle widzi, jak ktoś od tyłu wali gościa w łeb, potem kopią go w kilku. To jego starsi koledzy z sierocińca. On nie kopie, stoi z boku przerażony. On za Anię i za to, co się stało wtedy, skopał dopiero dzisiaj Jarosława, który nawet

na chwilę nie był w stanie zapanować nad swoją podłością.

W domu Ania zapytała go o dzień otwarty. On skłamał, że było bardzo ciekawie, ale jeszcze się waha, czy zapisać się na ten wydział. Zresztą to i tak pieśń przyszłości. Na razie musi wrócić do nauki w liceum, maturę planował zdawać w szkole wieczorowej. Właściwie to w ogóle za wiele w tej sprawie nie planował, teraz w stu procentach pochłaniało go dochodzenie i właśnie dlatego był dziś u Jarosława, a nie na dniu otwartym.

– Czyli od czego zaczniemy? – zapytała Ania, kiedy już zjedli kolację zamówioną od Tajów, a przywiezioną przez pakistańskiego rowerzystę.

– Może od początku? – Marcin się uśmiechnął. – Pierwsze zabójstwo: Rawa Mazowiecka, szesnaście lat temu.

– Miałeś dwa lata. – Ania też się uśmiechnęła.

– Oprócz tego, że pierwsze, to tam akurat mamy zamiar na człowieka. W KSIP-ie był wprawdzie tylko adres, ale Wo... – Marcin urwał i zerknął na Anię.

Imię Wojtek miało być już niewypowiedane. Ona pokręciła tylko głową.

– Znajdź liśmy też – kontynuował Marcin – na podstawie imienia, nazwiska i adresu, telefon do gościa, to znaczy do syna. Tam było tylko jedno dziecko. Miał wtedy dwanaście lat.

– Czyli miał jeszcze gorzej, bo był sam – skonstatowała Ania.

– Zadzwoń? – zapytał.

– Nie, ja zadzwonię. Facet, i to pod trzydziestkę, to już na pewno moja działka. – Uśmiechnęła się. – Jak on się nazywa?

Zadzwoiła, podając się za dziennikarkę, która pisze cykl artykułów śledczych o podobnych zabójstwach, które wydarzyły się na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Starła się przekonać pana Bogdana Bogusławskiego, bo tak się nazywał ów mężczyzna, że dochodzenie dziennikarskie ma szansę przekształcić się w policyjne i może z czasem uda się dotrzeć do sprawców tamtych krwawych mordów. Bogdan Bogusławski wysłuchał jej z uwagą, a kiedy skończyła, bardzo kulturalnie odmówił spotkania. Dopytywany o przyczynę odmowy, wyjaśnił, że zostawił tamto życie daleko za sobą, że sam ma rodzinę, dzieci i że nie chce już wracać do przeszłości. Choć tego akurat nie powiedział, to Ania wyczuła, że trauma, którą udało mu się zaleczyć, była potężna i musiała w swoim czasie sprawiać mu trudny do zniesienia ból. Czyli właściwie podobnie jak w jej i Marcina przypadku. Może tylko u nich rana była jeszcze na tyle świeża, że zamiast próbować o niej zapomnieć, co wciąż wydawało im się niemożliwe, starali się jeszcze wypalić ją ogniem. Po tej rozmowie Anię ogarnęły jednak wątpliwości.

– Może rzeczywiście nie warto tego rozdrapywać, może lepiej zostawić i za jakiś

czas... – próbowała się nimi podzielić z Marcinem.

– Za jakiś czas co? – przerwał jej, rozeźlony. – Za jakiś czas to przygnieciemy się rodziną i ciepłymi posadami i będzie nam się wydawało, że wszystko gra, a pod spodem już zawsze będzie się gotować i w końcu dostaniemy raka albo zwariujemy?

– Facet nie ma raka i nie zwariował – tłumaczyła. – Jest spokojny i chyba w miarę szczęśliwy.

– Pozór, który pewno, co gorsza, udaje mu się utrzymywać przed samym sobą – upierał się przy swoim, po czym dodał, wyjątkowo jak na niego dramatycznie: – A poza tym... jest jeszcze coś takiego jak sprawiedliwość dla tych wszystkich, którzy zginęli, i odpowiedzialność, żeby nie zginęli następni.

Ania przez chwilę milczała, widać było, że nagle zajęło ją coś zupełnie innego.

– Kiedy było ostatnie zabójstwo? – zapytała nagle.

Marcin przez chwilę próbował sobie przypomnieć, ale w końcu się poddał i gdzieś poszedł. Po chwili wrócił z telefonem w rękę. Używał go czasami jako notesu, to w nim miał zapisane krótkie kalendarium zabójstw, które utworzyli podczas wyszukiwania danych w KSIP-ie wraz z kompendium wiedzy o okolicznościach i ofiarach.

– Ostatni był Suchedniów, w dwa tysiące osiemnastym – wczytał się w notatki. – Dwoje rodziców, został chłopiec, wtedy siedmioletni.

– Dobra, to potem. Czy odstęp między zabójstwami wynosi około czterech lat, czy są jakieś różnice w odstępach czasu? – Ania była coraz bardziej zaangażowana.

– Tu mam tylko lata, musiałbym zajrzeć w ten wydruk, który mamy od... – Znów się zawahał.

– Od Wojtka. Nie chodzi mi o to, żebyś nagle wywalił ze swojego słownika jedno imię, tylko o to, żebyś nie utrzymywał z nim więcej kontaktów – wyjaśniła, po czym dodała, lekko zniecierpliwiona: – Daj ten wydruk.

Marcin zniknął na dłuższą chwilę, w końcu wrócił ze zmiętą kartką w rękę.

– Ze śmieci to wyjąłeś? – zapytała retorycznie.

– Nie, z dokumentów – odpowiedział, prostując papier.

– Na archiwistę cię nie przyjmą. – Ania wzięła od niego kartkę i zaczęła lustrować jej treść.

– Trudno – odpowiedział. – Kolejne niespełnione marzenie.

– Cztery lata i trzy tygodnie, a konkretnie dwadzieścia dwa dni – porównała czas zabójstw z dwa tysiące szóstego z Rawy i z dwa tysiące dziesiątego z Radomia. – Zapamiętaj.

– Na długo? – zapytał.

Nie odpowiedziała, bo teraz sprawdzała odstęp czasowy między kolejnymi zabójstwami, czyli między Radomiem a Piotrkowem.

– Kurwa – powiedziała. – Dokładnie tyle samo. Cztery lata i dwadzieścia dwa dni.

Między Piotrkowem a ostatnim Suchedniowem już nie sprawdzała – nie musiała. Teraz od razu zajęła się wyliczeniem daty, która przypadnie na cztery lata i dwadzieścia dwa dni po ostatnim zabójstwie, właśnie tym w Suchedniowie.

– Który dzisiaj? – zapytała, lekko poblądła.

Marcin poruszył telefonem, żeby „ożywić” ekran.

– Dwudziesty siódmy kwietnia – powiedział.

– Mamy miesiąc i dwa dni. – Pokiwała głową.

– Chyba że seria skończyła się w Suchedniowie. – Popatrzył na nią.

– Wołałabym się o to nie zakładać. – Ania sprawiała wrażenie mocno przejętej. –

Trzeba powiadomić policję.

– I co im powiesz? – Marcin wzruszył ramionami. – Żeby szykowali ekipę dochodzeniową i patomorfologa na końcówkę maja?

– A nasi rodzice kompletnie nie pasują do tego wzorca. – Ania myślała już o czymś innym, choć wciąż jeszcze wpatrywała się w kalendarz na ekranie telefonu. – Są jak wyjątek potwierdzający regułę. Ich zabójstwo wydarzyło się między Radomiem a Piotrkowem, w dwa tysiące dziesiątym w maju, to nijak nie pasuje do niczego.

– Tak jak mówiłem, może odkryjemy seryjnego zabójcę, ale nie tego, który zamordował naszych rodziców. – Marcin pokiwał głową, a na jego ustach pojawił się uśmiech delikatnej satysfakcji.

– Wyjątek potwierdzający regułę. Wiesz, co to jest? – Ani zdecydowanie nie spodobał się jego uśmieszek.

– Tak, jak coś nie należy do wzorca, to tak się to wtedy określa. – Nie dawał za wygraną.

– Jak coś z pozoru nie pasuje, a nie jak nie należy do wzorca, matematyka jest trochę bardziej skomplikowana niż tabliczka mnożenia – wyjaśniła.

– Tak skomplikowana, że wszystko można dopasować do wszystkiego? – Nadal nie ustępował.

– Nie, tylko te rzeczy, które pasują, nawet jeśli pozornie tak nie jest. – Ania wstała i wyszła z kuchni.

Tak to działało – pomyślała, kładąc się spać godzinę później, jak wahadło. Kiedy ona trafia na ścianę zniechęcenia i ma już ochotę odpuścić, Marcin jej na to nie pozwala, kiedy to on podaje w wątpliwość sens dalszych poszukiwań, to ona oponuje. Trochę to może wynika z wzajemnej przekory, która od zawsze ich charakteryzowała, a w domu dziecka się wzmogła, paradoksalnie cementując jeszcze mocniej ich więź. Chwilę później Ania zasnęła.

Śniła jej się mama, która mówiła coś do niej z wyczuwalną troską, ale Ania nie mogła zrozumieć, co to było. Mama stała tyłem do niej i jak we wszystkich snach, które ją nawiedzały, odkąd to się stało, nie widziała jej twarzy. Nie widziała, ale za wszelką cenę starała się ją zobaczyć, tylko tak mogła też usłyszeć, co mama do niej mówi. Od śmierci, od tamtego dnia, mama wciąż była obecna, czasem śniła jej się w seriach, co noc, okresami sny odchodziły, ale ona wiedziała, że i tak wkrótce wrócą i że w żadnym z nich nie zobaczy jej twarzy ani nie usłyszy głosu. Były dobre, bo mama była blisko, a zarazem straszne, bo wciąż nie mogła nawiązać z nią kontaktu. Potem, za dnia, też za nic nie mogła sobie przypomnieć twarzy mamy; nawet sekundę po tym, jak zerknęła na noszoną stale w portfelu fotografię rodziców, znów jej nie pamiętała. Tak jakby to, co zobaczyła tamtej nocy, gdy weszła do sypialni, utkwiło w niej tak mocno, że miała do wyboru albo w ogóle nie pamiętać twarzy mamy, albo

pamiętać ją taką, jaką widziała tamtego strasznego dnia. Jakiś specjalny obwód bezpieczeństwa w mózgu, który chronił ją przed obłędem, działający poza jej świadomością, prawdopodobnie decydował za nią o tym, że z dwojga złego lepiej, by nie pamiętała tej twarzy. Ania obudziła się, siedząc już na łóżku, jej biała koszulka była ciemna. W pierwszym momencie nie mogła zrozumieć dlaczego, dopiero po chwili zorientowała się, że była cała mokra od potu.

Bogdan pracował w rawskim urzędzie miasta. Był z wykształcenia prawnikiem, w urzędzie zajmował się sprawami mieszkaniowymi, pozwoleniami na budowę i tego typu sprawami, miał żonę Elżbietę, ładną blondynkę, jego rówieśniczkę, z którą trzy lata temu wziął ślub. Wesele odbyło się w sali weselnej „REZYDENT“. Elżbieta była kierowniczką jednej z miejskich restauracji, czasem też, wykorzystując swoją urodę, brała udział w sesjach zdjęciowych, które następnie reklamowały jakieś lokalne produkty bądź usługi. Już od narzeczeństwa, które trwało około czterech lat, raz do roku jeździł do Chorwacji i raz zimą na narty, przeważnie w polskie góry, ale zdarzyło się też raz czy drugi, że wybrali się do Włoch. W poprzednim roku jednak nie pojechali nigdzie, gdyż urodziła im się córeczka Basia. Chrzcziny odbyły się pięć miesięcy temu w pięknym, niedawno odnowionym barokowym kościele pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia. W uroczystości nie brała udziału rodzina Bogdana, gdyż jego rodzice zostali zamordowani, a innych bliskich Bogdan nie miał. Na szczęście młodemu w uroczystości towarzyszyła liczna rodzina Eli, a także jej i jego przyjaciele z pracy i nie tylko z pracy.

Kiedy Ania siedziała w samochodzie stojącym na parkingu przed budynkiem urzędu, czekając, aż około siedemnastej wyjdzie z niego rosły, dobrze zbudowany mężczyzna z włosami delikatnie, mimo tak przecież młodego wieku, przyprószone siwizną, wiedziała o nim tak dużo, że czuła, jakby się znali od dziecka. W pewnym sensie rzeczywiście się znali, bo dzielili wspólnotę tragicznych doświadczeń. Przy czym o wspólnocie doświadczeń wiedziała tylko ona, natomiast cała reszta szczegółowej wiedzy, którą posiadała, pochodziła z social mediów prowadzonych przez Bogdana z ogromnym zaangażowaniem i gorliwością. Ania zastanawiała się nawet, dlaczego ten mężczyzna, niewyglądający na przesadnie narcystycznego, tak się obnażał; miało to w sobie coś niemalże ekshibicjonistycznego. Przyszło jej do głowy, że może wynikało to z tego, iż bardzo chciał zakryć tym nowym, szczęśliwym, normalnym życiem tamto z przeszłości, a szczególnie pewien jego fragment. Tak myślała, ale żeby to potwierdzić, musiała się z nim spotkać i zamienić chociaż dwa zdania. Wyglądało na to, że okazja miała się nadarzyć w ciągu najbliższych kilkudziesięciu sekund, bo mężczyzna właśnie wyszedł przez główne drzwi urzędu i ruszył po schodkach do zaparkowanego przed budynkiem bmw m3. Ten jeden szczegół od początku odstawał Ani od biogramu i wizerunku do bólu ułożonego mecenasa Bogdana Bolesławskiego. Musiał być w nim jednak jakiś rys szaleństwa i to dawało jej nadzieję, wzmocnioną jeszcze tym, że przecież ona też była fanką tej marki samochodów. Teraz dodatkowo poczuła lekką ekscytację, gdyż zmierzający do samochodu mężczyzna nie dość, że rosły i dobrze zbudowany, był do tego naprawdę bardzo przystojny, znacznie przystojniejszy od faceta ze zdjęć; pewnie dlatego, że do zdjęć pozował jako Bogdan, którym chciał być, czyli człowiek ułożony, spokojny,

schowany, a teraz nie pozował, był sobą, prawdziwym Bogdanem, czyli kimś znacznie bardziej interesującym.

– Przepraszam pana bardzo. – Ania uśmiechnęła się, ukazując idealną biel idealnie równych zębów.

– Tak, słucham. – Bogdan zatrzymał się, popatrzył na nią.

I tak naprawdę od razu, już w tym właśnie momencie stanął przed koniecznością dokonania wyboru. Całe życie się ich dokonuje, w najdrobniejszych nawet szczegółach, wciąż i na okrągło trzeba o czymś decydować, to wielce męczące. Miał przed sobą dziewczynę w spódniczce do pół uda, z nogami jak stąd do jego gabinetu na pierwszym piętrze, o oczach w kolorze nieokreślonym, ale za to jakby trójwymiarowych, w które chciało się wejść i zostać tam na długo, trochę opaloną, ale nieprzesadnie, z rozsypanymi na ramionach przepalonymi słońcem włosami koloru blond. Wybór mógł się wydawać prosty, a jednak nastroczał problemów. Bogdan musiał w ułamku sekundy zdecydować, czy pozostaje takim, jakim wyszedł z urzędu, czyli przystojnym facetem o uwodzicielskim uśmiechu, czy chowa się za zdjęciami z Facebooka i wchodzi w rolę statecznego i bezbarwnego nudziarza, w ten świat, w którym czuł się naprawdę bezpieczny.

– Mam mały problem – odpowiedziała Ania wolno, dając mu czas do namysłu.

Wiedziała, że jeśli Bogdan podejmie wyzwanie, to ona wyjedzie stąd z czymś więcej niż przyjechała, jeśli zaś nie zaryzykuje, to poświęcony czas, wypalone paliwo i rozwalona opona typu Run Fi at, warta osiemset złotych, pójdą na marne.

– Proszę zreferować. – Bogdan uśmiechnął się ledwie widocznie, a jej po plecach przebiegł delikatny dreszcz.

Bogdan zaś później, będąc już w domu, kiedy się nad tym zastanawiał, zrozumiał, że właściwie, na szczęście, nie musiał w końcu podejmować żadnej decyzji, coś zrobiło to za niego.

– Przyjechałam z Warszawy na spotkanie, przed chwilą wróciłam do samochodu i wygląda na to, że dalej nie pojedę. – Wskazała na swoje niebieskie bmw stojące w lekkim przechyle trzy samochody dalej.

– Zobaczmy. – Bogdan gestem ręki zaprosił ją, żeby ruszyła przodem.

Puszczanie kobiet przodem jest kulturalne, choć obecnie stosuje się je już coraz rzadziej, bo zwyczaj ten jest reliktem czasów, w których tego typu konwenanse miały na celu przykrycie prawdy dotyczącej relacji męsko-damskich. A prawda ta sprowadza się do tego, że mężczyźni traktują kobiety protekcyjnie, zaś takie gesty w gruncie rzeczy jedynie to podkreślają. Może tak, a może inaczej, Bogdan nie był jeszcze pewien, po której stronie tego sporu o pryncypia się ustawić, ale teraz przyszło mu do głowy, że rzeczywiście coś mogło być na rzeczy, bo dzięki temu, że puścił Anię przodem, mógł teraz popatrzeć na nią od tyłu, a była to przygoda nieomal równie niezapomniana, jak patrzenie na nią od przodu.

Koło było rozerwane. Normalnie na oponie typu Run Fi at, nawet jeśli nie było w niej zupełnie powietrza, można było jechać jeszcze kawał drogi. Może dziewczyna przejechała na niej o jeden kawał drogi za dużo – pomyślał Bogdan.

– Trzeba będzie wezwać lawetę – powiedział, patrząc na koło. – Muszą panią

zawieźć do wulkanizatora, tam trzeba będzie przełożyć oponę, może nawet dwie, żeby na osi były takie same.

– Okej – odpowiedziała, nie zrozumiawszy, co do niej powiedział.

Nie rozumiała, co powiedział, ale na razie wszystko zgadzało się co do joty z tym, co usłyszała od wulkanizatora, który przyjechał tu wcześniej, żeby zrealizować najdziwniejsze zamówienie w swoim życiu, czyli zniszczyć komuś oponę za pieniądze, jakich nigdy nie dostał za naprawienie jakiegokolwiek opony.

– To może potrwać – powiedział Bogdan, teraz już nie umykając wzrokiem.

– Długo? – zapytała.

– Mam znajomego wulkanizatora. Załatwi lawetę, odholują pani samochód, będzie musiał dobrać opony, potrwa to pewno kilka godzin, no i tanio nie będzie, szczególnie jeśli się pani zdecyduje na nowe – wyłożył Bogdan, wciąż na nią spoglądając.

Świeciła mu w oczy swoją urodą jak TIR jadący na długich, ale cóż było robić. Nie patrzeć byłoby niegrzecznie, a przede wszystkim idiotycznie – trochę jakby pójść do Galleria dell'Accademia we Florencji, stanąć przed rzeźbą Dawida dłuta Michała Anioła i zamiast na arcydzieło, patrzeć w sufit. Z tą różnicą, że tutaj zamiast w sufit Bogdan musiałby uporczywie gapić się na rozerwanego michelina.

– Cena nie jest taka ważna, nie spiesz mi się też jakoś bardzo. – Ania uśmiechnęła się, a on nie zdążył umknąć wzrokiem. – Tylko czy koniecznie muszę też tam jechać?

Bogdan spojrzał na oponę, jakby to gdzieś tam tkwiła odpowiedź na jej ostateczne pytanie.

– Nie... – Bogdan musiał podjąć kolejną decyzję, ale jak się powiedziało „A“, to najczęściej dalej j est już z górki. – Proponuję poczekać gdzieś tutaj. Znam fajną knajpę, pewnie jest pani głodna.

Czyżby mnie podrywał? – zastanawiała się Ania, ale odpowiedzi na to pytanie nie było, ponieważ on też jeszcze jej nie znał, właściwie to sam zachodził w głowę. Zajął mu to chwilę, ale w końcu doszedł do wniosku, że chyba jednak nie – po prostu chciał jej pomóc, a że była magnetycznie wręcz atrakcyjna, to na pewno nie przeszkadzało. Gdyby nie była, pewnie też by pomógł, ale może jednak nie zaproponowałby pójścia do knajpy.

– O tak, chętnie bym coś zjadła, wie pan, jak to jest, nerwy przyspieszają metabolizm – usprawiedliwiła się trochę.

To chyba po tym ją rozpoznał. To znaczy, już wcześniej mu się wydawało, że skądś ją zna, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć, gdzie mógł widzieć jej twarz. Teraz, kiedy powiedziała: „Wie pan, jak to jest“, zdał sobie sprawę, że nie o twarz chodziło, a o głos. Może nawet niezbyt charakterystyczny, ale ta delikatna chryпка, no i powtórzenie tego zdania.

– To chodźmy – powiedział z uśmiechem, nie zdradzając się na razie.

Zjedli. Ona więcej, on tylko sałatkę, bo wiedział, że kiedy po powrocie do domu nie zje obiadu, wyda się, iż jadł wcześniej. Jego żona nie była przesadnie zazdrosna, ale lubiła mieć kontrolę, a taki jego wybryk świadczyłby o tym, że właśnie trochę ją

utraciła.

– Zniszczyła sobie pani oponę za tysiąc złotych, żeby namotać tę całą intrygę? – zapytał, kiedy kelner przyniósł kawę i rachunek, który wziął na siebie.

Ania, która akurat piła wodę, lekko się zakrztusiła. On pokiwał głową i się uśmiechnął.

– To spore poświęcenie, musi pani naprawdę zależeć – stwierdził.

– Nie mam wyjścia, właściwie nie mamy – powiedziała szczerze.

– Nie macie? – zainteresował się.

– Pan był jedynakiem, nas jest dwoje, mam młodszego brata – wyjaśniła.

On uśmiechnął się blado, przez chwilę wyglądał, jakby chciał odnieść się jakoś do tego, co powiedziała teraz, ale w końcu tego nie zrobił, po chwili odniósł się za to do tego, o czym rozmawiali przed chwilą.

– Jest wyjście – odezwał się po chwili namysłu.

– Zapomnieć. – Pokiwała głową, po czym dodała: – Moim zdaniem pozorne, bo ani my, ani pan nigdy o tym nie zapomnimy. Można tylko udawać i próbować, ale szkoda na to życia.

– Czyli jakie jest pani zdaniem wyjście? – zaciekawiał się.

– Dowiedzieć się – odpowiedziała bez namysłu.

– I co wtedy? Co się zmieni?

– Nie wiem, może się wtedy okaże, że chociaż trochę puści. Przynajmniej mam taką nadzieję. – Popatrzyła mu w oczy.

On tymczasem prawie dotknął nosem powierzchni espresso parującego z filizanki i uśmiechnął się lekko. Nie wiedziała, czy w reakcji na jej słowa, czy na zapach kawy. Po chwili wypił ją jednym łykiem i popił wodą. Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Co chce pani wiedzieć?

– Cokolwiek, co pan pamięta, coś, co było inaczej przed albo po... – zawahała się.

– Po morderstwie – pomógł jej. Chwilę siedział, zastanawiając się, a może próbując sobie przypomnieć tamten czas, który zepchnął w najgłębsze odmetry zapomnienia. – Rodzice oboje pracowali, tata jako spec od żywienia w wędlinach, mama prowadziła małą poradnię psychologiczną. Po godzinach oboje byli takimi politykami amatorami, udzielali się w radzie miasta... – zaczął opowiadać w nadziei, że sama narracja wyciągnie mu z czasem z pamięci jakiś ważny szczegół.

Ania patrzyła na niego, ale nie jakoś szczególnie uporczywie, raczej zerkała tylko chwilami, żeby nie miał wrażeń, że jakkolwiek go ciśnie. Poza tym była świadoma tego, że jej spojrzenie przeważnie nie pomaga mężczyznom w skupieniu się na czymkolwiek.

– Byłem wykorzystywany – palnął nagle, patrząc za okno.

Ania była na tyle wstrząśnięta, że przez moment nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu powiedziała rzecz najbardziej oczywistą:

– Ja też, i dziewczyna z Radomia również, tam podobne zabójstwo było cztery lata po twoich rodzicach. – Ania urwała, bo właśnie dotarło do niej, że w ramach odnajdowania wspólnoty doświadczeń odruchowo przeszła z Bogdanem na ty.

On pokiwał tylko głową, dając tym samym przyzwolenie na to, następnie chwilę

siedzieli, trawiąc przeszłość.

– Powiedziałaś, że mama prowadziła gabinet psychologiczny? – przypomniała sobie Ania.

– Prowadziła. – Bogdan przytaknął. – Ale tam chyba nie było psycholi, jakieś depresje, terapia rodzinna, zaburzenia odżywiania, drobne rzeczy.

– Sporo wiesz, jak na to, że miałaś tak mało lat. – Ania spróbowała policzyć. Wiedziała, kiedy Bogdan się urodził, bo to też było oczywiście na Facebooku, poza tym przecież mówił jej to Marcin. Zabójstwo w dwa tysiące szóstym, czyli...

– Dwanaście – pomógł jej. – Trochę się już kojarzy.

– I dałeś się molestować? – zdziwiła się.

– Nie pytali o zgodę. – Nie patrzył teraz na nią.

– Gwałt? – zapytała zaskoczona.

Nie odpowiedział, a to samo w sobie było odpowiedzią.

– I nie zgłosiłeś?

– Wstydzilem się, bałem... – Dopiero teraz na nią spojrzął i po chwili milczenia dodał: – Ale to nie takich mama miała pacjentów.

– Policja ich sprawdzała?

Gdzieś w środku Ania czuła coraz większą bliskość z facetem, który – gdyby wiedzę o człowieku brać tylko z Facebooka – pozostałby dla niej na zawsze nudziarzem.

– Pewno tak, ale przede wszystkim mieliśmy całą chatę wywaloną do góry nogami, splądrowali wszystko, nawet telewizor wzięli, więc...

– ...uznali, że motyw był rabunkowy – dokończyła tym razem ona. – Dokładnie tak jak u nas. Byłeś wtedy w domu?

– Nie, nocowałem u kolegi, zresztą syna znajomych rodziców z tej ich całej polityki – odpowiedział.

– Drugi raz o tym mówisz – zauważyła.

– O czym? – zdziwił się.

– No o tej polityce. Myślisz, że to może mieć jakieś znaczenie? – zapytała.

– Czy ja wiem, może tyle, że skoro byli w tej radzie miasta, to ktoś pomyślał, że się nachapali i mamy dom zawalony złotymi zegarkami, a to bzdura, bo żeby się w polityce nachapać, trzeba być chociaż w mieście wojewódzkim, a najlepiej w stolicy – rozgadał się.

– Myślisz, że jest gdzieś jakieś archiwum tych pacjentów?

– A jaki ma sens po tylu latach sprawdzać pacjentów? – zapytał niechętnie.

– Myślę, że większy od trzepania polityków.

– Mama miała taką asystentkę, sekretarkę, ona pilnowała wizyt, danych, może coś wiedzieć – powiedział po chwili wahania.

– Dasz namiar? – spytała podekscytowana.

Przyglądał jej się dłuższą chwilę.

– Jesteś bardzo ładna – skonstatował nagle.

– Ale ciebie to i tak me rusza. – Uśmiechnęła się.

– Rusza jak najbardziej, aleja raczej unikam kłopotów – stwierdził, jakby odrobinę

ze smutkiem.

– Ja wręcz przeciwnie. – Spojrzała na niego trochę hardo, a trochę miękko tymi swoimi oczami, w których można było zostać na zawsze.

Wytrzymał jej spojrzenie, choć nie było łatwo, nie było też wcale łatwo uniknąć w tym momencie kłopotów.

– Przejdzie ci – powiedział po sekundzie i od razu pożałował.

Potem, za godzinę czy dwie, kiedy już dotrze do domu i zje obiad, udając, że nic nie miał w ustach od rana, będzie zadowolony. Ale teraz, jeszcze przynajmniej przez chwilę, będzie na siebie raczej porządnie wściekły.

– Tak naprawdę nie jestem jedynakiem, a to nie byli moi rodzice – powiedział nagle, nawet nie do końca wiedząc, czemu to robi.

– Jak to, nie twoi rodzice? – Ania była w szoku.

– To znaczy moi, w tym sensie, że kochali mnie, a ja kochałem ich i byli dla mnie bardzo dobrzy, ale po latach od ich śmierci, całkiem niedawno, rok temu, odnalazł mnie facet, który, jak się okazało, jest moim starszym bratem. Byliśmy razem w bidulu, moi rodzice wzięli tylko mnie, a po kilku latach jego też ktoś wziął. On był starszy, więc pamiętał, że miał brata, ja nie miałem nawet pojęcia, że byłem w tym sierocińcu – rozgadał się nagle Bogdan.

– W Białymstoku mieszkają siostry z Radomia, tam też jedna z nich była z sierocińca. Myśleliśmy, że to bez znaczenia, ale teraz... – Ania spojrzała na niego, wciąż zaskoczona, po czym zapytała jeszcze: – Widziałeś mieszkanie po zabójstwie rodziców?

Pokręcił głową przecząco.

– A jakieś zdjęcia stamtąd? – dopytała.

Marcin dojechał do niej w nocy autobusem. Musiała go odebrać z dworca o drugiej i zawieźć do hotelu. Zadanie utrudniało dodatkowo to, że był na nią strasznie obrażony. Ania po ich wymianie zdań dwa dni wcześniej postanowiła do Rawy pojechać sama. On nie uważał tego wyjazdu za sensowny, obraził się więc podwójnie. Najpierw za to, że jednak zdecydowała się tu przyjechać, a potem za to, że skoro już się zdecydowała, to powinna go zabrać, czego nie zrobiła. Marcin miał taką skłonność do dąsów, przypominającą czasami o tym, że wciąż jednak był bardzo młody i w pewnych obszarach mało dojrzały, ale poza tym starał się jak mógł panować nad swoimi młodzieńczymi słabostkami...

Tymczasem Ania działała dość pragmatycznie. Nie zabrała brata, bo wcale nie była pewna, czy nie będzie na miejscu musiała użyć swoich wdzięków i umiejętności nabytych w toku kariery zawodowej. Mówiąc wprost, miała przecucie, że Bogdana być może trzeba będzie złamać przez łóżko. I nie pomyliła się wcale aż tak bardzo, bo Bogdan, przynajmniej w pierwszym odruchu, działał z pnia mózgu i do zaproszenia jej na kawę skłoniły go bardziej własne lędzwie niż cokolwiek innego. Później zapanował nad tym i okazał się zresztą przy okazji facetem, który to ją mógł ewentualnie złamać przez łóżko. Cóż, dużo tego było w tle, ale nic nie wyszło na plan pierwszy. W takich sytuacjach też tak naprawdę było sporo uroku. Docenili to zresztą oboje, a Bogdan spotkanie z Anią zapamiętał na długo.

– No i co, przyjechałem i możemy wracać? – spytał Marcin, kiedy już wreszcie trochę się rozczmuchał w pokoju hotelowym.

– Nie, mamy jeszcze sprawę do załatwienia – odpowiedziała, zmywając makijaż, po czym dodała, jakby to była jakaś mało ważna informacja: – Bogdan też był wzięty z sierocińca, tak jak Dorna.

– Kurde! Czyli? – Dla Marcina nie była to mało ważna informacja.

– Czyli nie wiem, ale tło robi się coraz bardziej złożone.

– Rysunki na ścianach?

– On nie wie, nie widział mieszkania, nie widział zdjęć, trzeba by dotrzeć do akt, jeśli w ogóle jeszcze istnieją – odpowiedziała Ania, która skończyła wreszcie zmywanie makijażu i spojrzała na niego.

– Poszperałem trochę u doktora Google'a. Egipskie hieroglify – kontynuował temat.

– Poszperałeś czy poszperaliście z kolegą specem od Internetu? – Ania zerknęła na niego podejrzliwie.

– Wysłałem mu też. – Marcin przyznał się bez bicia, ale zaraz rozpoczął obronę przez atak. – On się zna, a my mamy rozwiązać sprawę, więc co, mam go olać i nie skorzystać? Musimy się zdecydować, czy chcemy do czegoś dojść, czy chcemy być moralni.

– Najlepiej jedno i drugie. No i co? – Ania najwyraźniej odpuściła sobie element wychowawczy.

– Te hieroglify przypominają imiona egipskiej pary królewskiej, Totmesa drugiego i Hatszepsut – wyjaśnił.

Ona patrzyła na niego chwilę w oczekiwaniu.

– No i? Coś więcej, czy mam teraz iść na egiptologię, żeby się czegoś dowiedzieć? – zapytała w końcu, lekko ześlona.

– Ona była nawet faraonką, żyli w okresie Nowego Państwa – zaczął Marcin.

– Bardzo ciekawe. I coś więcej, czy tylko tyle? – Jej zniecierpliwienie rosło.

– Oprócz tego, że była żoną Totmesa Drugiego, była też jego siostrą. – Marcin w końcu doszedł do puenty.

– Kazirodztwo? – upewniła się Ania.

– Tak to się chyba nazywa.

– Musimy się dowiedzieć, czy te malunki na ścianach pojawiły się jeszcze gdzieś, czy to tylko jednorazowa historia w Radomiu – zdecydowała Ania.

– A tutaj? Jaką sprawę mamy jeszcze do załatwienia? – Marcin wrócił do porzuconej wcześniej kwestii.

Po chwili Ania wyszła z łazienki ubrana już w piżamę, z rozpuszczonymi włosami, gotowa do snu. Przetrzymała go jeszcze przez chwilę, wiedząc doskonale, że brat czeka, aż opowie mu coś więcej.

– Matka Bogdana miała gabinet terapeutyczny, była psychologiem, w tym gabinecie pracowała asystentka. Chcę do niej dotrzeć, żeby powiedziała nam coś o klientach – wyjaśniła, położyła się na swoim łóżku, bliżej okna, zgasła lampkę nocną stojącą na stoliku obok, po czym dodała jeszcze nagle: – A Bogdan nie był rodzonym synem swoich rodziców, przysposobili go z domu dziecka.

– I? – zainteresował się brat. – To coś znaczy?

– Na razie nie wiem, może.

Marcin pokiwał się jeszcze chwilę na krześle, przy stole stojącym na środku pokoju, po czym wstał i poszedł umyć zęby. Od dzieciństwa dla usprawnienia funkcjonowania domu mieli system, podług którego Ania brała kąpiel wieczorem, a on przysznic rano. Gdyby robili to samo o tych samych porach dnia, łazienka byłaby zakorkowana na amen. Teraz w sumie nie miało to znaczenia, bo byli już tylko we dwoje, ale zwyczaj pochodził jeszcze z zamierzchłych czasów, kiedy żyli rodzice i zanim przeprowadzili się do domu z dwiema łazienkami, jedna musiała obsłużyć cztery osoby. Jeszcze jedno przyzwyczajenie, które było jak cuma trzymająca ich w tamtym świecie. Dwie minuty póź niej Marcin położył się na łóżku po drugiej stronie pokoju i zgasił światło. W pomieszczeniu zapanował mrok rozświetlany tylko przebiegającymi po suficie światłami przejeżdżających w dole samochodów. Padało, świat za oknem szumiał spokojnie i Marcin zasnął chwilę później.

Do Grażyny trafili z polecenia Bogdana, dla którego przez cztery lata pobytu w sierocińcu kobieta była właściwie jedyną osobą łączącą go ze światem

zewnątrznym i ze wspomnieniami o rodzicach. Liczne grono znajomych i tak zwanych przyjaciół interesowało się jego losem przez kilka miesięcy po ich śmierci, odwiedzali go nawet w sierocińcu, przynosili słodycze, jednak po pół roku została mu już tylko Grażyna. Po wyjściu z biduła kobieta pomogła mu też w rozpoczęciu normalnego życia, jakiś czas nawet u niej mieszkał. Potem z biegiem lat kontakt powoli zanikał, głównie z jego winy – Bogdan zrywał więzy z przeszłością, a Grażyna była jak kotwica przeszłości. Nie miała mu tego za złe, domyślała się, z czego to wynika, poza tym miała męża i syna, więc na szczęście nie czuła się przesadnie osamotniona.

Grażyna miała na oko sześćdziesiąt kilka lat, ale świadczyć o tym mógł tylko jej wygląd, bo życiową energią i wesołością przypominała bardziej nastoletniego podlotka, niż kobietę w sile wieku. Miała krótko przyszyżone siwe włosy, niebieskie oczy i przyciemnioną na brązowo, być może od słońca, a może od witalności i zdrowego jedzenia, cerę.

– Nie, policja nie sprawdziła kart pacjentów. – Pokręciła głową, po tym, jak nałala im kawy ze srebrnego aluminiowego termosu zatykanego osadzoną też w aluminium korkową zatyczką. – Raz, że chyba rzeczywiście nie byli specjalnie ciekawi, dwa, że to wszystko i tak się spaliło.

– Jak to się spaliło? – Marcin, zdziwiony, zerknął na nią znad filiżanki.

– No normalnie, spłonęło. – Kobieta w końcu sama też usiadła przy stoliku, przy którym wcześniej usadziła ich, nałala sobie kawy i spojrzała na rodzeństwo, trochę zaskoczona. – A to nie wiecie?

Ania pokręciła głową.

– Jakiś tydzień po tym... – zawahała się, jak ubrać w słowa coś, co w swej mroczności tak kompletnie nie pasowało do jej radosnego usposobienia; w końcu zdecydowała, żeby nie owijać w bawełnę – krwawym mordzie w gabinecie wybuchł pożar. Spłonęło wszystko, pomieszczenia wypaliło jak wnętrze martena.

– Czego? – zapytał zaciekawiony Marcin.

– Pieca martenowskiego, hutniczego pieca. – Popatrzyła na Marcina zaskoczona. Po chwili zdała sobie sprawę, że nadal nie wiedział, o co chodzi, więc chcąc się upewnić, czy zrozumie, dodała w formie pytania: – Takiego do wytapiania stali?

Marcin pokiwał głową; nadal nie do końca wiedział, o czym mówiła, ale nie miało to wielkiego znaczenia.

– Wypalone, jakby ktoś to wszystko oblał benzyną albo jeszcze czymś innym – uściśliła. – Tam nie było tyle łatwopalnych materiałów, żeby dały taką pożywkę dla ognia, a straż przyjechała szybko.

– Może trójfluorek chloru – powiedziała nagle Ania.

Zarówno Grażyna, jak i Marcin patrzyli na nią zaskoczeni.

– Obecność tej substancji kryminalistycy stwierdzili w zgliszczach naszego domu rodzinnego w Izbiszczach – wyjaśniła, a jako że tamtych dwoje wciąż patrzyło na nią bez słowa, dodała, jakby to miało cokolwiek pomóc: – To na Podlasiu.

– Może trójchlurek. – Grażyna wzruszyła ramionami. – Tam w gabinecie nikt nie badał.

– Trójfluorek – uściśliła Ania, która w jakimś sensie była dumna z tego, że udało jej się nauczyć tej nic niemówiącej jej zresztą nazwy.

– Zwał, jak zwał. – Kobieta pokiwała głową. – W każdym razie dla mnie to od początku było podejrzane i wydawało mi się, że może być powiązane, ale zdaje się, że tylko mnie się tak ubzdurało. Policji to nie zaciekało.

– A wśród dokumentów, które spłonęły, było coś ciekawego? – Marcin patrzył na nią czujnie.

– Był jeden facet, dosyć dziwny, nigdy ze mną nie rozmawiał, taki dość skryty – powiedziała kobieta.

– Ale nigdy się nie dowiemy, jak się nazywał, bo nie ma listy. – Marcin postanowił podsumować ustalenia.

– No... powiedzmy. – Grażyna uśmiechnęła się trochę tajemniczo.

– Powiedzmy? – zaciekała się Ania.

– Miałam zawsze taki kajet, swój notes, który prowadziłam oprócz kart pacjentów w gabinecie. Brałam go do domu. Ja jestem dość skrupulatna, nie lubię żadnych niespodzianek, bałaganu, więc wołałam różne rzeczy zapisywać też po prostu dla siebie, na boku – wyjaśniła Grażyna.

– Ma pani ten notes? – Marcin ożywił się po raz pierwszy, odkąd tu przyszli.

– Mam, ale nie tutaj. – Grażyna znów była trochę tajemnicza. – Od lat spodziewałam się, że ktoś jednak może kiedyś o to zapytać, sądziłam, że może jakieś Archiwum X, czyli ci faceci z Krakowa, a tu się okazało, że przyjechała młodzież. – Uśmiechnęła się i po chwili dodała: – Trzymam go na działce, mąż tam jest, dziś wraca. Poproszę, żeby przywiózł.

– Genialnie. – Ania się ucieszyła. – Będziemy mogli jeszcze dziś do pani wbić? Bardzo zależy nam na czasie.

Grażyna przyglądała im się przez chwilę.

– Naprawdę myślicie, że jak uda wam się to rozwiązać, jak poznacie prawdę, to wszystko się ułoży? – spytała bez cienia ironii czy sarkazmu. Naprawdę była ciekawa.

– Nie wiemy, czy się ułoży, ale wiemy, że teraz, kiedy szukamy, jest jakiś cel, który pomaga nam żyć – odpowiedziała po chwili namysłu Ania, a Marcin potwierdził jej słowa skinieniem głowy.

– Przyjdźcie koło ósmej, dam wam przy okazji kolację, nie samymi poszukiwaniami człowiek żyje. – Uśmiechnęła się do nich.

– Jeszcze jedno pytanie. – Ania przypominała sobie o historii, którą wieczorem opowiedział jej Marcin. – Bogdan nie widział ani wnętrza mieszkania, ani żadnych zdjęć kryminalistycznych, ale może pani pamiętać. Czy po zabójstwie ktoś zostawił jakieś znaki na ścianach mieszkania?

– Wydaje mi się, że coś tam było, ale pewna nie jestem, może mąż będzie lepiej pamiętał. Zapytam go i powiem wam, jak przyjdziecie.

Po wizycie u pani Grażyny zastanawiali się, czy zwolnić pokój w znajdującym się trzy kilometry od centrum hotelu Arkadia, czy jeszcze go przytrzymać. Ustalili, że zostaną na kolejną noc. Jeśli z listy coś wyniknie, to być może będą musieli sprawdzić tu coś jeszcze, jeśli nic, to i tak będzie już wieczór, więc w drogę do domu ruszą rano.

W Rawie nie ma zbyt wielu rzeczy do zwiedzania, a siedzieć cały dzień nad filiżanką kawy to jednak trochę strata czasu. Żeby jakoś go spożytkować, dwie godziny spędzili w Muzeum Ziemi Rawskiej, oglądając przybory kuchenne, talerze, kapy na łóżka, izby i kuchnie oraz wielką kolekcję monet z różnych okresów istnienia bądź częściowego nieistnienia polskiej państwowości.

Kiedy około czwartej wrócili do hotelu, zadzwonił telefon Ani. Okazało się, że to Adrian, który wydzwaniał już wcześniej, ale ona nie miała czasu z nim gadać, więc nie odbierała, a on zaczął się niepokoić.

– Ale niepokoisz się właściwie jako kto? – zapytała go przekornie. – Jako policjant, tata...?

– Wujek, jeśli już – odpowiedział niezrażony.

– No więc, wujku, wszystko jest w porządku, nic mi nie jest – odpowiedziała.

– Sama? – drażył. – Jesteś sama?

– A co to wujka obchodzi, jeśli mogę zapytać?

Ich rozmowie z boku przysłuchiwał się Marcin, który od pół godziny obrabiał materiał nakręcony wśród garnków, widelców i pierzyn w muzeum. Zamierzał zrobić z niego relację na Instagramie. Zajęcie to było jednak na tyle mało wymagające, że z powodzeniem mógł jednocześnie zajmować się jeszcze czymś. Rozmowa siostry była właśnie tym czymś i Marcin uśmiechnął się teraz delikatnie, co nie umknęło uwadze Ani, więc wstała i przeszła do łazienki.

– Obchodzi mnie, czy jesteś bezpieczna. Jeśli jesteś sama, to zagrożenie jest większe – wyjaśnił tymczasem Adrian.

– Okej, jestem z mężczyzną – powiedziała, zerkając przez szparę w niedomkniętych drzwiach na Marcina.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Ze mną w sensie! – krzyknął z pokoju Marcin. Nagle zrobiło mu się żal Adriana, nad którym pastwiła się jego siostra.

Ania pokręciła tylko głową w reakcji na woltę brata.

– A gdzie jesteście? – zapytał Adrian, już spokojniejszy.

– W Rawie Mazowieckiej, jeśli już musisz wiedzieć – odpowiedziała.

– Miejsce pierwszego zabójstwa. – Adrian błysnął wiedzą.

– A ty skąd wiesz? – zapytała lekko zaskoczona Ania. – Że miejsce pierwszego zabójstwa.

– Z tego samego źródła, co wy, jak sądzę. Sprawdziłem w KSIP-ie i miałem ci

powiedzieć – wyjaśnił.

– To czemu nie powiedziałaś? – Ania nadal była zdziwiona.

– Bo nie zapytałaś – odpowiedział krótko.

– Handlujesz informacjami.

– Można tak powiedzieć. – Zaśmiał się. – Przyjechać, żeby was wesprzeć operacyjnie?

– Damy sobie radę. – Ania udała lekko urażoną, po czym dodała: – Na razie, musimy lecieć.

Rozłączyła rozmowę i weszła do pokoju, V J którym Marcin właśnie oglądał swoje dzieło, czyli lekko absurdalną relację z Muzeum Ziemi Rawskiej.

– W sumie to mógłbym być wujkiem, jakby co – wypalił nagle.

– I miałbyś siostrzeńca od ojca policjanta? – Pokręciła głową.

– Czemu nie, dobry kontakt na przyszłość.

Potem czekali jeszcze jakiś czas, nudząc się trochę i oglądając jakiś idiotyczny serial w typie scripted doc, w którym amatorzy z marnym skutkiem udawali, że grają samych siebie. Grażyna obiecała zadzwonić około siedemnastej, tymczasem dochodziła osiemnasta trzydzieści, a telefonu wciąż nie było. W końcu Ania sama wybrała numer Grażyny, ale telefon milczał jak zaklęty. Po godzinie i pięciu kolejnych próbach połączenia w końcu zdecydowali, że muszą sprawdzić, co się dzieje. Wsiedli do zaparkowanego pod hotelem samochodu i pojechali do jednego z bliźniaków na osiedlu domków jednorodzinnych przy ulicy Ogrodowej.

Już z daleka widać było, że coś jest nie tak. Przed domem stało kilka osób, parkowały też karetka i radiowóz policji. Kiedy podjechali bliżej, aż ich zmroziło, gdy na podjeździe zauważyli furgon z zakładu pogrzebowego ze złotymi literami na burcie i niezwiastującym niczego dobrego napisem „STYKS“. Ania zaparkowała swoje bmw kilkadziesiąt metrów od budynku, po czym oboje wysiedli i podeszli bliżej.

– Co się stało? – zapytała Ania jedną z kobiet, która stała trochę z boku całej sytuacji.

– Chyba udar – odpowiedziała tamta lapidarnie.

– Ale kto miał udar? – Ania była zdezorientowana.

– No kto, Walicka. A wy kto? – zainteresowała się nagle kobieta.

– My znajomi – wyjaśniła Ania, po czym dopytała: – Pani Grażyna? Nie żyje?

– Na to wychodzi. – Kobieta pokiwała głową. – Kompletnie bez sensu, zdrowa kobieta, żadnych chorób i nagle...

– Skąd pani wie? – włączył się do rozmowy Marcin, który do tego momentu stał i przypatrywał się zaskoczony temu, co działo się wokół nich.

– Mieszkam z nimi przez ścianę od dwudziestu lat – powiedziała kobieta, jakby przekazywała im jakąś oczywistą oczywistość, o której sami powinni byli wiedzieć. – Czyli kim wy właściwie jesteście?

– Znajomymi Bogdana – powiedziała Ania, żeby coś powiedzieć.

– Tego sieroty, biedaka, co rodziców stracił? Też jesteście z bidula? – Zmierzyła ich od stóp do głów czujnym spojrzeniem.

– Tak, też jesteśmy z bidula – potwierdził Marcin.

– A kim jest tamten mężczyzna? – Ania wskazała na siwego, szczupłego faceta, który który siedział na murku przy domu z głową ukrytą w dłoniach.

– Jak to kim? To Mieczysław jest, jej mąż – zdziwiła się kobieta, a po chwili skomentowała z ironicznym uśmiechem: – To rzeczywiście dobrze znaliście Grażynę.

Ania nie odpowiedziała, odwróciła się za to gwałtownie za siebie. Znow miała wrażenie, że ktoś im się przygląda z oddali. Wrażenie było uzasadnione, tyle że osoba przyglądająca się sekundę wcześniej zdążyła się schować za stojącą przy ulicy ciężarówkę.

Marcin odwrócił się w ślad za Anią i on również nikogo nie dostrzegł. Popatrzył więc na siostrę i pokręcił tylko głową, komentując w ten sposób jej zachowanie jako paranoję.

– Co się dziwisz? – zapytała chwilę później, kiedy siedzieli już w swoim samochodzie. – Przychodzimy do kobiety, okazuje się, że być może będzie mogła nam pomóc, może nas naprowadzi na trop i nagle ta zdrowa, wcale niestara jeszcze babka dostaje, nie wiem, kurwa, zawału czy udaru, i umiera.

– Co to jest udar? – Marcin patrzył przez szybę na tłumek, który teraz się rozstał, bo panowie z zakładu pogrzebowego wynosili zwłoki, osłonięte gumowo-plastikowym workiem.

Nagle do noszy podbiegł i przywarł do nich mężczyzna, który siedział wcześniej na murku. Złapał się ich, nie chciał puścić. Po chwili interweniować musieli policjanci.

– Nie wiem, coś w mózgu się chyba zatyka, krew nie ma jak płynąć, głupiejesz, paraliżuje cię, a jak się zatka za bardzo, to umierasz. – Ania snuła przypuszczenia na temat tego, czym jej zdaniem mógł być udar.

Mówiła jednak cicho, jakby się bała, żeby nie usłyszał jej mężczyzna rozpaczający przy noszach sto metrów od ich samochodu.

– A najgorsze jest to, że będziemy musieli do niego wrócić – skonstatował Marcin, komentując już nie udar, a to, co działo się przed ich oczami. – Jeśli przyniósł jej ten notes, to on musi być w domu.

– Nie mam pojęcia, jak to zrobimy – zafrasowała się Ania.

Jednak zanocowali w hotelu, ale teraz słowa Adriana o tym, że się o nią niepokoi, nabrały nieco innego znaczenia. Ania wahała się chwilę, ale Marcin pomógł jej w podjęciu decyzji, którą i tak by podjęła, ale taki nacisk z zewnątrz zadziałał idealnie jako dodatkowa motywacja, a może usprawiedliwienie. Adrian, który niepokoił się wcześniej, teraz, może dlatego, że nie było go tutaj i nie czuł dziwnej otoczki tajemniczości, towarzyszącej tutejszym wydarzeniom, początkowo zlekceważył okoliczności śmierci pani Grażyny. Dopiero kiedy Ania przypomniała mu o trójfluorku z Izbiszczy, opowiedziała o dziwnym spłonięciu gabinetu mamy Bogdana, doszedł do wniosku, że może rzeczywiście również w sprawie śmierci kobiety coś było na rzeczy.

– Mąż musiałby zażądać sekcji zwłok – stwierdził w końcu.

– A to nie może być odgórnie nakazane przez policję? – zdziwiła się Ania.

– Może być, chociaż raczej przez prokuratora, a nie przez policję, ale to tylko wtedy, kiedy zachodzi podejrzenie popełnienia przestępstwa, a w tej sprawie nikt nie sklei okoliczności tak jak wy...

– Chyba jak my, czy się dystansujesz? – Ania chciała się upewnić, czy są już zgodni co do tego, że sprawa jest śmierzcząca. Może zresztą bardziej niż uzgodnić, chciała chociaż wymusić taką deklarację na Nowaczyku.

– Tak, jak my, ale to nic nie zmienia. Tam jest policja, jest wydział kryminalno-dochodzeniowy, dla nich w tej sprawie nie ma nic podejrzanego, więc sami nie zarządzają sekcji i tyle – skwitował.

– Znasz tych tutaj? – zapytała z głupia frant.

– Nie, nie znam, ale nawet gdybym znalazł, to sekcji i tak raczej bym z nich nie wycisnął – objaśnił.

– Nie chodzi tylko o sekcję. Chcielibyśmy zajrzeć do akt sprawy, zobaczyć, czy tutaj też były te krwawe malunki na ścianach.

– To może bardziej Malewski coś załatwi.

– A w sprawie sekcji tylko mąż? – dopytała Ania, bardziej po to, żeby coś powiedzieć, niż żeby się upewnić, że tak właśnie było.

– Tak, tylko mąż – odpowiedział Adrian, ale myślał już o czymś, czemu dał wyraz sekundę później. – Przyjadę tam do was jutro rano. Do tego czasu nie robicie tam nic bez mojej obecności. Nie wychodzicie nawet z pokoju, rozumiemy się?

– Chyba cię pogięło – zbuntowała się Ania.

– Nie, nie pogięło mnie. Ktoś ci zabił rodziców, chcesz teraz stracić brata? – Adrian sprytnie podbił stawkę.

– O której? – zapytała po chwili namysłu, po czym uściśliła: – O której będziesz?

– Przytwarzuję rano w robocie, podbiję kartę na komendzie, potem powiem, że muszę jechać na obserwację i przyjadę do was – odpowiedział trochę mało konkretnie.

– Czyli?

– O dziesiątej. Będę u was pod hotelem o dziesiątej, potem pojedziemy do męża, a potem stamtąd spadacie.

– A w Wawie co? Zamieszkaś z nami?

– Bardzo chętnie. – Zaśmiał się.

Po zakończeniu rozmowy Ania spojrzała na Marcina.

– Trzeba iść coś kupić – powiedziała.

– Co kupić? – zapytał.

– Nie wiem, coś, whisky, fajki, chipsy, mamy stąd nie wychodzić do rana, a coś musimy ze sobą zrobić, zanim sen nas złoży.

Adrian zapukał do pokoju numer czternaście na pierwszym piętrze kwadrans po dziewiątej. Ania nie była gotowa, Marcin owszem, no ale jemu wiele nie było potrzeba. Wziął prysznic, umył zęby, włożył ubranie, które miał na sobie poprzedniego dnia. Nie przywiózł innych ciuchów, bo nie spodziewał się, że spędzi tu więcej niż kilka godzin.

Adrian z Marcinem zeszli na śniadanie do hotelowej restauracji, czy trafniej może byłoby powiedzieć – do hotelowego baru. Ania obiecała dołączyć do nich w ciągu kwadransu. Ona i tak nie jadła śniadań, piła co najwyżej kawę, szczególnie jeśli poprzedniego wieczora wypła choć trochę za dużo, a tak właśnie się wczoraj zdarzyło. Adrian, po krótkim, ale szczegółowym wyjaśnieniu, którego musiał udzielić pani nadzorującej salę śniadaniową, dostał w końcu przyzwolenie na zjedzenie tego, co należało się Ani. Gadali mało, Adrian był lekko zdenerwowany, bo żeby tu przyjechać, musiał się skonfliktować ze swoim przełożonym. Marcin z kolei był zmęczony, bo miks chipsów, fajek, whisky i braku snu bynajmniej nie pobudził jego sił witalnych.

– Nie jest łatwo zabić kogoś, pozorując zawał – odezwał się Adrian, dopiero kiedy skończył jeść i odsunął od siebie talerz.

– Udar – sprostował Marcin, dłubiąc widelcem w jajecznicę. – Zawał albo udar.

– Jeden pies. – Adrian sięgnął po szklankę z wodą.

– Czyli co? – zapytał po chwili Marcin.

– Czyli gdyby się okazało, że macie rację, to by oznaczało, że ktoś nieźle się przygotował do zajęć. – Adrian spojrzał w stronę drzwi, w których właśnie stanęła Ania.

– To już wiedzieliśmy po trójfluorku z Izbiszczy – zauważył trafnie Marcin.

– Owszem, ale sam trójfluorek można jeszcze jakoś zdobyć albo kupić, a umiejętności zabijania tak, żeby wyglądało na śmierć naturalną, nie kupisz. – Adrian wstał, bo Ania podeszła do stolika.

– O czym gadacie? – zapytała, siadając.

– O zawałach, udarach i trójfluorkach – streścił Marcin.

– Wnioski. – Ania sięgnęła po kawę Adriana i zanim ten zdążył zareagować, wypła ją jednym łykiem.

– Jeśli rzeczywiście ktoś tę kobietę zabił, to mamy do czynienia z zawodowcem. – Adrian podniósł odstawioną przez nią filiżankę, zajrzał do środka i pokręcił głową.

Kawy już w niej nie było.

Kwadrans póź niej w dwa samochody podjechali pod bliźniak na Ogrodowej. Adrian miał nie wchodzić do środka – przynajmniej na razie chcieli rozgrywać sprawę bez

straszenia męża policją. Mogli wprawdzie pójść we troje i wmawiać mu na przykład, że wszyscy są rodzeństwem, ale po co kłamać, kiedy nie ma takiej potrzeby? Adrian zresztą nie przyjechał tutaj wspierać dochodzenia; jego funkcja, do której sam się zresztą delegował, polegała raczej na ochronie.

Ania nie mogła w nocy zasnąć, opracowywała więc różne strategie przekonania męża Grażyny, najpierw do tego, żeby ich w ogóle wpuścił do domu, a potem do tego, żeby dał im notes, ewentualnie wystąpił o sekcję zwłok żony. Rozpatrywała różne opcje, włącznie z tą, żeby spróbować wejść, podszywając się pod Świadków Jehowy. Czy jednak sama, będąc w takiej sytuacji, wpuściłaby jehowych, czy wpuściłaby kogokolwiek? Nie była tego pewna, więc w końcu zdecydowała, iż sytuacja jest na tyle poważna, że od początku po prostu powiedzą prawdę. Owca

– Byliśmy u pana żony wczoraj rano – zaczęła Ania po krótkiej sekwencji przywitania odbywającej się przy furtce.

– Moja żona nie żyje. – Mężczyzna wyglądał, jakby nie spał i to nie od wczoraj, a przynajmniej od tygodnia.

– Tak, wiemy, byliśmy pod domem po południu, widzieliśmy, sąsiadka nam powiedziała... – wyjaśniła Ania.

Mężczyzna przez chwilę milczał, jakby w ogóle zapomniał, że tu z nimi stoi i o czymś rozmawia. W końcu jednak sobie przypomniał.

– To do widzenia – powiedział, odwrócił się i ruszył w stronę otwartych drzwi domu.

– Żona poprosiła pana wczoraj, żeby pan przywiózł notes z działki! – Marcin trochę niefrasobliwie dołączył do rozmowy.

Mężczyzna zatrzymał się, po czym wrócił do furtki. Teraz nie wyglądał już jednak na zmęczonego i zagubionego, w oczach niósł wściekłość.

– Gówniarzu, umarła ci kiedyś najbliższa osoba?! – rzucił, ledwie tłumiąc w sobie agresję.

– Tak, zamordowano mi rodziców – odpowiedział bez namysłu Marcin.

Mężczyznę trochę przytknęło, nie spodziewał się takiej riposty.

– I co? Ktoś ci następnego dnia pierdolił o notesach?! – zapytał po chwili.

– Miałem osiem lat, nikt mi o niczym nie pierdolił, po prostu zamknęli mnie w domu dziecka. A swoją drogą, notes mojej mamy mordercy zapierdolili. A pan ma ten notes żony? – Marcin nie dał się przygwoździć, a przy okazji cały misterny plan uknuty przez Anię w nocy legł właśnie w gruzach.

Mężczyzna przez moment się zastanowił. Nawet jeśli jest się potwornie wściekłym i załamany, to pytania jednak zapadają w głowę, a mózg jest maszynką, która działa po części poza swoją własną kontrolą. Pojawia się pytanie i świadomość, chcąc nie chcąc, domaga się na nie odpowiedzi.

– Nie wiem – bąknął. – Nie myślałem o gównianym notesie, kiedy wynosili mi żonę w foliowym worku.

– Zamordowano nam rodziców, przed laty, potem byliśmy w bidulu, teraz chcemy dojść do tego, do czego nie doszła policja, czyli kto to zrobił. Pana żona chciała nam w tym pomóc. – Ania starała się mówić szybko, bo wyczuła, że w mężu

Grażyny powstała krótkotrwała luka.

– I dlatego umarła? – zapytał mężczyzna retorycznie, może nawet z odrobiną ironii.

– Dlatego być może została zamordowana – palnął Marcin, znów trochę poza kontrolą.

Mąż Grażyny popatrzył na niego, tym razem trochę dziwnie.

– Pojebało cię? – zapytał mało uprzejmie, ale konkretnie, patrząc mu jednocześnie groźnie w oczy.

– Może trochę przestrześlił, ale niekoniecznie. – Ania starała się ratować sytuację.

– Próbowano nas już na przykład spalić w domu naszych dziadków, więc...

– Oddam wam ten notes i nie chcę was nigdy więcej widzieć na oczy. – Mężczyzna otworzył furtkę, która do tej pory była zamknięta i rozmawiali przez oczka siatki, po czym ruszył w stronę domu, nawet się już nie odwracając.

Ania i Marcin popatrzyli na siebie. Po chwili Marcin otworzył furtkę szerzej i ruszył w stronę wejścia do domu, po sekundzie wahania dołączyła do niego Ania.

Mąż szukał notesu długo, szukał go tam, gdzie przekazał go poprzedniego dnia żonie, potem szukał w jej rzeczach, potem wśród książek, dokumentów, w kuchni, salonie i w sypialni. Z chwili na chwilę w trakcie owych poszukiwań był coraz bardziej zagubiony i zdenerwowany. Najwyraźniej nie rozumiał, jak to było możliwe. Oni w tym czasie siedzieli przy stole w kuchni, bo to pomieszczenie im wskazał, kiedy weszli do domu. Czekali w milczeniu, chwilami tylko wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. W końcu mężczyzna wszedł do kuchni i też usiadł na krześle przy stoliku.

– Przyjechałem około czwartej, dałem jej ten notes. Czuła się dobrze, robiła obiad, ale jednocześnie zajrzała w te swoje zapiski, jakby coś chciała tam sprawdzić. Wydawała się zadowolona, potem posłała mnie po ogórki do warzywniaka, dwie minuty na nogach. Wróciłem po sześciu. Ona leżała na podłodze... – Mężczyzna zatrzymał się w swojej opowieści, jakby coś próbował sobie jeszcze przypomnieć.

– Nie mówiła, że coś jej dolega, że boli ją głowa, nie wiem, ręka, serce? – Ania przez moment weszła w rolę adwokata diabła, tak jakby chciała jednak wymusić naturalną przyczynę śmierci kobiety.

Tak naprawdę dotarło do niej, że jeśli jest tak, jak powiedział Marcin i jak oboje wcześniej zaczęli przypuszczać, to w jakimś sensie to oni ponoszą winę za to, że Grażyna nie żyje, a jej mąż, który w tym momencie zaczął płakać, prawdopodobnie już nigdy się z tego nie podniesie.

– Nie, nic jej nie było, jak wychodziłem, była piękna, zdrowa i radosna – odpowiedział przez łzy.

Przez chwilę milczeli. W tle oczywiście wisiła sprawa notesu, ale żadne z nich nie miało śmiałości o to teraz zapytać. Zresztą odpowiedź była oczywista – notes po prostu zniknął. Ten fakt w połączeniu z obrazem żony, która była piękna, zdrowa i radosna, kiedy wychodził po ogórki, dał mężowi Grażyny sporo do myślenia.

– Ale kto, jak...? – zapytał nagle.

– Do tego, kto to zrobił, dojdziemy, ale zajmie nam to jeszcze trochę czasu, ale

czy panią Grażynę rzeczywiście zabito, i jak to zrobiono, to może pan ustalić sam. –
Marcin odważył się odezwać.

- Jak? – Mężczyzna omiół go mokrym od łez spojrzeniem.
- Występując o sekcję zwłok – odpowiedziała Ania.

Najbliższy Rawy zakład medycyny sądowej znajdował się w Łodzi. Mąż Grażyny zgodził się na wykonanie sekcji pod warunkiem, że cały czas będzie mógł być blisko ciała a żony. Przekonywał, że nie może jej samej puścić w taką podróż; przez całe czterdziestoletnie pożycie małżeńskie ani razu nie zdarzyło im się oddalić od siebie na taką odległość i on teraz nie zamierzał tego zmieniać. Jechali więc tuż za karawanem najpierw do Łodzi, a dwa dni póź niej z powrotem do Rawy. Spędziwszy z nim tak dużo czasu, dowiedzieli się przy okazji, że Grażynę i zamordowanych rodziców Bogdana łączyło znacznie więcej, niż tylko więź zawodowa. Mieczysław, czyli właśnie mąż Grażyny, również przyjaźnił się z nimi przez wiele lat. Sporo o nich opowiedział Ani i Marcinowi: że wiodło im się raz lepiej, raz gorzej i że byli bardzo zaangażowani w życie polityczno-społeczne Rawy. Mieli też zresztą oboje, a szczególnie ojciec Bogdana, ambicje, by kiedyś rozwinąć skrzydła w polityce, snuli nawet plany podbicia Warszawy. Od Mieczysława dowiedzieli się też, że na ścianach mieszkania zamordowanych rodziców Bogdana były krwawe znaki, bardzo podobne do tych, które Marcin pokazał mu na zdjęciach z Radomia. To wszystko wyszło jednak głównie w trakcie drogi powrotnej z Łodzi do Rawy, kiedy Mieczysław znalazł już przynajmniej wstępne wyniki sekcji.

Samo zarządzenie wykonania sekcji nie było sprawą prostą, bo nie wystarczała do tego wyłącznie wola męża denatki, zgodę na nią musiał wydać albo prokurator, albo lekarz klinicysta, który przesłanki do jej przeprowadzenia uznał za wystarczające. Tutaj do pomocy musiał się więc włączyć Adrian, który najpierw wykonał kilka telefonów, a potem na miejscu, w kostnicy Szpitala Świętego Ducha w Rawie przekonał ordynatora, że dla uniknięcia ewentualnej późniejszej odpowiedzialności i roszczeń ze strony męża lepiej będzie, jeśli wyda zalecenie do przeprowadzenia sekcji. W samej Łodzi też nie było wcale łatwo, bo przy każdej sekcji zwłok na mocy przepisów musiał uczestniczyć albo prokurator, albo sędzia. Nie wiadomo było za bardzo, na podstawie jakiej przesłanki w Zakładzie Medycyny Sądowej Uniwersytetu Medycznego w Łodzi miałyby się pojawić ktokolwiek reprezentujący wymiar sprawiedliwości. W końcu przez znajomości i z wykorzystaniem czyichś wcześniejszych zobowiązań wobec niego Adrian załatwił prokuratora, który zresztą nie wszedł nawet do sali prosekcyjnej, a jedynie podpisał przedłożony mu papier. Później, kiedy znane były już wyniki sekcji i patomorfolog sporządził raport, sytuacja zmieniła się znacząco, ale do tego czasu z punktu widzenia prokuratora chodziło wyłącznie o widzimisię jakiegoś oszalałego z rozpaczyny męża, który złapał paranoję, że ktoś mu zabił żonę w momencie, kiedy on poszedł po ogórki.

Pobrano krew, wyciąg z płynu mózgowo-rdzeniowego, w którym podobno najdłużej można było stwierdzić obecność metabolitów, czyli produktów rozkładu różnych chemikaliów, mocz, także próbki kału i na wyniki trzeba będzie czekać co

najmniej kilka dni, ale już w trakcie samej sekcji patomorfolog zauważył w głębi jamy ustnej denatki dziwny ślad, który mógł być, a nawet – jego zdaniem – z dużym prawdopodobieństwem był pozostałością po wkłuciu igły. Dodatkowo ani badania mięśnia sercowego, ani tomografia mózgu nie wykazały żadnych zmian w tych obszarach, podsinienia pod paznokciami i rodzaj plam opadowych wskazywały też na możliwość uduszenia.

– Nie ma śladów duszenia na szyi – zauważył prokurator.

Ów lekko otyły i niewysoki urzędnik z teczką kręcił się już chwilę po sali prosekcyjnej. Zawiadomiony kilka minut wcześniej przez laboranta o dziwnym śladzie w ustach zmarłej i o stwierdzonym braku zmian chorobowych w mózgu i sercu, powoli wybudzał się z letargu braku zainteresowania sprawą, do której sprowadzono go wyłącznie dla dopełnienia prawnej formalności.

– Nie ma śladów duszenia, są symptomy uduszenia i ślad po zastrzyku w ustach – odpowiedział krótko siwy profesor patomorfolog.

– Pavulon? – Mikry prokurator podszedł do wysokiego lekarza na odległość oddechu. – Nie pierdol, Marek.

– Nie pierdołę, Zbyszek, tylko mówię ci, co jest, a czy to był pavulon czy nie, może wykaże laboratorium albo nie – odpowiedział lekarz i odsunął się lekko do tyłu, głównie po to, żeby nie musieć spoglądać na rozmówcę aż tak bardzo z góry.

– Czemu może wykaże albo nie? – zapytała stojąca pod ścianą Ania.

– A to kto jest w ogóle? – Prokurator spojrział na Anię ze zdziwieniem, tak jakby, zanim dziewczyna się nie odezwała, w ogóle jej nie zauważył.

– Moja stażystka, studentka z mojego wydziału – odpowiedział lekarz, po czym zwrócił się do Ani i wyjaśnił: – Metabolity rozpadu pavulonu są bardzo podobne do związków azotu, które wytwarza organizm ludzki po zgonie, czasem więc trudno stwierdzić, czy to efekt leku, czy wyrzut naszych własnych toksyn.

Prokurator rozejrzał się po sali i zauważył stojącego pod oknem Adriana.

– Aspirant Nowaczyk? – zapytał.

– Tak, panie prokuratorze. – Adrian podszedł bliżej.

– Pan to zorganizował? – upewnił się prokurator, ' / / skazując na leżące na stole zwłoki.

– Można tak powiedzieć.

– A czemu my w ogóle robimy tę sekcję? – zapytał mężczyzna.

– Bo mąż miał podejrzenia, bo żona była zdrowa, a umarła w ciągu kilku minut, kiedy go nie było w domu – wyjaśnił Adrian.

– Ale pan jest z rejonowej w Warszawie? – Prokurator zaczął drążyć.

Adrian pokiwał głową.

– To co pan robił z mężem jakiejś kobiety w Rawie Mazowieckiej? – Prokurator może był ospały, może nie kręciła go już przesadnie ta robota, ale jednak miał doświadczenie i nie był głupi.

– To dłuższa historia. – Adrian spróbował uniku.

– Chętnie posłucham. – Prokurator spojrział na niego, a chwilę później na domniemaną stażystkę profesora. Zwoje mózgowie rozbudziły mu się pod ciemieniem

na tyle, że zorientował się już, iż sprawa dotyczy czegoś znacznie grubszego, niż początkowo sądził.

Po zakończeniu sekcji wyszli z prokuratorem na parking znajdujący się przed żółtym jednopiętrowym budynkiem, w którym mieścił się zakład medycyny sądowej. Tam w dziesięć minut Adrian nakreślił z grubsza całą złożoność sprawy, która doprowadziła ich w to miejsce. Prokurator słuchał i wyglądało na to, że rozumiał, co do niego mówi Nowaczyk. Dlatego należało wnosić, że owo skomplikowanie przerosło nie tyle jego potencjał intelektualny, ile raczej chęć do pracy.

– Tak, tak, może macie rację, ale to jest jakaś bardzo skomplikowana sprawa. Zobaczymy, co wykaże badanie toksykologiczne i jak będzie pavulon, to podejmiemy sprawę, a jak nie, to chyba tak to zostawimy jednak – powiedział i, wyraźnie zmęczony, sięgnął do kieszeni płaszcza po papierosa elektronicznego.

– Ale doktor Mróz stwierdził przed chwilą, że pavulon badanie może nie wykazać, mimo że był – wtrąciła Ania, która wyszła za nimi zapalić i niby przypadkowo włączyła się do rozmowy.

– Może nie wykazać, a wtedy nie będziemy mieli podstaw, żeby coś tu ścigać. – Prokurator pokiwał głową, z ulgą zaciągnął wielkiego bucha z vipe'a, po czym dodał, wypuszczając dym, a właściwie parę. – Profesor. Profesor Mróz, a nie doktor. Pani asystentko.

Po tym, jak już prokurator się oddalił, Adrian popatrzył na Anię i się uśmiechnął.

– Z dwojga złego, przynajmniej z waszego punktu widzenia, może tak będzie lepiej. Jak oni by to teraz przejęli, to was już na pewno by nie dopuścili – powiedział.

– I sprawa by znów utknęła – dopowiedziała Ania.

– Tego nie wiem. – Adrian się zamyślił. – W każdym razie wygląda na to, że ktoś bardzo niebezpieczny wciąż przygląda się tej sprawie, czyli możemy mieć pewność, że tych ludzi nie zabijała banda przygłupów, tylko ktoś znacznie przebieglejszy. Ktoś, kto nadal trzyma się blisko i jest cholernie niebezpieczny, także dla was.

– Mąż już nie odpuści w tej sytuacji – włączył się do rozmowy Marcin, który podszedł do nich i przysłuchiwał się ich wymianie zdań.

W sali prosekcyjnej go nie było, bo po pierwsze, nie bardzo mógł tam wejść – już obecność Ani była mocno formalnie naciągana – a po drugie, wcale nie chciał uczestniczyć w sekcji. Nie był przesadnie odporny na tego typu wyzwania. Miał nawet problem z krwawiącymi ranami żywych ludzi, a co dopiero z rozkrawianiem powłok skórnych ludzi martwych.

– I dobrze, jak mąż odpali, to dochodzenie będzie już trwało, więc będziemy mieli się na co powołać, kiedy potrzebne nam będą większe siły. – Adrian wrócił do sprawy Graż yny. – Jak się do nich zbliżymy, to na pewno będzie nam potrzebne wsparcie policji.

– Co teraz? – zastanowiła się głośno Ania.

– Teraz musimy wrócić do Warszawy, ciotka ma dzisiaj imieniny – przypomniał Marcin.

– Dobrze, że macie ciotkę, ja bym was w życiu nie ściągnął do domu. – Adrian odetchnął z ulgą.

– Myślisz, że będziemy do końca życia siedzieli u ciotki na imieninach? – Ania się uśmiechnęła.

– Nie, ale może przynajmniej na chwilę się od tego odetniecie, może dochodzeniówka zdąży coś zrobić na własną rękę, kogoś ująć – powiedział z nadzieją w głosie Adrian.

– Szczerze wątpię. – Ania pokręciła głową.

U ciotki na imieninach było sporo gości, Ania i Marcin nie znali jednak prawie nikogo. Byli jacyś koledzy wujka z pracy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, z rozlicznych placówek, na których spędził większość życia, a nawet jacyś czarnoskórzy z ambasady kraju, o istnieniu którego rodzeństwo wcześniej nie miało pojęcia. Panował wielojęzyczny gwar, w ogródku wujek dyżurował przy grillu, którego ciotka nie zносиła, bo uważała, że jest niezdrowy i do tego prząśny. Marcin kręcił się po trawie, trochę pomagał przy przewracaniu karkówki na żeliwnych żerdziach, trochę rozmawiał z jedyną znaną mu osobą, czyli z byłym ministrem, niegdysiejszym szefem wujka, tym który miał podobno pomagać wujkowi w rozwiązaniu ich sprawy, ale pomógł tyle o ile. Ania asystowała ciotce w kuchni przy przygotowywaniu jedzenia, zdrowszego i w jej mniemaniu bardziej odpowiedniego do okoliczności od grilla, czyli sałatek i warzywnych dipów.

– Co tam u was? – zapytała ciotka, odbierając od Ani kolejną porcję pociętych w słupki marchewek. – Marcin wrócił do nauki?

– Jeszcze nie. Po wakacjach pewno wróci, chce iść do CKU, ale był też na uniwersytecie, podoba mu się na tych naukach politycznych i jak zda maturę pewno tam złoży papiery – odpowiedziała Ania i wzięła się do krojenia kalarepy.

– A ty jak? Masz pieniądze, nie musisz już pracować w tej agencji reklamowej, zresztą wcześniej też nie musiałaś. Chcieliśmy cię utrzymywać, no ale teraz nie musisz już kompletnie nic. – Ciotka spojrzała na nią pytająco.

– Tak, pewno pójdę na studia, może na romanistykę. Mam dobre wyniki z matury z języków, z polskiego też, powinni mnie przyjąć, muszę tylko coś skończyć... – powiedziała Ania i od razu ugryzła się w język.

Ciotka przez chwilę milczała, skrzyła kolejny dip w termomiksie.

– Macie coś nowego? – zapytała nagle.

– Coś nowego? – Ania próbowała udawać, że nie wie, o co cioci chodzi.

– Coś nowego w sprawie, którą musisz skończyć. – Ciotka uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Nie bój się, nie powiem nic Zygmuntovi. Nie powiem mu zresztą choćby ze względu na siebie, zawału by dostał z nerwów i tyle bym go widziała.

– Mamy jakieś nowe tropy – odpowiedziała po chwili Ania. – Wygląda na to, że tych zabójstw, podobnych do zabójstwa rodziców, było jeszcze kilka, konkretnie cztery, w różnych miejscach Polski.

– Jakiś seryjny? – Ciotka z wrażenia prawie wkręciła ścierkę kuchenną w śmigło miksera.

– Może tak być. To znaczy ta nasza zbrodnia akurat najmniej pasuje do reszty, ale też jest w jakiś sposób podobna, tylko dokonana jakby w pośpiechu, mniej precyzyjna, zabałaganiona, i to jest właśnie najdziwniejsze. – Ania popatrzyła na

ciotkę.

– Może tamtych zabijali, bo chcieli, a rodziców, bo nie mieli wyjścia? – zasugerowała Beata.

– Tak, też nam się tak wydaje, i tym naszym policjantom również. – Ania znów powiedziała za dużo.

– Waszym policjantom? – podchwyciła ciotka.

– Tak, mamy dwóch znajomych policjantów. Jeden to mój kolega, młody aspirant, drugi to komisarz, który wtedy prowadził sprawę. – Ania po krótkim namyśle uznała, że właściwie może się podzielić z ciotką tą wiedzą.

– Taki niewysoki, z brzuszkiem, łysiejący, ale w sumie przystojny? – zaciekała się ciotka.

– Niski, z brzuchem i łysy, przystojny umiarkowanie. – Ania się uśmiechnęła.

– No tak, czas nam nie pomaga, ale pamiętam go z wtedy, jak on się nazywa... Majewski? – Ciotka spojrzała w okno, jakby to tam, gdzieś na niebie, miała zdeponov/ ane wspomnienia.

– Malewski, komisarz Feliks Malewski. – Ania uzupełniła jej wiedzę.

– Tak, tak, bardzo zaangażowany, tylko to nic nie dało. Cisnęliśmy go, głównie Zygmunt, ale też minister, nawet ja byłam tam parę razy. – Teraz ciotka przypomniała sobie więcej.

– Nie miał wtedy warunków, za mało danych, potem kazali mu zamknąć dochodzenie, ale on go chyba w sumie w głowie nigdy nie zamknął. Pomaga nam teraz. – Ania ponownie się uśmiechnęła.

Przez chwilę kroili w milczeniu. Ania wyszła wynieść przystawki na stół do ogrodu. Po chwili wróciła, przynosząc ciotce i sobie po kieliszku prosecco.

– Zygmunt się oczywiście martwi, że ryzykujecie, dłubiąc w tej sprawie, ale jak ktoś by ją wreszcie rozwiązał, to dla niego też byłaby ulga. – Ciotka nagle wróciła do rozmowy, która Ani wydawała się już być zamknięta. – Nosi to cały czas w sobie, nigdy nie mówi, ale wiem, jak do tej pory go to boli. On był bardzo przywiązany do waszej mamy, tak jak wy jesteście do siebie przywiązani z Marcinem. Nie mieli takich doświadczeń jak wy, ale chowali się właściwie we dwójkę. Z rodzicami nie mieli łatwo: dziadek pił, babcia była zamknięta w sobie i nieszczęśliwa, więc często mieli tylko siebie nawzajem.

Ania pokiwała głową. Potem opowiedziała jeszcze ciotce ze szczegółami, na jakim etapie śledztwa są obecnie, wspomniła o zabitej, prawdopodobnie przez tych samych ludzi, Grażynie z Rawy Mazowieckiej. W tym momencie ciotka zaniepokoiła się już nie na żarty. W końcu także ona zasugerowała, że w tych okolicznościach powinni się już wycofać z dalszego amatorskiego śledztwa i przekazać policji wszystko, co do tej pory ustalili. Choć widać też było, że zna Anię na tyle, by wiedzieć, że wszelkie słowa i przestrogi siostrzenica i tak puści mimo uszu.

Kiedy kilka godzin póź niej impreza się skończyła, Ania pomogła jeszcze ciotce posprzątać kuchnię, a Marcin z wujkiem znieśli meble ogrodowe do garażu. Gdy się rozstawali, ciotka wręczyła Ani bransoletkę z dużym, oprawionym w srebro bursztynem.

– Dostałam ją kiedyś od twojej mamy, ona przywiozła to sobie znad morza. Mnie się bardzo podobała, ona zauważyła to i mi ją podarowała. Teraz z kolei ja zauważyłam, jak ty się jej przyglądasz, więc uznałam, że powinna wrócić do ciebie. – Ciotka się uśmiechnęła.

– Przyglądałam się, bo miałam wrażenie, że ją pamiętam. – Ania próbowała się wybronić przed prezentem.

– Jeśli tak, to tym bardziej powinna być twoja. Noś w niej te wszystkie wspomnienia, przez które tak ci jest trudno. Pamiętaj, że tam są, że zawsze możesz do nich zajrzeć, ale nie musisz już zmagać się z nimi przez cały czas.

Nie było wyjścia, Ania wzięła bransoletkę, tym bardziej że rzeczywiście pamiętała ją na nadgarstku mamy.

W domu byli przed dziesiątą. Nie chcieli im się spać, picia i innych form intoksykacji mieli zdecydowanie dość, usiedli więc razem przy stole z kawałkiem sernika, który oprócz bransoletki wcisnęła im ciotka, i zaczęli się zastanawiać.

– Może oni wszyscy mają rację – zaczęła Ania.

– Rację, że...? – Marcin nie patrzył na nią, trochę spodziewał się, co mu odpowie, więc zapytał raczej z przekory.

– No że powinniśmy już odpuścić, że policja powinna to od nas przejąć i tak dalej. – Ania potwierdziła jego obawy, po czym dołała jeszcze oliwy do ognia. – Ty byś wrócił do szkoły, ja bym poszła do pracy.

– Już lecą, żeby to przejąć, możemy odpuścić. Ciekawe, jak długo wytrzymamy? Dwa dni? Tydzień? – Marcin się zaśmiał. Po chwili wstał i podszedł do plecaka, z którego wyciągnął kupioną zawczasu mapę Polski i za pomocą taśmy klejącej przytwierdził ją do ściany pomiędzy oknami. Następnie z bocznej kieszeni wydobył naklejki w formie małych czerwonych strzałek i cztery z nich przykleił w miejscach, w których doszło do zbrodni.

– Widzę, że nieźle się przygotowałeś do zniechęcania mnie do tego pomysłu. – Ania się uśmiechnęła.

– Jeśli te zjeby zamierzają mordować dalej, to za dwa tygodnie przypada termin kolejnego zabójstwa. Pora coś z tego zrozumieć. – Marcin stał dumny przed rozwieszoną przed chwilą mapą.

– Kwadrat – powiedziała Ania.

– Co?

– Te miejscowości są jak wierzchołki jakiegoś kwadratu albo rombu. – Dziewczyna wstała i pokazała na cztery strzałki przyklejone do mapy. – Radom, Suchedniów, Rawa i Piotrków.

– Romb mazowiecki – skomentował Marcin.

– Czyli? – zapytała.

– Tak jak masz trójkąt bermudzki, tak tutaj masz romb mazowiecki i tylko nasza lokalizacja znowu się nie składa. – Marcin też zbliżył się do mapy, po to tylko, żeby za chwilę się od niej oddalić. – Poczekaj.

Chłopak zniknął w korytarzu prowadzącym do sypialni, po chwili wrócił z długopisem i zdjęciem w ramce. Ramkę, która miała posłużyć za linijkę, przyłożył tak, że połączyła Rawę z Radomiem, narysował linię, następnie podobnie połączył Piotrków z Suchedniowem i też narysował linię. Obie przecinały się w punkcie pośrodku kwadratu. Teraz oboje zbliżyli się do mapy.

– Gabrielin. – Marcin odczytał nazwę miejscowości.

– Przesadzasz – odpowiedziała Ania. – To, że to jest kwadrat, może być przypadkowe, ale to, że ten kwadrat ma jeszcze do tego wyznaczać jakiś punkt

pośrodku, jest już totalnie naciągane.

– Masz inny pomysł? – zapytał niezadowolony.

– Tak, są jeszcze dwa miejsca, których nie odwiedziliśmy – powiedziała, wskazując na mapę.

– Mówiłaś coś o policji, że powinni przejąć i tak dalej. – Marcin się zaśmiał.

– Wkręcałam cię – odpowiedziała ze śmiertelnie poważną miną.

Marcin znów wstał i zniknął gdzieś w swoim pokoju. Minutę później wrócił z notesem i komputerem.

– No to szukamy. – Zerknął do notatek. – Ewa Środa, Piotrków Trybunalski.

– I co dalej? – Ania czekała na więcej informacji.

– Nie ma nic dalej. Na tym koniec. Dalej Facebook. – Marcin się uśmiechnął.

Wyszukanie Ewy Środy z Piotrkowa zajęło im mniej więcej dwadzieścia minut. Tym razem nie było już tak prosto i komfortowo, jak w przypadku Bogdana z Rawy. Ewa nie publikowała o sobie właściwie żadnych informacji, dla osób postronnych bardzo ograniczona była też jej galeria zdjęć, ale i z tego udało im się upleść historię na tyle szczegółową, że czytelną. Dziewczyna mieszkała na osiedlu czteropiętrowych bloków z jednym dziesięciopiętrowym w tle, mapa Google dość szybko pomogła im umiejscowić tło najczęściej pojawiające się na jej zdjęciach, które okazało się osiedlem przy ulicy Wysokiej. Dalej natrafili na zdjęcia z sesji zespołu przynajmniej z wyglądu dość ciężko rockowego, w którym Ewa robiła za solistkę. Sesję zrealizowano w jakimś garażu, pewno mieszczącym się na tym samym osiedlu. Wskazywało na to dodatkowo kolejne zdjęcie zrobione przed garażem. Tu znów w tle widać było wysoki blok, jedyny w okolicy stojący przy rondzie Solidarności.

– Bingo – powiedział Marcin, po czym dodał z sarkastycznym uśmiechem: – Tak oto właśnie sami gotujemy sobie swój los. O wszystkich wszystko, a nawet jak nie wszystko, to i tak wystarczająco dużo, by każdego znaleźć. RODO, prywatność, proszę cię.

– Jutro? – zapytała Ania.

– Jutro będzie futro – odpowiedział.

Mama, której twarzy znów nie widzi, mimo że stoi dokładnie naprzeciwko niej, patrzy na nią. Jak to możliwe, że czuje na sobie jej spojrzenie, sama też na nią patrzy, a twarzy nie ma? Jest tylko jakiś powidok, długie blond włosy zdają się zasłaniać twarz, a tak naprawdę to jej własna pamięć zasłania przed nią oblicze matki ze strachu, żeby nie zobaczyć tego, co zobaczyła wtedy.

– Jutro będzie futro – mówi do niej lekko karcącym tonem mama, ale ona wyczuwa w tym tonie ciepły uśmiech, którego nie widzi.

– Mamo, zmęczona jestem. – Słyszy swój głos.

– Jutro będziesz bardziej zmęczona – odpowiada mama.

- Czemu?
 - Bo jutro będziesz o dzień starsza, a z wiekiem jest się coraz bardziej zmęczonym
 - odpowiada znów półżartem mama.
 - To straszne, za miesiąc nie będę miała siły wstać z łóżka.
- Potem śmiech mamy i już nic, tylko niejasne uczucie, że to chyba była ich ostatnia rozmowa.

* **

- Dobrze, zobaczę, gdzie możemy się tam przespać. – Ania wróciła do tu i teraz.
- Marcin przyglądał jej się przez moment, tak jakby dokładnie wiedział, gdzie była i teraz obawiał się powiedzieć cokolwiek, żeby nie naruszyć delikatnego jak pajęczyna woalu wspomnienia. On też wciąż je jeszcze miewał i nie znosił, kiedy ktoś rozdzierał mu tę pajęczynę.
- Best Western – odezwał się w końcu.
 - Co? – Ania ruszyła już do pokoju, żeby się spakować.
 - Hotel taki mają w Piotrkowie – rzucił za nią.
 - Zarezerwuj – odpowiedziała przez ramię, po czym zatrzymała się na moment. – Ale dwa pokoje, bo chrapiesz i nie mogę spać.
 - Drogo wyjdzie. – Popatrzył na nią.
 - Myślę, że nas stać. – Uśmiechnęła się i zniknęła w głębi korytarza.
- Marcin pokiwał głową i wszedł na stronę internetową hotelu w Piotrkowie.

- Kiedy pół godziny później wyjechali z garażu, zadzwonił telefon Ani, a na samochodowym panelu LCD wyświetliło się imię Adriana.
- Obserwuje lokalizację telefonu? – zdziwił się Marcin.
 - Myślę, że nie, raczej podłączył się emocjonalnie. – Ania się zaśmiała.
- Telefon uporczywie dzwonił.
- To może powinnaś odebrać w tej emocjonalnej sytuacji? – zaproponował.
 - Może odebrałabym w innej sytuacji – odpowiedziała. – Jeśli odbiorę teraz i powiem mu, co robimy, to będzie próbował nas za wszelką cenę powstrzymać, a my nie chcemy, żeby ktoś nas powstrzymywał, więc oddzwonię z Piotrkowa.
 - A on znów przyjedzie? – Marcin pokiwał głową.
 - To już zawsze lepiej, bo będziemy o krok dalej – zamknęła temat.
- Telefon zamilkł.

Do Piotrkowa dojechali późną nocą. Na ulicach nie był o już nikogo, na skrzyżowaniach migały pomarańczowe światła, miasto spało. W Warszawie nigdy aż takiej pustki się nie doświadcza, nawet nad ranem po mieście krążą jakieś taksówki i niedobitki imprezowiczów na piechotę. Mniejsze miasta nocą jakby przestają istnieć, gdyby odcięli prąd, pewno mało kto by to tu w ogóle zauważył – myślał Marcin, wpatrując się w czarne okna mijanych bloków.

– Nie chciałbym tu mieszkać – zwierzył się po chwili.

– Szczęśliwie nikt ci nie proponuje, ale myślę, że większość z tych, którzy tu mieszkają dla odmiany nie chciałaby mieszkać w Warszawie. – Ania spojrzała na ekran telefonu, na którym wyświetlała się trasa do hotelu.

– Nie jestem pewien, czy to jest akurat dokładnie tak. Do Warszawy rokrocznie zjeżdżają mieszkać tłumy ludzi z całej Polski, tutaj chyba nie aż tak – odpowiedział, wypatrując uporczywie choćby jednej osoby na wymarłych ulicach.

– W Warszawie jest hajs i hype. Tylko o to chodzi, nie o piękno miasta – skomentowała, zerkając przy okazji w lusterko.

Daleko z tyłu za nimi jechał samochód, zauważyła go już jakiś czas temu, ale teraz nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dokładnie. Wyróżniało go to, że jedno światło było jakby mocniej od drugiego, oślepiając ją delikatnie pomimo tego, że fotochromatyczne lusterko dostosowywało się do jasności otoczenia i powinno niwelować efekt oślepiania.

– Ktoś za nami jedzie – powiedziała.

– Jedyne bezsenny mieszkaniec miasta – skomentował.

– Jedzie za nami już z dwupasmówki, więc jeśli już, to jedyny bezsenny mieszkaniec Polski – odpowiedziała, jednocześnie zwalniając do trzydziestu na godzinę.

Samochód za nią też zwolnił, a po kilkudziesięciu metrach skręcił w jedną z mijanych przecznic.

– I co? Dalej jedzie? – zainteresował się Marcin.

Ania pokręciła głową.

– Skręcił.

– Czy my się przypadkiem nie wkręcamy w jakąś paranoję? – zasugerował.

– Może tak, a może nie, czas pokaże.

Przy rondzie Solidarności stał jeden wieżowiec, dalej od ronda odchodziły Łódzka i Wysoka, między nimi było osiedle, w sumie kilkanaście bloków, ale już niższych, czteropiętrowych. Marcin wyciągnął telefon, wszedł w zdjęcia, gdzie miał to jedno, które najbardziej określało miejsce, czyli garaże z dziesięciopiętrowcem w tle.

Kiedy tylko weszli między bloki, znów ktoś zaczął im się przyglądać, a kiedy doszli pod garaże, obserwujący był już naprawdę blisko.

– Cześć – zagaił Marcin do jednego ze dzieciaków grających w piłkę między garażami.

– Znamy się, ziom? – zareagował zadziornie tamten.

– Nie, ziom. – Marcin ledwie stłumił śmiech. – Ale chciałem cię o coś zapytać, jak da radę.

– No to wal, bo gramy. – Mały wskazał na kolegów czekających na podanie od niego.

Marcin wyciągnął z kieszeni telefon i pokazał chłopczkowi zdjęcie Ewy, też odfotografowane z jej facebookowego profilu.

– Szukamy tej dziewczyny.

– Bo? – zapytał rezolutnie tamten.

– Bo... – zawahał się Marcin.

– Bo jesteśmy skautami z branży muzycznej i łowimy młode talenty – wyręczyła go Ania.

– Młodzi łowią młodych. – Chłopiec był znacznie cwańszy, niż mogło się z pozoru wydawać.

– A co, dziadki miałyby łowić trendy? – Ania nie dała się łatwo zbić z pantałyku.

– Tak, mamy taki startup, zarabiamy na ściąganiu ludzi do dużych wytwórni, mamy od tego fee.

– Dobra, niech ci będzie, to Gaga jest. – Mały trochę się zgubił, pewno dlatego, że pojawiło się za dużo nieznanym mu słów. – Pod szesnastym mieszka w tamtym bloku.

– Gaga? – zdziwił się Marcin.

– No, jak łowicie talenty, to może słyszeliście o Lady Gaga. – Chłopak wrócił do formy, teraz nawet zdobył się na nieskrywaną ironię.

– O Lady Gadze, jeśli już – poprawił go Marcin, żeby jakoś wyratować się z blamażu.

Klatki chronione były niegdyś domofonami, ale komuś najwyraźniej nie chciało się ich używać, bo w tej, którą wskazał mały, domofonu nie było, a ze ściany wystawały jedynie kolorowe kabelki, wspomnienie po tym, jak kiedyś było bezpiecznie. Ania z Marcinem popatrzyli na siebie i weszli w chłodny mrok wnętrza wysyconego zapachem bielizny wyciągniętej z pralki o kilka dni za późno. Na zewnątrz był wprawdzie ranek, ale klatka usytuowana była tak zmyślnie, że właściwie nie docierało do niej żadne światło z zewnątrz. Marcin zaczął w półmroku szukać włącznika i w tym momencie poczuł, jak ktoś przykłada mu coś od tyłu pod żebra.

– Grzecznie. – Usłyszał chrapliwy, młody męski głos. – Idziemy na dół.

– Gdzie na dół, co ci... – Marcin próbował zyskać na czasie.

Jednocześnie zerknął za siebie, zobaczył fragment kołosa stojącego za nim i, dalej, przerażoną twarz Ani i cienie kolejnych dwóch typów za jej plecami.

– Nie świruj, bo dostaniesz kosę i będzie chuj. Na dół, powiedziałem!!! – Chrapliwy głos popchnął go w kierunku schodów prowadzących do piwnicy.

To stamtąd wydobywał się fetor nigdy niedosuszonego prania. Zeszli w mrok rozświetlany tylko latarką z telefonu któregoś z typów idących za nimi. Potem był korytarz z nieotynkowanej białej cegły, zakręt, kolejny korytarz i nieco szerszy piwniczny hol, od którego prowadziły drzwi do sześciu komórek. W tym rozszerzeniu korytarza stała ławka, pod nią walały się jakieś puszki po piwie i torebki po dopalaczach. Ten, który szedł za Marcinem, grzmotnął go czymś w prawy bok, prosto w wątrobę. Marcin aż kucnął z bólu.

– Co mu robisz, chuju?! – Z tyłu rozległ się głos jego mało dyplomatycznej siostry.

Potem usłyszał jej krótki krzyk, ale nie mógł się podnieść, bo ból był nie do zniesienia, a nawet gdyby go zniósł, to i tak ktoś przyciskał mu butem głowę do podłogi.

– Pociąć ci buźkę, ładna?! – wysyczał chrapliwy.

– Masz przejebane. – Ania brnęła.

– No co ty, psy sprowadzisz? Oni się tu boją wjeżdzać, lalka. Odkąd tu wlazłaś, to ty masz przejebane. – Chrapliwy się zaśmiał. – Kasa i kluczyki od bejcy!!! Już, bo nie mam czasu.

– Chuja dostaniesz, nie kluczyki, a jak tkniesz mnie albo jego, to przyjadą chłopcy z miasta, od Felgi, i jak ci będą upierdalali jaja, to będziesz, kurwa, marzył, żeby przyjechały psy, ciecui. – Ania nie dawała za wygraną.

Przez moment zrobiło się cicho, chrapliwy zbierał myśli, a nie był to jego konik, więc czas płynął powoli.

– Znasz Bernarda? – zapytał w końcu.

– Sypiam z Bernardem, matole. – Ania szła po bandzie.

Po chwili Marcin poczuł, że nie ma już buta na karku. Wyglądało na to, że powoli sytuacja zaczynała się normalizować.

– Udowodnij – odezwał się chrapliwy, po czym pokazał swojemu szerokiemu w barach koledze z mało udanymi rysunkami na rękach, żeby ją puścił. Ania sięgnęła po telefon, wyszukała numer.

– Jesteś pewien? – Popatrzyła na chrapliwego.

Facet, jak się teraz okazało, był kościstym sucharem niewielkiego wzrostu ze skórą naciągniętą na twarzy tak ściśle, że kiedy się na niego patrzyło, człowiek odnosił wrażenie, że lada moment coś mu gdzieś pęknie. Czyżby operacja plastyczna? – Ani przyszło do głowy takie cokolwiek idiotyczne pytanie.

– Pewien czy co? – zapytał tamten.

Marcin wstał już tymczasem z betonu, asekurowany nawet trochę przez koleśia, który wcześniej pięścią wspomaganą kranem do zakręcania węzłów ciepłowniczych prawie przedziurawił mu wątrobę, i teraz przyglądał się, nieco otumaniony, całej sytuacji. Przyszło mu do głowy, że chrapliwy przypominał mu w jakimś sensie z wyglądu Quebonafi de, tylko prawdopodobnie używał gorszej jakości środków zmieniających świadomość, miał totalnie zrąbany centralny układ nerwowy i przez to, w przeciwieństwie do tamtego, nie za bardzo radził sobie z myśleniem.

– Pewien czy chcesz, żeby Bernard się dowiedział, co nam tu odjebałeś? – Marcin wspomógł w końcu siostrę.

– Nie, w sumie... czy ja wiem? – Chrapliwy się zawiesił.

Ania wyszukała jakieś zdjęcie w telefonie i podetknęła mu pod nos, żeby w końcu wyrwać go z trudnej dla niego sytuacji. Na fotce siedziała na kolanach Bernarda. Suchy chwilę patrzył, po czym zwiesił głowę.

– Dobra kurwa, już nie dzwoń, nie ma co – powiedział cicho.

– Tak myślałam – zgodziła się Ania. – A teraz zaprowadzicie nas do Ewy, znaczy do Gagi.

Suchy nic już nie odpowiedział, tylko pokiwał głową. Był pokonany tak bardzo, że aż szkoda było na niego patrzeć.

Gagę znaleźli tam, gdzie właściwie od początku powinni byli jej szukać, czyli w garażu znanym im ze zdjęć na Facebooku. Nie była to zresztą szczególnie trudna sztuka, bo choć garaż był zamknięty na głucho, to dudniło z niego na pokaźną odległość. Chrapliwy, który przedstawił im się w ramach zadzierzgnięcia jako Norbert, prosząc jednocześnie, żeby zapomnieli, jak ma na imię i nigdy nie wspominali o nim chłopakom w Warszawie, doprowadził ich pod drzwi garażu, po czym załomotał w nie pięścią. Nie przyniosło to pożądanego efektu, bo łomot dobywający się z wnętrza był po wielokroć głośniejszy od uderzeń jego pięści, więc po chwili zaparł się i swym wątlym, acz nadspodziewanie silnym ciałem wypchnął drzwi. Z wnętrza huknęło decybelami, ale zaraz ucichło, bo muzycy prawdopodobnie zauważyli, że otwarcie drzwi zmieniło warunki akustyczne. W środku stała, upchnięta ciasno od ściany do ściany, sekcja muzyczna w czerni. Przy czym na sekcję składała się grupa trzech facetów z długimi włosami i jedna dziewczyna ścięta prawie na лыso.

– Co jest, Norbi? – zdziwiła się dziewczyna. – Miałeś ich skubnąć z fury i wywieźć do lasu.

– Nie mogłem – odpowiedział szczerze chrapliwy, po czym dodał słowo objaśnienia: – Okazało się, że są od Bernarda z Warszawy.

– Jak od Bernarda, od jakiego, kurwa, Bernarda? Co ty pierdolisz, Norbi? – kontynuowała odpytywanie Gagi, kompletnie nie zważając na ich obecność.

– Od Felgi. Jak chcesz fiknąć chłopakom z miasta, to zapraszam, ale ja się z tego miksuję. – Norbi lekko się wnerwił.

Dopiero teraz solistka zespołu co najmniej heavymetalowego spojrzała na Anię i Marcina.

– Czego tu szukacie? – zapytała zadziornie.

– Ciebie – zwierzył się Marcin.

– A na chuj ci ja? – Gaga lekko weszła, chyba nieco przypadkiem, w hip-hopową frazę.

– Ty mi na chuj – prawie dośpiewał. – Ale możesz wiedzieć coś, co nas interesuje.

– Coś? – zapytała, odkładając gitarę na piec obok.

– Wyjdźmy zajarać, duszno tu macie – przerwała ich wymianę Ania.

Wyszli. Zajarali. Ania ig osa, Marcin vipe’a, a Ewa alias Gaga blanta, więc musieli się spieszyć, żeby zdążyć, zanim ją wyrwie z korzeniami z rzeczywistości.

– Zamordowali nam rodziców. – Ania w związku z tym od razu przeszła do finału.

– Mi też, i co z tego? – Ewa wzruszyła ramionami.

– Właśnie to z tego. Prawdopodobnie zrobili to ci sami ludzie – wyjaśnił Marcin.

– Niezły odjazd. – Ewa jakby trochę się ucieszyła, blant najwyraźniej wszedł bardzo szybko.

– Zły odjazd – skomentowała Ania. – Ale nieważne. Chcemy się dowiedzieć jak najwięcej o okolicznościach twojej sprawy, może wyniknie z nich jakiś trop.

– Policja tropiła. – Ewa nie wyglądała na przekonaną. – I chuj.

– Tak, u nas też i dlatego teraz tropimy my – oświadczył poważnie Marcin.

– To jakiś prank? Ukryta kamera? Gdzie to będzie? W jakiejś muzycznej stacji? – Ewa zaczynała się nakręcać, ale zupełnie nie na to, na co było trzeba. – Jaki tytuł? *I ty możesz wytropić morderców swoich starych?*

Przez chwilę patrzyli na zmianę na nią i na siebie, wahali się, czy już iść, czy jeszcze zostać.

– Dobra, okej, kumam, to nie prank. – Gaga nagle zmieniła front. – Pojechało was trochę i musicie tego szukać, żeby was nie pojechało do końca. Zgadza się?

– Tak, z grubsza tak – odpowiedziała cicho Ania, bo dziewczyna właściwie trafiła ich idealnie między oczy.

– Spoko, mnie też pojechało, dlatego napierdalam łomot w garażu. W sumie nie wiem, co lepsze. – Ewa nagle i dość niespodziewanie stała się refleksyjna. – Co chcecie wiedzieć?

– Ile miałaś lat? – zaczął Marcin.

– Jedenaście. – Popatrzyła na niego. – Od roku jestem na wó lce, wcześniej siedem lat sierocińca w Kielcach.

– Ja od miesiąca, siostra mnie wyciągnęła. – Marcin wskazał na Anię, ta pokiwała głową. – Ja kiblowałem dziewięć, Anka sześć.

– Czy coś zginęło, to znaczy, był rabunek? – Ania zmieniła temat.

– Nie było co zrabować, ale burdel zrobili straszny, może czegoś szukali. – Ewa stała się nieobecna, tak jakby przeniosło ją tam, gdzie ona też, podobnie jak oni, nie lubiła trafiać, czyli w świat własnych wspomnień.

– Czym zajmowali się twoi rodzice? – zapytała po chwili Ania.

– Mama była mikrobiologiem, ojciec matematykiem, dyrektorem szkoły podstawowej. – Ewa wróciła do tu i teraz i spojrzała na Anię.

Teraz jednak nie była już zadziorną solistką zespołu trashmetalowego, teraz była dziewczyną, córką, sierotą. W jej spojrzeniu pojawiła się przywołana wspomnieniami tęsknota.

– Coś poza tym? – zapytała Ania.

– Poza tym...?

– Jakież prace dodatkowe, coś na boku? – wyjaśnił Marcin.

– Nie... – Ewa pokręciła głową. – Społecznie działali trochę...

– W polityce? – zapytała Ania.

– Tak, skąd wiesz? – zaciekawiała się Ewa.

– Podobnie było z innymi rodzicami – wsparł siostrę Marcin.

– Jakimi innymi? Waszymi w sensie? – dopytała dziewczyna.

– Z naszymi akurat nie, nasza sprawa w ogóle jest trochę inna, ale oprócz twoich rodziców od dwa tysiące szóstego w podobny sposób zamordowano jeszcze rodziców innych dzieciaków w trzech różnych miejscach – naświetlił sytuację Marcin.

– Kurwa, no co ty? – Teraz Ewa była już naprawdę zaskoczona. – A co psy na to?

– Psy...? Psy tego właściwie nie skleiły; różne komendy, różny czas, wszędzie chodzi o wykrywalność, a jak nie ma wykrycia, to zwalają sprawę do archeo, żeby im w statystykach nie wisiła – wyjaśniła Ania.

Przez chwilę stali w milczeniu; Ewa trawiła świeżo nabytą wiedzę, oni zastanawiali się, które z nich ma zadać to jeszcze jedno trudne pytanie.

– W innych przypadkach, jak dzieciaki trafiały do domu dziecka, to jakiś czas później pojawiał się problem molestowania... – Ania w końcu zdecydowała się poruszyć temat, ale zamiast pytania, wyszło jej jakieś mocno zakręcone zdanie obchodzące temat dookoła.

– Tak, u nas też to było. – Ewa już na powrót zhardziła.

– U was? – zdziwił się Marcin.

– U mnie i u brata. – Uśmiechnęła się.

– Nie wiedzieliśmy, że masz brata – wyjaśnił zaskoczony Marcin.

– No u niego było gorzej, przyznał mi się dopiero po latach. Mnie też podchodził jakiś oblech, ale ze mną od zawsze było trochę trudno. – Uśmiechnęła się ponownie.

– Skończyło się na tym, że mu przebiłam łapę nożem pożyczonym od kolegów.

– Pamiętasz, jak wyglądał ten twój zbok? – Ania sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła zdjęcie Pawlińskiego, podała je Ewie. – Ten prześladował mnie.

Ewa wzięła fotografię do ręki, popatrzyła na nią przez chwilę, po czym pokręciła głową.

– Nie, mój to był taki bardziej klasyczny typ: tłusty oblech, wiecznie spocony, kleisty, włosy przetłuszczone, ogólnie zwalona higiena.

– A ten od brata? – włączył się z nadzieją Marcin.

– Nie wiem, nigdy go nie pytałam o rysopis. – Znów, jakby trochę smutno, uśmiechnęła się Ewa.

– A możemy się spotkać z twoim bratem, zapytać? Może pamięta, może do niego przyłąził ten sam, co do Anki – cisnął Marcin.

– Nie moż emy. – Ewa pokręciła głową. – Adaś się zaćpał. Trzy lata temu, równo miesiąc po wyjściu z bidula.

Ta informacja zgmiotła ich na tyle, że żadne nie miało odwagi o nic więcej zapytać.

– Ten mój oblech miał jeszcze taką fajną przypadłość, że jak mi to robił, w sensie,

zanim mu przybiłam rękę do stołu, to czasem gdzieś dzwonił w trakcie naszych widzeń i chyba zostawiał telefon w trybie aktywnego połączenia. – Wyglądało na to, że Ewa sama w sobie chciała zagadać informację, którą przekazała im przed momentem, bo mówiła teraz jak nakręcona. – Ten u Adama robił to samo. Przez lata nie miałam pojęcia, że do brata też ktoś przyłądził, zgadaliśmy się przypadkowo kiedyś później...

Temat jednak i tak sam wrócił, i Ewa, może żeby powstrzymać łzy albo by uzasadnić ich pojawienie się czymś, co było tu i teraz, a nie w przeszłości, spojrzała prosto w słońce wiszące nad ich głowami.

– Pawliński też tak robił – powiedziała nagle Ania.

– Kto? – Ewa wciąż nie patrzyła na nich.

– Jarosław Pawliński, tak się nazywa ten mój zbok – wyjaśniła. – A twój albo Adama, dałoby się ich jakoś namierzyć?

– Nie sądzę, lata minęły. Spotykaliśmy się w jakichś pustostanach, nie wiem, jak się nazywał ani skąd był, nic. Straszyl, płacił i znowu straszyl, aż się wkurwiłam, przebiłam mu łapę kosą i więcej się nie pojawił. – Ewa znów wróciła z krainy złych wspomnień, po czym dodała refleksyjnie: – Ale Adam nie zaczął się przez oblecha.

– A przez co? – zdziwiła się Ania.

– W bidulu miał też siostrę; rodzice, jak go stamtąd zabierali, to ich rozdzielili. On strasznie za nią tęsknił, już z tego naszego bidula zaczął jej szukać, ale tam nie miał możliwości, wziął się za to od razu po wyjściu. Znalazł ją w końcu po dwóch tygodniach. Na Krakówce. – Ewa nie patrzyła teraz na nich, spoglądała w chmury.

– Gdzie? – zainteresował się Marcin.

– Na Krakówce, naszym piotrkowskim cmentarzu. – Dopiero teraz popatrzyła na nich. – Umarła na jakąś głupią chorobę zakaźną, w tym bidulu, w którym, jak zawsze mówił, ją zostawił. Nie dał sobie z tym rady.

Potem nie rozmawiali już o tym, zostawili temat, bo ani ona, ani chwilowo oni i tak nie mieli już siły o tym gadać. Ewa zaprosiła ich jeszcze, żeby wspólnie zjedli kebab, który chciała im nawet postawić, ale Ania tak odkręciła sytuację, że to oni zapłacili za jedzenie Ewy. Umówili się na odchodnym, że jeśli czegokolwiek się dowiedzą albo jeśli ona będzie mogła być jeszcze w czymś pomocna, to zadzwonią. Pół godziny później byli znów na trasie w kierunku Warszawy.

– Myślisz, że to reguła? – zapytała Ania.

– Co reguła?

– No to, że przy tych adopcjach, dawno temu, ci zabici rodzice rozdzielali rodzeństwa – doprecyzowała.

– Nie sądzę, ale możemy to jakoś sprawdzić – odpowiedział.

– Wyobrażasz sobie, że nas by rozdzielili? – zapytała znów po chwili.

– Nie – odpowiedział natychmiast.

– No właśnie, ja też nie. – Pokiwała głową, po czym uśmiechnęła się do m ego.

Później jechali chwilę w milczeniu i może po raz pierwszy od dawien dawna zdali sobie sprawę, że jednak wcale nie mieli najgorzej, bo mieli siebie.

– Nie mówiłaś o tym dzwonieniu – Marcin odezwał się znowu dopiero, kiedy

minęli rogatki Piotrkowa.

– O jakim dzwonienu? – Ania, zajęta swoimi myślami, nie miała pojęcia, o co ją pyta.

– O tym, że Pawliński gdzieś dzwonił, kiedy to się działo – wyjaśnił Marcin. – To jest ważny trop, może da się ustalić po bill i ngach, do kogo dzwonił, to mógłby być klucz do rozwiązania.

– Myślę, że tamten, do którego dzwonił, miał telefon na kartę, i to na taką kartę, której właściciela nie da się ustalić – odpowiedziała Ania.

– Może tak, a może nie, jedziemy sprawdzić – oświadczył Marcin.

– Gdzie? – Ania spojrzała na niego zaskoczona.

– Jak to gdzie? Do Pawlińskiego, a gdzie? – Marcin sięgnął po komórkę, w której miał zapisany adres, pod którym był już raz w swoim czasie. – Obozowa 16.

– Skąd masz ten adres? – Ania popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Z KSIP-u, jak wszystkie inne – odpowiedział Marcin zdziwiony, jakby to było coś oczywistego. Wykombinował, że tylko tak może mu się udać rozproszyć jej słuszne skądinąd podejrzenie. Tak, już raz tam był i nie skończyło się to za dobrze. O tym jednak Ania nie mogła się dowiedzieć.

– Ja tam w życiu nie wejdem. – Ania pokręciła głową. – A w ogóle to może jednak to już byśmy scedowali na policję.

– Nie spodziewałem się, że wejdiesz. – Uśmiechnął się polubownie. – Poczekasz na dole. Zajmie mi to chwilę, a jak pozyskam tę informację, to scedujemy ją na policję, a w każdym razie na Adriana, bo i tak ktoś będzie musiał podłubać w sieci, żeby znaleźć ten numer.

– Bi 1 lingi sprzed sześciu lat? Wolne żarty. – Ania wyraźnie nie pokładała nadziei w tym tropie.

– A mamy coś innego? – zapytał retorycznie, a po chwili dodał sam od siebie: – Egipski ołogów i rozbite rodzeństwo w sierocińcu?

Pod blokiem na Woli byli godzinę później. Ania próbowała jeszcze trochę oponować. Intuicja podpowiadała jej, że to generalnie nie jest najlepszy pomysł, ale Marcin się uparł i poszedł, więc wrzuciła jakiś randomowy kawałek z telefonu do samochodowego audio, rozsiadła się wygodnie i czekała.

Marcin wszedł na klatkę, która, tak jak poprzednim razem, była otwarta. Tutaj, inaczej niż w Piotrkowie, domofon wprawdzie był i to może nawet sprawny, tyle że z samych drzwi ktoś usunął skobel blokujący, który miał zwalniać domofon. Czyli był domofon, ale nie miał już czego zwalniać, bo ktoś zwolnił to na stałe. Pierwsze piętro, drzwi oklejone na drewno, przy czym miejscami okleina nie wytrzymała próby czasu i spod „drewna“ wyłaziła brzydka, pomalowana na jasny brąz blacha. Na klatce wisiał śwąd. Dziwny, tak jakby ktoś przypalił kotlety smażone na smalcu, ale jeszcze gorszy, gryzący w oczy. Marcin zapukał raz, potem kolejny, w końcu zadzwonił. Nic się nie wydarzyło, tylko śwąd się wzmógł, aż ciężko było oddychać. Już miał odejść od drzwi, ale w jakimś dziwnym odruchu postanowił jeszcze nacisnąć klamkę. Ku jego zaskoczeniu drzwi otworzyły się bez problemu, a dym, który buchnął z wnętrza, odrzucił go tak mocno, że omal nie spadł ze schodów. Po chwili wrócił jednak pod drzwi, dym rozchodził się po klatce, więc widać już było kontury wnętrza. Marcin naciągnął koszulkę na usta i nos, wziął głęboki oddech i wszedł do środka. Obszedł korytarz, salon, kuchnię i sypialnię. Nigdzie nie stwierdził źródła dymu, nic się nie paliło. Wtedy dostrzegł, że dym wydostaje się spod drzwi do łazienki. Otworzył je i wśród kłębow z kopcia zobaczył leżące w wannie ciało, które na powierzchni tliło się małym płomieniem o dziwnej barwie.

– Kurwa! – krzyknął.

Doskoczył do wanny i odkręcił kurek z zimną wodą. Na nadpalone ciało połała się woda, która z sykiem ugasiła płomień. W wannie prawdopodobnie leżał Pawliński. Ciężko było to stwierdzić od razu i ponad wszelką wątpliwość, bo zwłoki były zbyt przypalone. Marcin bardziej więc się tego domyślił, asocjując fakty. Za to bez cienia wątpliwości można było stwierdzić, że człowiek, na którego spalone ciało teraz patrzył, nie żyje. Przez moment kompletnie nie wiedział, co ma zrobić, w końcu jednak śwąd spalonej skóry w połączeniu z widokiem, który miał przed oczami, dotarły do niego z całą mocą i Marcin ledwie zdążył obrócić się do muszli i podnieść klapę. Wymioty chlusnęły, obryzgując białawą porcelaną, zażółconą kamieniem i zaciekami.

To była ostatnia rzecz, jaką zobaczył w tym mieszkaniu; sekundę później poderwał się z kolan, dobiegł do wyjścia, wyskoczył na klatkę i zatrzasnął drzwi za sobą.

Kiedy dotarł do samochodu, przez chwilę nie był w stanie wydusić z siebie słowa. W końcu streścił całą sytuację w jednym zdaniu. Ania po chwili namysłu wybrała

numer, na wyświetlaczu LCD pojawiło się imię Adriana.

– No co tam, piękna? Czym sobie zasłużyłem na to, że dzwonisz? – Adrian odebrał po drugim sygnale.

– Jest sprawa – powiedziała tylko Ania i spojrzała na Marcina.

– Trochę się domyśliłem, bez sprawy nie byłoby telefonu, nawijaj. – Policjant się zaśmiał.

Przez chwilę nic się nie działo, Ania przełączyła telefon w tryb głośnomówiący i czekała, aż Marcin zreferuje szczegóły. On to widział i przede wszystkim wymyślił, żeby tu przyjechać, za co był a zresztą na niego teraz cholernie wkurzona.

– Był em u Pawlińskiego – zaczął Marcin.

– Po cholere? – Adrian już się nie śmiał.

– Chciałem go zapytać, czy ma numer telefonu, na który dzwonił, kiedy molestował Anię – zaczął się tłumaczyć Marcin.

– Nie mówiła, że do kogoś wtedy dzwonił – zdziwił się Adrian.

– Nie pamiętałam, wyparłam to, przypomniałam sobie, jak się okazało, że to samo miała dziewczyna z Piotrkowa – wyjaśniła Ania. – Ale to nie ma teraz, kurwa, znaczenia...

– A co ma znaczenie i po cholere sami pojechaliście do tego Piotrkowa? – Adrian lekko się już nakreślił.

Żadne z nich nie odpowiadało. Spoglądali tylko na siebie. Adrian już był wkurzony i pewno miał rację, zastanawiali się więc, co powie, jak usłyszy, co stanowi gwóźdź programu.

– Ktoś odjechał Pawlińskiego i spalił jego zwłoki w wannie. – Marcin w końcu zdecydował, że nie ma już co odwlekać.

Teraz z tamtej strony zapadło milczenie.

– Kurwa – przerwał je dopiero po chwili Adrian.

– To samo powiedziałem, jak to zobaczyłem. – Marcin spróbował zbratać się z Adrianem przez wspólnotę reakcji.

Nowaczyk powiedział, że przyjedzie najszybciej jak się da, ale że oni sami mają niezwłocznie zadzwonić na sto dwanaście i poinformować o swoim odkryciu. Jeśli zamiotą to teraz pod dywan, jeśli uciekną, potem będzie tylko gorzej, znacznie gorzej. Zadzwonili więc. Pierwszy patrol przyjechał po dziesięciu minutach. Zabójstwa, zwłaszcza te ze szczególnym okrucieństwem, wciąż cieszyły się sporą popularnością, nawet wśród policjantów. Gdyby wzywali do włamania albo bójki, prewencja przyjechałaby w najlepszym razie po godzinie, jeśli nie póź niej. Dziesięć minut po nich przyjechał Adrian, który pomógł im przejść przez cały skomplikowany proces. Po trzech kwadransach na miejscu zdarzenia była już chyba połowa komendy stołecznej, przynajmniej tej części stołecznej, która zajmowała się zabójstwami i terrorem kryminalnym. Przyjechało laboratorium, przyjechali kryminaliści, później też patomorfolog; chodziło o to, żeby jak najwięcej ustalić, zanim zabiorą ciało. Potem ich przesłuchiwali, głównie Marcina, ale Anię też, w osobnych

samochodach, a na koniec jeszcze raz nocą w komisariacie w Pałacu Mostowskich. Marcin opowiedział dokładnie, jak było, i to czterokrotnie, w odstępach mniej więcej godzinnych. Nie miał pojęcia, czy ci faceci mieli sklerozę, czy popsuł im się dyktafon, czy nie nadawali z pisaniem. Później Adrian wyjaśnił, że robili to po to, żeby sprawdzić, czy nie zmyśla. Gdyby kłamał, jego kolejne relacje różniłyby się szczegółami. Ludzki umysł może zmyślić wszystko, ale jest tak aktywny, że za każdym razem, gdy coś tworzy, dorzuca coś nowego. Pamięć też bywa zawodna, ale wtedy tworzenie jest inne, charakteryzuje je większa niepewność. Kiedy zmyślona jest całość, przy kolejnych opowieściach nigdy nie ma niepewności, człowiek wszystko doskonale pamięta i jest pewny swego. Marcin nie był pewny swego, nie pamiętał na przykład, do których pomieszczeń wszedł najpierw, zanim się zorientował, że dym wydobywa się z łazienki. Śledczy nie odczytał tego jako próby zmyślania, słowem niezawodny system wielokrotnego odpytywania zweryfikował Marcina i w końcu około pierwszej w nocy policjanci zwolnili go do domu, na odchodnym gratulując mu nawet odwagi i przytomności umysłu. Gdyby bowiem nie zgasił płomieni w wannie, to prawdopodobnie lada moment zajęłaby się drewniana boazeria, a potem cała reszta mieszkania. Taki zresztą prawdopodobnie był też i zamysł zabójcy.

W domu byli o drugiej, rozmawiali jeszcze chwilę, ale rozmowa się nie kleiła, bo po pierwsze byli zmęczeni, a po drugie Ania wciąż była na Marcina zła, że tam poszedł i wplątał się przez to w całą tę dwuznaczną sytuację.

– Ale skończyło się na miękko – podsumował kilkuminutowe milczenie Marcin.

– Znowu miałeś fart. – Ania w końcu obdarowała go zmęczonym uśmiechem.

Pół godziny później spali już w swoich pokojach. Nie dane im jednak było się wyspać, bo mniej więcej po upływie kwadransa ze snu wyrwało ich łomotanie do drzwi. Otworzyła Ania. Za progiem stało trzech panów w czarnych moro, hełmach i z bronią automatyczną.

– Czy jest Marcin Piotrowski? – zapytał jeden z nich. Ania nie była pewna który, bo wszyscy mieli twarze zasłonięte czarnymi kominiarkami.

– Mój brat? – zapytała niezbyt rezolutnie.

– Nie wiem, czyj brat – odpowiedział tamten niezbyt sympatycznie. – Jest?

– Jest. – Zszokowana Ania odwróciła się plecami do nich, żeby zawołać Marcina.

Nie zdążyła jednak, bo w tym momencie ten stojący najbliżej jej złapał ją od tyłu i zakrył jej usta dłonią, jednocześnie wskazując pozostałym, żeby weszli po podejrzanego. Nie musieli go nawet szukać, bo zaspany Marcin właśnie wychynął z ciemnego korytarza prowadzącego do sypialni.

– Co jest...? – zdążył zapytać.

W tym momencie dopadło go dwóch czarnych i powaliło twarzą do posadzki.

– Kurwa...! – krzyknął ten, który trzymał Anię, jednocześnie odrywając dłoń od jej ust.

– Co wy tu odpierdalacie?! – wydarła się teraz Ania. – Nakaz, kurwa, albo wypierdalać stąd!!!

W tym momencie drugi z czarnych ruszył na odsiecz koledze, ale Ania uwolniła

już dłoń z uścisku, złapała za wazon i przywaliła nim tamtemu prosto w hełm. Policjant przystanął na moment, próbując zrozumieć, co się właściwie stało, wtedy w końcu pozbiierał się tamten, którego Ania przed momentem ugryzła w dłoń, i we dwóch powalili ją na podłogę.

– Puśćcie ją, psie kurwy, to kobieta jest, gnoje. – Tymczasem do akcji włączył się Marcin, nad którym wisiał już teraz tylko jeden z antyterrorystów.

Niewiele brakowało i wyrwałby się spod kurateli czarnego i pewnikiem ruszyłby na odsiecz siostrze, a wtedy sytuacja rzeczywiście mogłaby wymknąć się spod kontroli. Na szczęście, prawdopodobnie dla wszystkich, do mieszkania wpadł w tym momencie kolejny AT-ek z paralizatorem w ręku, doskoczył do Marcina i poczęstował go szesnastoma tysiącami woltów. Marcin zatrzęsł się przez moment, po czym padł na podłogę bez przytomności.

– Zabiliście mi brata! – krzyknęła Ania.

– Nic mu nie będzie. – Ten, który potraktował Marcina prądem, ze spokojem pokręcił głową, po czym wskazując na paralizator, zwrócił się do Ani. – Ale jak nie przestaniesz ujadać, to ciebie też zaraz mogę na chwilę zabić.

Kwadrans później Marcin był na tej samej komendzie, z której odjechali kilka godzin wcześniej, co więcej, było to nawet w tym samym pokoju i przesłuchiwał go ten sam śledczy. Tym razem towarzyszył mu jednak jeszcze jeden, z zachowania którego można było wnioskować, że był wyższy rangą. Obaj policjanci byli też wkurzeni, że muszą tu być o tej godzinie. Ten pierwszy nie zdążył jeszcze w ogóle dojechać do domu, tego drugiego ktoś pilnym telefonem wyrwał ze snu.

– Czyli jak było?! – zapytał ten mniej ważny.

Marcina zdziwiło od razu, że o ile wcześniej był raczej miły i uśmiechnięty, nie czuć w nim było żadnej agresji, tak teraz był wulkanem wkurwu.

– Mówiłem już cztery razy, jak było. – Marcin miał tę niefortunną cechę, że na wkurw też reagował wkurwem. – Ile razy mam tłumaczyć to samo?

Na co dzień to uchodziło, ale zważywszy na okoliczności, cecha ta nabierała siły autodestrukcyjnej. Policjant wstał, zaszedł Marcina od tyłu i nagłym kopnięciem wywalił spod niego stołek. Chłopak upadł na podłogę, a jako że był skuty kajdankami od tyłu, to nie był to miły upadek. Marcin uczęszczał jednak przez wiele lat do szkoły sportowej, do której na podstawie wybitnych predyspozycji zakwalifikowano go po zawodach, w których uczestniczył, reprezentując zwykłą podstawówkę przy domu dziecka. Dzięki temu, że ćwiczył między innymi gimnastykę sportową, był na tyle rozciągnięty, że przerzucenie rąk pod stopami do przodu, szczególnie w pozycji leżącej, nie było dla niego trudne. Dlatego trzy sekundy później wstał z podłogi ze stołkiem trzymanym przed sobą i policjant, który wyciął mu krzesło spod tyłka, znalazł się w bardzo trudnej sytuacji.

– Młody – Marcin usłyszał za sobą dość spokojny głos tego drugiego – odstaw to, bo będzie chujowo.

Głos był na tyle przekonujący, że Marcin cofnął się pod ścianę, wciąż jednak trzymając stołek przed sobą.

– Co to za zagrania? – Chłopak wskazał na stołek.

– Kolega się pomylił, ale odstaw to i usiądź – przekonywał tamten.

Marcin po chwili wahania odstawił stołek i usiadł na nim. Pierwszy policjant w tym momencie chciał ruszyć na niego, ale drugi, wyższy rangą, pokręcił głową.

– Skłamałeś i teraz jest sł abo. – Starszy pociągnął za sobą krzesło i usiadł naprzeciw Marcina.

– Z czym skłamałem? – zdziwił się szczerze Marcin.

– Z tym. – Policjant przez chwilę gmerał w telefonie, po czym coś włączył i położył aparat przed Marcinem.

Na ekranie widać w bardzo szerokim planie korytarz przy wejściu do mieszkania i fragment salonu Pawlińskiego. Pawliński podchodzi do drzwi, uchyla je, po chwili drzwi otwierają się na oścież z taką siłą, że mężczyzna się przewraca. Do wnętrza wchodzi Marcin, powala próbującego wstać z podłogi Pawlińskiego z powrotem na ziemię, następnie przydusza go kolanem, potem jest jakaś rozmowa, której nie słycać, bo w filmie nie ma dźwięku, w końcu Marcin wali faceta w twarz z otwartej dłoni, potem drugi raz.

Policjant zatrzymał opublikowany na YouTube film w tym miejscu. Przez chwilę w sali przesłuchań trwało milczenie.

– Potem robi się jeszcze gorzej – skomentował w końcu policjant.

– To było jakiś czas temu – niechętnie odezwał się Marcin.

– Nie wiemy tego – skomentował ten pierwszy, który wcześniej wykopał stołek spod chłopaka. – Na razie przyjmujemy, że to się stało wczoraj, czyli w dniu zabójstwa Pawlińskiego, czyli...

– Czyli skopałem faceta, wyszedłem, ale wróciłem, zabiłem go, wrzuciłem do wanny, podpaliłem zwłoki, a potem zgasiłem i zadzwoniłem po was? – Twarz Marcina wykrzywił sarkastyczny uśmiech.

– Jakoś tak. – Ten drugi, czyli zwierzchnik pierwszego, pokiwał głową, po czym po chwili dodał: – I to wcale nie jest zabawne.

Dwie godziny później Ani, oglądającej ten sam filmik z YouTube'a, nie było do śmiechu. Ukryty link, wykorzystując swoje stare znajomości, załatwił Malewski, który teraz razem z Adrianem i dziewczyną siedział przed ekranem komputera i z niepokojem kręcił głową. Z umieszczonej na wysokości mniej więcej dwóch metrów kamery, zza czegoś, co częściowo przysłaniało obraz, widać było wyraźnie, jak najpierw między mężczyznami trwa jakaś niema, ale intensywna rozmowa, następnie Pawliński głupio się uśmiecha, a klęczący na nim bokiem do kamery Marcin uderza go po raz pierwszy, potem kolejny, a po upływie następnych kilkunastu sekund rozmowy zaczyna go okładać bez opamiętania.

– Ciekawe, co mu powiedział? – odezwał się Adrian.

– Jak zapewne wiesz, dużo nie trzeba, żeby cię naszła ochota na skatowanie pedofila – odpowiedział Malewski.

– To na pewno nie stał o się wczoraj. – Ania skupiła się na czymś zgoła innym.

Po chwili cofnęła filmik na pasku i puściła go jeszcze raz.

– Tylko jak im to udowodnimy? – zafrasował się Malewski.

– W lustrze, tam z tyłu, odbija się fragment obrazu z telewizora. – Zatrzymała

filmik w momencie, kiedy Pawliński upadł na podłogę. – Chyba TVN24. Wiadomości... Szkoda, że nie widać więcej, bo po pasku można by ustalić, jaki to dzień, ale w sumie i tak można, kontaktując się ze stacją. – Popatrzyła na mężczyzn. – Znacie tam kogoś?

– Nie za bardzo... – Adrian pokręcił głową.

– Dobrze, za to ja znam kogoś, kto zna na pewno. – Pokiwała głową, wyciągnęła telefon i sfotografowała po kolei kilka klatek z ekranu komputera, skupiając się na odbiciu w lustrze, po czym dodała: – Muszę się tam dostać i sprawdzić, kiedy te wiadomości były emitowane.

Osobą, która na bank znała kogoś w TVN-ie, był oczywiście Bernard, który miał znajomości właściwie wszędzie. Nie rozmawiała z nim od momentu, kiedy go poinformowała, że nie będzie mu donosiła na Adriana. Bernard chyba poczuł się wtedy mocno urażony. Nawet nie tyle zresztą tym, że nie chciała zrobić tego, czego żądał, ile bardziej tym, że w jej życiu pojawił się ktoś, wobec kogo postanowiła być lojalna. Ona sama zupełnie tak tego nie rozumiała. W jej widzeniu świata nie chciała podpieprzyć Nowaczyka, bo generalnie nie lubiła donoszenia i wszelkich odmian tego rodzaju aktywności. Bernard jednak był zdaje się bliższy prawdy, o której jej świadomość w tym momencie nie miała jeszcze pojęcia.

– Uważasz się za jakiegoś proroka, tak? – zapytała, nawet na niego nie patrząc.

Siedzieli teraz we dwójkę w jednej z knajpek na ulicy Poznańskiej. Bernard początkowo nie chciał się nawet spotkać, w końcu zgodził się, że może się z nią zobaczyć, ale tylko w czasie lunchu, bo poza tym jest bardzo zajęty.

– Nie, po prostu widzę rzeczy, których ty nie widzisz, bo ze środka trudniej je zobaczyć. – On patrzył na nią bez oporów.

– Ze środka czego? – zapytała.

– Ze środka siebie. – Uśmiechnął się. – Szczególnie kiedy obraz zaburzą emocje.

– Nie mam żadnych emocji – upierała się. – To znaczy mam, totalny wkurw na zabójców moich starych, i ich szukam, a Nowaczyk jest w tym pomocny, i tyle...

– I tyle. – Pokiwał głową, kompletnie nieprzekonany. – W sumie to nawet nie ma w tym nic złego, tyle że pamiętam, jak opowiadałaś, że najbardziej cenisz sobie wolność. No a uczucie do kogoś to jednak trochę niewola. Oczywiście niewola z wyboru, bardzo miła niewola, ale jednak ograniczenie wolności.

– Kurwa, filozof się znalazł – skomentowała, po czym zapaliła papierosa.

– Psycholog chyba bardziej – odpowiedział niezrażony.

Przez chwilę milczeli. On jadł, ona popijała wino, spoglądając na przejeżdżające sportowe samochody za pół miliona złotych każdy z wypacykowanymi, podstarzałymi młodzianami za kierownicą.

– Dasz mi ten namiar? – zapytała w końcu po chwili.

– Dam ci namiar. – Spojrzał na zegarek, nie przerywając nawet jedzenia. – Za pół godziny masz spotkanie w stacji z wydawcą wiadomości, Koprowicz się nazywa. Chyba... – Bernard przerwał na moment jedzenie kotlecików z soczewicy i wyciągnął telefon. Ge nerał w nim chwilę, szukając czegoś. – Kondratowicz – poprawił się po chwili i dodał: – Leć, bo się spóź nisz.

Dwadzieścia minut później Ania stała w mieszczącej się przy wejściu do budynku głównego TVN recepcji i czekała na przepustkę oraz na pana Kondratowicza, który miał po nią zejść.

Kiedy zszedł, zaprowadził ją na górę, po drodze próbując przez chwilę ją uwieść. Nie wkładał w to jednak nadmiernego wysiłku, bo szybko się zorientował, że niewiele z tego wyniknie, więc robił to raczej *pro forma*. Tak jakby bał się późniejszego oskarżenia, może ze strony samego siebie, o to, że nie spróbował.

– Obejrzymy szpiega – powiedział, kiedy zalogował się już do jednego z komputerów w pomieszczeniu obok studia, z którego właśnie odbywała się emisja.

– Kogo? – zdziwiła się Ania.

– Nie kogo, tylko co. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Szpieg to zapis emisji z ostatnich tygodni. Przechowujemy to, żeby móc w razie czego skontrolować. Sprawdzimy, ale po gościu w studio wnioskuje, że to musiało być minimum z dziesięć

dni temu. Jak pani zapewne wie, politycy partii rządzącej rzadko do nas wpadają. On mógł być u nas w związku z głosowaniem nad wotum zaufania dla rządu, a to było...? – Kondratowicz spojrzał na Anię pytająco, ale błyskawicznie zdał sobie sprawę z tego, że równie dobrze mógłby ją zapytać, co uważa na temat tego, że czarne dziury przechowują jednak informacje o tym, co w siebie wciągnęły. – Z e dwa tygodnie temu – odpowiedział sam sobie po chwili, po czym podjął jeszcze jedną próbę zainteresowania jej swoją osobą. – Pani nie interesuje się za bardzo polityką? – zagaił retorycznie i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Trochę warto, mógłbym wprowadzić panią w arkana.

– Nie, dziękuję, jakoś daję radę. – Pokręciła przecząco głową.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, ale nie poczuł się urażony, po prostu skupił się na zadaniu, czyli na wyszukaniu ujęcia tożsamego ze stopklatką na fotografii w jej telefonie.

– A Bernarda długo pani zna? – zapytał jeszcze po chwili, żeby czymś rozbić nieco zbyt długo trwające milczenie.

– Jakiś czas – odpowiedziała zdawkowo.

– O , mam – ucieszył się Kondratowicz. – To było... Dwanaście dni temu.

– Dziękuję bardzo. – Ania odetchnęła z ulgą. – A czy mógłby mi pan to napisać, takie oficjalne potwierdzenie, jako przedstawiciel stacji?

Mężczyzna przyglądał jej się chwilę, jakby nie bardzo rozumiejąc, o co go prosi.

– Mój brat został zatrzymany na podstawie filmiku, który ktoś przesłał na policję. Ma dość poważny zarzut, ale jeśli z tego filmiku wynika, że to działa się dwanaście dni temu, to zarzut straci umocowanie – wyjaśniła na tyle szczerze, na ile mogła temu skądinąd obcemu człowiekowi.

– Dobrze, napisze pani... taki rodzaj zaświadczenia, rozumiem? – Spojrzał na nią pytająco.

Pokiwiała głową.

– I proszę pozdrowić ode mnie Bernarda. Straszny łobuz, ale daje się lubić – dodał.

– No ma coś w sobie – zgodziła się z nim bez namysłu.

Malewski zjawił się u prokuratora z pismem ze stacji jeszcze tego samego dnia po południu. Chodziło o to, że dobiegał końca czterdziestoosmiodzinny okres zatrzymania Marcina. Jeszcze tego wieczora prokurator musiał albo złożyć do sądu wnioski o nakaz aresztowania chłopaka na trzy miesiące, albo, co na razie wydawało mu się mało prawdopodobne, puścić go do domu.

Teraz prokurator czytał położone przed nim przed momentem pismo od Kondratowicza, w którym wydawca stwierdzał, że materiał widoczny na zdjęciu z ekranu został wyemitowany przez stację tylko jeden raz, bez powtórzeń i miało to miejsce po południu w środę, blisko dwa tygodnie temu.

– No i co? – Popatrzył na Malewskiego, lekko podenerwowany. – Wtedy pobił, a teraz wrócił i zabił. Proste.

– To nie wszystko. – Malewski patrzył na niego sympatycznie, choć tak naprawdę nie znosił tego człowieka. – Podejrzany trafił do mieszkania denata dziesięć minut przed wezwaniem służb. Wcześniej razem z siostrą byli w Piotrkowie Trybunalskim, przyjechali prosto na adres. Można to prześledzić billingami i kamerami monitoringu, które na pewno mijali po drodze.

– I? – zapytał prokurator, choć tak naprawdę doskonale wiedział, co za chwilę usłyszy i denerwowało go to niemożliwie, bo nie znosił musieć wypuszczać ludzi do domu.

– Kiedy przyjechało pogotowie, denat nie żył od co najmniej dwóch godzin, były już plamy opadowe. – Malewski powiedział dokładnie to, czego spodziewał się prokurator.

– Wkurwiasz mnie – stwierdził tamten i poprawił okulary na nosie.

Zawsze tak robił, kiedy coś mu nie szło. Komisarz wiedział to doskonale, bo z prokuratorem znali się od bardzo wielu lat, więc teraz uśmiechnął się tylko delikatnie i trochę złośliwie.

– Wiem – odpowiedział w tonie udawanych przeprosin.

– Niech spierdala, ale za rozbój i tak go jeszcze drapnę. – Ż uchwa prokuratora popracowała w widoczny sposób.

– Ten gnój gwałcił mu siostrę przez kilka lat. – Teraz żuchwa popracowała też u Malewskiego. Aby rozładować napięcie, zapytał retorycznie: – Co ty byś z takim zrobił?

– Dobra, idź już. – Prokurator odpuścił, bo wiedział, że konsekwencje zaciskania się szczęk Malewskiego mogły być znacznie poważniejsze od konsekwencji zaciskania się jego własnych szczęk.

W tym samym czasie, kiedy emerytowany komisarz Malewski walczył o uwolnienie Marcina, aspirant Nowaczyk walczył z chłopakami z działu internetowego o to, by ci przez kilka godzin nie zajmowali się komputerem zabezpieczonym w domu zamordowanego Pawlińskiego i tym samym, żeby nie dostrzegli jego braku w depozycie dowodowym. W końcu stanęło na tym, że mogą się postarać nie dostrzec owego braku w zamian za to, że Adrian niedostrzegalnie dostarczy im skrzynkę szkockiej i to na dodatek w wersji single malt. Aspirant poszedł na układ, choć wiedział, że w efekcie tej wymiany z jego portfela w sposób dostrzegalny zniknie kilka tysięcy złotych. Pytany później przez Anię, jak udało mu się wydobyć laptopa z rąk śledczych, nie przyznał się do tego, na jakich warunkach go pozyskał. Powiedział jej, że koledzy wydali mu go po znajomości. Obecny przy tej wymianie zdań Malewski uśmiechnął się tylko do siebie w skrytości, miał bowiem pełną świadomość, że od chłopaków niczego nie dostaje się wyłącznie po znajomości.

Do hakera Wojtka pojechali z komputerem we troje. Adrian, bo musiał pilnować, żeby dowód się nie zapodział, Marcin, bo znał Wojtka, i Ania, bo znała Marcina i jego wcześniejszą skłonność do rozbudowywania kontaktów towarzyskich z przyjacielem od kresek i dopalaczy. Ania pojechała tam zresztą niechętnie, bo po pierwsze, nie lubiła Wojtka, a po drugie, wciąż jeszcze była wściekła na Marcina za to, co zrobił dwa tygodnie wcześniej Pawlińskiemu, narażając się na konsekwencje, które pozostawały bliżej nieprzewidywalne.

Komputer trafił w ręce Wojtka z dwóch powodów. Po pierwsze, mogły być w nim ślady jakiejś korespondencji, prowadzonej przez denata z tymi, którzy nasłali go kiedyś na Anię, a po drugie, to właśnie kamerą wbudowaną w ten komputer nagrano pobicie Pawlińskiego przez Marcina. Czyli ktoś w jakimś momencie musiał zainstalować w komputerze Pawlińskiego program szpiegujący i sterujący kamerą, a potem ten program zdalnie obsługiwać.

– Dysk jest zryty jakby wpadł pod glebogryzarkę – skonstatował Wojtek po kilku minutach gmerania w świecie zer i jedynek.

– Czyli? – zapytała Ania, dla której pojęcie glebogryzarki było mało precyzyjne.

– Czyli go nie ma – odparł Wojtek, który teraz nie był dla niej już tak miły jak wcześniej, ale po chwili nieco się skorygował. – To znaczy dysk jest, może nawet dałoby się go dalej używać, ale jest czystszy od fabrycznie nowego.

Cała trójka popatrzyła na siebie, a potem na hakera.

– Ktoś zainstalował program szpiegujący i razem z nim minę, którą następnie odpalił zdalnie, nie wiadomo skąd i kiedy, a ta zrównała dysk z ziemią. – Wojtek był pod wrażeniem. – Dobra robota, zawodowcy.

– Zabijają pavulonem, podpalają trójfluorkiem, działają jak hakerzy z Anonymous, robi się coraz ciekawiej – zażartował Adrian.

– Pavulonem? – zaciekał się Marcin.
– Nie mówiłem wam...? – Adrian trochę się zawstydził.
– Mówiłeś, ale pytamy tak kontrolnie. – Marcin nadał swojej twarzy kretyński wyraz.

– Dziś rano przyszły wyniki sekcji pani Grażyny z Rawy – powiedział Adrian, nie patrząc na nich, i po chwili dodał: – Zapomniałem w tym całym zamęcie.

– I ...? – Ania nie miała do niego o to żalu.

– Znalezione metabolity pavulonou, to są chyba jakieś związki azotu, które i tak wydzielają się w organizmie po zgonie, ale tu ich ilość znacznie przekraczała normę. Czyli pani Grażyna zmarła z powodu niemożności oddychania, czyli się udusiła, a wylew nastąpił wtórnie wskutek niedotlenienia i skrajnego stresu – objaśnił Adrian nieco bardziej szczegółowo.

– Udusili ją? – upewnił się Marcin.

Adrian nie odpowiedział, tylko smutno pokiwał głową.

– Kurwa, kto to jest w ogóle? Jak to możliwe?! – Marcin prawie krzyknął.

– Może jacyś biochemicy-informatycy – spróbował zażartować Wojtek, który z racji swojej niedojrzałości kompletnie nie był przygotowany na sytuacje wymagające refleksji i powagi.

– Gamoń – powiedziała Ania cicho i pokręciła głową.

– Gamoń? – zbiesił się Wojtek. – No to koniec z pomaganiem za parę drobnych.

– Płacisz mu? – Oburzona Ania spojrzała na brata.

– Już nie. – Marcin też był wkurzony na kolegę, który miał już najwyraźniej tak przecpaną głowę, że nie odróżniał rzeczywistości od narkotycznego lotu. – Chodźmy.

W windzie Ania mocno zmarkotniała.

– Przez nas giną ludzie – powiedziała, wpatrując się w panel z przyciskami pięter.

– Czyszczą świadków, i tak musieliby to zrobić – spróbował ją uspokoić Marcin.

– Gdybyśmy tego nie ruszyli, toby nie musieli, wszystko by jakoś przyszło. – Ania miała odmienne zdanie.

– A za chwilę znów zamordowaliby rodziców jakimś dzieciakom. – Adrian sięgnął po cięższy kaliber.

– No temu musimy zapobiec – podsumował rozmowę Marcin.

– Jasne. A jak? – Pytanie Ani podszyte było trochę sarkazmem.

– Gabrielin – odpowiedział Marcin.

– Coś więcej? – Adrian popatrzył na niego.

– Radom, Piotrków, Rawa, Suchedniów. Te cztery miejscowości tworzą z grubsza kwadrat, na przecięciu przekątnych którego leży wieś Gabrielin – objaśnił Marcin.

– W Polsce na każdym przecięciu wszystkiego z wszystkim leży jakaś wieś, to jest kraj usiany wsiami. – Adrian wzruszył ramionami.

W zasadzie lubił Marcina, co więcej, chłopak też zdawał się coraz bardziej do niego przekonany, odkąd się zorientował, że policjantowi naprawdę zależy na jego siostrze i jest gotów sporo zaryzykować, żeby ją chronić. Jednak oprócz sympatii

w ich stosunkach wciąż był element konkurencji, właściwie to Adrian konkurował z Marcinem o Anię, bo Marcin nie musiał – i tak była jego siostrą i nic nie mogło tego zmienić.

– Tylko że nie w każdej z nich jest dom dziecka, a w Gabrielinie owszem. – Marcin uśmiechnął się triumfalnie, po czym dodał: – Nie wiem, jakie to ma znaczenie, ale swoją drogą ustaliłem, że w przypadku tego Bogdana z Rawy i Wery z Radomia, a właściwie z Białegostoku, zarówno jego siostra, jak i brat Domy zostali zostawieni w domach dziecka, czyli mamy kasus rodzeństw rozbitych przez nowych rodziców.

– Możemy zatem założyć, że morderca też jest z takiego układu. Ktoś kiedyś pewno rozdzielił go z rodzeństwem, a on teraz mści się na ludziach, którzy zrobili komuś to samo – skonstatowała Ania.

– Tyle tylko, że największą cenę za to płacą same dzieciaki, w tym te rozdzielone sieroty. – Marcin pokiwał głową. – A najgorsze jest to, że właściwie nic nam to nie daje, bo co, sprawdzimy teraz wszystkie rozdzielone rodzeństwa z domów dziecka na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat?

– Na razie daje niewiele, ale może jak dojdą inne dane, to da się to z czymś połączyć – pocieszył go Adrian.

Winda dojechała na parter. Wysiedli, a kiedy szli do wyjścia z klatki, Marcin dodał:

– No i nie odwiedziliśmy jeszcze Suchedniowa.

Adrian i Ania obejrzeni się na niego. Policjant był wyraź nie zły, bo wyglądało na to, że Marcin znów okazał się lepszym dochodzeniowcem od niego.

– A co mamy w Suchedniowie? – zapytała Ania.

– Ostatnia zbrodnia z serii. Mamy chłopca umieszczonego w domu dziecka cztery lata temu, wkrótce po śmierci rodziców. Ma teraz dwanaście lat. – Marcin patrzył na nich z dumą.

– Jak zamierzasz się dostać do dwunastolatka? Wiesz, że za taką próbę nękania nieletniego możesz dostać pajdę? – Adrian próbował trochę zdezwuować informację, którą podzielił się z nimi Marcin.

Inna sprawa, że przy okazji miał też rację. Tym razem musieli się wykazać wielkim sprytem i delikatnością, bo dwunastolatek był chroniony prawem nie bez powodu.

– A skąd to wzięłeś? – Anię bardziej zainteresowało co innego.

– A jakie to ma znaczenie? – Marcin wzruszył ramionami, po czym szybko uciekł od pytania Ani do pytania Adriana. – Że trzeba będzie ostrożnie, to wiadomo.

– W każdym razie to już koniec waszych wycieczek indywidualnych – stwierdził Adrian, kiedy rozchodzili się do swoich samochodów.

– Teraz pojedziemy na *all inclusive*? – zażartował Marcin.

– Teraz pojedziemy we troje. – Adrianowi nie było do śmiechu. – Akurat ty powinieneś się dziwić najmniej. Grozi ci cela za rozbój, pamiętasz?

Marcin już nic więcej nie powiedział.

Kolejnego dnia spotkali się pod ich domem o wpół do dziewiątej rano. Przez chwilę zastanawiali się, czy powinni najpierw pojechać do Suchedniowa i tam spróbować zebrać jakieś dane z miejsca, w którym cztery lata temu doszło do zabójstwa. W ten sposób być może pozyskaliby komplet danych, a może kolejną przełomową informację w śledztwie. Dopiero potem ewentualnie pojechaliby do Gabrielina pod Opoczmem. A może, zwazywszy na fakt, że Gabrielin leży po drodze do Suchedniowa, lepiej byłoby zrobić odwrotnie? Zdecydowali się na wariant praktyczniejszy, przy czym ich motywacje były różne. Marcin uważał, że zdobędą tam jakąś kluczową informację, a Adrian chciał mieć to już za sobą – był przekonany, iż Gabrielin z przypadkowo mieszczącym się tam domem dziecka był jedynie wymysłem Marcina i niepotrzebną stratą czasu.

Gabrielin okazał się typową popegeerowską wsią zagubioną gdzieś na Nizinie Mazowieckiej. Stało tu kilka bloków z wielkiej płyty pamiętających czasy, gdy rolnictwo było centralnie zarządzanym przedsiębiorstwem państwowym. Przy wjeździe do wsi minęli rozpadające się budynki gospodarcze, w których niegdyś prawdopodobnie stały dziesiątki ciągników, kombajnów i innych maszyn rolniczych, dalej widać było podłużne budynki obór i chlewni. Niebo pokrywała gruba warstwa chmur, sprawiających wrażenie, jakby zostały tu zawieszane na zawsze, a przynajmniej do czasu, gdy wszystko to rozpadnie się do szczętu i zostanie na powrót wchłonięte przez matkę ziemię.

Dom dziecka, w którym zgodnie z nowymi trendami mieszkało nie więcej niż kilkanaścioro dzieci, został niedawno wyremontowany i podzielony na kilka części. Mieściły się tu też przedszkole i żłobek, a nawet siedziba lokalnej pomocy społecznej. Słowem, przynajmniej w założeniu, był to konglomerat społecznej aktywności. W założeniu, bo kiedy podjechali na zbudowany z gminno-unijnych środków parking wyłożony kostką Bauma, ich samochód wyróżniał się na nim nie tylko dlatego, że był elegancki, ale również dlatego, że był jedyny.

– Dom dziecka jest tu od dwóch lat. – Bardzo miła i zadbana pani dyrektor przyjęła ich w wypełnionym doniczkową zielenią gabinecie na pierwszym piętrze.

Adrian spojrzał na Marcina i uśmiechnął się z delikatną ironią. Wiele wskazywało na to, że pani dyrektor właśnie rozbiła jego geometryczną hipotezę.

– A wcześniej co się tutaj mieściło? – Marcin nie zamierzał poddać się bez walki.

– Wcześniej była tu tymczasowa siedziba urzędu gminy, podczas remontu siedziby właściwej, która teraz jest w rynku. – Pani dyrektor się uśmiechnęła.

– A jeszcze wcześniej? Przecież nie zbudowali tego po to, żeby mieściła się tutaj tymczasowa siedziba urzędu. To jest stary budynek – dociekał Marcin, wzbudzając

tym lekkie zniecierpliwienie nie tylko Adriana, ale nawet własnej siostry.

– To już nie za moich czasów, sprowadziłam się tu w dwa tysiące ósmym roku, ale z tego, co wiem, pierwotnie, dawno temu, też był tutaj dom dziecka. – Dyrektorka tę jakże ważną dla nich informację rzuciła jakby mimochodem.

Marcin o nic więcej już nie zapytał; triumfował, czuł się trochę jak obrońca albo prokurator, który w czasie przesłuchania świadka dotarł wreszcie do informacji, która cały przewód sądowy wywracała do góry nogami. Po chwili, nie mogąc sobie odmówić tej niewątpliwiej przyjemności, zerknął na Adriana, czyli na reprezentanta przeciwstawnej opcji. Adrian, choć udawał sam przed sobą, że ta ostatnia informacja niewiele wносиła do sprawy, to jednak nie miał na tyle odwagi, by skonfrontować się ze wzrokiem Marcina.

– Jak to był dom dziecka? – zapytała Ania, która w alegorii przewodu sądowego reprezentowała bezstronność sędziego.

– No po prostu. Teraz jest i wtedy był. – Dyrektorka nadal nie rozumiała doniosłości tej informacji.

Nie mogła jej rozumieć, bo nie miała przecież pojęcia, dlaczego tak naprawdę tu przyjechali.

– A coś więcej o nim, w sensie o tym domu dziecka z przeszłości, może e nam pani powiedzieć? – Marcin wrócił do rozmowy.

– Nie, ja to nic nie wiem, oprócz tego, że był, ale mieszka tu taki pan Kazimierz, on chyba tam wtedy pracował, z tego co mi mówili mieszkańcy, może on państwu coś więcej powie. – Dyrektorka się uśmiechnęła, po czym uśmiech nagle zniknął z jej twarzy, jakby właśnie zdała sobie z czegoś sprawę. – Ale co to ma wspólnego z dofinansowaniem na informatyzację, które państwo oferują?

Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co odpowiedzieć. Zdali sobie sprawę, że trochę zagalopowali się z pytaniami, które rzeczywiście nie bardzo łączyły się logicznie z gadką o unijnym środkach, którą zaserwowali wcześniej dyrektorce.

– We wniosku musimy wypełnić również rubrykę z informacjami o historii miejsca, dosłownie kilka zdań, ale musi być. – Pierwszy odnalazł się w sytuacji Marcin.

– Niestety, taka brukselska biurokracja, wszystko muszą wiedzieć. – Sekundę później w sukurs przyszedł mu Adrian.

Mogli się trochę ścigać, trochę sobie nie ufać, konkurować, ale kiedy przychodziło co do czego i pojawiała się, tak jak teraz, niebezpieczeństwo dekonspiracji, wychodziło na to, że stanowią jednak całkiem zgraną grupę.

– No i essa – powiedział Marcin, kiedy wyszli przed budynek.

– Co? – zapytali Ania z Adrianem prawie jednocześnie.

– Essa, super, git, mamy to. – Marcin się uśmiechnął.

– Co mamy? – zdziwił się Adrian, prawie szczerze. – To, że się okazało, że jest dom dziecka, a wcześniej nie było, a jeszcze wcześniej był, to w sumie nic nie znaczy.

– Nic nie znaczy? – Marcin prawie się obraził. – To co, spadamy stąd?

– Bez przesady, aż tak bardzo nic to nie, chodźmy do tego Kazimierza... jak on się ma nazywać? – skwitowała Ania, nadal zachowując postawę symetryczną

między entuzjazmem Marcina a lekceważeniem Adriana.

– Pawlik – odezwał się po chwili Marcin. – Ma się nazywać Kazimierz Pawlik.

Poszli. Daleko iść nie musieli, bo wieś nie była duża, a właściwie wyglądała nawet bardziej na małe miasteczko, zważywszy że były tu rynek i urząd gminny, żłobek, przedszkole, a nawet dom dziecka.

– Ciekawe, czy mają tu też komendę, jakby co – zaciekawił się Adrian.

– Jakby co co? – zareagował z przekąsem Marcin.

– Jakbyś na przykład przypadkowo miał rację. – Adrian znów wyszedł w kierunku Marcina z ofertą zgody.

Marcin pokiwał tylko głową i kontynuował marsz.

Dom pana Kazimierza wyróżniał się spośród innych schludnością. Trawnik w ogródku z przodu przycięty był równiutko, trawa gęsta i soczyście nawodniona, aż chciało się na nią wejść gołą stopą. Od frontu rósł wysoki na ponad metr, równie idealnie przycięty żywopłot, dalej tuje, róże i jeszcze jakieś bardziej egzotyczne, a w każdym razie mniej typowe rośliny, których nazw nie znało żadne z nich. Zapewne znał je jednak pan Kazimierz, który wyszedł im naprzeciw po tym, jak zadzwonili dzwonkiem przy furtce. Teraz nie byli już pracownikami firmy załatwiającej dopłaty do internetu z Unii, tylko dziennikarzami, którzy pisali artykuł dla „Wiadomości Opoczyńskich” o zmianach zachodzących w najlepiej rozwijających się gminach powiatu. Dziennikarze najczęściej pracują w pojedynkę, czasem mają ze sobą asystenta albo fotografa, jednak działanie w trójce byłoby już zbyt niestandardowe, i to nawet dla człowieka, który nie miał pojęcia o standardach pracy dziennikarskiej. Trzy osoby do jednego materiału? Trochę zbyt wiele. Nie musieli losować. Ania była napędem wszystkiego, poza tym szli do mężczyzny, a ona miała zdolność przekonywania do siebie nawet tych najbardziej zatwardziały, oziębłych i wypłukanych z testosteronowej witalności. Marcin wynalazł to miejsce i wyciągnął od dyrektorki informacje o panu Kazimierzu. Adrian był raczej hamulcowym tej części operacji, więc skład ustalili się poniekąd z automatu.

Pan Kazimierz przywitał ich miło, ale dość oficjalnie. Nie był o w nim jowialności, próżno byłoby też szukać w jego zachowaniu czegokolwiek wykraczającego poza normę. Można rzec, że jego sposób bycia oraz wygląd idealnie współgrały z trawnikiem, żywopłotem i różami. Gospodarz i jego obejście byli idealnie gładcy i równi. Trochę zbyt idealnie.

– A kiedy materiał ma się ukazać w prasie? – zapytał, kiedy już żona podała im kawę do stołu.

– Tydzień, góra dwa. Mamy rubrykę w „Wiadomościach”, ale to naczelny decyduje, co włoży do numeru w danym tygodniu. Mamy jeszcze materiał z Libiszowa, trudno powiedzieć, co pójdzie najpierw. – Ania szła równym ściegiem, ale miała świadomość, że jeśli padnie jakiegokolwiek pytanie dodatkowe, to wszystko spruje się z łatwością.

– A czemu do mnie państwo zawitali? – zapytał na oko siedemdziesięcioletni mężczyzna.

– Piszemy o nowym domu dziecka, który powstał ze środków unijnych, byliśmy u

pani dyrektor na spotkaniu i dowiedzieliśmy się, że tam przed laty był już dom dziecka i pan zdaje się w nim pracował. Chcielibyśmy napisać słowo o historii tej miejscowości, przy okazji też o historii domu dziecka – Ania mówiła bez zająknięcia, jakby tekstu nauczyła się wcześniej z kartki.

– Owszem, był i owszem, pracowałem, ale to stare dzieje – odpowiedział powoli pan Kazimierz, a im zdało się, że nagle z równo przyszyż onego żywopłotu przekształcił się w czujnie oplatający wszystko bluszcz. – A jak państwo się nazywają, bo zapomniałem z tego wszystkiego zapytać?

– A my zapomnieliśmy się przedstawić; wstyd, strasznie przepraszam. Dorota Maciąg i mój asystent... – Ania kulturalnie zrobiła miejsce Marcinowi na to, żeby i on wreszcie się odezwał.

– Robert Nowak. – Marcin uśmiechnął się nieszczercze i ponownie zamilkł.

– Rozumiem, cóż, dom dziecka... Był bodaj do siedemdziesiątego szóstego, potem zamknęli... Wie pani, była druga faza Gierka, wszystko się powoli sypało, nie było pieniędzy... – Kazimierz wciąż mówił wolno i równocześnie przyglądał im się coraz czujniej. – Ale państwo nie mogą tego przecież pamiętać, za młodzi jesteście.

Marcin pomyślał, że gdyby mężczyzna mógł, prawdopodobnie od razu poszedłby zapytać wujka Google'a, czy nazwiska, które podali, figurują na liście dziennikarzy współpracujących z „Wiadomościami Opoczyńskimi“. Wtedy byłoby po wszystkim, ale jak dla niego, to nawet gdyby w tym momencie Pawlik ich stąd wyrzucił, wiedza pozyskana na podstawie obserwacji jego zachowania już dawała sporo do myślenia.

– No tak, bieda była, nie możemy tego pamiętać, ale trochę o historii wiemy. – Ania się uśmiechnęła. Czowała dokładnie to samo co Marcin, ale różniło ją od niego to, że potrafiła się uśmiechać miło nawet wtedy, kiedy już wcale nie miała na to ochoty. Pewnie nauczył ją tego zawód, który do niedawna uprawiała.

– Wiedzieć z lekcji, a pamiętać, to dwie różne rzeczy. Dla nas, którzy tego doświadczyliśmy, dzisiejsze problemy to naprav/dę pikuś. – Pan Kazimierz z tematu domu dziecka powoli zaczął dryfować ku obszarom martyrologicznym.

– Czyli zamknęli, bo nie był o budżetu, mówiąc krótko – podsumowała Ania. – A zanim zamknęli, to długo działał?

– O... – Mężczyzna udał, że sięga w głąb odmetów swojej pamięci. – Ja pracowałem tam piętnaście lat, a nie przyszedłem do nowego. Z tego, co pamiętam, działał tu już co najmniej od końca lat pięćdziesiątych, a może nawet wcześniej. Bardzo dużo młodych ludzi przeszło przez tę instytucję.

– Dzieci w sensie? – odezwał się Marcin.

– No dzieci, dzieci, które potem były już nastolatkami... – Po raz pierwszy na twarzy mężczyzny pojawił się może jeszcze nie uśmiech, ale przynajmniej coś w rodzaju wewnętrznego światła.

Rozmarzył się dziad, pomyślał Marcin.

– I nie było tu nigdy żadnych problemów ani nic? – Marcin dołożył do pieca.

Ania spojrzała na niego rozeźlona, bo wiedziała, że teraz rozmowa prawdopodobnie z wolna zacznie się kończyć. Z drugiej strony, pomyślała po chwili, to i tak będzie historia jednego strzału, bo trzydzieści sekund po tym, jak stąd wyjdą,

facet będzie już wiedział, że nie są żadnymi dziennikarzami, a „Wiadomości Opoczyńskie“ w życiu nie widziały ich nawet na oczy.

– Problemów... – Pan Kazimierz udał, że znów próbuje sobie coś przypomnieć. – Zapewne pan tego nie wie, bo i skąd, ale w tego typu instytucjach nigdy nie jest łatwo. To są sieroty z problemami, często nieszczęśliwe, szorstkie w obyciu, bo same nigdy nie zaznały ciepła, bywają agresywne wobec innych i wobec samych siebie, więc problemy oczywiście były, ale na pewno nie takie, które spowodowałyby zamknięcie sierocińca.

Mimo pozornej swobody, z jaką cały czas pan Kazimierz odpowiadał na ich pytania, atmosfera wyraźnie zgęstniała i trochę nie bardzo było wiadomo, co dalej począć z tak miło rozpoczętą rozmową. Ania zastanawiała się, czy docisnąć Pawlika mocniej, czy może lepiej jednak nie wzbudzać za bardzo jego czujności, która zresztą i tak pewnie zaraz się rozbudzi. W tym momencie do salonu z krytym zielonym flauszem zestawem kanapowo-fotelowo-pufowym, ze stołem oklejonym mocno lakierowanym laminatem i utrzymanym w podobnym tonie regałem pod telewizor wbiegło troje dzieci, które od razu obsiadły dziadka ze wszystkich stron. Chwilę później wkroczyła ich bardzo sympatyczna mama z zamiarem zabrania dzieciaków, ale wszyscy zgodnie powstrzymali jej zapędy. Panu Kazimierzowi było to na rękę, bo nie chciał być już dłużej indagowany w sprawie, która była mu wyraźnie niewygodna; im także, bo nie mieli już ochoty, przynajmniej na razie, dalej go cisnąć. Najpierw trzeba było zebrać trochę więcej informacji.

Później, kiedy dzieci już sobie poszły, rozmowa i tak absolutnie przestała się kleić, a ostatecznie szczyła w niebycie, gdy pan Kazimierz przypomniał sobie nagle, że obiecał odwiedzić proboszcza.

Kiedy wyszli na ulicę, wystarczyło, że na siebie spojrzeli.

– Czyli zamknęli, bo coś się zdarzyło – powiedział Marcin.

– Na to wygląda – potwierdziła Ania.

– Kazirodztwo? – podsunął.

– Albo pedofilia i może rozbite rodzeństwo? – Odbiła piłeczkę.

– A może w ogóle wszystko na raz? Chyba za bardzo coś sobie projektujecie. – Adrian musiał już pozostać konsekwentnie w kontrze.

– Jak to sprawdzić? – Marcin spojrzął na Adriana, jakby w ogóle nie usłyszał wyrażonych przez niego wątpliwości.

– Można zajrzeć do KSIP-u – zaproponował Adrian. – Ale nawet jeśli coś tu się wydarzyło, to było na tyle dawno, że w KSIP-ie może nie być nic albo tylko jakaś ogólna adnotacja.

– Czyli? – Ania zerknęła na niego trochę zniecierpliwiona.

– Czyli trzeba by zajrzeć do archiwów w wojewódzkiej w Radomiu, choć gdyby w KSIP-ie coś było, to pomoże, bo przynajmniej będziemy wiedzieli, w jakim okresie

szukać. Akta papierowe są układane przeważnie chronologicznie.

– Chyba że akurat było zalanie. – Marcin przypomniał ich wcześniejszą wizytę w archiwach radomskiej komendy.

– Nawet gdyby, to wtedy ten, kto sprawuje pieczę nad tym wszystkim, wie, gdzie co przeniósł – wyjaśnił Adrian. – Tyle że ja już nie mogę tam robić takich wyszukiwań, bo przełożeni je potem widzą i pytają. Już ostatnio ledwie się wybroniłem.

Marcin spojrzął na Anię. Nie pytał, ale pytanie zadało się samo, a brzmiało: Wojtek? Ania chwilę się wahała, po czym wzruszyła ramionami.

– Ale on się teraz obraził, ale na ciebie leci, ale na ciebie obraził się najbardziej...

– Marcin starał się nawet nie patrzeć na siostrę.

– Dzwon. – Ania była zła, ale nie mieli wyjścia.

W życiu są sprawy ważne i ważniejsze, czasem – w wyjątkowych okolicznościach – trzeba schować gdzieś swoje niechęci i urazy.

Rozmowa nie była łatwa i prawie skończyła się niczym, bo Ania nie zamierzała Wojtka przeproszać za cokolwiek. Nawet szczególne motywacje mają swoje granice. On też nie był łatwym negocjatorem. W końcu jednak zwyciężyła jego słabość do płci pięknej; uległ i obiecał wysłać im do końca dnia to, co ewentualnie uda mu się znaleźć.

W Gabrielim e, przynajmniej na razie, nie mieli zatem nic więcej do roboty. Ruszyli więc dalej, w drogę do ostatniego miejsca, jakie pozostało i m do sprawdzenia. Było to zarazem miejsce najtrudniejsze, bo pozostała przy życiu ofiara, czyli syn zamordowanych, była dzieckiem. Kiedy przychodzi się do dziecka, to zawsze trzeba się najpierw dobrze zastanowić, czy to, co chce się uzyskać, czy do czego chce się dojść, jest warte ceny, jaką zapłaci wrażliwość nastolatka, którego kilka lat wcześniej dotknęła największa możliwa do wyobrażenia w przypadku dziecka tragedia.

Do Suchedniowa dotarli na tyle późno, że uznali, iż nie ma po co jechać do położonego na obrzeżach miasta domu dziecka. Nawet gdyby udało się porozmawiać z dyrektorką i nawet gdyby zgodziła się na ich rozmowę z chłopcem, to na pewno nie pozwoliłaby im zawracać mu głowy przed snem. Jeśli już chce się postawić dziecku trudne pytania, to z całą pewnością nie należy go potem zostawiać samemu sobie, a noc to czas najgłębszej samotności, szczególnie w bidulu.

W hotelu mieszczącym się w dworku stylizowanym na mały zameczek zameldowali się przed dziesiątą. Przy recepcji atmosfera odrobinę zgęstniała, bo Adrian zdawał się mieć nadzieję, że wynajmą trzy jedyńki, co stwarzałoby mu pewną szansę na spotkanie z Anią po godzinach. Ona jednak, wyjaśniając to mało przekonującym argumentem o potrzebie oszczędzania, wzięła dwójkę, którą oczywiście zamierzała dzielić z bratem. Ogólnie sytuacja, z punktu widzenia Adriana, zmieniła się. Ania przestała pracować w branży, przez co nie mógł już jej wynajmować, a co za tym szło, w ogóle się do niej zbliżyć, ale nie mogli jej już też wynajmować inni mężczyźni, co wcześniej było dla niego bardzo bolesne. Zawsze coś jest za coś, pomyślał Adrian i wziął klucz od pokoju sąsiadującego przez ścianę z pokojem rodzeństwa.

Godzinę później spotkali się w ich pokoju na naradę podsumowującą ustalenia. Przez chwilę mieli pokusę, a nawet plan, żeby naradę tę lekko zakropić czy – jak się wyraził Marcin, skądinąd najmniej do zakrapiania predystynowany choćby ze względu na wiek – „doenergetyzować”. W końcu ustalili jednak wspólnie, że skoro następnego dnia rano mają iść do domu dziecka, a tam – jeśli szczęście pozwoli – rozmawiać z dzieckiem, to zdecydowanie nie wypada, by towarzyszyły im w tej sytuacji choćby najmniej nawet dolegliwe objawy kaca.

– Mamy do tej pory trzy sytuacje, z naszą licząc cztery, w każdej powtarzał się z grubsza ten sam schemat. Pozoracja motywu rabunkowego, rozdzielone wcześniej rodzeństwo, hieroglify, czyli Hatszepsut i Totmes, czyli kazirodztwo i, co może najważniejsze, w każdym przypadku później przy dziecku pojawiał się pedofil – zaczęła Ania.

– Zobaczymy, jak będzie w tym przypadku, ale jest jeszcze jedna cecha wspólna wszystkich tych sytuacji, która do tej pory trochę nam umykała – zagaił Adrian, który w końcu był przecież zawodowym dochodzeniowcem, więc przynajmniej wypadało, żeby też wniósł coś do sprawy.

– Co? – Marcin popatrzył na niego z powątpiewaniem.

– W każdym przypadku, oprócz waszego, rodzice byli mniej lub bardziej związani z działalnością społeczną, z lokalnymi samorządami, przynależność partyjna była różna albo nie było jej wcale, ale za każdym razem była jakaś społeczno-polityczna działalność – wyjaśnił Adrian.

– Czyli? – Marcin teraz już nie powątpiewał, zdał sobie bowiem sprawę, że rzeczywiście tak było i że faktycznie do tej pory im to umykało.

– Nie mam pojęcia, ale czuję, że to jest jakiś ważny element tej układanki. – Adrian się zamyślił.

W tym momencie w którymś z ich telefonów rozległo się powiadomienie o nadejściu esemesa. Popatrzyli na siebie, Marcin sięgnął do kieszeni dzinsowej kurtki.

– Wojtek. – Marcin uśmiechnął się z satysfakcją. – W KSIP-ie pojawia się nasz pan Kazimierz Pawlik. Okazuje się, że był świadkiem w jakiejś sprawie w siedemdziesiątym szóstym, no i, tak jak przewidywałeś, szczegółów nie ma.

– Świadek to nie podejrzany – powiedziała Ania.

– Ale bywa, że świadek to droga do podejrzanego. – Adrian spojrzał na Marcina. – A jakaś bliższa data?

Marcin powiększył zdjęcie screena, które przesłał mu Wojtek.

– W systemie jest wpisany czerwiec siedem sześć – powiedział.

Po chwili przyszedł kolejny esemes, na którego widok Marcin znów się uśmiechnął.

– A teraz Wojtek czeka na obiecaną kolację z tobą. – Popatrzył na Anię z rozbawieniem.

– Teraz, jak rozumiem, musimy uruchomić komisarza Malewskiego, żeby z kolei on znów uruchomił swojego znajomego archiwistę z komendy w Radomiu? – Ania sprytnie uciekła od tematu. Adrian pokiwał głową.

Tym razem Adrian znów nie wziął udziału w rozmowie z dyrektorką domu dziecka. Nie bardzo pasował do pozostałych członków grupy, a co ważniejsze, nie miał w sobie zgody na to, żeby tak nabierać ludzi. Marcin i Ania byli być może bardziej zdeterminowani, a poza tym nie byli jednak etatowymi policjantami. Dlatego ‘wciskanie kolejnej legendy, tym razem o fundacji wspierającej zdolne sieroty, im jakoś przechodziło przez gardło. On prawdopodobnie by tego nie udź wignął. Oni zresztą też musieli się najpierw porządnie usprawiedliwić sami przed sobą, a poza tym obiecali sobie solennie, że wszystkie obietnice, które złożą, na pewno spełnią, o ile tylko panie dyrektorki, poznavszy już ich prawdziwą rolę w tej sprawie, im na to pozwolą. A obietnice tym razem były dwojakie. Po pierwsze, mieli wesprzeć ośrodek finansowo ze środków fundacji, po drugie i ważniejsze, zobowiązali się, że wesprą chłopca emocjonalnie, stworzą dla niego odskocznię, będą go zabierać na wycieczki, wymyślać inne kształtujące i budujące emocjonalnie atrakcje. Spełnienie pierwszej obietnicy było proste, wystarczyło wyasygnować środki, których im obecnie nie brakowało; nad tym, jak zrealizować drugą, trzeba się będzie w przyszłości porządnie zastanowić.

– To była naprawdę dramatyczna sprawa. – Dyrektorka spojrzała na nich znad oprawek swoich mocno powiększających oczy szkielek. Przed sobą miała komplet dokumentów dotyczących chłopca, do których co jakiś czas zaglądała, jak gdyby

potrzebowała sobie coś przypomnieć. – Bardzo fajna rodzina, zresztą znana u nas, rodzice udzielali się też społecznie i w gminie. – Popatrzyła na nich, bo w tym momencie zerknęli na siebie, więc zapytała: – To coś dziwnego?

– Nie, nie, dziwne jest to, że to spotkało takich ludzi. – Ania pokręciła głową.

– Dziwne i straszne. – Kobieta zamyśliła się na chwilę. – Szczególnie straszne dla Kuby, który widział rodziców chwilę później. Takich rzeczy dziecko nie zapomni nigdy.

Tylko błysk. Mama leży, jakby spała, ale Ania gdzieś w środku wie, że mama już nigdy się z tego snu nie obudzi.

– Nigdy. – Ania pokiwała głową, po czym zdała sobie sprawę, że jej uwaga była nieco zbyt refleksyjna i przez to być może odsłaniała za bardzo prawdę o nich, więc szybko dodała: – Wyobrażam sobie.

– Nie sądzę, żeby była pani sobie w stanie to wyobrazić. – Dyrektorka pokręciła głową.

– Tak, oczywiście ma pani rację. – Ania uśmiechnęła się smutno. – Będziemy mogli z nim zamienić słowo? Poznać się może?

– Tak, za chwilę poproszę go do nas – zgodziła się kobieta.

Ania i Marcin spojrzeli na siebie. Jeśli mają wyjechać stąd z czymkolwiek, to na pewno nie uzyskają tego czegoś podczas rozmowy prowadzonej w obecności pani dyrektor.

– A czy Kuba był wcześniej adoptowany? – Marcin jak zwykle wypalił trochę obok sytuacji.

– Tak... a skąd pan wie? – zdziwiła się dyrektorka.

– Dokonaliśmy pewnego rozpoznania, staramy się naszą fundacyjną pomoc nieść najbardziej potrzebującym. – Ania znów uratowała sytuację.

– Tak, był adoptowany, z tego co wiemy ma siostrę, chyba w Ostrowie Wielkopolskim, na pewno doprowadzimy do ich ponownego spotkania – wyjaśniła dyrektorka.

– To dobrze, to bardzo dobrze, zresztą w tym zakresie też możemy jakoś państwa wesprzeć. – Ania zamknęła temat.

– Teraz będę musiała państwa zostawić na chwilę, mamy zebranie. Chciałam je przełożyć, ale już się nie dało, koledzy z innych miast przyjeżdżają – dodała po chwili dyrektorka. – Także z Kubą spotkacie się już sami.

– Jasne, żaden problem, porozmawiamy z nim kilka minut, nie dłużej. – Marcin uspokoił dyrektorkę, starając się ukryć entuzjazm, który wywołała w nim zaistniała sytuacja.

Dwie minuty później wychowawca przyprowadził Kubę. Dyrektorka przedstawiła ich sobie i poszła. Zasiadli naprzeciw siebie przy okrągłym stole w jej gabinecie i milczeli chwilę. Dwunastolatek na oko wyglądał nawet na młodszego, był bardzo szczupłym blondynkiem z odrobinę puciołowatą buzią. Kiedy się witali, spróbował się nawet uśmiechnąć. Widać było po nim dobre wychowanie, ale przez wszystko, co robił, przeziarał głęboko wrośnięty smutek. My mieliśmy przynajmniej siebie, pomyślała Ania, on po utracie rodziców został kompletnie sam ze świadomością, że wprawdzie też ma gdzieś siostrę, ale gdzie i czy kiedykolwiek ją jeszcze zobaczy – tego nie wiedział.

– Jak ci tu jest? – zapytała po chwili.

– Dobrze – odpowiedział chłopiec, ale nie spojrzął na nią.

– Tu, w domu dziecka, fajnie? – do rozmowy włączył się Marcin. Nie wniósł zbyt wiele swoją wypowiedzią, ale chciał, żeby chłopiec usłyszał też jego głos.

Mały grzecznie pokiwał głową.

– Ale poza to już niezbyt...? – dodał po chwili brat Ani.

Chłopiec znów pokiwał głową, ale tym razem spojrzął na Marcina, jakby lekko zaskoczony tym, że ten wie o czymś, o czym on przecież nigdy nikomu nie powiedział.

Później rozmawiali jeszcze chwilę, poznawali się delikatnie i powoli zdobywali zaufanie chłopca. O to, co „poza”, nie zapytali go już jednak w żadnym momencie. Wiedzieli, że i tak nic im nie powie, a po takim pytaniu prawdopodobnie za to totalnie zasklepi się w sobie. W końcu umówili się, że za jakiś czas przyjadą znowu i zabiorą go do siebie do Warszawy na kilka dni. Ania wahała się chwilę, ale zdecydowała, że to zbyt ważne, by tego nie ujawnić. Nawet jeśli ta informacja trafi do dyrektorki, to nie będzie w tym nic przesadnie złego.

– My też jesteśmy z Marcinem sierotami, wychowywaliśmy się przez wiele lat w domu dziecka, takim jak ten, chyba trochę gorszym – wyznała. – Ale za to mieliśmy siebie. Tęsknisz za siostrą? Chłopak pokiwał głową, po czym jakby chwilę się namyślał; widać było, że informacja, że oni też są sierotami i do tego rodzeństwem, trafiła gdzieś głęboko.

– Przychodzi mężczyzna, pierwszy raz zaczepił mnie, jak byliśmy na wycieczce – powiedział nagle po chwili.

Oni przez moment milczeli, zaskoczeni.

– Nigdy więcej nie przyjdzie. – Ania położyła rękę na dłoni chłopca – Nigdy. Obiecuję ci.

Kuba powiedział im, że facet szantażuje go tym, iż jeśli komuś o nim powie, to on ujawni, że chłopak spotykał się z jedną ze starszych dziewczynek, a to jest u nich surowo zabronione. Uspokoił go, że żaden donos się nie pojawi, a nawet gdyby, to

oni mają bardzo dobre stosunki z panią dyrektorem, więc sprawa rozejdzie się po kościach. Potem wyjawiał im jeszcze, że kolejne spotkanie z tym mężczyzną ma mieć tego wieczora pod domem. Procedura była taka, że on wieczorem wykradał się z budynku, przechodził przez płot, za którym w samochodzie czekał już na niego tamten, wsiadał, a dalej... dalej Kuba nie chciał opowiadać, a oni nie musieli tego słyszeć, bo, przynajmniej Ania, znała to aż za dobrze z autopsji.

Wieczorem do samochodu pana Witolda, bo tak w wersji oficjalnej, na użytek Kuby, miał na imię jego oprawca, zamiast chłopca wsiadł Marcin, a chwilę póź niej także Adrian.

– Jedź – powiedział Marcin.

– Ale kto pan jest, o co panu chodzi? – Witold, który, jak się rychło miało okazać, tak naprawdę był Zbigniewem, próbował wyśmiać sytuację.

– Ja jestem twoim przeznaczeniem po wieczne czasy, a to... – Marcin wskazał na siedzenie z tyłu, na którym siedział Adrian – ...jest pan Adrian z policji, czyli twoje przeznaczenie doczesne. Jedz , bo ci wypierdolę w kły i będzie nam potem ciężko gadać.

Pojechali do lasu. Tego samego, do którego wcześniej facet woził Kubę. Tym razem jednak to jego powieźli. To znaczy prowadził sam, ale jechał tam, gdzie mu kazali. W lesie wysiedli. Na początek Marcin sprzedał mu kilka kopniaków, kopał jednak tak, żeby nie było żadnych, widocznych na pierwszy rzut oka śladów. Właściwie kopał głównie w jaja, bo jakoś przyszło mu do głowy, że zważywszy na przewiny gościa, jaja są niejako celem najtrafniejszym. Kiedy facet był już ledwie żywy, zaczęli rozmowę.

– Nazwisko? – Adrian zaczął w trybie profesjonalnym.

– Marciniak Zbigniew – odpowiedział po chwili tamten.

– Jesteś stąd? – kontynuował aspirant.

– Tak, mieszkam na osiedlu przy Lipowej. – Pedofil mówił nawet więcej, niż był pytany.

– Kto cię do niego wysłał? – zapytał Marcin, stojący za skulonym Marciniakiem.

Zapadła cisza.

– Kto cię wysłał, Zbigniu, do Kuby? – Marcin ponowił pytanie.

– Sam go znalazłem, chodzę tam czasami pod ten dom w Chorzenicach, patrzę sobie... Ja nad tym nie panuję ... – zaskamlał mężczyzna, który wszedł już tymczasem w rolę udręczonego chorego człowieka, bardzo żałującego za swoje czyny, który stara się być szczerzy do bólu.

– Nie pierdol. – Marcin nie kupił ani jego choroby, ani żalu za grzechy, ani przede wszystkim prawdomówności. – Kto?

Zbigniew milczał. Wiedział już, że dalsze próby wzbudzenia w nich współczucia nie przyniosą efektu, a wołał nie kłamać, bo to akurat mogło wywołać, szczególnie u tego młodszego, atak wściekłości.

– Kiblowałeś już kiedyś, Zbyszku? – włączył się do rozmowy Adrian.

– Nie, jestem niekarany – odpowiedział, patrząc w ziemię.

– No to, jeśli nam nie pomożesz, to cię zatrzymam, mały złoży zeznania, znajdziemy inne dzieciaki i pójdziesz pod celę na długo, a właściwie, co bardziej

prawdopodobne, na krótko, bo cię najpierw zgwałcą, a potem powieszą ... – Adrian też był mocno wkurzony.

– I tak pójde siedzieć – odpowiedział Zbigniew, po czym spojrzał na Adriana pytająco i dodał: – Przecież mi nie odpuścicie.

– Racja, ale można trafić pod różne cele i z różnymi zarzutami – częściowo potwierdził, a częściowo zaprzeczył policjant.

– Kolega jest z policji, więc działa i będzie działał zgodnie z prawem – odezwał się po chwili milczenia Marcin. – Ale ja nie jestem z policji, a kolega nie zawsze jest ze mną, więc do wyboru masz jeszcze to, że ja obetnę ci jaja, a potem wrzucę cię razem z nimi do pojemnika na odpady. W każdym razie, jak nam nie pomożesz, masz w chuj słabe opcje.

– Nigdy ich nie widziałem. – Facet się w końcu złamał. – Odezwali się do mnie w darknecie, potem wskazówki i pieniądze dostawałem regularnie do skrzynki pocztowej albo na spotkaniach.

– Jak jesteście ustawieni teraz? – Adrian wrócił do trybu śledczego.

Zbigniew milczał, zamknął przy tym oczy, tak jakby bał się zobaczyć uderzenie, zanim je poczuje.

– Jak?! – Uderzenie nie nadeszło, Marcin złapał go za szyję i zacisnął palce na krtani.

Po chwili, kiedy tamten zaczął fioletowieć, Adrian puknął go lekko w ramię w obawie, że Marcin zapomniał, co robi i zaraz udusi Zbigniewa na amen.

– Jeszcze jedna rata – wydusił z siebie pedofil.

Następnego dnia Adrian musiał wracać do Warszawy. Ania i Marcin zostali w oczekiwaniu na to, kiedy i gdzie Zbigniew umówi się na przekazanie ostatniej należności za wykonanie zlecenia, które zresztą, zważywszy na jego zboczone preferencje, wypełniłby prawdopodobnie i bez płacenia – więcej, chętnie nawet sam by za nie zapłacił. Układ, można by rzec, dla niego i pewno dla wszystkich poprzednich, włącznie z nieżyjącym już Jarosławem, idealny. Nie dość, że dostawał wszystko gotowe i na tacy, to jeszcze do tego płacono mu za to, co robił. Żyć, nie umierać. Nic dziwnego, że zawsze, w każdym z pięciu związanych z tą sprawą miejsc, znajdowali się chętni do tego, żeby wypełnić tę misję.

Zbigniew odezwał się do nich po trzech dniach. Wcześniej Marcin i Ania zastanawiali się, jakie jest prawdopodobieństwo, że pedofil spróbuje uciec albo że podkabluję na nich do tamtych. Uznali, że nie jest duże, bo facet miał przecież świadomość tego, że został namierzony, że chłopiec, a pewno też i inne dzieciaki zeznają, że wyciągną go choćby spod ziemi i że wtedy nie będzie już miał cienia szansy na przeżycie. No ale bywa, że ludzie zachowują się irracjonalnie, właściwie większość przestępców tak ma. Teoretycznie nieuniknioność kary powinna ich odwozować od popełniania przestępstw, bo nieomal każdy w końcu kiedyś wpadnie i pójdzie na dłużej albo krócej za kraty. Magia słowa „nieomal” być może jest w tym wszystkim kluczowa. Wielu, o ile nie większość, przestępców uważa się za tak wyjątkowych, że to właśnie oni trafią do grupy „nieomal* i to ich owa reguła nieuniknioności ominie.

- Mamy się spotkać jutro o szesnastej w kawiarni Borelli na Trzeciego Maja. – Adrian usłyszał w słuchawce głos, który przyprawił go o mdłości.
- Jeszcze jakieś szczegóły? – zapytał.
- Stolik przy wejściu po prawej – odpowiedział po chwili milczenia tamten.
- Dobrze. – Adrian pokiwał głową.
- Co będzie potem? – zapytał niepewnie Zbigniew.
- Potem zostaniesz zatrzymany, dostaniesz zarzut molestowania, ale też dobrego papugę i może jako okoliczność łagodzącą to, że cię do tego wynajęli. Jak sobie to dobrze ułożycie, to papuga to wynajęcie przerobi na nakłanianie albo zmuszenie – zreferował możliwe opcje Adrian, po czym dodał: – Więc, chociaż rzygać mi się chce na myśl o tobie, to może się nawet w miarę wywiniesz.
- Dziękuję – odpowiedział szczerze Zbigniew.
- Spierdalaj. – Adrian też nie skłamał.

Adrian przyjechał z Warszawy następnego dnia rano. Ustalili, że nie mogą całej akcji przeprowadzić na własną rękę, bo będą z tego potem problemy. Choć zbyt wczesne zawiadomienie policji, zważywszy już choćby na fakt, że zamordowani byli zawsze związani z działalnością społeczno-polityczną, co mogło wskazywać na to, że i mordercy byli jakoś umocowani w strukturach państwa albo służb, groziło dekonspiracją. Finalnie zdecydowali więc, że lokalne organy ścigania zawiadomią najpóźniej jak się da, najlepiej w ostatniej chwili.

Zbigniew umówił się ze swoim zleceniodawcą w kawiarni o szesnastej. Niestety, wszelkie ustalenia nie były czynione przez telefon, a przez kontakt na jednym z głęboko zakonspirowanych pedofilskich forów w darknecie. W związku z tym nie istniała możliwość dotarcia do zleceniodawcy przez wyśledzenie jego telefonu bądź komputera. Pozostawało złapać go w realu, na gorącym uczynku, czyli przy przekazywaniu Zbigniewowi pieniędzy za zrealizowanie zlecenia. Oczywiście to samo w sobie nie było jeszcze dowodem w sprawie o wielokrotne zabójstwo i o zlecenie molestowania dzieci innym pedofilom, ale mając człowieka, resztę kwitów na niego powinno być już znacznie łatwiej odszukać.

Podzielili się na trzy jednoosobowe zespoły. W tym konkretnym przypadku Ania i Marcin zdali się na doświadczenie Adriana, który przeprowadził już w swoim zawodowym życiu niejedną tego typu operację, choć stawka w żadnej z nich nie była tak wysoka. Adrian czekał na zewnątrz, siedząc na ławce przy ulicy, w pewnej odległości od lokalu i z doskonałym widokiem na całość sytuacji, Marcin był w środku i zajmował stolik oddalony o kilka metrów od stolika Zbyszka. Miejsce wybrali tak, że on widział stolik Zbyszka przez cały czas, natomiast z tamtej pozycji trudno było dostrzec jego. Ania siedziała w samochodzie zaparkowanym przy ulicy nieopodal. Ona też widziała całą sytuację, silnik jej bmw miał być cały czas na chodzie, bo mogło zdarzyć się i tak, że wystraszony sprawca podejmie ucieczkę, a wtedy auto mogłoby się okazać niezbędne. Istotą ich planu było przede wszystkim to, żeby oni widzieli wszystko, a jednocześnie pozostawali niewidoczni dla tego, kto przyjdzie na spotkanie z pedofilem. Wyszli bowiem ze słusznego skądinąd założenia, że oprawca prawdopodobnie doskonale wie, jak oni wyglądają i to stanowi jego poważną przewagę.

Morderca wysiadł z autobusu na przystanku znajdującym się przy skrzyżowaniu nieopodal. Był to ten sam człowiek, który przyglądał im się wcześniej kilka razy, dlatego na początek rozejrzał się wkoło, ale nie dostrzegł żadnego zagrożenia, więc ruszył powoli w stronę znajdującego się około stu metrów dalej wejścia do kawiarni. Szedł niespiesznie, cały czas czujnie się rozglądając. Nie spodziewał się żadnego konkretnego zagrożenia, ale miał osobowość skonstruowaną tak, że właściwie zawsze w tego typu okolicznościach zachowywał maksymalną czujność. Na ulicy był tłum

ludzi, którzy wyszli z pracy, szli na zakupy albo wracali już do domów. Panował typowy o tej porze wzmożony ruch, co chwila ktoś kogoś potrącał, ktoś zachodził komuś drogę.

Również o szesnastej Adrian sięgnął po telefon i zadzwonił na numer 1 1 2 . Kiedy zgłosił się dyżurny, przedstawił się, podał swój numer służbowy i poprosił o przełączenie do wydziału kryminalnego komendy miejskiej. Komisarz, który odebrał, zaskakująco szybko zrozumiał, co Adrian do niego mówi, i powiedział, że w tej okolicy powinny być co najmniej dwa patrole, które natychmiast udadzą się na miejsce.

Kilkadziesiąt sekund później dało się słyszeć policyjne syreny i pod lokal zajechał pierwszy patrol w nieoznakowanym samochodzie, ale z kogutem na podszybiu. Zabójca, który już miał przejść ulicę i udać się do kawiarni, zamiast to zrobić, nagle się zatrzymał, rozejrzał wokoło, odwrócił i szybkim krokiem ruszył w przeciwną stronę. Po chwili zatrzymał się w tłumie i przyglądał się temu, jak rozwine się sytuacja.

Tymczasem kiedy Zbigniew usłyszał syreny, a potem zobaczył zatrzymujące się przed lokalem dwa samochody patrolowe policji, nagle wstał i ruszył do bocznego wyjścia z kawiarni. Sekundę po tym, jak z niej wyszedł, puścił się biegiem w boczną uliczkę na tyłach kawiarni i zniknął z pola widzenia Marcina i Adriana.

Zbigniew, biegnąc ile sił w nogach, zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Policja zjawiała się, zanim przyszedł ten, na kogo czekał. Gdyby zatem ujęli go w tym momencie, do czego niechybnie by doszło, cały argument o jego pomocy udzielonej organom ścigania szlag by trafił i nie byłoby już żadnej okoliczności łagodzącej. Choć tamci i tak mieli jego wszystkie dane, więc ujęcie go teraz przez policję będzie już tylko kwestią czasu. Człowiek ma jednak z reguły wbudowany mechanizm, który każe mu uciekać tak długo, jak tylko jest to możliwe, i to nawet jeśli ucieczka jest tylko na chwilę, i nawet jeśli może pogorszyć jego status w przyszłości. Zbigniew więc biegł, a przez jego głowę przelatowały tysiące przerażających myśli. Biegłby tak pewno jeszcze dłuższą chwilę, dopóki starczyłoby mu pary w płucach, gdyby nie to, że nagle poczuł, jak jakaś duża siła popchnęła go z boku, gwałtownie, zmieniając kierunek jego biegu. Wtedy przewrócił się i uderzył głową w drzewo, a potem już nie czuł zbyt wiele, może jedynie ciepło krwi lejącej się z jego gardła wprost na chodnik.

Pół godziny później wokół tego miejsca krzątało się kilkunastu funkcjonariuszy lokalnej policji, nieco dalej, oddzielony białą-czerwoną taśmą, kłębił się spory tłumek gapiów. Centrum zamieszania stanowił leżący na trotuarze Zbigniew. Mężczyzna nie miał już jednak o tym pojęcia, bowiem nie żył.

Ania z Marcinem i Adrianem dotarli na miejsce mniej więcej piętnaście minut wcześniej i teraz aspirant Nowaczyk próbował wyjaśnić komendantowi policji w Suchedniowie, skąd mieli informacje, które przekazał dyżurnemu, dzwoniąc na numer alarmowy, i przede wszystkim, dlaczego w ogóle je mieli i jak to się stało, że się tu znaleźli. Sprawa była tak zawiła, że komendant z trudem nadał za tłumaczeniem, a co gorsza nie czuł się za bardzo przekonany co do słuszności i przede wszystkim legalności ich dotychczasowych działań.

Oni natomiast mieli problem innej natury. Dziwiło ich ogromnie, jak to możliwe, że policja zjawiała się tak szybko. W ich mniemaniu to właśnie zjawienie się funkcjonariuszy i towarzysząca temu ostentacja spowodowały, że akcja się nie powiodła, że morderca nie doszedł do kawiarni, a zamiast tego stanął na drodze uciekającego Zbigniewa i najprawdopodobniej go zabił. Plan był zgoła inny, młodzi z Adrianem zamierzali ująć sprawcę samodzielnie i przekazać go policji, która w normalnych okolicznościach zjawiałaby się pod kawiarnią kilka minut później. Tu jednak policja była na miejscu niemalże zanim Adrian zdążył rozłączyć się z dyżurnym. Niefortunny zbieg okoliczności, że patrol akurat przejeżdżał pod kawiarnią? Może, ale na miejscu zjawily się nie jeden, a dwa patrole. Dwa patrole przejeżdżały akurat pod kawiarnią? Istnieje chyba jakaś granica, za którą prawdopodobne lub możliwe zmienia się w zbyt nachalne, by mogło być potraktowane jako przypadek.

– Będę musiał przesłuchać tych młodych ludzi. Jeśli chodzi o pana, to proszę samemu zdecydować; mogę pana trzymać poza sprawą, bo jak już wpiszę to do protokołu... – Komendant policji w Suchedniowie zmarszczył brwi.

– ...to będę miał kłopoty – dokończył Adrian, po czym dodał, jakby pogodzony z losem: – Trudno, tego i tak nie da się długo utrzymać w tajemnicy.

– W każdym razie, gdyby pana tu nie było – komendant lekko się rozchmurzył – to oni trafiliby nie na rozmowę do nas, tylko skuci pojechaliby na dołek.

– Wiem. – Adrian pokiwał głową. – Dobrze, że nie pojedą skuci, bo ta dwójka młodych ludzi szuka sprawiedliwości tam, gdzie myśmy jej dla nich nie znaleźli.

– Nie rozumiem. – Komendant popatrzył na Adriana i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

Komenda rejonowa w Suchedniowie mieściła się przy ulicy Berezów i była zaadaptowanym na potrzeby policji domkiem jednorodzinny. Już na parkingu pod budynkiem widać było, że wydarzyło się coś grubszego niż zazwyczaj, bo liczba samochodów zdecydowanie przekraczała liczbę przewidzianych dla nich miejsc. W środku było nawet gęściej niż na ulicy przy zwłokach Zbigniewa. Zjechała tu już chyba połowa łódzkiej komendy wojewódzkiej. Patrząc zaś po klasie aut ustawionych na zewnątrz, od razu można było założyć, że z Łodzi przyjechały też policyjne szychy.

Tak było w istocie i właściwie od razu po wejściu do budynku młodzi razem z Adrianem zostali zabrani przez jednego z policjantów na rozmowę z samym łódzkim komendantem wojewódzkim.

– Co tu się odpierała? – Niski, korpulentny mężczyzna w mundurze z białym sznurkiem biegnącym od guzika do pagonu zaczął rozmowę od pytań konkretnych i przyziemnych. – Pojebało was?

– To rodzeństwo z moją niewielką pomocą prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa swoich rodziców przed laty – odezwał się Adrian.

– Pomaga pan w prowadzeniu nielegalnego dochodzenia? – Komendant wojewódzki udał zdziwienie.

– Nie, panie komendancie, dochodzenie nie jest nielegalne, chyba że sama próba dotarcia do prawdy jest u nas nielegalna, ale nic mi o tym nie wiadomo. – Adrian postanowił się postawić. Zrobił to też trochę na pokaz przed Anią, ale zasadniczo po prostu powiedział to, co myśli.

– Pan Marcin Piotrowski, z tego co mi wiadomo, w ramach prowadzenia tego legalnego dochodzenia pobił świadka, który następnie zmarł. – Komendant błysnął wiedzą o sprawie.

To zaniepokoiło ich wszystkich, bo jeśli wojewódzki z Łodzi wiedział tak dużo, to oznaczało, że już naprawdę trafili pod lupę organów.

– To demagogia – odezwał się nagle Marcin, a Ania spiorunowała go spojrzeniem.

– Słucham? – Komendant najwyraźniej nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

– Łączenie śmierci pedofila z tym, że ja znacznie wcześniej sprzedałem mu kilka kopniaków, to jest demagogia. Albo manipulacja, jak pan woli. – Marcin patrzył hardo na komendanta.

Ten zastanowił się chwilę. Nie był złym policjantem, poza tym był myślącym człowiekiem, więc w jakimś sensie dotarło do niego to, że chłopak ma rację.

– Ile czasu upłynęło od pobicia do zgonu? – zapytał, z czego jasno wynikało, że sam być może został wcześniej poddany lekkiej dezinformacyjnej indoktrynacji.

– Dwa tygodnie, i nie było żadnego pobicia, tylko kilka kopniaków, a faceta ktoś zarznął jak prosiaka, utopił w wannie i podpalił. To ja wezwałem policję, od razu, jak

się tam zjawiłem i zobaczyłem, co jest – wyjaśnił Marcin, po czym dodał na dobiecie: – Sekcja wykazała, że nie żył już od dwóch godzin.

– A po co się pan tam zjawił? – Komendant trochę już się wciągnął i zaciekawiał.

– Żeby ustalić, kto zlecił pedofilowi jego pedofilskie działania przed laty – wyjaśnił logicznie Marcin.

– Dochodzenie z prawidłowo wywiedzioną logiką śledczą. – Komendant się uśmiechnął, a im lekko ulżyło. Przez chwilę im się przyglądał. – A tu co? – zapytał w końcu.

– Z grubsza to samo – odezwał się Adrian, który zorientował się, że aby przynajmniej choć na chwilę ocalić robotę, musi wziąć udział w tej rozmowie.

Schować już się nie dało, zresztą chowanie się nie leżało w jego naturze. Teraz musiał przekonać wojewódzkiego, że po pierwsze, młodzi mają rację, a po drugie, że w zasadzie nie zrobili nic nielegalnego. Przy czym określenie „w zasadzie“ było tu kluczowe.

– Czyli? Też pedofil? – zainteresował się komendant.

– Tak, tylko to znacznie świeższa sprawa. – Ania po raz pierwszy włączyła się do rozmowy. – Tu też było zabójstwo rodziców, egipskie hieroglify na ścianach mieszkania, a dzieciak z rozdzielonego wcześniej rodzeństwa trafił do domu dziecka, gdzie następnie również był nękanym przez pedofila, którego ktoś do niego wysłał. Tyle że tutaj rzecz działa się teraz, więc...

– Skąd wiecie, że był nękanym i przez kogo? – przerwał gwałtownie jej wypowiedź komendant.

Na to pytanie odpowiedź była najtrudniejsza, ponieważ rozpylanie dzieciaka o takie rzeczy było akurat mocno nielegalne. Wiedziała to cała trójka, a najlepiej wiedział to aspirant Adrian Nowaczyk, a to do niego właśnie swoje pytanie skierował teraz podinspektor Malinowski, czyli łódzki komendant wojewódzki.

– Aspirant Nowaczyk nie ma z tym nic wspólnego. – Ania nadciągnęła z odsieczą. – To ja z bratem rozmawialiśmy z Kubą... to znaczy z chłopcem.

Przez moment zapanowała atmosfera ciężka od perspektyw przyszłych zdarzeń.

– My z Marcinem przeżyliśmy to samo. – Ania zrozumiała, że albo wyratuje ich teraz szczerością, albo będzie po nich. – Marcin miał dziesięć lat, kiedy trafiliśmy do domu dziecka w Warszawie, ja dwanaście, do nas też przyszedł taki człowiek... Chcieliśmy Kubę przed tym uchronić, może też kolejne dzieciaki... To boli, z czegoś takiego naprawdę ciężko się potem podnieść.

Adrian i Marcin popatrzyli po sobie. Chyba żaden z nich jeszcze nigdy nie widział Ani w przychylnym takiej szczerości.

Mały, krępy podinspektor Malinowski przyglądał jej się przez chwilę, a przeznaczenie wisiało nad nimi na cienkim włosku.

– Chłopak sam wam o tym powiedział, kiedy przyszliście wypytać, jak mu jest i kiedy chcieliście go tylko wesprzeć? – W końcu nagle bardziej stwierdził, niż zapytał.

– W sumie dokładnie tak było. – Marcin entuzjastycznie pokiwał głową.

– Dobrze, to już wiemy, a co się stało tutaj, pod tą cholerną kawiarnią? –

kontynuował komendant, jakby tamtego wątku w ogóle nie było.

– Miało dojść do opłacenia ostatniej należności dla pedofila za to, co robił Kubie... – zaczęła znów Ania.

– To już chyba sprawa dla lokalnej policji – przerwał jej komendant.

– Tak, dlatego właśnie zawiadomiliśmy komendę, wydział kryminalny i wtedy... – Adrian zaczął relacjonować, ale po chwili urwał.

– Wtedy? – dopytał Malinowski.

– Wtedy w ciągu kilkunastu sekund od powiadomienia zjawily się dwa patrole, które spłoszyły zleceniodawcę, czyli prawdopodobnego zabójcę, pedofil też się wystraszył, zaczął uciekać, a potem... potem znaleźli go w tej uliczce z podezrzanym gardłem – wyłuszczył całość Marcin.

– Czyli? Co pan... co państwo sugerują? – Twarz komendanta znów stężała w gniewie.

– Zawiadamiając kryminalnych, wspominałem, że to jest sytuacja wymagająca dyskrecji... – dodał Adrian, wychodząc z założenia, że jeśli już powiedziało się „A”, to trzeba powiedzieć „B”. – A oni tej dyskrecji nie zachowali, poza tym zjawili się tam w dużej liczbie w bardzo krótkim czasie.

– Kret w policji współpracuje z wielokrotnym zabójcą, który do tego nasyła pedofili na dzieci i płaci im za to? – Komendant popatrzył na nich z niedowierzaniem.

– Ten, kto współpracuje, mógł nie wiedzieć, może zresztą nadal nie wie, z jak bardzo złymi ludźmi wdał się w układ. – Ania wymyśliła sprytny wymyk z sytuacji.

– Nie wkurwajcie mnie, bo już dość mnie dziś wkurwiliście. – Do komendanta jej wymyk najwyraźniej nie przemówił. – Moim zdaniem było zupełnie inaczej. Wasz szlak bojowy, z tego, co się zdążyłem zorientować, znaczony jest ofiarami. Ten pedofil tutaj nie jest pierwszy, wcześniej był pedofil w Warszawie i kobieta w Rawie. Myślę, że jesteście śledzeni, a jak się gdzieś zbliżacie, to on czy oni czyszcza to, co muszą, żebyście nie zaszli za daleko. Może być taka interpretacja? – Spojrzał na nich, teraz już naprawdę zły.

– Niestety może. – Ania pokiwała głową ze smutkiem.

– Ale to nadal nie wyjaśnia, skąd się tu wzięły dwa patrole w pół minuty po telefonie aspiranta. – Marcin nigdy się nie poddawał.

– Były w pobliżu – odpowiedział komendant, patrząc mu groźnie prosto w oczy.

– Gdyby rzeczywiście ktoś go zabił dlatego, że nas śledził, to zrobiłby to wcześniej, a nie czekał do ostatniej chwili i robił to na oczach policji, chyba że policja nie miała nic przeciwko temu, ale wtedy patrz punkt pierwszy. – Marcin najwyraźniej się nie przestraszył.

– Radzę państwu szybko stąd zmykać, dopóki nie skończy się moja czy kolegów cierpliwość. Od tego momentu właściwi ludzie będą się zajmowali właściwymi sprawami. – Komendant powoli zaczął tracić spokój.

– Po pierwsze, właściwi ludzie zajmowali się już tą sprawą i zresztą może by ją doprowadzili do końca, mówię o komisarzu Malewskim z Warszawy, gdyby nie to, że ktoś przed laty postanowił to śledztwo zakończyć w pół słowa. – Ania na wszelki

wypadek ubiegła brata, na którego komendant był już porządnie wkurzony. – Po drugie, mamy w swoim składzie właściwego człowieka, a nawet kilku.

Ania zerknęła na Adriana, który pokiwał głową, choć prawdopodobnie wiedział, że właśnie znów ryzykuje swoją karierę.

– Pani zdaje się wyciągnęła brata z bidula na lewy akt urodzenia, zgadza się? – powiedział nagle komendant, a ich zmroziło. – A pan? – Spojrzał na Adriana. – Nie lubi pan swojej roboty?

Adrian nie odpowiedział, bo co mógł właściwie odpowiedzieć?

– Do widzenia państwu. – Komendant nie miał już najwyraźniej ochoty dalej toczyć z nimi tej dyskusji, a to, co powiedział wcześniej, czyli że mają stąd zniknąć, pozostawało w mocy. Na koniec podkreślił to zresztą jeszcze raz, obdarzając ich zimnym spojrzeniem, po czym wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi z mocnym przytupem.

Pozostała w pomieszczeniu trójka popatrzyła po sobie.

– Musisz się odciąć od nas i od tej sprawy – odezwała się po chwili Ania, patrząc na Adriana.

– Pozwolisz, że sam zdecyduję, co muszę? – odpowiedział.

– Nie chcę mieć poczucia, że przeze mnie czy przez nas wylecia łąć z policji. – Ania nie ustępowała.

– Nie chcę pracować w takiej policji – odpowiedział, zamykając przynajmniej tę część dyskusji.

– No dobra, policja policją, a są rzeczy do zrobienia. – Marcin przerwał milczenie, które zapanowało między nimi po ostatniej wymianie zdań. – Co mamy?

Żadne z nich nie odpowiedziało, ale okazało się, że pytanie tak naprawdę było retoryczne, bo to Marcin miał z góry przygotowaną na nie odpowiedź.

– Mamy tutaj zabójstwo z dziwną historią policyjną w tle, jednocześnie wiemy, że wszyscy zamordowani rodzice byli zaangażowani w sprawy społeczne, a też i pewnie polityczne. Nie łączy ich przynależność partyjna, byli w różnych partiach, czasem nie należeli do żadnej, więc musi ich łączyć coś innego, jakaś inna przynależność, a może jakiś konkretny człowiek. Do tego jest wątek kazirodczy i to, że dzieciaki już wcześniej był y sierotami z rozbitych rodzeństw. No i mamy tego typu z Gabrielina. Myślicie, że nasz jedyny dobry policjant, oprócz oczywiście pana, panie aspirancie, ma już coś dla nas?

To ostatnie pytanie znów było zadane samemu sobie, bo Marcin natychmiast sięgnął po telefon, żeby osobiście uzyskać na nie odpowiedź .

Malewski faktycznie miał już coś dla nich. Kazimierz Pawlik z Gabrielina w siedemdziesiątym szóstym roku był podejrzewany o molestowanie młodych podopiecznych z państwowego domu dziecka w Gabrielinie. Sprawa została wprawdzie umorzona z braku dowodów, ale dom dziecka chyba przestał się cieszyć życzliwością władz partyjno-państwowych, bo kiedy w siedemdziesiątym ósmym chciano jeszcze raz przesłuchać jego pracowników, to placówki już nie było.

- No i bingo – skwitował krótko nowo nabytą wiedzę Marcin.
- Ale co bingo, był podejrzany, a podejrzany to nie skazany, o domniemaniu niewinności słyszałeś? – Adrian próbował bronić przegranej sprawy.
- Do dziś skazać kogokolwiek za pedofilię to nie lada wyzwanie. Dzieciaki boją się mówić, reszta ćwiczy pieprzoną omertę, bo wszyscy są umoczeni i chuj, a wtedy, czterdzieści lat temu? – Marcin się rozsierdził.
- Jak ty się wyrażasz? – Ania wychowywała go nieprzerwanie. Ktoś w końcu musiał.
- Czterdzieści pięć lat temu. – Pokonany Adrian pokiwał głową.

Do Warszawy wracali w mieszanych nastrojach. Z jednej strony mieli nowego podejrzanego, a w każdym razie kogoś, kto mocno wiązał się ze sprawą. Wiazał się geograficznie, co wynikało z rozrysowań, których dokonał na mapie Marcin i które w swoim czasie tak rozsierdziły Adriana, ale też, co już nie mogło być przypadkowe, wiązał się ze sprawą kontekstowo. Wiele wskazywało na to, że historia wrastała korzeniami w zamierzchłe lata. Kazimierz Pawlik z Gabrielina mógł być zatem albo sprawcą zbrodni, które tropili, albo w każdym razie mógł wiedzieć coś, co naprowadzi ich na sprawcę. Z drugiej strony chwilę przed tym, jak wsiedli do samochodów, do Adriana zadzwonił komendant wojewódzki z Warszawy. Przełożony nakazał mu, po pierwsze, natychmiastowe wycofanie się ze sprawy, a po drugie, wymusił na nim obietnicę, iż zadba o to, że z prowadzenia dochodzenia zrezygnują też Ania i Marcin. Sytuacja była nader trudna, bo młodzi oczywiście nie zamierzali z niczego rezygnować i nigdy by tego nie zrobili, ale fakt, że stawką, teraz już w sposób oczywisty, stała się dalsza kariera policyjna Adriana, nieco zmieniał postać rzeczy.

– Co robimy? – zagaiła Ania.

Mogli rozmawiać swobodnie, bo jechali z Marcinem tylko we dwoje. Adrian, jak zwykle daleko za nimi, kołatał się do Warszawy swoją służbową kią.

– Nie wiem, musimy przynajmniej udać, że odpuszczamy. Jak dojedziemy, ja idę przytwarzować na dozór, potem przycupniemy. Może Malewski pociągnie trochę sam, jemu mogą skoczyć – zaproponował Marcin.

– Podjedźmy do niego – odpowiedziała Ania po chwili namysłu. – Może coś nam zaproponuje.

Była siedemnasta i Malewski znajdował się akurat w pikcie swojej dziennej formy. Ranki były trudne, bo po trzech czwartych whisky i kilku piwach na dobiecie poprzedniego dnia nikt nie byłby rano w dobrej formie, a jeśli robiło się to regularnie, to zmęczenie wątroby powodowało, że ranek przedłużał się co najmniej do wczesnego popołudnia. Oczywiście pod warunkiem, że znów piło się whisky, a w perspektywie były piwa na dobiecie. Około siedemnastej obroty były najwyższe, struty pod korek organizm na moment wynurzał się z odmętów toksyny i przez jakieś pół godziny jego właściciel, komisarz Malewski, odkrywał piękno świata, które następnie w okolicach dziewiętnastej tonęło na powrót, tym razem w odmętach mgły i podwójnego widzenia.

– Znam gościa, który był wtedy wysoko w strukturach w Kieleckim – oznajmił z uśmiechem na twarzy. – Trzeba będzie z nim pogadać, może pamięta coś więcej z tamtej sprawy w Gabrielinie albo nakieruje nas na kogoś, kto to wtedy prowadził.

– A co z nami? – zapytała nieśmiało Ania.

– W jakim sensie? – Malewski najwyraźniej zapomniał, o czym wcześniej rozmawiali przez telefon.

– No kazali nam odpuścić sprawę, a właściwie Nowaczykowi kazali, żeby nas od niej odciągnął – przypomniał Marcin.

– To się nigdzie nie kręćcie, nie wtykajcie nosa przez jakiś czas, zaraz i tak zapomną, oni tam o wszystkim zapominają – uspokoił ich komisarz i dolał sobie do szklanki, żeby uspokoić też siebie. Po chwili dodał, wskazując szklanką na Marcina: – Niech on tylko łązi tam na te dozory i będzie cacy.

– Czemu tak zagięli na nas parol? No i czemu tam w Suchedniowie zjawili się tak szybko? – Marcin przywołał temat, który nie dawał mu spokoju.

– Nie wiem, to akurat rzeczywiście dość śmierdzi i tym bardziej akurat tego nie ruszajcie, nie dźbacie w tym. Co ma wyjść, i tak w końcu wyjdzie – odpowiedział Malewski po chwili namysłu.

Fakt, iż Malewski też wyczuł smród w sprawie, spowodował, że kiedy jechali na komendę, żeby Marcin podpisał się w książce dozorów, chłopak cały czas się nad tym zastanawiał. Dziwne zachowanie policji tam i tu łączyło mu się w głowie z faktem działalności społecznej albo politycznej wszystkich zamordowanych osób, z wyjątkiem ich rodziców, oboje jednak już dawno uznali, że sprawa ich rodziców odstawała od schematu w bardzo wielu innych miejscach.

– Ten ktoś ma w chuj silne plecy – powiedział nagle.

– Co? – zapytała Ania, której myśli zajęte była czymś zupełnie innym.

– Zabójca, może grupa zabójców, oni mają, moim zdaniem, jakieś dojście do psiarni – wyjaśnił.

– Przesadzasz – odpowiedziała. – To, że nas utracają z tej sprawy, to normalne, policja nigdy nie lubi, jak ktoś niepowołany im się łąduje w temat i tyle, nic poza tym.

– Może. A to, że się tam zjawili tak szybko, i wywalili całą operację? – Marcin był z natury logicznie nieustępliwy. – A to, że Malewskiemu kazali wtedy zaprzestać działań, mimo że sprawa była rozwojowa?

– Patrole to przypadek. Miasto wielkości znaczka pocztowego, patrole zawsze są w centrum, zresztą to centrum to dwie ulice na krzyż, więc byli, bo zawsze gdzieś tam są. Trzeba było może po prostu zadzwonić chwilę później, ale mądry Polak po szkodzie – wyjaśniła Ania ze spokojem i zatrzymała samochód na małym parkingu przed wejściem do komendy. – Idź, podpisz i jedziemy do domu coś zjeść.

Marcin pokiwał głową, wciąż nie bardzo przekonany jej argumentacją, po czym wysiadł i ruszył do wejścia.

W środku był o rutynowo. Dyżurny wydał mu książkę dozorów, podał jednorazową rurkę do alkomatu. Marcin wpisał godzinę, podpisał się i podszedł do maszyny zamontowanej na ścianie. Dmuchnął raz, ale za krótko, więc dyżurny pokiwał głową, żeby powtórzył. Kiedy powtarzał czynność, nagle poczuł za sobą czyjąś obecność. Okazało się, że za jego plecami stało dwóch mundurowych.

– Jesteś zatrzymany jako podejrzany w sprawie fałszowania dokumentów – powiedział jeden z nich i sięgnął do pasa po kajdanki.

Widać było wyraź nie, że mundurowemu nie chciało się robić ani jednego, ani drugiego, albo może nie tyle mu się nie chciało, co po prostu nie chciał, lecz musiał.

– Ale jakich dokumentów, o co wam chodzi? – Marcin próbował się bronić.

Kiedy zapinali mu kajdanki, zaczął się szarpać.

– Posłuchaj, synku. – Jeden z policjantów złapał go za ramię nieco mocniej. – Może nic nie fałszowałeś i wyjdiesz stąd przed upływem czterdziestu ośmiu godzin, ale jak zaczniesz się z nami napierdalać, to tamto przestanie już mieć znaczenie. Rozumiesz?

Marcin pokiwał głową. Skuli go. Nie wiadomo zresztą za bardzo po co, bo po chwili i tak ruszyli z nim korytarzem w głąb komendy, a potem po schodkach w dół, czyli na dołek mieszczący się, jak sama nazwa wskazuje, na dole.

Ania zaczęła się niepokoić po pięciu minutach, po ośmiu weszła do budynku komendy, ale zanim to zrobiła, tknięta przecuciem wybrała numer Adriana.

– Gdzie jest mój brat? – zapytała dyżurnego, który siedział za szybą, oglądał mecz i miał wszystko, nie wyłączając jej, w głębokim poważaniu.

– Kto? – zapytał, nawet na nią nie patrząc.

– Mój brat, gdzie jest? Wszedł tu kilka minut temu podpisać dozór i nie wyszedł, a tu go nie widzę, więc gdzie jest?! – Ania zaczynała być lekko wnerwiona.

– Nie upoważniono mnie do udzielania informacji osobom postronnym – bąknął tamten.

– Nie jestem osobą postronną, tylko jego siostrą, najbliższą rodziną, rozumie pan?

– wyjaśniła, wciąż jeszcze starając się trzymać nerwy na wodzy.

– Najbliższa rodzina to rodzice. Idź po rodziców, to im powiem. – Dyżurny znów był bardziej zajęty meczem, niż jej interwencją.

– Tylko że widzisz, złamasie, po pierwsze, na jednym gównie się z tobą nie ślizgałam, żebyś mnie tu tykał, a po drugie, nasi rodzice nie żyją, bo zostali zamordowani, a ty, zamiast szukać sprawców, oglądałeś pewnie jakiś gówniany mecz! – Teraz Ania była już znów sobą.

Dyżurny oderwał się od telewizora, sięgnął po pałkę służbową i ruszył do wyjścia z kantorka. Kiedy się z niego wygramolił, ku jego zaskoczeniu Ania wciąż stała dokładnie tam, gdzie wcześniej i nawet przez myśl nie przeszło jej się ruszyć.

– Nie ma starych i nikt ci chyba dawno skóry nie przetrzepał, co? – warknął do niej wściekle.

– Tknij mnie tylko, a pójdziesz robić na myjni, fajansie. – Ania zaś dla odmiany wydawała się zupełnie spokojna. – Gdzie jest, kurwa, mój brat?!

Dyżurny ruszył w jej stronę, teraz już wyraźnie pełen złych zamiarów.

– Gdzie jest jej brat, posterunkowy?! – Usłyszeli w tym momencie oboje dobiegający od strony drzwi, donośny jak nigdy głos Adriana.

Dyżurny zamarł w bezruchu z pałką wzniesioną do uderzenia, którego nie dość, że nie mógł już teraz zadać, to co więcej, musiał udać, że nigdy nie zamierzał tego zrobić.

– Chcieliście użyć przymusu bezpośredniego wobec tej pani? – Adrian podszedł do niego blisko.

– Nic podobnego. – Dyżurny schował pałkę za siebie. – Brat został zatrzymany.

– Pod zarzutem? – Adrian podszedł jeszcze bliżej.

– Nie wiem, ja go nie zatrzymywałem, coś chyba mówili o fałszowaniu dokumentów. – Dyżurny uległ zdumiewającej metamorfozie.

– Prokurator? – Adrian był naprawdę rozsierdzony. – Kto, kurwa, to prowadzi?!

– Może sprawdzę? – zaproponował posterunkowy.

– Bylibyśmy zobowiązani. – Adrian trochę się uspokoił i spojrzał z troską w stronę strapionej Ani.

Od prokuratora dowiedzieli się, że o sprawie poinformował go niejaki podkomisarz Bolkowski z komendy rejonowej na Mokotowie. Jako że chodzi o fałszowanie dokumentów urzędowych, to on musiał podjąć sprawę z urzędu. Teraz zawniósł do sądu, żeby do sprawy Marcin pozostawał w jurysdykcji ośrodka poprawczego dla młodzieży w Wieliczce. Sąd najprawdopodobniej do wniosku się przychyli, bo to raczej formalność.

– Czyli? – zapytała Ania, patrząc w mokrą od deszczu przednią szybę swojego samochodu.

Siedzieli tam już od dobrej chwili, podczas której Adrian próbował dzwonić, gdzie tylko się dało, ale na razie, oprócz tego, że uzyskał wiedzę od prokuratora, niewiele wskórał. Telefon podkomisarza Bolkowskiego, który dostał od dyżurnego komendy głównej, nie odpowiadał. Nikt też z niego nie oddzwaniał.

– Czyli wygląda na to, że ktoś się wziął – przyznał lekko podłamany Adrian.

– Kto to może odkręcić? – Ania spojrzała na niego.

– Chyba sam Bóg. – Adrian lekko się uśmiechnął. – Czyli główny, ale do niego i tak nie mamy, jak się dostać. Telefonu też nam raczej nie dadzą.

– Wprowadzisz mnie do komendy głównej? Przepustkę czy coś mi załatwisz? – Nie przestawała na niego patrzeć.

– A weźmiesz mnie później na utrzymanie? – Nie przestawał się uśmiechać.

– Wezmę. – Pokiwała głową i był w tym cień obietnicy tego czegoś, na co Adrian od bardzo dawna czekał.

– No to essa – odpowiedział, co nijak nie licowało z powagą jego wieku.

Ania zaśmiała się krótko i uruchomiła silnik.

Ania była osobą, która, jeśli już odpalał się w niej napęd determinacji, była właściwie nie do zatrzymania. Do komendy głównej weszli równo dziesięć minut po tym, jak zaobserwowali, że komendant główny wjechał na teren obiektu swoją służbową skodą superb. To znaczy konkretnie nie tyle wjechał, ile został wwieziony na teren przez kierowcę. Urzędnicy tego szczebla, nawet gdyby chcieli, nie mogli już, przynajmniej w godzinach pracy, sami prowadzić samochodów. Przepustkę, którą zgodnie z obietnicą wyrobił Ani aspirant Nowaczyk, uzasadnił pilną potrzebą przesłuchania z użyciem wariografu, do wniosku zaś wpisał numer jednej z prowadzonych przez siebie spraw dotyczących kradzieży samochodów na Pradze Północ. Teraz jego przyszłość spoczywała już wyłącznie w jej rękach. Jeśli główny się wnerwi i wyrzuci ją ze swojego gabinetu, Adrian może e zacząć szukać pracy, bo dojście do tego, jak dziewczyna weszła do silnie strzeżonego budynku, będzie już tylko formalnością. Jeśli jednak nawet jej nie wyrzuci, to i tak może się zainteresować tym, że w ogóle się do niego dostała, a wtedy konsekwencje dla Nowaczyka będą w przybliżeniu takie same. Zatem szanse na to, że nie straci dziś pracy w policji, były raczej znikome.

– Dzień dobry, ja do pana komendanta. – Ania szła przez sekretariat z taką pewnością siebie, że sekretarka głównego przez moment miała wrażenie, że ta młoda, atrakcyjna kobieta o bardzo długich nogach musi tu gdzieś pracować.

No właśnie... nogi. W zasadzie posiadanie takich nóg nie było jakimś wielkim nadużyciem, choć oczywiście nie można też powiedzieć by było szczególnie taktowne, ale sposób, w jaki zostały wyeksponowane, absolutnie już nie licował z powagą miejsca i z panującymi tu zwyczajami.

– Ale jak do komendanta, a kim pani jest...? – Sekretarka zareagowała, ale chwila jej wcześniejszej niepewności wystarczyła Ani do tego, żeby przemieścić się na tyle blisko drzwi gabinetu komendanta, że jej fizyczne zatrzymanie nie było już możliwe.

– Jestem znajomą. – Ania odwróciła się, będąc już przy drzwiach, i uśmiechnęła się do sekretarki filuternie, co spowodowało, że tamta znów straciła rezon.

A jeśli ta młoda kobieta, z tymi nogami sięgającymi do klamki, rzeczywiście była znajomą komendanta?

– Ale... – próbowała jeszcze protestować, żeby tym samym zapewnić sobie jakiś rodzaj alibi. Z jednej strony próbowała zatrzymać tę kobietę, gdyby się okazało, że to jednak najście, z drugiej nie zrobiła tego zbyt stanowczo, na wypadek, gdyby tamta rzeczywiście była znajomą szefa.

Niemalą sztuką jest balansować na cienkiej linii zależności służbowej, zresztą tak naprawdę każdej zależności, pomyślała Ania. Po czym, korzystając z tego, że sekretarka się wahała, wkroczyła do gabinetu i stanęła na wprost biurka, za którym komendant główny policji siedział i, jak każdego ranka, jadł kanapkę przygotowaną

mu wcześniej przez żonę, popijając ją miętą nalaną z termosu.

– Dzień dobry, panie komendancie – powiedziała, a on przyglądał jej się chwilę, jakby próbując osadzić dekoracyjność jej wyglądu w absolutnym braku dekoracyjności wnętrza, w którym się znajdowali.

– Kim pani jest? – zapytał w końcu ze spokojem.

Jako policjant z ogromnym stażem pracy w pionach śledczych widział już wiele rzeczy, które nie powinny były się wydarzyć bądź znaleźć w jakichś miejscach, a jednak się wydarzyły bądź znalazły.

– Nazywam się Anna Piotrowska, prowadzę z moim bratem dochodzenie w sprawie zabójstwa naszych rodziców, do którego doszło przed dziesięcioma laty, i teraz mój brat został niesłusznie zatrzymany. Postawiono mu idiotyczny zarzut i wszystko wskazuje na to, że ktoś chce za wszelką cenę przeszkodzić nam w dojściu do prawdy. – Ania powiedziała to wszystko na jednym wdechu, obawiając się, że to może być ostatnia rzecz, jaką uda jej się wypowiedzieć w tym gabinecie.

– Prowadzą państwo dochodzenie...? A brat jest w jakim wieku, jeśli mogę spytać? – Komendant uśmiechnął się, na razie jeszcze tylko dobrodusznie.

– Brat ma osiemnaście lat, ja dwadzieścia, ale to tak naprawdę nie ma znaczenia. Policja wtedy... gdy nie był pan jeszcze komendantem – Ania też potrafiła całkiem nieźle balansować na różnego rodzaju linach, życie zdążyło ją tego nauczyć – nie rozwiązała tej sprawy, a to było podwójne zabójstwo, a poza tym naszym zdaniem należy je łączyć jeszcze z czterema podobnymi zabójstwami rodziców nieletnich na przestrzeni ostatnich szesnastu lat...

– A jak pani tu w ogóle weszła? – Komendant zatrzymał w końcu potok jej słów.

Ania milczała przez chwilę, w końcu zebrała myśli w odpowiedni konstrukt i dopiero wtedy odpowiedziała.

– I to jest, panie komendancie, też bardzo ważne w tym wszystkim, więc dobrze, że pan zapytał. Chodzi o to, że ja zmusiłam pewnego policjanta do tego, żeby mi wyrobił tutaj przepustkę, i najważniejsze jest to, że nawet jak mnie pan zaraz tutaj zamknie do aresztu, to żeby temu policjantowi się nic nie stało, bo najpierw ja go zmusiłam, a potem jeszcze spotkają go konsekwencje od pana komendanta.

– Zmusiła go pani? – Srogość zdziwienia komendanta rozbił teraz wydobywający się gdzieś spod spodu dławiony z trudem chichot.

Ania ochoczo pokiwała głową. Komendant chwilę lustrował ją z góry na dół.

– No to oczywiście, że nie spotkają go za to konsekwencje. Nie można przecież człowieka karać dwa razy za to samo. – Teraz śmiech przeszedł w szeroki uśmiech, który zdominował już w pełni ekspresję komendanta.

Ania, patrząc na niego, nie wiedzieć czemu pomyślała nagle, że żona, która codziennie robiła mu kanapki i nalewała miętę do termosu, musiał a mieć z nim całkiem fajne życie. Może takie, jakie ona chciałaby mieć z kimś kiedyś.

– Jak pani powiedziała, że się nazywa? – zapytał komendant, biorąc do ręki słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

– Piotrowska. Anna Piotrowska – odpowiedziała ochoczo Ania.

– Brat? – zapytał.

- Też Piotrowski.
- Tego się domyśliłem, ale chyba nie też Anna Piotrowska.
- Marcin, panie komendancie. – Teraz i Ania zaśmiała się króciutko.

W jej oczach zaś pojawiło się to coś, co komendant tak rzadko widywał i co tak ciężko nazwać. Może to *charme*... ale to takie stare słowo.

KOMENDANT INSPEKTOR WACŁ AW KRAJEWSKI, przeczytała Ania na tabliczce stojącej na biurku. Wcześniej zresztą przeczytała to też na drzwiach, ale wtedy bardzo się spieszyła, więc nie zapamiętała. Teraz był na to czas, bo komendant inspektor rozmawiał właśnie z jakimś swoim podwładnym, który w czasie rozmowy łączył się chyba z innymi komendami, wydziałami i osobami po to, by, jak to się w tutejszym żargonie mawiało, „załatwić sprawę na biegu“. Krajewski – wyjątkowo ładne nazwisko. Może nazwisko w jakimś sensie rzutuje na charakter człowieka? – pomyślała.

– Już. – Głos komendanta przerwał jej luźne rozmyślenia.

– Już? – Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Już wszystko wiem. – Mina policjanta nie wróżyła niczego dobrego. – Pani brat został zatrzymany na podstawie zgłoszenia o bezprawnym opuszczeniu Domu Dziecka Sióstr Misjonarek po tym, jak przedstawił sfałszowany akt urodzenia.

– On nic nie przedstawiał, jeśli już, to... – Ania zawahała się, ale tylko przez moment – ...ja przedstawiłam.

– Fałszywy? – Komendant patrzył na nią srogo.

– Minimalnie. – Ania uciekła wzrokiem.

– Minimalnie fałszywy? – zdziwił się.

– Tak, to była kwestia miesiąca, może e dwóch – powiedziała cicho, po czym spojrzała na mego hardo. – Dobrze, jeśli tak, to po pierwsze, proszę zatrzymać mnie, a nie jego, a po drugie, chcę zgłosić wszystkie nadużycia, których przez lata dopuszczały się na mnie, na moim bracie i na innych sierotach siostry i obsługa świecka sierocińca.

Komendant namyślał się chwilę.

– A sprawa pani, to znaczy państwa rodziców, rzeczywiście utknęła przed laty trochę dziwnie. – Pokiwał głową.

– Proszę zapytać komisarza Malewskiego, on ją prowadził i może panu zreferować, w jak dziwnych okolicznościach odebrano mu to śledztwo i jak kazano odnieść do archiwum, a sprawa była rozwojowa, łatwo można było ją połączyć z dwoma innymi. Nie połączono, więc teraz są już razem cztery inne zabójstwa o podobnym modus operand! . – Ania uchwyciła się tego, co powiedział komendant, jak ostatniej deski ratunku.

– Modus operand! . Nawet słownictwo już pani przyswoiła – powiedział znów z delikatnym uśmiechem komendant. – Dobrze. Na razie zrobimy tak. Poinformuję swoimi kanałami sierociniec, że takie jest pani ultimatum. Przypuszczam, że wycofają zarzut, choć tak naprawdę takie wykroczenie powinno być ścigane z urzędu, ale jak nie będzie zgłoszenia, to odpuścimy. Ale póki co brat zostanie przewieziony do tego ośrodka wychowawczego...

– Dlaczego?! – zachnęła się Ania, przerywając komendantowi nieomal w pół słowa; po chwili się zreflektowała i dodała: – Przepraszam.

– Dlatego, że zgłoszenie przyjął pewien funkcjonariusz, który jest mocno gorliwy i, powiedzmy, mało zdyscyplinowany i on będzie to ciągnął, dokąd będzie mógł – wyjaśnił komendant.

– Nie może go pan zdyscyplinować? – zdziwiła się Ania, biorąc przy okazji komendanta lekko pod włos.

– Nie mogę.

– Czemu?

– Bo ma silne plecy w resorcie. – Komendant na moment rozłożył ręce, ale zaraz je złożył. – Ale za kilka dni wyciągniemy pani brata stamtąd i będzie po sprawie.

– O ile będzie jeszcze żywy. – Ania popatrzyła na komendanta, który teraz popatrzył na nią mocno zaskoczony.

Marcina, prosto z komendy dzielnicowej na Bielanach do wskazanego przez prokuratora i klepniętego przez sąd ośrodka poprawczego dla nieletnich w Wieliczce, przewoziło dwóch aspirantów. Wyzaczył ich do tego komendant dzielnicowy, który jednak działał pod czujnym okiem „pewnego funkcjonariusza“, jak nazwał go główny w rozmowie z Anią. Z warszawskich Bielan do Wieliczki były z grubsza cztery godziny drogi. W ciągu czterech godzin nawet bardzo oddani sprawie funkcjonariusze muszą się w jakimś momencie zatrzymać, choćby na chwilę, żeby załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Może zresztą nadludzkim wysiłkiem woli udałoby im się dowieźć swoje pęcherze na miejsce, ale nie w sytuacji, kiedy w kilkuminutowych odstępach o ich istnieniu przypominał im siedzący z tyłu młodociany przestępca, który też chciał się udać do toalety. Poddali się jednak dopiero blisko końca podróży. Zatrzymali się na stacji BR czterdzieści kilometrów za Kielcami. Jeden z policjantów został w samochodzie, drugi zaprowadził rozkutego Marcina do toalety. Chłopak podróżował bez kajdanek, bo nie było regulaminowego zalecenia, by go w nich więzić, a zważywszy na fakt, że mógł przecież wciąż być nieletni, nikt nie chciał awantury z mediami i w efekcie pogorszenia wizerunku policji. W środku w związku z tym, że wszystkie pisuary były albo zajęte, albo nieczynne, na chwilę się rozstali. Marcin wszedł do jednej kabiny, a policjant do drugiej. Oczywiście przez cały czas zachowywał czujność, która w tym wypadku sprowadzała się do tego, że nasłuchiwał, czy w kabinie obok strumień wciąż rozbija lustro wody w muszli. Kiedy przestał rozbijać i po chwili pojawił się charakterystyczny szum spuszczonej wody, policjant również zakończył swoje działania i złapał za klamkę w drzwiach swojej kabiny. Jakież było jego zdziwienie, kiedy okazało się, że kabina jest zamknięta, pomimo że jej nie zamykał. Aspirant przez chwilę szarpał się z drzwiami, potem sięgnął do kieszeni po radio, żeby wezwać kolegę, ale okazało się, że radia nie miał, pomimo iż przepisowo zabrał je ze sobą. Wtedy zaczął krzyczeć. Krzyk był dość dobrze słyszalny na całej stacji, ale nikt nie przyszedł w sukurs krzyżącemu, bo przy drzwiach prowadzących do pomieszczenia z toaletami stał, z palcem przytkniętym do ust, ogromny mężczyzna, którego całe ciało ozdabiały różnego rodzaju obrazki wyrysowane w tonacji fioletowej, czasem łamanej innymi kolorami. Dzieło to zaś dodatkowo wieńczył bardzo ciężki złoty łańcuch zwisający na szyi.

Wydziarany mężczyzna uśmiechał się do obecnych na stacji postronnych osób przez kilka minut, podczas gdy jego nie mniej rosy kolega stał przy drzwiach wyjściowych ze sklepiu stacyjnego w taki sposób, że niemożliwością byłoby przejść obok niego i w związku z tym jakoś nikt nie miał ochoty na to, by się do wyjścia szczególnie pchać. Tym bardziej że poza tą jedną drobną niewygodą na stacji panowała przyjemna, można by rzec wręcz sielska atmosfera. Po kilku minutach ten swoisty klincz się zakończył i rośli kolorowi mężczyźni w koszulkach z krótkim

rękawem po prostu wyszli.

Mercedes, stara kanciasta sześćsetka z lat dziewięćdziesiątych, który bardziej przypominał czołg niż samochód osobowy służący do przewożenia ludzi w czasie pokoju, stał z włączonym silnikiem na tyłach stacji. Marcin siedział już w środku, teraz tamci dwaj, którzy nadzorowali drzwi i ogólnie porządek wewnątrz pomieszczenia stacyjnego, dosiedli się do niego na tylnej kanapie, zgniatając go niemalże między swoimi dwoma kolorowymi od rysunków ciałami. Samochód ruszył, po kilku metrach zatrzymał się i jeden z rosnących wyrzucił policyjne radio przez okno, wprost do śmietniczki w kształcie cementowego niedźwiadka. W oddali za dystrybutorami policjant, który został przy samochodzie, spokojnie palił papierosa. Nie powinien był być już w tym momencie tak spokojny, bo od chwili, gdy jego kolega zniknął z Marcinem w budynku stacyjnym, upłynęło dobre pięć minut, ale był spokojny, gdyż wołał palić papierosa, niż strzelać się z bandytami, którzy umieli to robić lepiej niż on, a w dodatku mieli lepszy sprzęt. W kierunku budynku stacji, a właściwie nadbiegającej, poblądłej ekspedientki, ruszył dokładnie w momencie, gdy kątem oka dostrzegł, że mercedes typu czołg z bandytami i bronią lepszą od jego wyjechał na drogę szybkiego ruchu.

– Bandyci! Proszę pana...! Proszę pana...! Bandyci!!! – krzyczała kobieta.

– Jacy bandyci? – Policjant zdziwił się na tyle szczerze, że kobiecie nie pozostawało nic innego, jak uwierzyć w jego zdziwienie. – Proszę się uspokoić. Co się stało?

– Tam... w toalecie... pana kolega... – Kobieta ze zdenerwowania traciła oddech.

– Co mój kolega? – Teraz policjant zdziwił się jeszcze bardziej szczerze.

Przerażenie kobiety wskazywało na to, że rzeczywiście coś się stało, a przecież uzgodnione było zawczasu, że nikomu włos z głowy miał nie spaść.

– Pana kolegę zamknęli w ustępie – dokończyła kobieta.

– O cholera!!! – Policjant odetchnął z ulgą, po czym dodał, przypomniawszy sobie, że nadal powinien być przejęty. – Kto?

– Bandyci. – Kobieta skończyła tym, od czego zaczęła.

Pancerny mercedes należący, oczywiście nie bezpośrednio, do zapatrzonego w Anię jak w obrazek mafioza i dewelopera Bernarda Maślaka kilka kilometrów dalej zjechał z głównej drogi i skierował się na Sędziszów. Po kolejnych pięciu minutach wjechał w leśny dukt i dojechawszy nim do małej polanki, stanął. Z samochodu wysiadła cała załoga, czyli kierowca Bernarda, niejaki Pałak, sam deweloper w swoim eleganckim garniturze w prążki, dwóch kolosów i sprasowany między nimi Marcin.

– Wszystko dobrze? – Ania podeszła do nich od strony swojego zaparkowanego kilka metrów dalej bmw.

– Świetnie, tylko teraz jestem wyjęty spod prawa. – Marcin się uśmiechnął.

– A co dopiero my? – Jeden z dużych zaśmiał się chrapliwie, acz w sumie serdecznie.

– Wy jesteście wyjęci spod prawa od urodzenia – objaśnił stojący obok Adrian.

– O , policjant współpracujący z mafią się odezwał. – Teraz zaśmiał się Bernard, po czym popatrzył na nich. – Co dalej? Chyba muszę was wszystkich zadekować u siebie?

– To nie wchodzi w grę – zaprotestował zdecydowanie Adrian.

Na moment zrobiło się cicho. Rośli bandyci czekali na reakcję Bernarda. Ten zaś był tak zaskoczony, że przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Zabieram ich do siebie. – Ciszę najszybciej wypełnił Adrian.

– No to po karierze w organach ścigania. – Bernard w końcu się odnalazł.

– Wolę, żeby było po mojej karierze, niż po ich wolności, bo do was zajrzę jeszcze dziś w nocy – wyjaśnił Adrian.

– Do nas? A skąd oni mogą wiedzieć, gdzie to jest u nas? – Bernard wzruszył ramionami. – Gdzie jest u ciebie, wiedzą na pewno, mają to w nagłówku twojej umowy.

Adrian nie zamierzał jednak ustępować, a Ania, po raz pierwszy od początku znajomości z aspirantem Nowaczykiem, postanowiła w pełni zdać się na niego. Marcin zaś, którego tak naprawdę sprawa dotyczyła najbardziej, na razie milczał. On też, może po raz pierwszy w życiu, wołał się zdać na ludzi, którzy znali się na tym lepiej, albo może po prostu na los.

– No to gratuluję, kiedy zaręczyny? – wypalił nagle Bernard.

– Co? – Ania nie tyle nie zrozumiała pytania, ile nie mogła pojąć, skąd Bernardowi w ogóle przysłała do głowy taka nedorzeczność.

– No widzę, że macie się ku sobie – zaczął wciąż lekko zaczepnie Bernard, po czym dokończył mocno złośliwie: – Jest skłonność. W jakimś sensie zresztą uważam się za ojca chrzestnego tej relacji. W końcu to ja cię poprosiłem, żebyś się dowiedziała czegoś od pana aspiranta.

Zaległa cisza refrenowana tylko rytmicznym stukaniem dzięcioła w pień drzewa gdzieś nieopodal.

– No i...? – Ania podeszła blisko do Bernarda.

Była od niego wyższa, więc sytuacja stała się znów jak niegdyś w windzie odrobinę groteskowa. Oto młoda dziewczyna stała obok groźnego mafi oza i patrzyła na niego z góry.

– No i...? – Bernard, odpowiadając cicho pytaniem na pytanie, jakby idealnie wpisał się w sytuację.

– No i spełniłam, kurwa, twoją prośbę? – uściśliła swoje pytanie Ania.

Bernard przez chwilę nie odpowiadał, a Adrian przyglądał się sytuacji w napięciu. W końcu mafiozo spuścił głowę, spojrział w bok, unikając wzroku nie tylko jej, ale też jego, a nawet swoich ludzi, i pokręcił głową.

– To po co wpierdalasz taką wrzutkę?! – drażyła Ania.

– Jaką wrzutkę, chciałem wam tylko pogratulować zacieśnienia relacji. – Bernard ratował twarz przed kompletnym blamażem.

– Dziękujemy, ale nie ma żadnego zacieśnienia relacji. A za próbę wydobycia wiedzy operacyjnej poprzez nielegalne źródła informacji jest pajda – odezwał się w końcu Adrian.

– To mnie, kurwa, zamknij. – Bernard ruszył na Adriana.

Ania była prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, której w jakimś sensie trochę się obawiał, nikt inny nie mógł mu robić ansów.

– Przestań. – Ania włączyła się kolejny raz. – Jedziemy do starego policjanta, potem gdzieś się zadekujemy. Będziemy w kontakcie.

Dziewczyna popatrzyła na Bernarda, który stał teraz o centymetry od Adriana i choć był niższy również od niego, to w tym przypadku różnica wzrostu nie robiła już tak groteskowego wrażenia, bo mafiozo napuszył się tak bardzo, że ledwie starczało polany, żeby go na niej pomieścić.

– I dziękujemy, panie Bernardzie – odezwał się nagle Marcin, po raz pierwszy, odkąd wysiadł z samochodu.

Ania pokiwała głową, przyłączając się w ten niezbyt wylewny sposób do podziękowań brata. Bernard spojrzał na Adriana.

– Tak, dziękujemy panu, panie Bernardzie. – Adrian usatysfakcjonował dewelopera, ale nie byłby sobą, gdyby po chwili nie dodał: – Za to, co pan zrobił dla Marcina, ale próba inwigilowania funkcjonariusza policji to osobna sprawa.

– Sraty pierdaty. – Bernard też nie byłby sobą, gdyby zostawił słowa Adriana bez komentarza.

Adrian chciał jeszcze ripostować, ale w tym momencie Ania pociągnęła go za rękę w stronę samochodu.

Z komisarzem emerytem, alkoholikiem Malewskim spotkali się na obrzeżach Kielc. Jak tam dojechał, będąc w stanie permanentnej lekkiej lewitacji, me mieli pojęcia i chyba nawet woleli tego nie wiedzieć. Policjant, który interesował ich teraz, był śledczym w komendzie wojewódzkiej w Kielcach, kiedy jeszcze policja była milicją i wszystko podlegało zupełnie innym prawom i fluktuacjom. Być może mogli odwiedzić go sami, to znaczy we troje, ale wtedy prawdopodobnie były kryminalny, siedemdziesięcioletni dziś sierżant Milicji Obywatelskiej Bogusław Powaba nie chciałby z nimi zamienić nawet słowa.

Powaba mieszkał w podkieleckim Piekoszowie. Stare milicyjne nawyki czyniły z niego człowieka o niezwykle ograniczonym zaufaniu do świata i nade wszystko do wszystkich siedmiu miliradów ludzi go zamieszkujących. W związku z tym na wszelki wypadek, pomimo znajomości z Malewskim, nie zaprosił ich do siebie do domu, co więcej, nie ujawnił im nawet swojego adresu. Spotkali się w obłożonym sidingiem lokalu piekoszowskiej pizzerii Donatello. Przez cały czas rozmowy sierż ant Powaba, choć pytany przez wiele osób, za każdym razem odpowiadał przyciszonym głosem, patrząc wyłącznie na Malewskiego. Marcina naszła nawet w pewnym momencie myśl, że sierżant MO, który musiał mieć niezwykle rozwiniętą umiejętność zakłamywania rzeczywistości, po prostu uznał, że ich w tym lokalu nie ma. Udzielił sobie wewnętrznej zgody wyłącznie na rozmowę z byłym kolegą, zweryfikowanym wprawdzie jedynie chwilową, ale dobre i to, przynależnością do organizacji zwanej Milicją Obywatelską. Inna rzecz, że tak naprawdę tylko Malewski miał odpowiednie podejście, zestaw jakichś dziwnych psychosocjologicznych kluczy do tego, żeby Powabę w ogóle jakkolwiek otworzyć.

Siedzieli przy małym kwadratowym stoliku przykrytym kraciastą gumowaną ceratą. Niemałą sztuką było siedzieć z czterema innymi osobami na tak małej przestrzeni i przez całą półgodzinną rozmowę dostrzegać tylko jedną z nich. Powaba musiał osiąść tę umiejętność lata temu. Teraz nie była już może aż tak potrzebna, ale stanowiła nawyk tak silny, że wręcz natrętny.

– Niewiele pamiętam z tamtej sprawy – zaczął sierżant. – To było jednak cholernie dawno, sam rozumiesz, Felek.

– Oczywiście, Boguś, ja też z tamtych czasów raczej szczątkowo. – Malewski się uśmiechnął. – Czego się napijesz?

– Wiesz, raczej nie powinienem. Żona, leki na nadciśnienie, serce, zawał miałem, mówiłem ci...? – Powaba wymieniał dolegliwo ś ci i inne losowe przeciwności, jednocześnie lustrując szklaną półkę znajdującą się za barem.

– Jasne, jasne, rozumiem cię doskonale, ja też staram się ograniczać – odpowiedział Malewski, który miał prawdopodobnie na stałe we krwi dyżurne trzy promile alkoholu. – To czego?

– Wiesz, może koniaczku, on dobrze robi podobno. – Powaba uśmiechnął się delikatnie na samą myśl, a jego blada cera podbiegła różowością ekscytacji.

– Koniaczku, jasne, oczywiście, doskonały wybór. – Malewski zerknął wymownie w stronę Adriana.

Aspirant potaknął, wstał i poszedł do baru.

– A co pan pamięta z tamtych wydarzeń w Gabrielinie, panie sierzancie? – odezwała się Ania jako pierwsza z grupy osób transparentnych.

– No była, wiesz, jakaś sprawa... – Powaba mówił rzecz jasna znów wyłącznie do Malewskiego, jednocześnie zerkając tylko w stronę Adriana nabywającego koniaczek.

Tymczasem aspirant, mądry wielowiekową mądrością Polaka, zamiast bawić się w idiotyczną grę na kieliszki, kupił od razu całą butelkę gruzińskiego koniaku. Powaba przyjął to nieomal z entuzjazmem.

– Coś w tym domu dziecka, rozumiesz, było, to była połowa lat siedemdziesiątych, inne czasy, zresztą, co ci będę mówi, sam wiesz. – Powaba mówił i jednocześnie patrzył, jak Adrian rozlewa bursztynowy płyn do szerokich koniakówek.

– Siedemdziesiąty szósty – uściślił Marcin.

– Masz rację. – Powaba nieprzerwanie spoglądał na Malewskiego. – To był chyba siedemdziesiąty szósty, dość ponury czas. Była skarga, najpierw anonimowa, póź niej ujawniliśmy źródło. Pracowniczka kuchni w tym domu dziecka. To ona wypatrzyła, że coś tam było nie tak. Potem okazało się jeszcze, że jej zgłosiła to dziewczynka, jedna z mieszkanek tego bidula.

– I było? – Malewski podniósł kieliszek w górę.

– Co było? – zdziwił się Powaba.

Malewski nie odpowiedział; w swej mądrości, a może korzystając z doświadczenia zawodowego, zamiast tego zdał się na czas. W innych krajach koniak przeważnie pije się powoli, smakując go, wdychając uprzednio woń alkoholu parującego z podgrzanego dłonią kieliszka. Po to zresztą w ogóle te kieliszki mają taką, a nie inną formę, są pękate, czasem nawet bardzo pękate, żeby można je było od dołu podgrzewać rozpostartą na całej powierzchni szkła dłonią. W innych krajach pije się go tak, a w Piekoszowie inaczej. Malewski przechylił kieliszek i wypił jego, daleką od podgrzania, zawartość, jednym haustem. To samo pół sekundy później zrobił Powaba. Przez chwilę milczeli, podgrzewając koniak w swoich żołądkach.

– No coś tam było, rozumiesz, jeden z wychowawców trochę przesadził, z tego, co pamiętam, z tymi dzieciakami tam, a mała podkablowała, bo wśród tych dzieciaków był jej brat – powiedział w końcu Powaba bez przesadnego emocjonalnego zaangażowania.

– Coś tam było? – zapytał Marcin, a w jego głosie dawało się wyczuć nutę gniewu wywołanego właśnie owym brakiem zaangażowania ze strony Powaby.

– No dzieciaki tam obracali, to było, rozumiesz. – Powaba nieprzerwanie rozmawiał wyłącznie z Malewskim.

– Rozumiem – odpowiedział Malewski, zrobił to przy tym na tyle szybko, by uprzedzić kolejny głos słusznego skądinąd oburzenia ze strony młodych ludzi, którzy

nie rozumieli, że w tamtych czasach molestowanie dzieci było na szarym końcu spraw uważanych za priorytetowe.

Malewski pamiętał, że w tamtych czasach najważniejszą rzeczą, zresztą trochę podobnie jak dziś, była zaostrzająca się wciąż walka klas. Komisarz nie miał siły tłumaczyć tego swoim młodym towarzyszom, zresztą po pierwsze, pewno i tak nie zdołaliby zrozumieć, a po drugie, właściwie po co mieliby to rozumieć. Byli młodzi, wychowali się w świecie jednak znacznie normalniejszym, choć oczywiście też na swój sposób zwariowanym.

– I... Co z tego wynikło? – zapytał zamiast tego po chwili.

– Były jakieś zarzuty, szczególnie wobec jednego z opiekunów... – Powaba mało dyskretnie zerknął na butelkę.

– Kazimierza Pawlika? – zapytał Marcin.

– Tak, chyba to był jakiś Kazimierz. – Powaba pokiwał głową zadowolony, że Adrian znów polewa im obu.

– I ...? Co było dalej? – Malewskiemu po koniaczku też wyraźnie poprawiały się forma i zdolności kognitywne.

Powaba łyknął ponownie i powiedział na wydechu:

– Dalej...? Dalej ukręciliśmy.

– Jak, kurwa, ukręciliście?! – Marcin był jednak osobą mocno angażującą się emocjonalnie w sprawy, szczególnie w sprawy, które dotyczyły krzywdy czynionej tym najmniejszym.

– Pan Piotrowski też przeszedł przez dom dziecka i tego typu historie silnie na niego oddziałują emocjonalnie – wyklarował szybko Malewski w obawie, że nagły zryw Marcina może ich słono kosztować. Powaba mógł przecież w każdej chwili wstać i wyjść, zostawiając ich z grubsza z tą samą wiedzą, którą mieli już przed przybyciem tutaj. Tak zresztą prawdopodobnie by zrobił, gdyby nie nowatorski pomysł Malewskiego, żeby do rozmowy zawczasu włączyć etanol.

– A co wy myślicie...? – Bogusław, choć nadal patrzył tylko na komisarza, po raz pierwszy w rozmowie uż ył liczby mnogiej. – Że my, kurwa, robiliśmy wtedy cokolwiek wedle własnego uznania?

– Młodzi są, Boguś, nie denerwuj się. – Malewski podniósł kieliszek nieco nad blat stołu i puknął nim o szkło Powaby.

– Młodzi, młodzi, ale coś trzeba wiedzieć... Naciski były z góry, ten wasz cały Gawlik był umocowany w Komitecie wojewódzkim czy chuj go wie, gdzie. Była partia i tyle. Zresztą co, dzisiaj jest niby inaczej? – Powaba też uniósł koniakówkę i sekundę później opróżnił ją na domknięcie wywodu.

– Pawlik – sprostował cicho Marcin.

– Zwał, jak chciał. W każdym razie tam był ten chłopiec, jemu się chyba najbardziej dostało. Szkoda mi go było, sieroty, rodziców ktoś mu chyba wcześniej odjebał... – Powaba nagle popłynął we wspomnienia.

– Co?! – Ania zareagowała najszybciej, choć cała czwórka, nie wyłączając Malewskiego, była zdumiona tą ostatnią informacją.

– Coś więcej o tym chłopcu? – dopytał po chwili gorączkowo Adrian.

– Nie wiem więcej. Mały, blondynek taki, nie pasował tam za bardzo. W każdym razie jego było mi żal najbardziej i osobiście powiesiłbym tego Gawlika, czy jak mu tam, za jaja na najbliższym drzewie, ale co było robić, dyspozycja z góry, to dyspozycja z góry. Kazali ukreć, to ukrećiliśmy. – Powaba był już teraz zupełnie innym człowiekiem. Stary koniak odmłodził go wyraźnie, dodał mu wigoru i, co może najważniejsze, przywracał mu też z wolna zdolność odczuwania czegokolwiek.

– Jakieś nazwisko da się ustalić, są jakieś akta, cokolwiek? – ożywił się Marcin.

– Akta z siedemdziesiątego szóstego roku? Wolne żarty. Zresztą już wtedy od razu, jak coś szło na ukreć, to akta też się ukreć. – Powaba lekko się zasmucił i zerknął na Adriana, który był dysponentem ożywczego napoju.

Adrian polał, chwilę siedzieli, popatrując na zmianę to na siebie, to znów na Powabę.

– A co było potem? – Ania w końcu przerwała ciszę.

– Potem... potem za bardzo już nie wiem, chyba tyle, że jednak zamknęli ten bidul. – Powaba znów się zafrasował, spoglądając w toń koniaku.

Być może odpowiedzi szukał na jego powierzchni albo, co bardziej prawdopodobne, w jego głębi – pomyślała Ania.

– Niesmak pozostał, jak mówią – spuentował refleksyjnie Malewski.

Po wyjściu z pizzerii żadne z nich nie miało już wątpliwości, że tajemnica ich sprawy krąży się tam, gdzie poniekąd intuicyjnie doprowadził ich wcześniej Marcin, czyli w Gabrielinie. Kiedy żegnali się z Powabą, udało im się jeszcze ustalić, jak owe blisko czterdzieści lat temu wyglądała kobieta, kucharka, która zgłosiła milicji, że w domu dziecka dzieją się złe rzeczy. W związku z tym, że sprawa została ukrecona, a dom dziecka, dający zatrudnienie wielu mieszkańcom, przy okazji zamknięto, nie należało się spodziewać, by owa kucharka otrzymała wówczas tytuł honorowego obywatela Gabrielina. Wręcz przeciwnie, prawdopodobnie we wsi otoczył ją ostracyzm, może w efekcie z niej wyjechała albo, co gorsza, nie wyjechała i odepchnięta przez społeczność zapadła się w sobie, w żalu i zgorzknieniu, i zmoęła ją jakaś choroba... Takie prowadzili teraz rozważania, jadąc we trójkę samochodem do Gabrielina. Jechali w okrojonym składzie, bo komisarz Malewski postanowił, namawiany zresztą ochoczo przez zmienionego już teraz nie do poznania Powabę, zostać w Piekoszowie przynajmniej do czasu opróżnienia przez nich butelki koniaku, a może nawet opróżnienia wielu butelek różnego rodzaju trunków.

Z Piekoszowa do leżącego nieopodal Opoczna Gabrielina mieli mniej więcej półtorej godziny drogi. W pizzerii pili jedynie Malewski z Powabą; oni, zabsorbowani opowieścią sierżanta, ani nic nie jedli, ani nie pili, więc teraz trzeba było się gdzieś zatrzymać.

Po mniej więcej dwudziestu kilometrach Ania zorientowała się jednak, że ktoś za nimi jedzie. Adrian przestawił boczne lusterko tak, żeby również widzieć przyklejony do nich w odległości mniej więcej stu metrów samochód. Po kilku kilometrach obserwacji skonstatował:

– Namierzyli nas.

– Kto? – zapytał z tylnego siedzenia Marcin.

– Głowy nie dam, ale wyglądają na naszych. – Adrian wciąż wpatrywał się w samochód za nimi.

– Na twoich chyba, nie na naszych, ja się do psiarni na razie nie zapisywałem – odpowiedział buńczucznie Marcin.

– Co teraz? – zapytała zdenerwowana Ania.

– My nie jesteśmy problemem. – Adrian spojrzał na nią. – Do nas nic nie mogą mieć...

– Mam wyskoczyć w locie? – Marcin zaśmiał się krótko.

– W locie nie... – Adrian pokręcił głową.

Trzy kilometry dalej była stacja BR Ania zjechała na nią, bo byli głodni i bo taka była wytyczna Adriana, a jak już uznała wcześniej, w tego typu sytuacjach lepiej było zdać się w pełni na jego decyzje. Podjechała więc pod samo wejście do budynku stacji, a śledzący ich samochód zatrzymał się w zatoczce kilkadziesiąt metrów za nimi. Wysiedli i weszli do środka; dwaj faceci podróżujący tamtym autem zostali w nim. Na stacji młodzi zjedli, po czym po mniej więcej dwudziestu minutach trójka wsiadła z powrotem do samochodu i ruszyła dalej.

Blokada z ustawioną z drewnianych policyjnych płotków szykaną znajdowała się jakieś pięć kilometrów dalej. Wokół czterech vanów należących do AT roiło się od ubranych w czarne uniformy i uzbrojonych w pistolety maszynowe typu rak policjantów z kontrterroru.

Gdy dojeżdżali do blokady, zdenerwowana Ania zerknęła na Adriana, a kiedy ten skinął głową, zwolniła i zatrzymała samochód. Śledząca ich kia na cywilnych numerach też zwolniła i zatrzymała się kilkanaście metrów za nimi.

– Starszy aspirant Marian Włodarczyk, proszę wysiąść z samochodu, ale tak,

żebym cały czas widział ręce. – Jeden z czarnych z goglami na helmie pochylił się do otwartego uprzednio przez Anię okna.

– Czyli jak? – spytała Ania.

– Czyli normalnie, tylko bez kombinowania – objaśnił tamten.

Wysiedli wszyscy troje. Momentalnie otoczyli ich ubrani na czarno a n tyterrorysty.

– Dokumenty.

Wszyscy na szczęście mieli papiery przy sobie, i Ania, i Adrian, i...

– Mariusz Walczak? – zdziwił się policjant legitymujący domniemanego Marcina.

To on, rzecz jasna, był najważniejszą osobą w tej całej rozróbie, to ze względu na niego ich śledzili, z jego powodu ustawili tę zaporę drogową i wyciągnęli ich teraz z auta. Do grupy legitymujących ich policjantów podszedł inny, rosły, dobrze zbudowany, ale ubrany w cywilki, na oko czterdziestoletni mężczyzna.

– Co to jest? – zapytał, popatrując na zmianę to na legitymowanego, to na legitymującego.

– Mariusz Walczak, to jest, panie komisarzu, melduję. – AT-ek popatrzył na niego spokojnie.

– Jaki, kurwa, Walczak?!!! Walczaka szukamy?!!! – wrzasnął wściekły policjant. Właśnie zrozumiał, że został wystrychnięty na dudka. Próbował to jednak jakoś na szybko i na bieżąco odreagować, a za ofiarę, przynajmniej chwilową, obrał sobie Bogu ducha winnego antyterrorystę.

– Szukamy Marcina Piotrowskiego, a to jest Mariusz Walczak. Tak się, kurwa, niefortunnie złożyło. – AT-ek wyjątkowo nie lubił, kiedy jakiś śledczy, i to do tego ewidentnie z nepotyczno-politycznej nominacji, próbował cokolwiek na nim odreagowywać.

Susik, bo tak nazywał się policjant po cywilnemu, jak często bywa z takimi, którzy są z nominacji i lubią to demonstrować, nie był człowiekiem przesadnie odważnym, więc nie zapytał antyterrorysty już o nic więcej. Teraz obrał sobie za cel chłopaka, który skądinąd nijak nie przypominał nawet Marcina. Wszystko wskazywało na to, że na nim uda mu się odreagować znacznie swobodniej.

– Kim ty, kurwa, jesteś?! – Spojrzał na niego z góry, bo choć Bóg poskąpił mu odwagi, to być może chcąc mu to jakoś wynagrodzić, uczynił go wysokim.

– Studentem – odpowiedział tamten i aż skulił się w sobie.

– Student, kurwa, a powiedz mi, skąd ty się tu wzięłeś?! – Susik podszedł do niego jeszcze bliżej.

– Przyjechałem z państwem. – Wystraszony młodzieniec wskazał na Anię i Adriana. – Wzięli mnie ze stacji, na stopa. Jadę na wakacje. Ja nie wiedziałem... – Młody mężczyzna mimo obfitego zarostu i dziar na większości z odsłoniętych połaci skóry wyglądał na mocno przerażonego.

– A wy co...? – Susik spojrzał na Anię i Adriana. – W chuja lećcie?

– Nie wiem, jak się nazywasz, bo jesteś chamem i nie znasz regulaminu, więc się nie przedstawiłeś. Nie wiem też, z czyjej dupy cię wyciągnęli, ale na jednym gównie się nie ślizgaliśmy, więc przede wszystkim nas nie tykaj. – Ania jeszcze nigdy nie

widziała, żeby Adrian był aż tak wkurzony.

Susik na moment zapadł się w siebie. Perora Adriana implodowała go najwyraźniej do wewnątrz. Patrzył to na niego, to na nią i widać było, jak jego procesor, zdecydowanie zbyt mały, jak na rangę powierzonej mu sprawy, męczył się straszliwie, żeby wyrzucić z siebie jakąkolwiek sensowną ripostę.

– Masz coś do nas albo na nas? – Adrian sięgnął po odznakę, którą powiesił sobie na szyi. – Bo jak nie, to musimy lecieć.

– Nie wiesz, z kim zadzierasza. – Susik w końcu się odwiesił i popatrzył na Adriana najgroźniejszym spojrzeniem, na jakie było go stać.

– Nie wiem i mnie to wali, szczerze mówiąc – odpowiedział Adrian, wytrzymując jego najgroźniejsze spojrzenie.

– Raczej w fabryce za długo już nie popracujesz. – Susik uśmiechnął się szyderczo.

– W fabryce, która zatrudnia takich koleś jak ty, i tak nie mam ochoty pracować, więc... – Adrian delikatnie ujął Anię pod ramię. – Masz coś na nas, jakiś nakaz czy coś?

Susik spojrzął dla odmiany na Anię.

– On to jest kamikadze, a pani...? – zapytał.

– A ja co? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– A pani się nie boi? – zasugerował.

– Pana? – Ania uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– A do pana Mariusza coś macie? – dopytał jeszcze Adrian, wskazując na chłopaka.

Susik nic nie odpowiedział, był wyraźnie dezorientowany. Ktoś, kto wysłał go na tę misję, zapomniał mu powiedzieć, że będzie musiał się skonfrontować z kolegą po fachu, wprawdzie niższym stopniem, ale po wielokroć przewyższającym go doświadczeniem i rozumem.

Adrian pokiwał tylko głową, ujął Anię delikatnie pod ramię i ruszył w stronę samochodu. Czarni z AT nie utrudniali mu tego przesadnie, tym bardziej że i oni zorientowali się już, że z tych dwóch to on był bardziej policjantem niż Susik.

– Panie Mariuszu. – Adrian odwrócił się i spojrzął na bladego jak ściana młodego brodacza. – Jedziemy, czy zostaje pan tutaj z panami?

Student nie odpowiedział, ale ruszył lekkim truchtem w stronę bmw, z którego przed momentem został brutalnie wywleczony.

– Policzymy się z wami jeszcze – burknął komisarz Susik, ale już bardziej do siebie niż do nich. Tak przynajmniej odczytali to stojący obok niego antyterrorysty. – Jedziemy na stację! – powiedział głośniej, widząc ich zniesmaczenie jego osobą.

– Na jaką stację? – zdziwił się dowodzący plutonem AT.

– Na benzynową, kurwa, a na jaką? Tam, gdzie go podmienili na tego leszcza. – Susik jednak błysnął trochę myśleniem dedukcyjnym. – Przecież nie jechali, kurwa, z tym całym Mariuszem od samego początku.

– A skąd to wiemy? – AT-ek zapytał bardziej z przekory, niż dlatego, że czegoś nie rozumiał.

– A stąd, że po chuj mieliby się szlajać po Polsce z jakimś, kurwa, Mariuszem, skoro kawałek stąd przed kilkoma godzinami jakieś zbiry porwały jej brata z konwoju. Myślisz czy nie? – Susik jednak nie był na tyle intelektualnie zaawansowany, by zrozumieć, że tamten najzwyczajniej w świecie z niego szydził.

Może i dni Adriana w policji były policzone, ale Susik też raczej długo nie zagrzeje miejsca w służbie. Chyba że dadzą go od razu na jakieś wyższe stanowisko, czyli tam, gdzie jedyne, czym trzeba się wykazać, to przynależność do partii i wykonywanie rozkazów płynących z góry, czyli od orłów nie lepszych od niego – pomyślał dowódca AT, po czym zakręcił dłonią w powietrzu, co dla jego znacznie pojętniejszych od Susika podwładnych oznaczało rozkaz do odwrotu.

Ania z Adrianem nie mogli już wrócić na stację, na której, co sprawnie wydedukował Susik, podmienili Marcina na Mariusza. Pięć minut później zjawiono się na niej za to kilkudziesięciu umundurowanych i nieumundurowanych funkcjonariuszy policji. Traf chciał, że przez pół godziny, które zajęła akcja zatrzymania i wypuszczenia Ani z Adrianem i Mariuszem, Marcin zdążył doczekać się przyjazdu wezwanej zaraz po ich odjeździe odsiecz. Wcześniej Ania optowała za tym, żeby brat po ich odjeździe od razu ruszył drogą odchodzącą od stacji w głąb znajdującego się na jej tyłach lasu, ale Marcin postanowił być sprytniejszy, co zresztą prawie kosztowało go wpadkę. Oto bowiem, gdy przed stacją zajeżdżała kawalkada wozów policyjnych, dokładnie w tym samym momencie on dopiero opuszczał ją samochodem, który przyjechał tu specjalnie po niego.

Sekundy póź niej zadzwonił jego telefon. Numer był nieznany, bo Ania poinstruowana przez Adriana postanowiła nie ryzykować łączenia się z jego numerem ze swojej komórki, wykorzystwała więc telefon należący do wciąż lekko przerażonego Mariusza. Chwilę jednak zajęło, żeby go namówić do zrobienia jeszcze tego jednego, dobrego, acz rzecz jasna sownie opłaconego uczynku.

Marcin przez moment przyglądał się numerowi, zachodząc w głowę, do kogo mógł należeć, w końcu jednak zdecydował się odebrać, bo próba połączenia za chwilę by się urwała, a to mogło być coś ważnego.

W chwili jednak, kiedy już miał przesunąć palcem po ekranie LCD, nagle poczuł dziwne ukłucie w szyję. A potem nie odebrał już nic, bo zapadł w sen głęboki jak Rów Mariański. Samochód, którym jechali, zatrzymał się przy studziencie kanalizacyjnej. Sekundę później wpadł y do niej rozczłonkowane fragmenty telefonu Marcina.

Na kolejną, drugą już wizytę u komendanta głównego, Ania wdarła się nieomal siłą. Przy czym oczywiście sama siła nie zdałaby się w miejscu takim jak to na nic, gdyby nie była ‘ wsparta, wystawionym znów, jak się już zdawało, na szwank ostateczny, autorytetem i legitymacją policyjną Adriana. Zresztą tym razem, kiedy aspirant Nowaczyk zaproponował, że będzie jej towarzyszył, Ania nie protestowała już wcale, choć oczywiście miała świadomość tego, na jakie konsekwencje naraża się jej towarzysz. Tym razem nie protestowała, bo stawka była zbyt wysoka na to, żeby się krygować, chodziło o jej brata, który zniknął i to z dużym prawdopodobieństwem za sprawą ludzi, których od miesiący razem ścigali. Ewentualność zatrzymania go przez organy ścigania została już sprawdzona i zweryfikowana na wszelkie możliwe sposoby i zarówno Ania, jak i Adrian wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, że w zniknięciu Marcina nie maczała rąk policja. Przynajmniej nie oficjalnie, a czy nieoficjalnie coś było na rzeczy... Między innymi po to, by ewentualnie to wyświecić, Ania otworzyła z rozmachem drzwi znanego gabinetu i po raz kolejny stanęła twarzą w twarz z siedzącym za biurkiem komendantem głównym policji Wacławem Krajewskim.

– To znowu pani? – Komendant opuścił okulary niżej. – No nie wierzę...

– A jednak... – Ania weszła, a tuż za nią Adrian osłaniający ją przed ścigającymi ich już przez dwa piętra policjantami, do których zadań należało zdaje się między innymi zapobieganie tego typu incydentom.

– A pan to? – Komendant popatrzył znad okularów na Adriana.

– Melduje się aspirant Adrian Nowaczyk. – Mężczyzna stanął w postawie zasadniczej.

– Panie komendancie, posterunkowy Walczak, ja strasznie przepraszam. – Zza szerokich pleców Adriana wyłonił się w końcu jeden z goniących Anię funkcjonariuszy. – Ale oni użyli fortelu.

– Tego samego co poprzednio? – Komendant spojrzał na niego srogo, ale dawało się wyczuć, że bardziej go ta sytuacja bawi niż gniewa.

– Nie, tym razem weszli tyłem i dopiero... – zaczął Walczak.

– Dobrze, nieważne, możecie się na razie odmeldować, Walczak, póź niej porozmawiamy – mówiąc to, komendant nie patrzył już na posterunkowego, tylko na Anię. – Co tym razem?

– Marcin, to znaczy mój brat, zniknął – zaczęła Ania.

– No zniknął, bandyci go porwali z konwoju, a konkretnie ze sracza na BP. – Komendant zdjął okulary i spojrzał na Anię pytająco, a ona odniosła wrażenie, że to nie wróży niczego dobrego.

Chwilę panowała cisza. Adrian stał za Anią w milczeniu. Komendant czekał.

– Tak... wiem... to znaczy, to nie było właściwie porwanie, oni go tylko zabrali,

bo pan z eskorty zatrzasnął się w toalecie. – Ania szyła, a im bardziej to robiła, tym ścieg stawał się coraz bardziej rwany.

– Niech mnie pani nie wkurwia, dobrze? – Komendant lekko spąsował.

– Dobrze, bandyci go porwali, bo uznaliśmy, że jego zatrzymanie i przewóz do zakładu poprawczego zagrażały jego życiu. – Ania przestała szyć. – Ale za drugim razem to nie ci bandyci go zwinęli.

– A kto? Policja? – Komendant lekko odpuścił.

– Nie, policja też raczej nie. – Ania spuściła wzrok.

– Raczej?! – Krajewski ponownie wszedł na wysokie tony.

– Nie, na pewno nie policja. – Ania natychmiast wycofała się ze swojego wcześniejszego „raczej“, po czym szybko dodała, dla zatarcia blamażu: – Moim zdaniem porwali go ci, których ścigamy, czyli życie mojego brata jest zagrożone.

– Widzi pani, porwaliście, żeby nie było zagrożone, a teraz jest zagrożone, wcześniej nie przyszło pani do głowy, że tak będzie? – Komendant popatrzył na nią bardziej z troską niż z wyrzutem.

Ogólnie czuło się, że Krajewski to człowiek, którego najlepiej bodaj określa słowo „dojrzały“. Nie musiał już za wiele sobie udowadniać, nie miał kompleksów, był tu, gdzie być powinien i zajmował się tym, czym zająć się należało i na czym się znał. Przez moment Ani przemknęło nawet przez głowę, że może przypominał jej tatę albo kogoś, kogo widziałyby w roli swojego taty.

– Wcześniej z bratem musieliśmy znaleźć tych ludzi, żeby móc w ogóle dalej żyć – powiedziała szybko i spojrzała mu w oczy.

Komendant przyglądał jej się przez chwilę; może udawał, że waży coś w głowie, ale tak naprawdę już dawno podjął decyzję. Lubił tę dziewczynę i lubił też to, że z takim uporem i determinacją próbowała z bratem rozwiązać sprawę, której podlegający mu funkcjonariusze w swej indolencji, a może też z jakichś innych, nieznanym mu powodów, nie rozwiązali.

– Co wiemy? – odezwał się w końcu. – Tylko ze szczegółami poproszę.

– Marcina zostawiliśmy na stacji, a konkretnie podmieniliśmy go na autostopowicza. Chwilę później na blokadzie drogowej zatrzymała nas policja – zaczęła Ania. – Od razu po tym, jak nas puścili, zadzwoniłam do Marcina, ale już nie odebrał. Chwilę później jego telefon zniknął z sieci, a później pana ludzie znaleźli jego szczątki w studziencie na stacji. Czyli ewidentnie ktoś go z tej stacji uprowadził i od tej pory nie ma po nim śladu. – Ania skończyła nieco przydługi wstęp.

– Monitoring na stacji? – zapytał krótko komendant.

– Sprawdzany parokrotnie, jest jeden podejrzany samochód, skoda superb... – odezwał się po raz pierwszy Adrian.

Komendant zmierzył go wzrokiem.

– Czemu podejrzany?

– Bo tablice zostały skradzione i przełożone z innego auta – dokończył aspirant.

– No to nie podejrzany, tylko to jest ten samochód, którym go uprowadzili – skwitował Krajewski.

– Prawdopodobnie tak, ale niewiele nam to daje, bo takich skód jest w Polsce ileś

tysięcy, a kierowcy nie było widać, bo miał spuszczoną osłonę przeciwsłoneczną – wyjaśnił Adrian.

Komendant zastanawiał się chwilę.

– Trzeba sprawdzić okoliczne monitoringi na trasie, inne stacje, zarząd dróg ma swoje kamery. Myślę, że nie jechali na lewych tablicach zbyt długo, to ryzykowne w przypadku zatrzymania do kontroli – powiedział w końcu, po czym dodał: – Dobrze, ta sprawa uzyska u mnie najwyższy priorytet, podległe mi służby będą go szukać, gdzie tylko się da i jak się da, ale zdaje się, że mamy naprawdę poważnego przeciwnika. Poza tym, jak już się pani zapewne zorientowała, u mnie też działają siły, powiedzmy ogólnie, obstrukcyjne.

– A czemu? – trochę zbyt bezpośrednio zapytała Ania, po czym zreflektowała się i od razu dopowiedziała: – Czemu działają siły obstrukcyjne?

– Zawsze tak jest, droga pani. Ktoś pomaga, ktoś przeszkadza, głównie dlatego, że ktoś chciałby mnie na tym stanowisku zastąpić. To się nazywa, zdaje się, polityka. – Komendant się uśmiechnął.

– Tylko dlatego? – Ania znów spojrzała mu prosto w oczy.

– Wolę tak myśleć, bo jeśli jest jeszcze jakiś inny powód, to byłoby bardzo, bardzo niedobrze – zafrasował się Krajewski.

– Może warto sprawdzić? Porozmawiać z tym policjantem, który wcześniej tak bardzo zagiął parol na Marcina, tym, który, jak pan poprzednio powiedział, ma zbyt szerokie plecy, żeby można mu było zaszkodzić. – Ania się uśmiechnęła.

– On nadal ma te plecy. – Komendant spojrzał na nią, po czym uśmiechnął się rozbijając i dodał: – Ale oczywiście państwo nie musicie o tym wiedzieć.

– A wiemy, kto to jest? – zapytała Ania zaraz po tym, jak opuścili gabinet komendanta.

– Wiemy. – Adrian się uśmiechnął. – To ten, który próbował być ważny, jak nas zatrzymali na blokadzie.

– Komisarz Sasin? – zapytała.

– Prawie. Komisarz z awansu partyjnego Susik – odpowiedział aspirant, po czym sięgnął po telefon. – Zaraz się dowiemy, gdzie go znaleźć.

Marcin nie mógł odebrać telefonu, bo już dawno go nie miał, a do tego od dwóch dni siedział zamknięty w piwnicy o wymiarach metr na dwa, która nie miała okna, niczego innego zresztą też nie. Były tu jedynie składane łóżko i żarówka pod sufitem, którą zapalali i gasili, symulując nią, zdaje się, dzień bądź noc. Tak naprawdę równie dobrze mogli zapalać ją nocą, a gasić w dzień i przestawić mu w ten sposób kompletnie rytm dobowy. Mogliby, ale z drugiej strony, po co mieliby to właściwie robić? Nie był tu dlatego, że ktoś chciał na nim robić eksperymenty medyczne, tylko dlatego, że ktoś uznał, że za bardzo się do niego zbliżyli.

Ten ktoś zresztą nie był kimś pierwszym lepszym z brzegu, tylko jego własną ciotką, a może też i wujem. Na pewno też i wujem, bo mało prawdopodobne wydawało mu się, żeby ciotka, która przyjechała po niego na stację i go z niej zabrała, robiła to wszystko w tajemnicy przed swoim mężem. Od dwóch dni, a w każdym razie od dwóch zapaleń i zgaszeń żarówki pod sufitem, prawie przez cały czas zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodziło. Początkowo krzykiem i waleniem w drzwi usiłował wymóc na ciotce albo na nich obojgu, żeby sama bądź sami mu to wyjaśnili, ale jak do tej pory oprócz regularnego otwierania wąskiej szpary w dolnej części drzwi, wsuwania przez nią jedzenia i zabierania talerzy po poprzednim, nie następował żaden kontakt ani żaden odzew. O co chodziło? Może wuj w końcu po prostu się wściekł, że za dużo ryzykują, może go tu przetrzymują, żeby nie zwinęła go policja, a może jeszcze z jakiegoś zupełnie innego powodu. Może ciotkę najpierw śledzili, żeby doprowadziła ich do niego, a potem ktoś ukrył się na tylnym siedzeniu jej samochodu i to nie ona zrobiła mu zastrzyk w szyję i to nie ona go tu przywiozła. Zresztą, gdzie było to „tu“? Raczej nie w domu wujostwa, gdzie, jak mu się wydawało, znał każdy zakamarek. Tak, użycie ciotki jako przynęty finalnie wydało mu się najbardziej logiczne. Pytanie tylko, co w takim razie porywacze zrobili z nią? I co zrobią z nim? Zabiją, użyją, żeby ściągnąć tu też Anię i wtedy...? Gdzieś w oddali Marcin usłyszał coś, co mogło być dzwonkiem telefonu.

Ania schodziła razem z Adrianem po schodach prowadzących do wyjścia z budynku. Do wuja zadzwoniła po raz pierwszy. Wcześniej wciąż się wahała, nie chciała go denerwować, a równocześnie miała nadzieję, że Marcin się po prostu znajdzie. Może poszedł w długą, może cała ta sytuacja w końcu go przerosła i trafił do któregoś ze swoich lewych kolegów jeszcze z domu dziecka, a potem były narkotyki i balanga i brat oderwał się od rzeczywistości na tyle, że zapomniał o ludziach, którym na nim zależało. Wiedziała, że z pewnością nie był to ten cholerny ćpun Wojtek, bo jego spraw/ dzili już na wszystkie strony. Teraz jednak zdecydowała, że nie ma co dłużej

liczyć na to, że wuj o niczym się nie dowie. Jeśli komendant rzeczywiście podejmie wszelkie możliwe działania, to wuj, który wciąż był przecież wysoko postawiony w politycznych strukturach, wkrótce i tak będzie o wszystkim wiedział, nawet bez jej udziału, a wtedy naprawdę zrobi się problem.

Rozmowa, zgodnie zresztą z jej oczekiwaniem, okazała się trudna. Wuj potwornie się zdenerwował, najpierw swoim zwyczajem obciążył ich oboje całą odpowiedzialnością za krzywdę, która przecież to właśnie im, a konkretnie Marcinowi, się przytrafiła. To przez ich niefrasobliwość, przez pakowanie się tam, gdzie nikt ich nie chciał, wchodzenie w kompetencje policji stało się to, co się stało i jej brat zniknął. Ciężko było z tym polemizować, wuj miał rację. Tylko co z tego? Taka konstatacja była w tych warunkach, mówiąc oględnie, mało przydatna. Po chwili wuj, co też zresztą było dla niego typowe, opanował się i oświadczył, że poruszy niebo i ziemię, żeby Marcina odnaleźć. Wtedy Ania powiedziała mu o rozmowie z komendantem głównym i o tym, że policja ma się tym zająć z pełnym zaangażowaniem. Wuj się ucieszył, ale obiecał jeszcze zadzwonić w tej sprawie do swojego znajomego, ministra spraw wewnętrznych, a jak będzie trzeba, to skontaktuje się nawet z premierem. Co do tego ostatniego, Ania uznała, że raczej była to już czcza przechwałka, charakterystyczną cechą wuja było bowiem to, że nie istniała właściwie taka sytuacja, której nie wykorzystałby do tego, by podbić swoje ego. Taki już był, inni ludzie często miewali gorsze wady od tej, pomyślała i się rozłączyła.

– Kto dzwonił? – zapytała ciotka Beata, która weszła do kuchni, kiedy Zygmunt kończył rozmowę.

– Ania – odpowiedział, po czym dodał zafrasowany: – Marcin gdzieś zniknął i od dwóch dni nie ma z nim kontaktu. Doigrał się.

– Jak możesz tak mówić? Twój siostrzeniec jest w niebezpieczeństwie, a ty zajmujesz się tym, że to jego wina? Zwariowałaś – zrugła go żona, po czym trochę dziwnie się uśmiechnęła. Zygmunt pokiwał głową. Beata miała rację, jak zawsze zresztą.

– Idę zadzwonić do Waldka – powiedział.

– Idź. – Pokiwała głową. – Ja jadę załatwić sprawy, będę wieczorem.

Ania z Adrianem raz jeszcze, teraz dodatkowo wsparci błogosławieństwem komendanta głównego, usiedli do przeglądania nagrań z kamer monitoringu ze stacji benzynowej, na której zostawili Marcina, a policja w studziencie kanalizacyjnej znalazła fragmenty jego telefonu. Marcin był widoczny do momentu, kiedy wychodził spod zadaszonej części stacji, tej z dystrybutorami. Na ostatnich klatkach, na których było go widać, Ani wydawało się, że do kogoś się uśmiechał, ale obraz był niskiej rozdzielczości, do tego z cienia przechodził w światło, obraz w tym miejscu był zaświetlony, więc nie mogła być pewna. Raz jeszcze przyjrzeni się też podejrzanego skodzie, w której, jak już wiedzieli, ktoś wymienił tablice rejestracyjne. W środku nie było widać kierowcy i jedyne, co udało się ustalić po maksymalnym powiększeniu fotografii, to to, że dłonie widoczne przez ułamek sekundy na kierownicy prawdopodobnie należały do kobiety.

– Porwała go kobieta? – zdziwił się Adrian.

– Może za kółkiem siedziała kobieta. – Ania na chwilę się zamyśliła, po czym dodała: – Marcin ufa kobietom, więc łatwiej wsiadł do stopa, do którego zaprosiła go kobieta. Może potem pojawili się jej koledzy.

– Telefon stracił już na stacji, czyli koledzy musieliby się pojawić zaraz potem. – Adrian podał w wątpliwość jej hipotezę.

– Może ktoś siedział z tyłu? – Ania próbowała się bronić.

– I Marcin go nie zauważył?

– W tej skodzie tylne szyby są przyciemnione, może zauważył, ale w ostatniej chwili i co miał wtedy zrobić? Nie wsiadę do pani, bo z tyłu jest mężczyzna? Trudna sytuacja. A może ktoś leżał na tylnej kanapie, kiedy Marcin wsiadał, i podniósł się, dopiero kiedy zamknął drzwi za sobą. Nie mam pojęcia. – Ania pokręciła głową.

Potem, kiedy uznali, że już nic więcej nie wyciągną z monitoringu, pojechali pod jej dom. Na odchodne policjant przysłany im do pomocy przez głównego powiedział jeszcze, że jak tylko sprawdzą, zgodnie z poleceniem komendanta, monitoringi z innych stacji w pobliżu i z kamer na autostradzie i znajdą coś ciekawego, to dadzą im znać.

W domu Ania kompletnie się rozsypała. Dotarło do niej, albo raczej wypłynęło na wierzch jej świadomości, że wszystko, co się teraz działo, działo się z jej winy. To ona namówiła Marcina do tego, żeby wszedł w to dochodzenie, to ona je wcześniej sama zaczęła i to ona wyciągnęła go z domu dziecka przed czasem.

– Gdybyśmy tego nie ruszali, on byłby tam, bezpieczny i spokojny. – Ania była bliska łez.

– Może i bezpieczny, chociaż to dość względne, ale na pewno nie spokojny. –

Adrian gładził ją po dłoni.

Po chwili pocałował ją delikatnie w usta. Ona nie protestowała, była ciepła i miękka. Ulegała mu, a on szedł coraz dalej, ale nie dlatego, że chciał wykorzystać moment jej słabości, a dlatego, że zależało mu na tym, by pomóc jej ten moment przetrwać. Czy ona ulegała dlatego, że pchał ją w tę stronę, czy to ona go w tę stronę ciągnęła, nie miało aż tak wielkiego znaczenia. Tak naprawdę wydarzyło się to, co dzieje się czasami między dwojgiem ludzi, a potrzeba była wzajemna. Może bywało tak już między nimi i wcześniej, tego nie wiedzieli ani on, ani ona, bo wtedy nominalnie on był klientem, a ona świadczyła usługę, więc podstawę stanowiła wymiana handlowa. Tego wieczora żadnej wymiany nie było. Po prostu dwoje ludzi namiętnie uprawiało ze sobą miłość, bo oboje bardzo tego chcieli.

Jego telefon zadzwonił w pół do dwunastej w nocy. Ona spała wyczerpana stresem, rozpaczą i miłością, on czuwał i odebrał od razu. Dzwonił Malewski. Chwilę wcześniej mi ał telefon od kogoś z wojewódzkiej w Kielcach. Wiedzieli, że kręcił się wokół sprawy w Gabrielinie, może to Powaba kazał im się z nim skontaktować. W każdym razie ów ktoś przekazał mu, że w Gabrielinie doszło do próby zabójstwa i to ze szczególnym okrucieństwem. Ofiarą był nie kto inny jak Kazimierz Pawlik, czyli były wychowawca z nieistniejącego już domu dziecka, który, co udało im się już wcześniej ustalić, był przed laty podejrzany w sprawie o molestowanie nieletnich.

– Z wyjątkowym okrucieństwem? – zainteresował się Adrian.

– Z wyjątkowym – potwierdził Malewski, po czym dodał dla rozjaśnienia obrazu: – Ktoś obciął mu jaja i przyrodzenie. Facet żyje, ale leży w stanie krytycznym na O I O M-ie w Kielcach, rokowania są raczej słabe, stracił za dużo krwi.

– Zemsta – skonstatował Adrian.

– Prawdopodobnie tak – potwierdził Malewski. – Może to wszystko to jakaś pokręcona zemsta popaprańca.

– Trzeba podjechać – stwierdził po chwili namysłu Adrian.

– Gdzie?

– Do Gabrielina – wyjaśnił aspirant. – Może po czymś takim lokalsom rozwiążą się języki.

Po telefonie Malewskiego Adrian wahał się, czy obudzić Anię i przekazać jej to, czego się właśnie dowiedział. W końcu zdecydował, że tego nie zrobi. Dziewczyna była wyczerpana, nie spała od dwóch dni. Nie miał sumienia jej budzić. Poza tym i tak do Gabrielina pojedą dopiero rano, teraz nie mieliby tam nic do roboty. Policja może pracuje, zbiera ślady, acz i to wcale niekoniecznie. Gdyby Pawlik zginął, wtedy wdrożono by bardziej bezwzględne procedury, ale skoro przeżył, to i tak ślady będą zbierali pewno dopiero w godzinach urzędowych.

Ania obudziła się o szóstej, a właściwie obudziło ją dziwne poczucie, że wydarzyło się coś, co zmienia postać rzeczy. Obudził ją niepokój. Rozejrzała się po sypialni; obok spał Adrian. Teraz dla odmiany to on uzupełniał deficyt snu. Ania wstała i zaczęła szukać czegoś, co, jak podpowiadała jej intuicja, było bardzo ważne, ale czego racjonalna świadomość nijak nie umiała zlokalizować. W końcu wzięła do ręki telefon, przejrzała ostatnie połączenia i esemesy, przejrzała WhatsAppa, weszła

też na maila. To tutaj czaiła się odpowiedź na jej intuicyjny niepokój. Na górze listy otrzymanych wiadomości była jedna, wysłana z bardzo dziwnie wyglądającego adresu mailowego, w którym więcej było cyferek i dziwnych znaków niż liter jako takich. Otworzyła wiadomość, która okazała się tyleż lapidarna, co przerażająca. *Jeśli chcesz, żeby żył, to to zostaw i nigdy więcej tego nie dotykaj.*

Adrian obudził się godzinę później. Nie spał długo, może cztery, góra pięć godzin, ale jego też trapił niepokój. Czy był jego własny, czy pośrednio przejęty od Ani, nie miało znaczenia.

– W nocy dzwonił Malewski – powiedział Adrian, wchodząc do kuchni.

Ania siedziała przy stole. Była już ubrana i umalowana, gotowa do wyjścia, ale Adrian od razu dostrzegł w niej lęk, którego nie widział jeszcze wczoraj w nocy. Ania oczywiście bała się także wczoraj, ale ten obecny lęk był całkowicie odmienny. O ile tamten był lękiem motywującym, o tyle ten wydał się ją paraliżować.

– I co powiedział? – zaciekała się.

Nie było to zainteresowanie udawane, ale z całą pewnością więcej w nim było obawy niż chęci poznania faktów. Adrian pomyślał, że to zrozumiałe, bo przecież to, co miał jej do przekazania, rzeczywiście mogło mieć bardzo różny charakter, choć gdyby było bardzo złe, to raczej nie czekałby z tym aż do rana.

– Musimy jechać do Gabrielina – powiedział. – Ktoś urwał jaja Pawlikowi.

Ania przez moment trawiła informację.

– Pojedziesz sam? – zapytała po chwili.

– Pojadę, jasne – odpowiedział, przyglądając się jej jeszcze bardziej przenikliwie.

– Chcę być tutaj, blisko... – zaczęła się tłumaczyć.

– Dobrze. – Adrian usiadł na krześle obok niej i zamknął jej dłoń w swojej.

Była tak zimna, jakby Ania trzymała ją przez ostatnią godzinę w lodówce.

– Co się stało? – zapytał, patrząc jej w oczy.

Ona pokręciła tylko głową, co dla niego oznaczało, że faktycznie coś się stało i że ona nie chce albo raczej prawdopodobnie nie może o tym mówić.

– Anonimowo? – zapytał.

Teraz dla odmiany skinęła głową.

– Mail? – upewnił się, bo doskonale wiedział z pracy operacyjnej, że jeśli ktoś chciał pozostać nienamierzalny, to tylko internet dawał mu taką możliwość, tylko tam funkcjonowały sieci vpn, darknet i inne tego typu rzeczy, które nawet najgorszym popaprańcom pozwalały zachować anonimowość.

Raz jeszcze potwierdziła skinieniem głowy.

– Zadzwoń, jak tylko tam dojadę i zobaczę, co i jak – powiedział.

– Napisz przez WhatsApp – zasugerowała prawie szeptem.

Nie jest dobrze, pomyślał Adrian. Zwłaszcza jeśli Ania miała rację i faktycznie telefony stały się mało bezpiecznym instrumentem komunikacji, bo to oznaczało, że do gry po jej mrocznej stronie włączyli się ludzie, którzy mogli bardzo dużo. Adrian wstał, podszedł do zlewu w kuchni, odkręcił kran, podstawił pod niego talerzyk, co spowodowało, że woda zaczęła rozbryzgiwać się na boki, z głośnym brzękiem uderzając o metalowe boki zlewozmywaka, po czym wrócił do Ani, przybliżył krzesło

i usiadł obok niej.

– Skąd wiesz, że jest aż tak źle? – zapytał ściszym głosem.

– Nie wiem, ale mam takie przeczucie. Ten cały Susik, nasłany nie wiadomo przez kogo, Marcin porwany ze stacji, na której został i tylko my i policja o tym wiedzieliśmy, to, co się stało z tym pedofilem w Suchedniowie, to, że wszyscy zabici rodzice należeli do jakichś organizacji, partii... – szeptała Ania, a w jej głosie pobrzmiwało jakieś zapamiętanie, coś psychotycznego.

W końcu Adrian przytknął delikatnie palec do jej ust i pokiwał głową.

– Starczy, napiszę, tylko miej telefon przy sobie. – Uśmiechnął się.

– Nie mam wyjścia – odpowiedziała.

Adrian dojechał do Gabrielina w półtorej godziny. Zgodnie z tym, co przewidział, kryminaliści właśnie wznawiali pracę w otoczonym taśmami policyjnymi i pilnowanym przez kilku funkcjonariuszy z prewencji pomieszczeniu gospodarczym przy domu Pawlika. Ofiara wciąż żyła, więc nie badano okoliczności zabójstwa, ale do sprawy zawsze przecież można podejść na kilka sposobów. Rzetelniej byłoby zbadać ślady do końca od razu po zajściu, badanie ich teraz nie było zbyt skuteczne i znacząco zmniejszało szanse na znalezienie sprawcy.

– Coś póź no się za to wzięliście. – Adrian podszedł do drzwi odgradzonego taśmami magazynku, przy którym kręciło się kilku facetów ubranych w białą flizelinę, i zwrócił się do tego, który akurat wyciągał coś ze stojącej pod drzwiami stalowej walizki.

– A ty kto? – zapytał tamten, nie patrząc nawet na niego.

– Aspirant Nowaczyk, komenda stołeczna. – Adrian po raz drugi tego ranka wyciągnął swoją odznakę i po raz drugi skłamał, bo nie pracował przecież w komendzie stołecznej.

Kryminaliści zerknął na legitymację; numer na blasze i tak nic mu nie mówił. Jest blacha, jest policjant, a po co policjant miałby go okłamywać?

– Nie ma zabójstwa, nie ma ciśnienia – odpowiedział, nieszczerze się usprawiedliwiając.

– Jeszcze nie. – Adrian schował legitymację.

Kryminaliści popatrzył na niego z wymuszoną ciekawością.

– Facet umiera na O I O M-ie – wyjaśnił Adrian.

Chwilę obaj patrzyli w dal, jakby odrabiali czas przydzielony na refleksję nad ulotnością wszystkiego.

– Co macie? – Adrian postanowił wykorzystać świeżo nabyte pobratymstwo.

– Niewiele. – Kryminaliści wszedł do gry. – Ostre narzędzie, na razie nie wiemy jakie.

– Szkło? – zasugerował aspirant.

– Po charakterystyce cięcia możliwe, chociaż na razie nie przyszło nam to do głowy. Skąd taki pomysł? – zaciekawiał się kryminaliści, teraz już żywiej.

– To może być ofiara seryjnego – odpowiedział Adrian po chwili namysłu.

Może nie powinien był tego ujawniać, ale właściwie czemu nie. Im bardziej ich nakieruje, tym trudniej będzie później jakiemuś Susikowi czy jemu podobnemu zamieść to pod dywan. Swoją drogą ciekawe, czemu zamiatali i – przede wszystkim – kto zamiatał. Susik miał plecy wyżej niż sięgała jurysdykcja głównego – czyli u kogo? I I premiera, prezydenta, papieża?

– Jakież inne cechy tamtych przestępstw? – Głos kryminalistyka wyrwał go z zamyślenia.

– Duszenie, ale to rzadko, czasem, jak ofiar było więcej... – Nowaczyk próbował sobie przypomnieć jakieś inne elementy wspólne zabójstw.

– Jak więcej, co to, sekta jakaś? – przerwał mu kryminalistyk, który był coraz bardziej zainteresowany.

Właściwy człowiek na ‘właściwym miejscu, pomyślał Adrian, tacy są najlepsi, muszą to lubić, musi ich wkręcać.

– Parokrotnie było dwoje rodziców, czasem jeden rodzic – wyjaśnił.

– A to to też rodzic? – zapytał tamten. – Facet miał pod osiem dych.

– Czyjś rodzic na pewno, ale to jest inny przypadek, uzupełnienie serii – odpowiedział Adrian, a jego myśli odpłynęły gdzieś dalej.

– Jakaś kobieta ci się przygląda – stwierdził nagle kryminalistyk, który pobrał już z walizki wszystkie potrzebne narzędzia i odczynniki i ruszył w stronę wejścia do środka komórki.

Wyrwany z zamyślenia Adrian obrócił się za siebie. Rzeczywiście przyglądała mu się kobieta, na oko siedemdziesięcioletnia. Co jednak ważniejsze, było w niej coś, co czyniło ją niepasującą do pozostałych osób przyglądających się działaniom podejmowanym przez organy ścigania. Słowem, wyróżniała się z tłumu, ale nie miał szans dobrze się jej przypatrzeć, bo gdy tylko zorientowała się, że ją dostrzegł, zniknęła gdzieś za plecami cizby miejscowych. Adrian zastanawiał się przez moment, ale nie na tyle długo, żeby stracić ją z oczu bezpowrotnie. Sekundę później ruszył w stronę, gdzie zniknęła.

Szła szybko, ale znów nie na tyle, żeby Adrian nie mógł za nią nadążyć, a ona, jako że miała siedemdziesiątkę na karku, to doskonale wiedziała, że go nie zgubi, być może zresztą wcale tego nie chciała. Weszła do domu stojącego na obrzeżu Gabrielina. Minutę później Adrian zapukał do drzwi. Otworzyła.

– Pan wejdzie – powiedziała krótko, po czym w reakcji na jego zdziwienie dodała: – Tylko szybko.

On wszedł, a ona natychmiast zamknęła za nim drzwi. Chwilę stali w sieni w milczeniu. Adrian zastanawiał się, co tu robi, kobieta bacznie mu się przyglądała.

– Byłeś tu już wcześniej, chłopcze – skonstatowała w końcu.

– Byłem. – Pokiwał głową.

– U Pawlika? – upewniła się.

– Też. I w przedszkolu – potwierdził.

– W bidulu, nie w przedszkolu – sprostowała.

– To pani. – Nagle go olśniło.

– Co j a? – zdziwiła się.

– Rozmawialiśmy z policjantem, z milicjantem właściwie, który prowadził przed laty sprawę molestowania dzieci w sierocińcu. To pani zgłosiła, że tu się dzieją te wszystkie rzeczy. Była pani kucharką?

– Nic ci nie powiem. – Pokręciła głową.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– To po co mnie pani tu przyciągnęła? – zdziwił się szczerze.

– Nigdzie cię nie ciągnęłam – oburzyła się.

Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło, utknęli w impasie.

– Jej powiem. – Kobieta pierwsza przerwała milczenie.

– Jej? – Adrian czuł się tu coraz dziwniej.

– Dziewczynie, za którą dałbyś się pokroić, młodzieńcze. Jak mówię „jej“, to kto ci przychodzi do głowy jako pierwszy? Matka Boska czy może ona?

– Ona.

– To po co się głupio pytasz?

– Czemu jej?

– Nie interesuj się, tylko ją sprowadź. – Uśmiechnęła się nagle polubownie.

– Brata jej porwali. – Adrian uznał, że przed tą kobietą nie ma co ściemniać, szczerść wydała mu się bardziej wskazana.

– To sprowadź ją szybko, bo nie ma czasu – zafrasowała się.

– Postaram się.

– Nie staraj się, tylko ją sprowadź, w końcu jesteś policjantem, o ile dobrze zrozumiałam. – Przyjrzała mu się badawczo.

– Nie mówiłem, że jestem policjantem. – Adrian był coraz bardziej skołowany.

– A tobie przestępcy mówią, że są przestępcami? – podsumowała stara kobieta, która zupełnie nie wyglądała staro.

– Nie.

– Idź.

Adrian wyszedł. Pomyślał, że w życiu zdarzyło mu się sporo dziwnych sytuacji. Od ładnych kilku lat robił w bandyterce, miał więc do czynienia z różnymi ludzkimi typami, ale czegoś takiego jeszcze nie przeżył. Inna rzecz, że wciąż był jeszcze dość młody. Wyciągnął telefon i wszedł na WhatsAppa.

– Jestem. – Napisał.

– I co? – Odpisała już po kilku sekundach.

– Ktoś go nieźle zmasakrował, prawdopodobnie znów szkło.

– Czyli Marcin miał rację.

Nie widział jej twarzy, nie słyszał jej głosu, ale i tak poczuł w tym zdaniu gorycz. Owszem, nie zgadzał się z nim wtedy, zlekceważył jego intuicję, czy może inteligencję, ale przecież już dawno temu przyznał mu rację, nawet przeprosił. Niestety, najwyraźniej niesmak pozostał.

– Jakies wieści o nim? – zapytał po chwili bez większej nadziei.

– Nie – odpowiedziała natychmiast, jakby chciała mieć już tę odpowiedź za sobą i najchętniej o niej zapomnieć.

– Jest tu ta kobieta – napisał to, co było w tej chwili najważniejsze.

– Jaka kobieta? – zdziwiła się.

– Ta, która wtedy zawiadomiła milicję, kucharka – wyjaśnił.

– I? – żywo się zainteresowała.

– I musisz tu przyjechać – odpowiedział, po czym szybko dopisał: – Ona chce gadać tylko z tobą.

– Czemu? – Ania była zaskoczona.

– Czemu? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Zostaw swój samochód, wyjdź

przez piwnicę na tyły podwórka, może Bernard ci pomoże. Ja jeszcze się tu rozejrzę. Wydaje mi się, że gdzieś tu jest odpowiedź na dręczące nas pytania.

– Gdzie jest Marcin? – chciała się upewnić, że to pytanie też wchodzi do zakresu dręczących pytań, na których odpowiedź mogą tam znaleźć ć.

– Po nitce do kłębka – pisząc odpowiedź, pokiwał głową.

Ciężkie stalowe drzwi do piwnicy otworzyły się i stanęła w nich ciotka. Jednak, pomyślał Marcin, wygląda na to, że ciotki nie porwali, bo nie kręciłyby się po piwnicach w pełnym makijażu i wyprasowanej spódnicy.

– Dzień dobry, Marcin – powiedziała, stawiając talerz z kanapkami na stoliku obok materaca, na którym siedział.

Teraz zauważył, że w drugiej ręce trzymała broń. Co za niedorzeczność, ciocia Beata z glockiem, czy co to tam było, w ręku – pomyślał. Po chwili, nie spuszczać jej z oczu, pokiwał głową.

– Jak się dziś czujesz? – zapytała, jakby trapiło go przeziębienie, z którego właśnie wychodził.

– Co to jest? – Marcin wskazał głową na otaczające ich mroczne piwniczne ściany.

– Piwnica – odpowiedziała z uśmiechem ciocia Beata.

– Co ja tu robię? – Chłopak starał się panować nad nerwami. Miał niejasne przeczucie, że wszystko w tej sprawie jest pokręcone, a najbardziej ze wszystkiego pokręcona jest uśmiechnięta ciocia Beata.

– Jesteś tutaj tymczasowo – wyjaśniła, nie wnosząc nic nowego do jego wiedzy.

– Dlaczego? – zapytał najkonkretniej i najspokojniej jak potrafił.

– To jest bardzo złożona sprawa – odpowiedziała, a uśmiech nagle znikł z jej twarzy, jakby przypomniawszy sobie coś bardzo ważnego, co nie poprawiało jej nastroju.

– No, ale skoro jestem tu już któryś dzień z rzędu, to chciałbym się jednak dowiedzieć. – Marcin prowadził grę, bo przeczuwał, że tak będzie lepiej. Po chwili dodał, żeby ją zachęcić: – Mnie nie przeszkadza, jak coś jest skomplikowane.

– Mieliśmy z wujkiem trudne dzieciństwo – powiedziała i zamilkła.

– Mieliście trudne dzieciństwo i dlatego ja jestem, kurwa, w tej piwnicy? – upewnił się Marcin.

– Mógłbyś nie używać w mojej obecności słów powszechnie uważanych za obelżywe? – zachnęła się ciotka.

– Mógłbym, oczywiście. Przepraszam. – Marcin grał spolegliwego, bo czuł, że nie ma za bardzo wyjścia.

Ciotka pokiwała głową. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, ona sprawiała wrażenie, jakby w ogóle zapomniała, gdzie jest i po co tu przyszła.

– No nic, zjedz, później wrócę – powiedziała nagle, po czym wstała i ruszyła do drzwi.

Marcin przez moment pomyślał, że może powinien się na nią rzucić teraz, kiedy była zwrócona plecami do niego, ale ona jakby usłyszała jego myśli, bo nagle odwróciła się i uniosła nieznacznie dłoń z pistoletem.

– Jest prawdziwy. – Uśmiechnęła się.

– Jakoś tak się domyśliłem. – Pokiwał głową. – Możesz mi powiedzieć, co tu, kurwa..., co tu robisz i czy możesz mnie stąd wypuścić?

– Nie wolno ci używać tego języka ulicy w moim domu. – Pokręciła głową z dezaprobatą, po czym wyszła i zatrzasnęła za sobą ciężkie stalowe drzwi.

Marcin został, nie rozumiejąc nic oprócz tego, że ciocia była najwyraźniej niespełna rozumu. Gdzie był wujek? Zatrzaśnięty w piwnicy obok? Zabity? Marcin przeraził się nagle nie na żarty. Co tu się w ogóle odwala? Ciotka zwariowała, to było poza kwestią, a może jest coś przez kogoś naćpana? Zahipnotyzowana? Najbardziej przerażało go w tej chwili to, że zupełnie nie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedy wiesz, jakie są motywy, jakie powody, wtedy możesz zacząć coś przewidywać. A może czasem lepiej nie przewidywać, nie myśleć i tylko po prostu iść do przodu?

Ania poszła za radą Adriana, do Bernarda na wszelki wypadek napisała też przez WhatsAppa i to z komputera, a nie z telefonu. Pół godziny póź niej deweloper czekał na osiedlu blokowisk na tyłach jej eleganckiej nowoczesnej kamienicy. Ania zostawiła włączone światła, co więcej, zainstalowała na szybko aplikację, dzięki której mogła z telefonu dowolnie włączać i wyłączać poszczególne lampy w mieszkaniu, a nawet, gdyby zechciała, mogła też zdalnie włączyć telewizor.

Do Gabrielina dojechali w nieco ponad godzinę, co stanowiło, zdaje się, rekord tej trasy. Bernard lubił bić tego typu rekordy, inne zresztą też, ogólnie przez większość życia ścigał się po prostu sam ze sobą na róż nych polach.

Tymczasem Adrian, czekając na jej przyjazd, odwiedził w końcu komórkę przy domu Pawlika, w której doszło do jego kaźni. Swoją drogą stan rannego cały czas się pogarszał, nie pomagały kolejne transfuzje. Uraz był zbyt rozległy, organizm po takiej katastrofie uznał chyba, że dalsze życie nie ma za bardzo sensu. Mężczyzna pozostawał cały czas nieprzytomny, utrzymywano go w śpiączce farmakologicznej. Na miejscu wczorajszego przestępstwa, czyli w świeżo zabiłonej wapnem komórce, ściany zabryzgane były krwią. Na jednej z nich oprócz tradycyjnych hieroglifów ktoś napisał krwią, tym razem w czystej polszczyźnie: „To nie koniec. Krew wciąż płynie...“. Nie koniec, czyli? – zastanawiał się Adrian. Marcin? To on ma być końcem, nie daj Boże, a może jeszcze Ania? Musiał na nią uważać. Tak, teraz to było absolutnie najważniejsze.

Już zawczasu, zanim dojechała, Adrian poprosił, żeby nie wysiadała z samochodu, a niewątpliwie wyróżniające się auto Bernarda wjechało prosto na podwórko obejścia kucharki, najlepiej pod same drzwi. Tam czekał już na nią, by wprowadzić ją prosto do sieni. Kobieta zabrała ich dalej, do kuchni.

– Dobrze, a teraz niech pan stąd wyjdzie. – Kucharka patrzyła na Adriana bez wrogości, ale też w jej spojrzeniu nie było przesadnej sympatii.

Adrian spojrzał na Anię, ta pokiwała głową.

– Kto to dla pani jest? – zadała pierwsze pytanie staruszka.

– Znajomy – odpowiedziała Ania.

– Nie lubię mężczyzn – odezwała się po chwili kobieta. – Kobiety nie są zdolne do takich makabrycznych rzeczy.

– No nie wiem, mieszkałam w sierocińcu prowadzonym przez siostry zakonne, nie było lekko. – Ania się uśmiechnęła.

– Między „nie było lekko” a „torturami” jest jednak spora różnica. – Kobieta włączyła czajnik elektryczny.

– Kazimierz? Torturował? – zapytała Ania.

– Nie tylko on, ale on wyjątkowo, inni głównie dla zaspokojenia potrzeb seksualnych, on zaspokajał chyba jeszcze coś przy okazji – powiedziała staruszka, nie

odwracając się od blatu kuchennego. – Kawa czy herbata?

– Herbatę poproszę. – Ania przyglądała się jej ruchom.

Z jej wyliczeń wynikało, że kobieta musiała mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, ale kiedy patrzyło się na nią od tyłu, energia ruchów, elastyczność i witalność plasowały ją gdzieś bardziej w okolicach czterdziestki, twarz usiana była wprawdzie zmarszczkami, ale oczy płonęły takim ogniem, że znów nie bardzo chciało się wierzyć, że ma więcej niż pięćdziesiątkę. Ciekawe, co tak napędza niektórych do życia. Empatia? Myślenie o losie innych?

– Pawlik? – dopytała Ania, trochę *pro forma*.

– Tak, on był najgorszy. – Kobieta zalała herbaciane torebki w szklankach i podeszła z nimi do stołu. – A najkoszmarniejsze rzeczy powiedziała mi o nim ta siostra. Czyli znów kobieta, tyle że bardzo mała kobieta.

– Siostra? – zapytała z ciekawością Ania, która przypomniała sobie, że już w opowieści Powaby pojawiła się jakaś dziewczynka.

– Tak, nie pamiętam, jak jej było, może Iza, siostra tego chłopca, którego Pawlik obracał najgorzej, ona pierwsza zwróciła moją uwagę na to, co tam się działo, szczególnie nocami. Ja jako kucharka nocami tam raczej nie bywałam, sama pani rozumie, ale po tym, jak mi powiedziała, zostałam tam potajemnie na noc raz, potem drugi. No i już wiedziałam.

Ania posłodziła i wypila łyk gorącej herbaty.

– No ale najgorzej miał ten jeden chłopiec – ciągnęła starsza pani, która wyglądała na młodszą.

– Chłopiec? – zainteresowała się Ania. – Powaba, ten milicjant, który to wtedy prowadził, coś wspominał, ale nie było szczegółów, a one są najważniejsze. Chłopiec, czyli brat?

– A czemu właściwie pani była tu z bratem i z tym policjantem, czego pani tak naprawdę szuka? – odpowiedziała pytaniem na pytanie kobieta.

– Jak już powiedziałam, chowałam się w domu dziecka, spory kawałek dzieciństwa, brat też, dziesięć lat – zaczęła Ania.

– Wam też zabili rodziców – wtrąciła się kobieta.

– Tak, skąd pani wie...? Czemu też? – zdziwiła się Ania.

– Podobnie było z tym małym, którego tak skrzywdził Pawlik, i z tą jego siostrą, im też ktoś zabił rodziców. Nie znam szczegółów, ale zdaje się, że to był jakiś krwawy pijacki mord, podcięli im gardła tulipanami, wie pani, takimi obtłuczonymi butelkami – upewniła się kobieta.

– Wiem. – Ania była totalnie zdumiona. – Jak on się nazywał? W sensie ten chłopiec.

– Nie pamiętam, zresztą nie wiem, czy kiedykolwiek wiedziałam, jak on się nazywał z nazwiska, byłam tam tylko kucharką. – Kobieta próbowała sobie coś najwyraźniej przypomnieć. – Miał ksywkę, wszystkie dzieciaki miały, nawet często nie znaleźmy ich imion, były tylko te przezwiska. – Spoglądała za okno, jakby to tam tkwiła odpowiedź na pytanie, które właśnie sobie sama zadała. – Misiak? Nie, coś z misiem, ale inaczej. Nie pamiętam. – Gł ośno wypuściła powietrze z płuc.

– Jakaś dokumentacja? Przecież dom dziecka musiał mieć jakieś teczki czy coś. – Ania się ożywiła.

– Miał, a jakże, był cały pokój teczek. – Kucharka pokiwała głową.

– Gdzie one są? – Ania poczuła trop.

Wystarczyło teraz ustalić dane dzieciaka, dziś już dorosły, a wręcz leciwy mężczyzna musiał być jakoś z tym powiązany. Kto inny obciąłby genitalia wychowawcy, jak nie jego ofiara?

– Spalili. – Kobieta spojrzała na Anię z żalem. – Zaraz po tym dochodzeniu, jak milicja sobie poszła, ktoś podpalił ten pokój. Tylko cudem nie spalił się cały budynek z dziećmi w środku.

– Pawlik? – Ania nie mogła uwierzyć.

– Nie tylko, tam było ich więcej w to umoczonych, nawet ówczesny sołtys, teraz już nieżyjący. No ale tak, Pawlik był niedościgniony. Zaraz po tym pożarze dom dziecka zamknęli, dzieciaki rozwieź li po Polsce, były też jakieś adopcje, tego małego wzięli jako pierwszego. – Pokiwała głową.

– A ją, tę siostrę, też adoptowali? – Ania nagle coś sobie skojarzyła.

– Pewno tak, wszystkich w końcu adoptowali, ale wydaje mi się, że ją stąd zabrali najpierw do jakiegoś innego bidula. – Kobieta wciąż próbowała jeszcze coś sobie przypomnieć, ale bezskutecznie. – Parę lat temu powiedziałabym pani więcej, ale wiek robi swoje.

– Nic nie robi. – Ania się uśmiechnęła. – Dziękuję pani.

Chwilę siedziały w milczeniu, sącząc herbatę.

– Jak pani sobie dała radę potem? W sensie, jak prokuratura wycofała zarzuty i milicja zwinęła sprawę? – odezwała się po chwili Ania.

– Normalnie, oni się chyba mnie trochę bali. Zło tak naprawdę boi się dobra, a ja zawsze starałam się być po dobrej stronie. Jakbym się gdzieś złamała, wtedy by mnie zjedli, a tak oni sobie, ja sobie i tylko czujność cały czas – wyjaśniła. – A gdzie pani brat, tak przy okazji? – zapytała nagle.

Ania chwilę milczała, przez ostatnie kilka minut udało jej się na moment zapomnieć i o tym, dlaczego tu tak naprawdę była, i też o tym, że wszystko było jej winą.

– Porwali go – powiedziała drżącym głosem.

– Ci, którzy tak urządzili Pawlika? – zapytała kucharka.

– Tak myślę, tak myślimy z policjantem, który był u pani. – Ania pokiwała głową.

– Czyli tak oto właśnie zło rodzi zło. – Kobieta się zasmuciła, po czym dodała, bo wiedziała, że teraz to jest kluczowe: – Nie Misiek, tylko chyba imię jakieś miśka, ale jakiego, nie mam pojęcia. Teraz sobie przypomniałam: chłopiec miał na nazwisko Antczak.

Po tym, jak Ania wyszła od kucharki, przez chwilę siedzieli z Adrianem w jego samochodzie. Nieopodal Bernard cierpliwie czekał, by odwieźć Anię do Warszawy. Tymczasem oni z Adrianem nie mieli gdzie się tu podziąć. Wkoło wszędzie sterczeli miejscowi przypatrujący się wszystkiemu, co w jakikolwiek sposób było nietypowe, a po tym, jak wyjątkowo nietypowo ktoś uciał komuś przyrodzenie, nagle wszystko stało się dla nich bardzo interesujące. Przynajmniej jakaś korzyść, pomyślała z sarkazmem Ania, spoglądając przez szybę samochodu na wpatrujących się w nich l okai sów. Na kilka dni zniknie ta oblepiająca tu wszystkich maź marazmu. Odjechali kawałek dalej, Adrian skręcił w leśny zagajnik, zatrzymał samochód i wysiadł, zostawiając telefon w aucie, to samo zasugerował jej. Stanęli obok siebie na leśnej polanie.

– I co? – zapytał dopiero teraz, bo wcześniej, pod brzemieniem ciekawskich i przeważnie w jakiś dziwnie specyficzny sposób mrocznych spojrzeń, nie mógł się skupić.

– Wygląda na to, że jakieś dziś już dorosłe dzieciaki mszczą się na życiu za to, że tak bardzo na początku je skrzywdziło. Myślę, że Pawlik to rzeczywiście koniec tej drogi, bo kiedyś stał się jej początkiem – mówiła Ania, w zamyśleniu wpatrując się w poplątane konary otaczających ich drzew.

– Tylko co z tym kazirodztwem w tej sytuacji? – Adrian znów przeczytał część jej myśli.

– Tego na razie nie wiem – odpowiedziała Ania, po czym nagle dodała: – Imię misia.

– Co? – zdziwił się Adrian.

– Chłopiec, którego gnoił Pawlik, nazywał się Antczak i miał ksywkę od imienia jakiegoś misia. Coś mi to mówi, ale na razie nie mogę sobie przypomnieć co. Swoją drogą, nie tylko kazirodztwo jest dziwne w tym wszystkim.

– A co jeszcze?

– Co jeszcze? Właściwie wszystko. Dlaczego ktoś z wysokich kręgów władzy kazał Susikowi ścigać Marcina, czyli de facto zdławić nasze dochodzenie? I co znaczy ten napis, że jeszcze nie skończył? To się wiąże w jakąś całość? – Teraz patrzyła w górę na korony sosen, jakby tam spodziewała się znaleźć ć jedną odpowiedź na wszystkie pytania.

– Pewno tak, ale nie wiemy jak. Może trzeba przeszukać KSIP pod kątem nazwiska Antczak – zaproponował Adrian.

– Myślę, że znajdziesz bardzo wielu Antczaków i żaden nic nam nie da. – Ania pokręciła głową.

W samochodzie zadzwonił telefon Adriana. Policjant odebrał, a Ania ruszyła w głąb lasu. Po przejściu kilku kroków wróciła jednak do samochodu i wyciągnęła

z niego swój smartfon. Zajrzała na Facebooka, na Instagram, w końcu też do skrzynki mailowej. Zmroziło ją. Kolejna wiadomość z adresu, z którego dostała poprzednią, o tym, że ma się odciąć od sprawy, wisiała między przesłanym przez księgowego Bernarda powiadomieniem o niezapłaconej racie leasingowej za auto, a zachętą do zaciągnięcia kolejnego kredytu.

Miałas to zostawić. Ryzykujesz życie brata. Warto? Jeśli chcesz, żeby dożył nocy, wracaj do Warszawy i czekaj na instrukcje.

Korespondencja, podobnie zresztą jak poprzednia, nie była przez nikogo podpisana, a adres znów wyglądał jak randomowe połączenie najrzadziej używanych znaków numerycznych. Ania pomyślała przez moment, że może warto by było zwrócić się z tym do Wojtka, przyjaciela Marcina, może on by coś namierzył, ale po chwili się zreflektowała. Po pierwsze, nie ma gwarancji, po drugie zajęłoby to czas, a tego już nie miała.

– Dzwonił Malewski ze szpitala w Kielcach. – Usłyszała za sobą głos Adriana. – Pawlik odzyskał przytomność. Jedziemy.

– Ja nie mogę... – Ania spojrzała na niego tak, że Adrian od razu wiedział, iż dalsze pytanie było bezcelowe.

– Dobrze, podwiozę cię do Bernarda, do Kielc pojedę sam. Jak coś mi powie, od razu dam ci znać. – Adrian ruszył do auta.

Kiedy wsiadła, spojrzał na nią i jednak spróbował.

– Co się dzieje? Musisz mi powiedzieć. Oni ci pewno zabronili, zawsze tak robią, ale jak mi czegoś nie powiesz, to jak mam ci pomóc?

– Zabronili mi. – Pokiwała głową i nie powiedziała nic więcej.

Instrukcje nadeszły, gdy byli z Bernardem mniej więcej w połowie drogi do Warszawy. Instruujący kazał im pojechać na dworzec kolejowy w Radomiu, tam Ania miała wysiąść i złapać najbliższy pociąg do Warszawy.

Tak zrobiła, rozumiejąc nawet zamysł tych zaleceń. Ktoś, kto ciągnął ją w oko cyklonu, obawiał się, prawdopodobnie słusznie, że Bernard będzie pilnie strzegł jej bezpieczeństwa. Poza tym za samochodem mógł jechać też inny policyjny, wysłany choćby przez Adriana. Bernard zawiózł ją na dworzec i pozwolił wysiąść, udawał przy tym ciężko obrażonego, a tak naprawdę był przerażony tym, co dalej się z nią stanie. Kiedy trzasnęły drzwi, Ania nerwowo odwróciła się za siebie.

Zanim wsiadła do pociągu, nadeszła kolejna instrukcja. Tym razem miała wejść do mieszczącego się przy dworcu komisju z telefonami, kupić najprostszy smartfon i kartę do niego na swój dowód osobisty, następnie zainstalować kartę w nowym telefonie, zalogować się do poczty, używając nowego, a stary, wraz z poprzednią kartą, wyrzucić do kosza. Tak zrobiła, przy czym do otrzymanych poleceń wprowadziła tylko jedną drobną modyfikację. Zanim wyrzuciła swój stary telefon, spisała na serwetkę trzy numery: do Adriana, do komisarza Malewskiego i do wujka Zygmunta. Pociąg odjeżdżał za dwadzieścia minut. Akurat dość czasu na to, żeby kupić kawę i wypić ją z kubka trzymanego trzęsącymi się ze zdenerwowania rękami. Kiedy usiadła w przedziale, opadły ją mroczne myśli. Znowu się zastanawiała, do czego ich to wszystko przywiodło. Mieli wyzwolić się od wspomnień, żeby móc iść dalej swoją życiową drogą. Pewno jeszcze jakiś czas razem, a potem każde osobno ze swoimi rodzinami, w nowych relacjach.

Kiedy pomyślała o relacjach, bezwiednie przed oczami stanął jej Adrian. Wróciło pytanie zadane jej przez młodo wyglądającą staruszkę. Kim był dla niej ten młody, przystojny, inteligentny i bardzo oddany człowiek? Mężczyzną? To na pewno, ale co poza tym? Czy gdyby nie to wszystko, albo gdyby kiedyś udało się to rzeczywiście pozostawić za sobą, to czy ten facet, który właściwie od zawsze, nawet już wtedy, gdy był jedynie jej klientem, interesował ją bardziej, a w każdym razie inaczej niż inni, z czego zdawała sobie sprawę od jakiegoś czasu, a z całą mocą uświadomiła to sobie właśnie w tej chwili, czy ten facet mógłby stać się w jej życiu tym kimś? Krajobraz mazał się za szybą, impresjonistyczne plamy przechodziły płynnie jedne w drugie: trochę zieleni, ale przeważnie brąz, momentami żółć i znowu brąz. Ładne to, ale nie budowało optymizmu. Niestety, niewiele w tej chwili wskazywało na to, że będą to mieli za sobą, a jeśli już, to raczej zaczynała przeczuwać, że będą to mieli za sobą razem z samymi sobą. Ania przeraziła się tą ostatnią myślą. To, że sama widziała przed sobą perspektywę możliwej śmierci nie przejmowało jej tak bardzo jak to, że mogła już nie zobaczyć brata, bo Marcin być może już w tej chwili nie żył. Gdyby tak miało być, to teraz jedynym jej pragnieniem było nie dowiedzieć się tego

przed własnym odejściem. To ona odpowiadała za to wszystko, przynajmniej we własnym mniemaniu, a to mniemanie ciążyło jej teraz okropnie. Była w końcu jego starszą siostrą i to na niej spoczywała odpowiedzialność za jego dalsze losy, a to ona w gruncie rzeczy tak bardzo te losy pogmatwała.

Mroczny potok myśli przerwało brzdęknięcie telefonu. Przez chwilę nie rozpoznała go jako odgłosu wydanego przez jej własny smartfon, bo było zupełnie inne od dźwięków, do których przyzwyczała się przez ostatnie lata, kiedy zmieniała telefony, ale jako że zawsze był y to urządzenia tej samej marki, to brzmiały podobnie. Dlatego dopiero po chwili zerknęła na ekran. Nadeszła nowa wiadomość mailowa. Po przyjeździe do Warszawy miała wsiąść przy Dworcu Centralnym do autobusu, pojechać nim na ulicę Modlińską pod elektrociepłownię Żerań i podejść, już na piechotę, pod mieszczącą się przy elektrowni zaporę wodną na Kanale Żerańskim.

Ania zrobiła nieomal dokładnie tak, jak ją poinstruowano w mailu. Nieomal, bo po drodze z dworca na Żerań postanowiła na moment zatrzymać się w swoim mieszkaniu przy Potockiej. Szczęśliwie było w miarę po drodze. Podjechała do domu, bo już w pociągu dotarło do niej, że w albumie, który Marcin w swoim czasie wyciągnął z płonącego domu ich dziadków w Izbiszczach nad Narwią, było coś, co mogło pomóc w wyjaśnieniu sprawy. Nie oglądali go już z bratem później. Swoją drogą trudno było jej nawet dojść, dlaczego tego nie zrobili. Może prozaicznym powodem było to, że zdążył nasiąknąć swądem spalenizny, dlatego zaraz po przyjeździe z Białegostoku Ania zapakowała go szczelnie do foliówki i ukryła w bocznej szafce kuchennej, gdzieś za garnkami. Później zaś działo się tak wiele, że album zniknął z horyzontu spraw bieżących i ważnych.

Teraz, kiedy weszła do mieszkania, pierwsze, co przyszło jej do głowy, było to, że może dobrze się stało, że ukryła album w foliowej torbie za garnkami, bo w innym wypadku nie miałyby go już nawet po co szukać. Mieszkanie było splądrowane od podłogi po sufit. Zawartości szuflad, szaf, również szafek kuchennych, zamrażalnika, solniczki i cukierniczki leżały rozsypane po podłodze w całym mieszkaniu. Tylko przy samych drzwiach wejściowych było trochę wolnej przestrzeni. Pewno ktoś odsunął trochę tego bajzlu, żeby w ogóle móc wyjść z mieszkania, pomyślała Ania. Zaskoczyło ją to, że tak naprawdę nie była wcale zdenerwowana. Przez chwilę tylko towarzyszyło jej napięcie, choć miała przecucie, że skrytki umieszczonej w nieco idiotycznym miejscu na zbiegu dwóch blatów, który to zbieg nie następował pod kątem prostym, nie udało się przeszukującym odkryć.

Miała rację. Szafka, której drzwiczki nie miały rączki i wyglądały trochę jak drewniana maskownica kryjąca niewykorzystany kąt pod blatami, była nietknięta. Zajrzała do środka, włożyła tam rękę i po chwili gmerania natrafiła na foliową torbę. Wyciągnęła ją, z niej wydobyła album, który nadal intensywnie śmierdział spalenizną. Otworzyła go na pierwszej stronie, na której, przyklejone jedno pod drugim, znajdowały się zdjęcia, chyba jej pradziadków, wykonane w atelier Kolberga na początku dwudziestego wieku. Nie w pradziadkach tkwił jednak klucz do tajemnicy, lecz w kimś bądź w czymś innym, choć nie miała pojęcia w kim albo

w czym. Samo przeczucie, intuicja, że gdzieś na stronach tego albumu widziała coś, co już wtedy lekko ją zaskoczyło, było inne i jakby niepodobne do całej reszty. Kolejne strony, dziadkowie, jacyś wujowie i ciotki mamy i wujka, o których istnieniu nie miała pojęcia i których nigdy nie spotkała.

W końcu na zdjęciach pojawił się kolor, a wraz z nim fotografie z dzieciństwa mamy. Ania na widok mamy w białych rajtuzach i takimż czepek na głowie uśmiechnęła się. Pod zdjęciami podpisy wykonane ładnym, kaligrafowanym charakterem pisma – pewno babci, pomyślała. „Hania w Wejherowie 59“ , „Hania, matura“ , kolejna strona i kolejna... Gdzie jest to coś? Zdjęcie małego chłopca, na oko dziesięcio-, może dwunastoletniego, wujek w nieco za dużym kożuchu, obok szarawy biały niedźwiedź na Krupówkach w Zakopanem, podpis... No właśnie, podpis! „Uszatki, Zakopane 78“ . Tak, to tego szukała. Czemu „uszatki“? Wujek nie ma przecież odstających uszu, nikt z nas nie ma. Ania uruchomiła wyszukiwarkę w telefonie. Wpisała „Uszatek“, w wynikach wyszło mnóstwo animowanych filmów do obejrzenia na YouTube, na wszystkich zdjęciach był miś. No dobrze, na zdjęciu z Zakopanego jest miś, ale jeden, więc czemu uszatki? Przerzuciła kolejne strony albumu, wujek pojawiał się na nich jeszcze wielokrotnie, ale co znamienne, nie było tam żadnego zdjęcia wcześniejszego, niż kiedy miał dziesięć lat; potem był już Zygmysiem, jeszcze później przeistoczył się w końcu w Zygmunta. Jedno z ostatnich zdjęć przedstawiało wujka z dyplomem akademickim w ręku na tle głównej bramy Uniwersytetu Warszawskiego. Podpis brzmiał: „Nasz Zygmunt od dzisiaj jest już niedźwiedziem* . Czyli? Ania zamyśliła się na moment. Jeśli od dziś jest niedźwiedziem, to wcześniej był...? Misiem... Misiem Uszatkiem. Dziewczyzna drżącymi rękami wyciągnęła z kieszeni telefon, z drugiej kartkę z zapisanym numerem do Adriana. Wybrała numer.

– Halo? – Usłyszała zdzwiony i nieufny głos Adriana.

– To ja – powiedziała cicho.

– A co to za numer? – Głos Adriana zmienił się ze zdziwionego w zaniepokojony, a z nieufnego w zatroskany.

– Kazali mi zmienić, nie powinnam dzwonić, ale muszę. Sprawdź, proszę, czy mój wuj nie nazywał się wcześniej Antczak – powiedziała szybko.

– Twój wuj? Ten z dyplomacji? On jest dobrze umocowany, nie zdziwiłbym się, gdyby miał utajnione dane, a nawet jak nie ma, to pewno od razu dadzą mu znać, że ktoś go sprawdza – wyjaśnił Adrian.

– Jest dobrze umocowany. – Ania pokiwała głową. – Jest też wysoko w strukturach partii i jak tylko był w Polsce, to zawsze jeździł po kraju na jakieś odczyty i pogadanki, spotykał się z działaczami. Kurwa, muszę kończyć.

Ania rozłączyła rozmowę, bo w słuchawce usłyszała charakterystyczne brzdęknięcie informujące o nadejściu wiadomości. Zerknęła na ekran, wcisnęła link do maila. *Próbujesz być cwańsza od nas? Aż tak mało cenisz życie brata?* Ania przycisnęła strzałkę na ekranie, żeby napisać odpowiedź. *Nie jestem cwańsza, tylko miałam kompletnie mokre ubranie, podjechałam do domu, żeby zmienić. Będę za chwilę.* Wcisnęła klawisz wyslij, wyszła na klatkę, zatrzasnęła drzwi do mieszkania i ruszyła

po schodach na dół, a zbiegając, jednocześnie zamawiała taksówkę.

Z taksówki wysiadła dziesięć minut później na przystanku po drugiej stronie Modlińskiej. Mogła kazać taksówkarzowi z Kazachstanu podjechać bliżej, ale skoro złamała już jedno polecenie i pojechała do domu, a oni o tym wiedzieli, to złamanie drugiego i przyjazd taksówką zamiast autobusem mogło się już naprawdę fatalnie skończyć.

Fatalnie skończyć? Zastanowiła się przez moment nad znaczeniem tego stwierdzenia. Przecież to się i tak w jej pojęciu miało fatalnie skończyć. Konfrontacja z ludźmi, którzy podrzynali gardła i wycinali genitalia stłuczoną butelką, raczej nie mogła się dobrze skończyć. Walczyła już właściwie tylko o jedno – o życie brata; jej własne, przynajmniej dla niej, przestało być już stawką. Jak to się dziwnie dzieje, pomyślała, nagle uznajesz, że już po tobie i właściwie przechodzisz nad tym do porządku dziennego. Tak pewno czuli się ci, których w dzikich krajach wciąż jeszcze skazywano i prowadzono na śmierć. To znaczy ci z nich, którzy potrafiliby się pogodzić i puścić życie, a tych nie było zdaje się zbyt wielu. Czyżby zatem ona była aż tak dojrzała, czy może chodziło o coś innego, może po prostu po tamtych wydarzeniach sprzed lat nigdy nie nauczyła się żyć i cieszyć z tego faktu, nigdy nie oswoiła myśli, że jest kimś wartościowym, kto zmierza w jakimś kierunku, chce coś osiągnąć, do czegoś dojść, czymś to życie zwieńczyć. Innymi słowy, nigdy nie nauczyła się żyć, może więc dlatego teraz zaakceptowanie świadomości nieuchronnego przyszło jej z taką łatwością.

Ciemne hale pofabryczne, wielkie stalowe bramy prowadzące do mrocznych czeluści nieużywanych od lat postindustrialnych jaskiń. Nigdzie nikogo, tylko ona i szmerząca z boku w Kanale Żerańskim woda, która kilkaset metrów dalej stawała się Wisłą. Po drugiej stronie kanału wyrastał z mroku kolejny potwór ery przemysłowej, ogromne trąby kominów, z których wydobywały się teraz kłęby dymu. Zawsze, kiedy robiło się zimniej, w elektrociepłowni dawano mocniej do pieca. Nawet nie oglądając prognozy pogody, a patrząc jedynie z oddali na te kominy, można było się domyślić, że nadchodzi mróz albo przynajmniej duży spadek temperatury. Niebo było bezchmurne, a na tym tle skąpo oświetlone wielkie, szare hale grzejące wodę dla miasta wyglądały jeszcze bardziej złowieszczo.

Zadzwonił telefon. Ania spojrzała na wyświetlacz, który był teraz jedynym jasnym punktem w promieniu kilkuset metrów. Na wyświetlaczu złośliwe przeznaczenie napisało „Numer nieznanym”. Odebrała.

– Jesteś sama? – Usłyszała dziwnie skrzekliwy głos przetworzony przez jakieś duże wiekowe filtry.

– Tak – odpowiedziała krótko.

– Wejdz do hali, którą masz za plecami – powiedział głos.

– Jest zamknięta. – Ania spojrzała za siebie.

– Nie jest – powiedział głos i połączenie się zakończyło.

Ania ruszyła w stronę hali. Kiedy była już blisko, zauważyła, że obok ogromnej

stalowej przesuwnej bramy znajdowały się zdecydowanie mniejsze, choć też stalowe i zardzewiałe drzwi. Nacisnęła klamkę i weszła w ciemność, w której nie było już widać zupełnie nic. Sekundę później usłyszała jakiś szelest, ale nie zdążyła zareagować – zresztą jak właściwie miałyby zareagować? – potem poczuła ukłucie w szyję i po kolejnych dwóch sekundach ciemność przemysłowej hali zmieniła się w ciemność niepamięci.

– Nic ci nie jest? – Marcin wpatrywał się w leżącą na sienniku po drugiej stronie pomieszczenia siostrę.

Minęło kilka godzin, odkąd ciotka z jakimś mężczyzną, którego nie znał, wnieśli ją do tej piwnicznej jamy i położyli tam, gdzie leżała do tej pory. Przez jakiś czas bał się, że Ania nie żyje. Później, kiedy dobrze się wsłuchał, usłyszał jej oddech, jeszcze później siostra zaczęła się lekko poruszać, co dało mu nadzieję, że jedynie śpi i wcześniej czy później się obudzi. Nie mógł do niej podejść, bo zanim ją wnieśli, ciotka przykuła go kajdankami do wystającego ze ściany pręta.

– Nie wiem. – Ania budziła się powoli.

W końcu sen na tyle przekształcił się w świadomość, że zaczęła cokolwiek kojarzyć.

– A tobie nic? – Przekręciła się lekko na sienniku, tak żeby widzieć brata.

– Nie, ze mną okej – odpowiedział, wpatrując się w nią.

– O co chodzi? Gdzie my w ogóle jesteśmy? – zapytała.

– U cioci Beatki i u wujka Zygmunta – odpowiedział lapidarnie.

– Co? – Nie bardzo skleiła jego wyjaśnienie ze swoim dotychczasowym oglądem rzeczywistości.

– Chyba jesteśmy u wujostwa, zresztą nie jestem pewien, ale w każdym razie ciocia wpada czasami pogadać. – Marcin uśmiechnął się chłodno.

– Co ty dajesz? – Ania spróbowała się podnieść na sienniku, ale nie mogła.

Ona też była przypięta łańcuchem do ściany za plecami.

– Mówię, jak jest, ale dlaczego, to już mnie nie pytaj, przerasta mnie to. – Pokręcił głową.

W tym momencie zamek w drzwiach do piwnicznej celi skrzypnął i po chwili drzwi się otworzyły. We wpadającym z korytarza świetle słabej żarówki zobaczyli siwą głowę wuja Zygmunta.

– Wujek? – zapytała Ania, upewniając się, że to, co widzi, nie jest jeszcze pokłosiem intoksykacji, której poddano jej mózg.

– Tak – odpowiedział lapidarnie wujek i wszedł głębiej do pomieszczenia.

– Jak to dobrze, jesteśmy uratowani! – Ania się ucieszyła.

– Taaa. – Wujek postawił na podłodze taboret, który przyniósł ze sobą.

Skoro wujek przyniósł ze sobą stół, to raczej nie wyglądało na to, by byli uratowani. Ania i Marcin jak zwykle pomyśleli to samo w tym samym momencie.

– Co się dzieje? – Ania miała większy problem z przyjęciem tej konstatacji do wiadomości.

Może wynikało to z tego, że miała mniej czasu na oswojenie się z sytuacją niż Marcin.

– Długo by opowiadać. – Wujek się zafrasował i z westchnieniem usiadł.

– Mamy czas, wujku. – Marcin, który spędził tu już wiele dni i nocy, nie miał złudzeń.

Nie rozumiał wiele, ale jedno wiedział na pewno – z wujostwem coś musiało być porządnie nie halo.

– No w sumie trochę jeszcze mamy. – Wujek pokiwał głową koncyliacyjnie.

– Trochę? – zdziwiła się wciąż nowa w sytuacji Ania. – Mozesz nas odpiąć i stąd wyprowadzić?

– Rzecz w tym, że nie mogę. – Wujek nie patrzył ani na nią, ani na niego. Zamiast tego tępo wpatrywał się w mieszaninę kurzu i piachu pod nogami.

Przez chwilę panowało milczenie. Marcin wiedział już, że apelowanie do rozsądku, sumienia czy czego tam jeszcze wujka nie miało żadnego sensu, Ania, obserwując jego reakcje, dokształcała się w tej materii szybko i boleśnie.

– To jest stara sprawa – zaczął wujek. – Rozpoczyna się jakieś z grubsza pół wieku temu. – Pokiwał głową, trochę jakby rozmawiał sam ze sobą, i zamilkł.

– W Gabrielinie – zagaiła Ania.

– Nie, wcześniej. – Wujek jakby trochę się ucieszył, że ma tu kogoś, kto wybawi go od rozmowy z samym sobą i z własnymi wspomnieniami. – Kilka lat wcześniej, kiedy zabili nam rodziców i spalili dom.

– Kto? Kto to zrobił? – włączył się Marcin, który momentalnie zrozumiał to, co wiedziała już od jakiegoś czasu Ania. – I przede wszystkim jakim wam?

– Nie wiem, milicja nigdy nie ustaliła sprawców. – Wujek się ożywił. – Chyba byli powiązani z kimś z ówczesnych władz, z partii, ale nie wiadomo. Zł o to zrobiło.

– Nie ma czegoś takiego jak zło, zawsze musi być człowiek, ktoś, kto zdecyduje się, że będzie czynił zło. – Ania była zrezygnowana, bo właśnie do niej dotarło, że ma do czynienia z jakimś szaleństwem, a szaleństwa nie sposób okiełznać.

– A jakim nam? Mnie i Beatce... – Wujek przerwał trwające chwilę milczenie.

Zdaje się, że sobie przypomniał, iż poprzednie pytanie Ani składało się właściwie z dwóch pytań.

– Tobie i Beatce? Ale jak to? – Marcin kompletnie nic z tego nie rozumiał.

Ania tymczasem zaczynała powoli kojarzyć fakty, więc tylko pokiwała głową.

– Beatka jest moją siostrą – powiedział nagle wujek, nie patrząc na nich.

– Twoją siostrą?! Co ty w ogóle gadasz? – Szok Marcina narastał.

– Hatszepsut i Totmes drugi – wyjaśniła Ania. – Wujek był zdaje się tylko przyszywanym bratem mamy. Dziadkowie zabrali go z Gabrielina, a jego prawdziwa siostra, Beatka, została. Zgadza się?

Ania spojrzała na Zygmunta wzrokiem tak przenikliwym, że poczuł go na sobie, mimo że usiłował go za wszelką cenę unikać. Po chwili pokiwał twierdząco głową.

– Jedyne, czego nie rozumiem, to jak mogliście się zejść w parę w takiej sytuacji – powiedziała Ania.

– Nie mieliśmy pojęcia... – zaczął wujek i urwał.

Teraz patrzyli na niego już oboje.

– Spotkaliśmy się po dwudziestu latach od rozstania, już na studiach – odezwał się po chwili cicho. – Nie poznaliśmy się, ja nazywałem się inaczej, ona inaczej, ją też

w końcu po czterech latach adoptowali jacyś ludzie.

– Po czterech latach i dwudziestu dwóch dniach – odpowiedziała Ania.

– Skąd wiesz? – zainteresował się wuj.

– Bo dokładnie w takich odstępach dokonywała kolejnych zbrodni – wyjaśniła.

– Nigdy tego nie skojarzyłem. – Wujek wydawał się zaskoczony.

– Kiedy się zorientowaliście? – zapytała Ania po chwili, po czym widząc, że wujek zgubił wątek, dodała: – No, że jesteście rodzeństwem.

Marcin wciąż był w takim szoku, że nie był w stanie się w ogóle odezwać, spoglądał tylko to na niego, to na nią.

– Beatka była w ciąży trzy razy, za każdym razem roniła, w końcu zrobili badania genetyczne, nam też kazali zrobić i wtedy.... – Zygmunt nie mógł przebrnąć dalej.

– I wtedy wyszła wam taka zbieżność, że mogliście być tylko rodzeństwem. – Ania przysłała mu w sukurs.

– Dokumentację zniszczyliśmy, a lekarz dostał w łapę, żeby milczał. – Zygmunt pokiwał głową, po czym wyjaśnił, jakby się usprawiedliwiał: – Dlatego nie mogliśmy was wziąć z domu dziecka, ona miała uraz, straszny uraz.

– Rodzice zginęli, bo was wykminili. – Marcin wrócił do rozmowy.

– Tak, wasza mama znalazła jakiś stary list babci do przyjaciółki, z którego wynikało, że byłem adoptowany i że w domu dziecka została moja siostra. Babcia miała chyba trochę wyrzuty sumienia, próbowała namówić tę przyjaciółkę, żeby wzięła Izę do siebie...

– Izę? – zdziwił się Marcin.

– Tak, Beatka tak naprawdę ma na imię Iza, Beata na drugie. Jak wyszła z domu dziecka, nie chciała być dłużej Izą, nowi rodzice zgodzili się i została Beatą – wyjaśnił.

– Rodzice się dowiedzieli, że jesteś z domu dziecka i że miałeś siostrę, i co z tego właściwie? – Ania patrzyła na niego, wciąż niewiele rozumiejąc.

– Hania mi o tym powiedziała, ja udałem, że nie wiedziałem, że jestem z adopcji. Bałem się, a ona zaczęła drążyć, szukać tej mojej siostry. No i w końcu znalazła, ale się nie przyznała; tego już się domyśliliśmy z Beatką z jej zachowania. Wkrótce doszłaby też pewno do reszty, więc... – Zygmunt urwał, jakby naszła go jakaś refleksja, ale po chwili się wybudził. – Ja... ja akurat protestowałem, zresztą protestowałem za każdym razem, wcześniej też. O tym jej pierwszym zabójstwie dowiedziałem się przypadkowo, jak przeczytałem w gazecie, przy drugim wiedziałem już, że to ona, ale po tym, jak zabiła Hanię i Staszka, jak zostaliście sierotami, chciałem zatłuc ją własnymi rękami – mówiąc to, wujek wyraż nie się pobudził.

– Ale tego nie zrobiłeś, nie zgłosiłeś też tego nikomu i co więcej, po dziś dzień z nią jesteś. – Marcin był konkretny, po chwili namysłu dodał jednak, zaskoczony: – A co miał do tego wszystkiego Kazimierz Pawlik z Gabrielina? Molestował was?

– To też, ale przede wszystkim, kiedy wasi dziadkowie przyjechali tam z wizytą i kiedy mnie poznali, to on zamknął Beatkę w piwnicy. Ona zawsze uważała, że to przez niego nas wtedy rozdzielili. – Wujek po raz pierwszy odważył się na nich spojrzeć. – Ten jej żal akurat powinniście zrozumieć.

Przez chwilę znów milczeli, zastanawiając się nad tym, czy powinni, czy nie powinni tego zrozumieć.

– A czemu właściwie, odkąd to wszystko wiecie, nadal ze sobą jesteście? – Marcinowi sytuacja spuentowała się do takiej właśnie refleksji.

Wujek chwilę milczał. W końcu skinął głową, jakby zdecydował, że i tak już nie ma po co czegokolwiek ukrywać.

– Bo się kochamy – wyjaśnił.

– My też się kochamy z Marcinem, ale nie w ten sposób – zauważyła Ania.

– A my kochamy się takż e i w ten i tego właśnie Beatka nie potrafiła udźwignąć, no i do tego te stracone dzieci, to sprawiło, że zaczęła to robić. Ona mówi, że to po prostu zło i że to zło można uleczyć tylko złem – wyjaśnił wujek. – A Beatka zawsze ma rację.

– Beatkę popierdoliło, wujku. – Marcin jednak postanowił otrzeźwić wujka. – Zło dobrem zwyciężaj. Tak brzmi ten przekaz w prawdziwym brzmieniu, nie zło złem zwyciężaj.

– Zawsze, jak ona to robiła, to na chwilę pomagało. – Wujek chyba znów uleciał w swój własny świat i ponownie gadał już bardziej sam ze sobą.

– Jak co robiła? – zapytała Ania, choć niestety powoli zaczynała już widzieć pełen obraz sytuacji.

– No jak powtarzała ten rytuał zła, żeby oczyścić... – Wujek się zamyślił.

Może nie jest w stanie sobie przypomnieć, co właściwie miało to oczyszczać, pomyślała Ania.

– Jak mordowała ludzi – doprecyzowała po chwili.

Wujek nie potwierdził ani nie zaprzeczył, a to drugie byłoby w tej sytuacji bardziej oczekiwane.

– Komu? Komu pomagało? – Marcin cofnął się o krok w dyskusji.

– Jej, mnie, nam. Małżeństwo trafiało na właściwie tory, a to bardzo ważne w dyplomacji, żeby dyplomata miał poukładane życie osobiste. Każdy, kto się na tym zna, wam to powie. – Zygmunt trochę się ożywił, jak zawsze, kiedy rozmowa zaczynała dotyczyć jego spraw zawodowych.

– Wujku, co ty w ogóle pierdolisz? – Marcin miał jednak bardziej idealistyczny obraz świata. – Mordowaliście ludzi, skazywaliście dzieciaki na koszmar sieroctwa, żeby Beatka czuła ulgę i żebyście mieli poukładane życie w dyplomacji?

– Ja nikogo nie zamordowałem ani nie uczyniłem sierotą, wypraszam sobie, a wam mówiłem, żebyście tego nie ruszali, a tak to... – Wujek urwał gwałtownie.

– A tak to co?! – Ania prawie krzyknęła. – A mord na naszych rodzicach, na twojej siostrze, też was zharmonizował?

– To był wypadek przy pracy, zło konieczne, nikt tego nie chciał. Mówiłem, że prawie ją za to zabiłem, ale mi wyjaśniła, że oni, tak jak wy, zaczęli węszyć i wiedzieli już, że my jesteśmy... a poza tym wiedzieli też, że Beatka był a wtedy w tych różnych miejscach. Jeszcze chwila i byłoby po nas – wyjaśnił wujek.

– To ona...? – Ania pokiwała głową.

– Co ona? – zapytał Marcin.

– To ona powiedziała kucharce o tym, że Pawlik cię krzywdził – wyjaśniła Ania.
– Ona wszystko wiedziała.

– Tak, wiedziała o wszystkim. Byliśmy bardzo sobie bliscy jako dzieci, jeszcze u rodziców, potem tam, a później, jak mnie zabrali wasi dziadkowie, to się rozstaliśmy i dopiero na studiach, ja na politologii, ona na tej swojej historii, ale przypadkowo w BUW-ie wpadliśmy na siebie. – Wujek wyraźnie znów się ożywił. – Tylko że początkowo przez długie lata nie mieliśmy pojęcia... Ja jej nie mówiłem o domu dziecka, ona mi też nie. I dopiero te badania... Ale od zawsze byliśmy... i na zawsze jesteśmy razem.

– Dwójka zjebów. – Marcin pokiwał głową, zrezygnowany.

Wujek jakby w ogóle tego nie dosłyszał, błędził myślami gdzieś między Gabrielinem a Krakowskim Przedmieściem, gdzie za czasów jego studiów na głównym kampusie UW mieściła się Biblioteka Uniwersytetu Warszawskiego. A może błędził jeszcze gdzieś indziej. Sporo było tych miejsc, w których byli razem z Beatką przez te wszystkie lata.

– A tak to co?! – Ania wyrwała go z zamyślenia, powtarzając wcześniejsze pytanie.

– Co tak to co? – Wujek wydawał się teraz mocno intelektualnie przygaszony.

Ani przeszło przez głowę, że może ciotka, bo to ona wydawała się tu spiritus movens, przyćpała go albo zahipnotyzowała.

– A tak to co będzie teraz z nami? – skonkretyzował Marcin.

– Uśniecie – wyjaśnił wujek lapidarnie.

Przez chwilę znów panowało milczenie. Oni nie wiedzieli, co on ma na myśli, on nie kwapił się z wchodzeniem w szczegóły.

– Ogólnie jest tak, że jak się już z tym zacznie, to potem nie da się przestać – powiedział nagle, jakby próbując się usprawiedliwić.

Oni patrzyli na niego, wciąż oniemiałi. On wstał, zabrał stołek i ruszył do drzwi.

– Tak że do zobaczenia, jak się obudzicie. Może. – Pokiwał głową. – Starajcie się szybko zasnąć.

– Kurwa, Zygmunt, czy ty tam w ogóle jesteś?!!! Czy ktoś ci zrobił lobotomię? Co to w ogóle, kurwa, jest?! – Krzyk Marcina odbił się od zamykanych stalowych drzwi.

Przez moment siedzieli w milczeniu.

– To, że oni są kompletnie pojebani, to jedno, ale jak im się udało, że przez tyle lat im to uchodziło na sucho, to jest jeszcze ciekawsze. – Marcin spojrzał na Anię.

– Zygmunt nie jest pojebany, jest tylko lekko albo może trochę mocniej psychopatycznym karierowiczem, powalona jest ciotka. Może za pierwszym razem miał jej za złe, może nadal ma, ale przecież tego nie zgłosi, bo go, kurwa, już nigdy nie wyślą na placówkę do Gwinei czy innego, kurwa, Azerbejdżanu. – Ania była wściekła. – A tak wszystko jest cacy. A jak im się udawało? On jest wciąż ważny, zawsze wysoko w strukturach, pewno nawet wyżej, niż nam się wydaje, może ma też pół etatu w jakichś służbach. Lata wspinania się po drabinie kariery, tworzenia układów, zależności. Nawet jak w jakimś momencie ktoś coś skojarzył, to inni go od razu gasili. Oni wszyscy przecież też chcą jeździć na placówki, więc nikt nie będzie

wpieprzał kija w szprychy.

– Ale ich jednak ewidentnie musi ktoś kryć. – Marcin obstawał przy swoim.

– Może minister Łukasik, sprawy wewnętrzne i administracja, przyjaciel wujka – zasugerowała Ania.

– Przyjaciel? To na takie gówna za mało. – Marcin spojrzął w kierunku otworu wentylacyjnego, przez który nagle do pomieszczenia zaczęło się przedostawać coś jakby dym. – Co to jest?

– Obawiam się, że to jest nasz środek usypiający. – Ania też już to zauważyła. – Wali spalinami.

Po chwili dym zaczął ich gryźć w oczy i gardło, potem zaczęli kasłać. Marcin krzyczał jeszcze przez jakiś czas, ale prawdopodobnie nikt nie mógł go już usłyszeć. Ani nagle zrobiło się potwornie smutno, bo jednak nie udało jej się ocalić brata. Chwilę później straciła przytomność, ale nim to nastąpiło, usłyszała jeszcze daleki huk, jakby eksplozję. Pomyślała jednak, że to wydarzyło się już w jej głowie.

* **

Znów to samo.

Czy ona na mnie patrzy? Jak może patrzeć, skoro nie oddycha? Jak to możliwe?

– Mamo! Mamo, obudź się! Widzisz mnie, słyszysz?! Mamo!!!

Co robić, co mam robić?! Nikt nigdy nie mówił, nie było czegoś takiego, nawet na filmach, co mam teraz zrobić. Zadzwoń. Muszę po kogoś zadzwonić. Telefon.

Mamo!!!

Czemu on tu wszedł, on nie może tego widzieć, nie może.

– Marcin, co ty tu robisz?! Musisz iść do pokoju, musisz się położyć, schować. Gdzie jest telefon?

– Tam. – Mała chłopięca rączka wskazuje w stronę stolika w salonie.

To zapamięta już na zawsze – tę rączkę, przerażenie w oczach brata i pustkę w spojrzeniu mamy.

Teraz jednak było inaczej niż poprzednio, niż przez wszystkie te poprzednie razy, kiedy nocą budziła się spocona, a w głowie wciąż jak echo odbijała się tamta wizja.

Teraz było inaczej, bo – po raz pierwszy od tamtej nocy – Ania zobaczyła twarz mamy.

Daleki huk nie wydarzył się w głowie Ani. Adrian, ryzykując tym skrawkiem kariery, który jeszcze mu pozostał, sprawdził najpierw, jak wcześniej nazywał się attache kulturalny wielu polskich ambasad na świecie, pan Romer, czyli inaczej wujek Zygmunt. Następnie, ryzykując więzieniem, pojechał do Komendy Stołecznej policji, tam wszedł do jednego z gabinetów i stamtąd, podszywając się pod zastępcę komendanta stołecznego policji, wydzwonił pluton AT, który zadysponował do willi państwa Romerów. Dowódca oddziału, komisarz Zwijka, miał co do tej interwencji pewne obiekcje, ale długo się nad nimi nie zastanawiał, bo po pierwsze, numer, spod którego dzwonił, zidentyfikował się jako numer stołecznej i rozkaz przyszedł z wysoka, a po drugie, było coś odbiegającego od normy i przez to wyjątkowo nęcącego w możliwości wywalenia drzwi w domu jakiegoś dyplomaty. Prawdopodobnie nie zrobiłby tego za nic w świecie, gdyby wiedział, jak bliskie stosunki łączyły ministra jego resortu z attaché i jak jeszcze bliższe łączyły go z jego małżonką. Swoją drogą dzięki temu, że nie wiedział, mógł zrobić to, co zrobił, co znów w efekcie nieomal natychmiastowo pozbawiło wspomnianego ministra stołka, który zajmował przez wiele lat, a wkrótce skończyło się też dla niego odsiadką. Wyrok był znacznie krótszy od tego, który przypadł w udziale Romerowi-Antczakowi, ale więzienie pozbawiło go raczej definitywnie szans na powrót do wielkiej polityki.

Tymczasem attaché zabarykadował się w swoim gabinecie, gdzie próbował nawet odebrać sobie życie. Przy tej okazji przekonał się na własnej skórze, że taki czyn wymaga jednak niebywałej determinacji, a tej mu zabrakło. Na szczęście jednak zaraz po przybyciu na miejsce akcji i rozpoznaniu terenu antyterrorystów zwrócili uwagę na pracujący gdzieś w pobliżu silnik samochodu. Miejsce zostało szybko zlokalizowane, silnik wyłączony, a piwnica, do której z wydechu za pośrednictwem rury od odkurzacza tłoczone były spaliny, natychmiast otwarta za pomocą łomów i przecinaka.

Dwoje młodych ludzi w środku było już nieprzytomnych, ale na szczęście świadomość utracili zaledwie chwilę wcześniej, więc sam dopływ świeżego powietrza, na które natychmiast ich wyniesiono, a potem tlen podany przez lekarza asystującego przy akcji, przywrócił oboje do życia.

– Zapłacicie mi za to wszyscy!!! – Gdzieś z wnętrza domu dobiegł ich głos odklejonego już chyba definitywnie od rzeczywistości wujka Zygmunta.

Jednak pierwszym, co Ania zobaczyła nad sobą po otwarciu oczu, oprócz koron drzew, była dłoń aspiranta Adriana Nowaczyka, który delikatnie odsuwał jej pasma włosów ze spoconej twarzy.

– Co ty robisz?! – oburzyła się dziewczyna.

– Nic, no co robię, co robię? Cuce cię, a co? – Adrian się spłoszył.

Ania podzwignęła się z noszy i usiadła. Zakreśliło jej się w głowie, więc po chwili

opadła na nie z powrotem.

– Nie podnoś się, po co się podnosisz? – Adrian wrócił do swojego wcześniejszego ja.

– Ty... – powiedziała Ania.

– No ja, a co? – odpowiedział Adrian.

– Uratowałeś nam życie...

Zaraz potem Ania zaczęła płakać, bo oto w okamgnieniu dotarło do niej, że owo uratowane życie właśnie chwilę wcześniej, gdy mózg odlatywał już w niebyt, odnalazło swój sens.

Pół godziny później, kiedy attache Romer został już przewieziony do izby zatrzymań, oni siedzieli w przepastnej kuchni jego domu i zastanawiali się, gdzie podziła się jego żona, czyli ciocia Beatka, która, jak wszystko na to wskazywało, w tej mrocznej historii była postacią znacznie niebezpieczniejszą od niego.

– „To nie koniec. Krew wciąż płynie...” – Ania patrzyła na Adriana pytająco. – Tak brzmiał ten napis?

Adrian pokiwał głową.

– Pawlik nie żyje? – upewniła się.

– Tak, zmarł cztery godziny temu – potwierdził aspirant.

– Że nie koniec, rozumiałam, jak jeszcze żył... – Ania zastanawiała się dalej. – Ale po co pisać krwią, że krew płynie...?

– Nie mam pojęcia – stwierdził Adrian.

– Pawlik był głównym winnym w sprawie wuja, był też w mniemaniu ciotki odpowiedzialny za to, że kiedyś ich rozdzielono. Ona doskonale wiedziała, że on nie przeżyje, więc wiedziała też, że to koniec, jeśli chodzi o niego, a w takim razie być może nie o niego chodziło w tym napisie. – Ania wysnuła teorię.

– On nie osierocił dzieci. – Marcin nagle uświadomił im jeszcze jedną ważną rzecz. – To znaczy osierocił, ale dorosłe, więc historia nie została zakończona...

– Zabiła jego, a teraz jeszcze zemści się na krwi! – Adrian w końcu też skleił fakty.

– Mamy telefon do Gabrielina, do tych jego dzieci?! – Ania popatrzyła na obu.

Zgodnie pokręcili głowami.

– Policja już stamtąd odjechała, zakończyli czynności, już jak ja tam byłem, to się zwijali. – Adrian zaczął szybko kombinować, nagle go oświeciło. – Masz telefon do tej kobiety...

– Do jakiej kobiety? – zdziwił się Marcin.

– Do kucharki – wyjaśniła Ania.

– Do tej, która zgłosiła Pawlika na milicję? – upewnił się chłopak.

Ania pokiwała głową, a Adrian zaczął nerwowo przeszukiwać książkę telefoniczną w swoim telefonie.

– Tylko jak ona miała na imię? – zapytał, trochę jakby sam siebie.

– Chyba Lucja – odpowiedziała Ania.

Adrian przekazał numer pani Lucji Ani, a sam połączył się z komendą powiatową

w Opocznie. Może była jakaś komenda miejska bliższa Gabrielina, ale nie miał czasu tego ustalać. Miał nadzieję, że trafi na jakiegoś w miarę ogarniętego dyżurnego w powiatówce.

– Pani Lucja? – Ania tymczasem wpisała już numer i nacisnęła zieloną słuchawkę w swoim telefonie.

– Może, a kto mówi? – W słuchawce odezwał się surowy, niski głos kucharki.

– Ania, mówi Ania Piotrowska – wyjaśniła Ania.

– Kto to jest Ania Piotrowska? Wnuczka może, parę złotych potrzeba, mam nadać przekaz? – Surowy głos przeszedł w suchy, szyderczy śmiech.

– Nie, pani Lucjo, nie wnuczka i nie potrzeba żadnych przekazów. Byłam u pani wczoraj, rozmawiałyśmy o Pawliku i o moich rodzicach... – Ania szybko przybliżyła swoją osobę starszej kobiecie.

– Przecież wiem, głupia nie jestem. – Surowy głos wrócił.

– Pawlik zmarł w szpitalu, ale ci, którzy go zabili, jeszcze nie skończyli swojej roboty, teraz będą najprawdopodobniej próbowali zabić syna Pawlika i jego żonę – wyjaśniała pospiesznie Ania.

– Czyli znów to samo, znów sieroty. – Lucja zrozumiała w mig.

– Tak, zaraz przyjedzie do pani policja, ale zanim... nie mamy do nich numeru... trzeba... – Ania mówiła już teraz skrótami.

– Ich ostrzec, głupia nie jestem. – Kucharka jednak i tak ją uprzedziła i wcięła się w połowie zdania.

Potem Ania usłyszała jeszcze jakieś chroboty i trzaski.

– Pani Lucjo! Halo! Pani Lucjo, słyszy mnie pani?! Pani Lucjo, proszę uważać!!! – krzyczała do słuchawki Ania.

– Głupia nie jestem. – Usłyszała jeszcze jakby z oddali, po czym połączenie się urwało.

Lucja po odłożeniu słuchawki pierwsze kroki skierowała do kuchni. Stamtąd wzięła nóż, który na co dzień służył jej do oprawiania tuszy wieprzowych. Następnie narzuciła na grzbiet kurtkę i wyszła. Ale po chwili wróciła jeszcze do sieni i zabrała z niej siekierkę do rąbania drewna na opał. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Dom Pawlików znajdował się na obrzeżu wsi, jej obejście też, tyle że na drugim jej końcu. Do przejścia miała jakiś kilometr. Była wiekowa, ale bardziej dziarska od niejednego młodzieńca snującego się po wsi w poszukiwaniu ćwiartki i sensu. Kilometr szybkim krokiem to jakieś dziesięć minut, ona doszła w siedem. Gdy była już blisko, zauważyła, że do obejścia Pawlików wjechał samochód, który dotarł tu drogą wcinającą się w wieś od wschodu. Samochodu nie знаła, numery rejestracyjne wskazywały, że jest z Warszawy.auta ze stolicy rzadko odwiedzały wieś, a nawet jeśli tu trafiały, to najczęściej jedynie przejazdem. Pomyślała, że chyba lepiej się stało, bo gdyby już była na miejscu, a samochód akurat by wjechał, jej położenie byłoby wtedy jeszcze trudniejsze.

Podwórko znała dobrze. Była tu wiele razy, bo tędy najszybciej przechodziło się w stronę rzeki. W zasadzie chodzenie przez czyjeś nie było czynem akceptowalnym nawet tutaj na wsi, gdzie czyjeś najczęściej płynnie przechodziło w niczyje, ale ona była leciwa, więc nie miała już na co dzień siły do trzymania się wiejskich konwenansów. Zresztą młodzi Pawlikowie widzieli ją przez te lata wiele razy i nigdy nic jej nie powiedzieli, więc chodziła dalej. A teraz, nie po raz pierwszy w jej długim życiu, wyszło na to, że robienie nie tak jak należy, może się w życiu jednak w końcu opłacić.

Szybko minęła wielki dąb rosnący między stodołą a oborą i obesła zabudowania od tyłu. Samochód widziała cały czas kątem oka. Wsiadła z niego kobieta w sile wieku, z nią jeszcze jakiś młodszy facet, który jednak – co widać było od razu – robił wszystko, stosując się wyłącznie do jej poleceń. Dwójka, którą obserwowała teraz przez gęste krzaki na tyłach głównego domu, weszła przez sień i dalej w głąb izby. Od razu przyszło jej do głowy, że musieli być albo bliskimi znajomymi Pawlików, albo wręcz przeciwnie. Normalnie ludzie odwiedzający kogoś raczej czekają przecież na wpuszczenie do domu przed wejściem, ci nie czekali, więc...

Lucja minęła jeszcze dwie kępy krzaków. Teraz nie widziała już zatopionego w błocie podwórka, teraz widziała wnętrze domu, a właściwie izby, która jednocześnie była kuchnią. Na szczęście Pawlikowie dbają o czystość, pomyślała, wpatrując się w szybę czystą jak toń górskiego stawu. W izbie za oknem działy się zaś bardzo dziwne rzeczy. Mężczyzna mierzył do dwójki oniemiałych gospodarzy z pistoletu. Kobieta w tym czasie odwijiała ze szmaty coś, co chwilę wcześniej wyjęła ze skórzanej torby. Robiła to jednak przysłonięta kuchennym kredensem, czyli w miejscu, w którym trzymana na muszce pistoletu para nie mogła tego zobaczyć.

Lucja też przez chwilę nie była pewna, na co patrzy. W końcu, kiedy kobieta wymotała przedmiot ze szmaty i ruszyła w stronę Pawlików, obchodząc ich od tyłu, Lucja dostrzegła, że tamta trzyma w ręku utłuczoną butelkę.

Wtedy w mgnieniu oka przypomniała sobie opowieść Ani o śmierci jej rodziców i to, w jaki sposób został okaleczony stary Pawlik. Ułamek sekundy później zrobiła jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji mogła zrobić – zamachnęła się i z całej siły rzuciła trzymaną w dłoni siekierą w nieskazitelnie czyste okno. Brzęk szkła, krzyk i mężczyzna strzelający na ślepo w okno. Lucja puściła się biegiem w stronę brzeziny, która zaczynała się tuż za płotem obejścia. Po kilkunastu krokach obejrzała się i zobaczyła jeszcze, że kobieta, która wcześniej trzymała w ręku tulipana, teraz nie trzymała już nic, bo siekiera ugodziła ją w tę właśnie rękę. Tymczasem młody Pawlik wykorzystał chwilę zamętu, złapał za garnek z wrzątkiem i chlusnął nim w stronę mężczyzny, który wciąż próbował wypatrzeć coś za oknem. Mężczyzna zawył z bólu, po czym zaczął strzelać jak oszalały we wszystkie strony, na szczęście nikogo przy tym nie raniąc. Lucja biegła i biegła, dopóki starczyło jej tchu. Po kilkudziesięciu sekundach usłyszała w oddali syrenę policyjnego radiowozu i wtedy zrozumiała, że chyba uda jej się dożyć nocy.

Ania z Marcinem i aspirantem Nowaczykiem dojechali na miejsce godzinę później. Niestety, po kobiecie, czyli po ciotce Beatce i po poparzonym zapewne mężczyźnie zostały tylko plamy krwi na podłodze. Z relacji Pawlików wynikało, że chwilę po tym, jak to wszystko się stało, oboje wybiegli z domu. Potem słyszeli jeszcze odgłos uruchamianego silnika i zobaczyli, jak auto wypadło na asfaltową drogę. Policja z Opoczna zjawiała się minutę później. Funkcjonariusze zajęli się ustalaniem przebiegu zajścia i dane do pościgu przekazali dopiero po kilku minutach. Czy postąpili tak przez niedopatrzanie, czy byli zbyt przejęci tym, co tu zastali, czy może spowolnili pościg, bo tak im kazano? Tego już nikt nie był w stanie ustalić.

Dramatyczna zmiana sytuacji nastąpiła pół godziny później, kiedy to lokalni policjanci zajmujący się zabezpieczaniem terenu dali im znać, że w oddalonej o trzydzieści kilometrów od Gabrielina wsi Płonniki Małe doszło do wypadku samochodowego z udziałem ściganej przez drogówkę skody superb na warszawskich numerach. Ania z Marcinem i Adrianem natychmiast ruszyli do miejsca wskazanego przez policjantów. Kiedy tam dotarli, strażacy próbowali właśnie wydobyć z rozbitego o pień drzewa wraku samochodu żyjącą jeszcze, choć ciężko ranną kobietę, ich ciotkę Beatę. W końcu to się udało i ciotka została złożona na trawie obok samochodu i przekazana do dyspozycji ratowników.

– Zostawcie mnie – wymamrotała przytomna wciąż Beata i wskazując na stojących z boku Anię i Marcina, dodała: – Wy... chodźcie tutaj.

Rodzeństwo podeszło do leżącej ciotki.

– Idę do piekła – wycharczała, kiedy się zbliżyli. – Ale waszych rodziców, Bóg mi świadkiem, nie chciałam zabić. Nie było wyjścia... Przepraszam was, to boli najbardziej.

– Boli cię? A myślisz, że tych innych dzieci, które pozbawiłaś rodziców, a często i przyszłości, które gwałcili pedofile, nie boli? – Marcin był bezlitosny.

– Jacy pedofile? – Ciotka odpływała już w niebyt, ale zdążyła się jeszcze zdziwić.

– Ci, których nasyłałaś na nich i na nas po tym wszystkim – odezwała się Ania.

– Nie nasyłałam żadnych pedofili. Zabijałam rodziców, dzieciaki tak jak my trafiały do domów dziecka, ale nie było żadnych pedofili – wysapała ciotka.

– Byli. A co to znaczy, że zabijaliście, kim są ci inni, kim był facet, z którym uciekałaś i który teraz cię tu zostawił? Jeśli nie ty, to on musiał nasyłać tych pedofili.

– Marcin próbował wyciągnąć od niej jak najwięcej.

– Nie mogę... – Ciotka traciła oddech.

– Proszę się odsunąć. – Usłyszeli za plecami głos lekarza. – Ona zaraz się zatrzyma.

– Zostaw, nie mogę wam... – Ciotka wyrzuciła zdanie razem z ostatnim w swoim życiu oddechem.

Jej błagalny, przerażony wzrok pozostał utkwiony gdzieś w górze ponad ich głowami, teraz już pewno też ponad światem.

Wuja Zygmunta parokrotnie w ciągu kolejnych tygodni badali biegli psychiatrzy, nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł bowiem przyjąć do wiadomości jego tłumaczenia, że był gotów zamordować swoją siostrzenicę i siostrzeńca tylko dlatego, że ich odkrycia zagrażały dalszemu rozwojowi jego kariery dyplomatycznej. W końcu zdecydowano, że choć posiada osobowość niedojrzałą i narcystyczną do granic psychopatii, to w momencie popełniania czynu, czyli usiłowania zabójstwa, był poczytalny. Prokurator zaproponował mu jeszcze nadzwyczajne złagodzenie zarzutów, a w efekcie też wymiaru kary, w zamian za informację na temat kontaktów jego żony. Wuj wydawał się wprawdzie bardzo skłonny do współpracy, cały czas zarzekał się też, że nie miał nic wspólnego z jej zbrodniami, ale niestety o jej ewentualnych współpracownikach nie wiedział zbyt wiele albo, podobnie jak ona, z jakiegoś powodu postanowił jednak nie ujawnić swojej wiedzy.

Ania długo namawiała Marcina na to, żeby poszli porozmawiać z wujem w areszcie śledczym, w którym oczekiwał na rozprawę. Mogła pójść tam sama, ale nie chciała. Uznała, że to, co od początku było wspólne, musieli też wspólnie zamknąć. Miała nadzieję, że na zawsze. Marcin zgodził się dopiero, kiedy w dyskusji jako argument ostateczny pojawiła się kwestia pamięci po rodzicach.

Wujek Zygmunt ucieszył się na ich widok, bo jak wyjaśnił, nikt go tu nie odwiedzał, a on przez całe życie był przyzwyczajony do kontaktów międzyludzkich.

– Dlaczego ich zabiliście? – Ania zadała w końcu to jedno, najważniejsze pytanie, z którym tutaj przyszła.

– Dlaczego, dlaczego... Już wam tłumaczyłem. Zorientowali się i nie było wyjścia. To znaczy ja próbowałem powstrzymać Beatkę. Nawet przez chwilę miałem wrażenie, że mi się udało, ale potem ona, dzień po przyjeździe do Polski, zadzwoniła do mnie, że oni nie żyją. Wtedy już wiedziałem, że nie wytrzymała...

Ania przez chwilę przyglądała się wujowi. Marcin tępo wpatrywał się w ścianę na końcu korytarza.

– Po co to ruszaliście? Ta wasza cholerna ciekawość... Beatka zrobiłaby, co miała zrobić, został już tylko Pawlik i ta jego rodzinka, obiecała mi, że to już będzie koniec. A tak... Co mieliśmy zrobić? I do tego ja mam teraz ten idiotyczny zarzut usiłowania zabójstwa.

– Zabójstwa swoich siostrzeńców – odezwał się Marcin, po raz pierwszy i ostatni w tej rozmowie. – To nas usiłowałeś zabić.

– No wiem, iloraz mam. Trzydzieści lat w dyplomacji, tam idiotów nie przyjmują.

Marcin pokiwał głową, potem spojrzał na Anię. Chwilę później oboje wstali bez słowa i wyszli.

– Ale na rozprawie powiecie, że nie tak miało być...? – Usłyszeli jeszcze za sobą stłumiony głos wuja dobywający się zza grubej pleksi.

Kiedy stali na parkingu przed aresztem, Ania spojrzała na brata, a on uśmiechnął się blado.

Czy o to im chodziło? Czy to wszystko, śmierć ciotki, osadzenie wuja, który mimo wszystkich ekspertyz o poczytalności dla nich i tak okazał się po prostu niespełna rozumem, czy prawda, którą poznali, ich wyzwoliła? W jakimś sensie pewnie tak, bo jeśli chodzi o kamień przeszłości wiszący u ich szyi, to choć może nie został odcięty, to w każdym razie wiedzieli już jak wyglądał i jaka była jego rzeczywista waga. Teraz pozostawało tylko wejść w życie i zrealizować marzenie rodziców, czyli w miarę możliwości być szczęśliwym.

– Jest jeszcze gdzieś ten pieprzony pedofil. – Marcin zerknął znów na nią.

– No jest. – pokiwała głową.

Po chwili patrzenia on wzruszył delikatnie ramionami, tak jakby nie do końca wiedział, czego siostra od niego oczekuje. A ona nie oczekiwała już niczego, ale w tym momencie, zupełnie nagle, w jego uśmiechu i w jego rysach dostrzegła twarz mamy, której od tamtego dnia nie mogła sobie przypomnieć. I wtedy poczuła ulgę.

KONIEC

Spis treści

Strona tytułowa

Copyright

*

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56

57

58

59

60

61

62

63

64

Strona redakcyjna

Redaktorka inicjująca: Maria Tengowska
Redaktorka prowadząca: Aleksandra Janiszewska
Redakcja: Krystian Gaik
Korekta: Marta Stochmiałek, Hanna Trubicka

Projekt okładki: Anna Gaik-Czasak
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki:

- © Cavan Images/Getty Images
- © Lia Koltyrina/Shutterstock
- © Collin Quinn Lomax/Shutterstock
- © Chesterf/Shutterstock
- © Valentin Agapov/Shutterstock
- © SergeyKlopotov/Shutterstock

Skład i łamanie: Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-213-1

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo